

CHŁOPCY z NASZEGO PODWÓRKA

czyli

Boca de Rata

albo

Paszczka *szczura* - opowieść w trzech przykryciach
- "Rywin - Gate" -

- materiały z archiwum prof. Andrzeja Rzeplińskiego; opracowanie and my Letters...-



"jest interes do zrobienia"

SPIS TREŚCI

- kliknij tytuł rozdziału -

1. grudzień, 2002 **ss. 2**
2. styczeń, 2003 **ss. 23**
3. luty, 2003 r. **ss. 108**

- przykrycie 1 -

2002/12/27, Gazeta Wyborcza nr 300, s. 1

Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika

Zapłaćcie 17,5 mln dolarów łapówki, to będziecie mogli kupić Polsat - taką propozycję złożył Agorze, wydawcy „Gazety Wyborczej”, producent filmowy **Lew Rywin**, powołując się na swoje ustalenia z premierem. Rywin obiecał, że niekorzystne dla Agory zapisy zostaną usunięte z ustawy o radiofonii i telewizji. Twierdził, że za jego ofertą stoi „grupa, która trzyma w rękę władzę”. Pieniądze miały płynąć na konto firmy Rywina, ale na użytek SLD. Naczelny „Wyborczej” Adam Michnik nagrał rozmowę z Rywinem i poinformował o wszystkim premiera. Leszek Miller doprowadził do konfrontacji Rywina z Michnikiem. Rywin się przyznał. Premier komentuje: - Widzieliśmy pacjenta zakładu psychiatrycznego, który oszalał dla pieniędzy. To tragiczne i żałosne. Rywin przyszedł do Agory w połowie lipca. Od tego czasu „Gazeta” prowadziła dziennikarskie śledztwo, próbując dociec, czy ktoś stał za propozycją Rywina i jaki był jej prawdziwy cel. Dzisiaj publikujemy wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć

2002/12/27, VAD, Gazeta Wyborcza nr 300, s. 2

Lew Rywin

Widać pisane mi są „czarne charaktery” - powiedział Lew Rywin w wywiadzie dla miesięcznika „Sukces” w 2001 roku. Do tego zdania powracał w kolejnych rozmowach z dziennikarzami.

Według samego Rywina filmowa fikcja zaczęła się przeplatać z życiem kilka lat temu, gdy chciał kupić działkę. Już umówił się z jej właścicielem, ale tamten w ostatniej chwili odstąpił od transakcji, bo sąsiedzi nie chcieli mieć „rosyjskiej mafii” w okolicy. Rywin zagrał bowiem rosyjskiego mafioso w „Ekstradycji”, ale i żydowskiego biznesmena w „Pianiście”. Poza planem jest najślynniejszym polskim producentem filmowym. Jego założona w 1991 roku firma Heritage Films wyprodukowała „Listę Schindlera” Stevena Spielberga, „Króla Olch” Voelkera Schloendorffa czy „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy. Firmę Rywina najczęściej wspierały TVP (w latach 1992-2000 - 11 filmów na sumę 8 mln zł) i Canal+ (w latach 1995-2000 - 12 filmów za 17,56 mln zł). Do pierwszej z tych stacji Rywin ma sentyment. W telewizji publicznej pracował siedem lat (1984-91). Był szefem biura handlu zagranicznego i zastępcą prezesa ds. finansowych i administracyjnych. Z kolei w Canal+ Polska przez kilka lat zajmował fotel prezesa, a teraz jest szefem rady nadzorczej. Za jego kadencji Canal+ współfinansował produkcję 35 filmów, z czego nad połową pracowała Heritage Films. W latach 1989-91 był wiceszefem Komitetu ds. Radia i Telewizji.

Jest prezesem Polskiego Związku Tenisowego. O polityce rozmawia rzadko, ale to jego typowano na prezesa TVP przed zeszłorocznymi wyborami parlamentarnymi.

Ma 57 lat. Biegle włada rosyjskim i angielskim. Ukończył Wyższe Studium Języków Obcych i Lingwistyki Stosowanej na UW oraz Tilden High School w Nowym Jorku. Do zdjęć w magazynach często pozuje z cygarem. Jedną z jego największych pasji jest wędkowanie.

Obok domu na Mazurach zbudował nawet wędzarnię, gdzie sam wędzi swoje trofea.

2002/12/27, Paweł Smoleński Gazeta Wyborcza nr 300 str. 3

Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika

Pisaliśmy ten tekst od początku sierpnia. Próbowaliśmy dziennikarskiego śledztwa, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć, coś zrozumieć. Dzisiaj drukujemy wszystko, co udało nam się ustalić

Michnik oszalał ze szczętem - pomyślałem, gdy powiedział mi: „Muszę nagrać jednego faceta. Kup najlepszy magnetofon, jaki znajdziesz. Cena nie gra roli”.

W tym, że oszalał, utwierdziła mnie jego asystentka.

- Po co nowy magnetofon - uragała. - Jak to: „Cena nie gra roli”? To on nie wie, że musimy ciąć koszty?!

Ale magnetofon kupiłem.

- Naucz mnie, co z tym robić - poprosił Adam, któremu łatwiej pojąć różnicę między ONR Falanga i ONR ABC niż działanie magnetofonu. Szczęśliwie cyfrowy sony ma jeden przycisk - wystarczy dotknąć, by zaczął działać. Kiedy rozgryźliśmy zasady funkcjonowania japońskiego cacka, Adam wyjął z portfela złożoną ćwiartkę papieru.

- Czytaj - powiedział.

Notatkę napisała Wanda Rapaczyńska, prezes Agory SA, wydawcy „Gazety”.

Czytałem może ze dwie minuty, przelatując po kilkanaście razy każde zdanie. Poczułem się, jakbym podróżował po innym świecie.

Styczeń 2002

Pierwsze harce prezesa

Jeszcze rok temu nic nie zapowiadało takiej wojny.

Ekspert Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji dopiero przymierzają się do zapisów nowelizujących ustawę o mediach elektronicznych, konsultują się w zaciszu gabinetów. I tylko prezes TVP Robert Kwiatkowski mówi dziennikarzowi „Gazety” Vadimowi Makarence, podczas półoficjalnej rozmowy, że gdyby Agora SA kupiła telewizję Polsat, nastąpiłaby „znacząca dekompozycja rynku medialnego”.

Nic więcej. Vadim ani się domyślał, że rozmawia o sprawie, która już niebawem trafi na czołówki mediów.

15 stycznia projekt nowej ustawy o radiofonii i telewizji trafia z Krajowej Rady do rządu. Zakłada rozszerzenie kompetencji KRRiTV i wzmocnienie publicznej TV. Wprowadza ograniczenie dla nadawców radiowych - w jednym mieście ten sam właściciel nie może mieć więcej niż jednej lub dwóch (w zależności od wielkości miasta) rozgłośni radiowych.

Do tego rząd dopisuje paragraf zakazujący gazecie ogólnopolskiej kupna telewizji.

Zakaz koncentracji bije w prywatnych nadawców i wydawców. Oznacza, że Agora SA nie będzie mogła kupić Polsatu. Oraz że ma zamkniętą drogę do rozwijania biznesu radiowego, co więcej, straci część posiadanych już stacji radiowych.

Kwiecień 2002

Wybuch wojny

Na początku kwietnia nowela trafia do Sejmu. Wybucho wojna na linii media prywatne - rząd. Nowelizacji broni wiceminister kultury Aleksandra Jakubowska, ale mówi o niej i premier Leszek Miller, i ówczesny minister kultury Andrzej Celiński, i wicepremier Marek Pol, i szef MSWiA Krzysztof Janik. W sukurs rządowi idzie nawet... Andrzej Lepper, choć podówczas w konflikcie z SLD i z PSL. Na

konsultacje z ekspertami Ministerstwa Kultury chadza, ponoć w imieniu KRRiTV, sekretarz Rady Włodzimierz Czarzasty z SLD, powszechnie postrzegany jako pomysłodawca i pilot nowelizacji.

Nowelizacja prawa radiowo-telewizyjnego staje się tematem numer jeden prywatnych mediów, od tygodników „Wprost” i „Polityka” po Radio Zet i RMF FM oraz telewizje Polsat i TVN. Media mówią jednym głosem: nowelizacja jest szkodliwa. Coraz częściej pojawia się również wątek, że to przepisy rozmyślnie skrojono tak, by skarcić „Gazetę Wyborczą” i Agorę. Pojawia się termin Agora Lex.

Kilku członków Krajowej Rady, m.in. przewodniczący Juliusz Braun i desygnowany przez prezydenta Waldemar Dubaniewski, odcinają się od zaostrzonej wersji przepisów (Braun: „Rząd zmienił sens naszego projektu”). Przeciw nowelizacji są posłowie opozycji, od Marka Jurka z PiS po Iwonę Śledzińską-Katarasińską z PO.

Nowelizacja nie podoba się też prezydentowi.

- Propozycja rządu oznacza - mówił Aleksander Kwaśniewski w radiowych „Sygnałach dnia” - że już właściwie proponujemy wykupienie tych mediów przez partnerów zagranicznych. Bo jeżeli ci, którzy mają pieniądze w Polsce, zgodnie z tą ustawą nie będą mogli kupić, to kto jest w stanie kupić taką telewizję jak Polsat?

„Rząd - pisze w „Gazecie” Grzegorz Piechota - chce tak zmienić ustawę, by np. spółka Agora nie mogła mieć telewizji, Polsat nie mógł starać się o drugą koncesję ogólnopolską, a Radio Zet i RMF FM nie mogły inwestować w kolejne rozgłośnie... Nie boję się pisać o zamachu państwa na wolne media...”.

Te głosy mediów nie spotykają się ze zrozumieniem rządu. - To protest paru podmiotów gospodarczych, które widzą swój interes w tym, żeby zmonopolizować rynek - twierdzi Jakubowska.

Tymczasem - replikują prywatni nadawcy - jeśli ktokolwiek ma w Polsce zadatki na monopolistę, to nie media prywatne, lecz państwo. Największym multimedialnym koncernem w Polsce nie jest wydawca „Gazety Wyborczej”, „Super Expressu” czy właściciel TVN, lecz skarb państwa, który kontroluje producentów informacji - Polską Agencję Prasową i Polską Agencję Informacyjną - i największe media - Telewizję Polską i Polskie Radio... Na obsadę stanowisk w państwowych firmach ma wpływ rząd SLD-PSL. Równie dobrze więc możemy mówić o interesie tych partii, by utrzymać podległy sobie monopol na rynku medialnym.

Lato 2002

Rząd szuka kompromisu?

Rząd ani myśli zmienić front. W odwodzie ma publiczne radio i telewizję oraz proeseldowską „Trybunę” zgodnie chwalcą nowelizację. Gdy mówienie o monopolu mediów prywatnych okazuje się nieskuteczne, rząd odwołuje się do „wymogów prawa europejskiego”. Gdy wychodzi na jaw, że Unia Europejska nie wymaga zakazu koncentracji kapitału, wskazuje na poszczególne kraje Zachodu. Gdy „Gazeta” przypomina, że mimo restrykcyjnego prawa Berlusconi i tak opanował włoską telewizję, prawdopodobnie posługując się setkami kopert wypchanych grubszą gotówką, zaś w Wielkiej Brytanii właśnie toczy się debata, jak zliberalizować prawo rządzące eterem, rząd wraca do tezy, że broni kraju przed informacyjnym monopolem.

Według Wandy Rapaczyńskiej, prezes Agory SA, nowelizacja ustawy o radiofonii i telewizji jest dla rządu, jak powiada się w Ameryce, „PR disaster”, czyli katastrofą w kształtowaniu publicznego wizerunku. Jakubowskiej nie udało się przekonać opinii publicznej, że rząd broni demokracji i wolnej konkurencji, zaś prywatnym mediom chodzi tylko o szmal i władzę nad duszami.

Na tapecie jest również inny PR disaster - wojna z NBP oraz jego prezesem Leszkiem Balcerowiczem. Spadają notowania gabinetu Millera.

W tej sytuacji rząd, jak się wydaje, postanawia wygasić konflikt z mediami. Publiczne radio i telewizja nabierają wody w usta. Na lipcowym spotkaniu z prywatnymi nadawcami i wydawcami z inicjatywy premiera Millera wiceminister Jakubowska oznajmia, że rząd przygotowuje właśnie autopoprawkę do ustawy dotyczącą tzw. zapisów koncentracyjnych.

Wanda Rapaczyńska: - Rozmawiałam z wiceminister Jakubowską. Powiedziała, że nie jest osobistym wrogiem Agory, że reprezentowała stanowisko rządu, ale zlecenie się skończyło, nadszedł czas na porozumienie.

11 i 15 lipca 2002

Rywin proponuje

Rapaczyńska: - Ministrem kultury był już Waldemar Dąbrowski. Na czwartek, 11 lipca, zaprosił do siebie przedstawicieli prywatnych mediów, by podyskutować o rządowej autopoprawce. Tuż przed spotkaniem zadzwonił do mnie **Lew Rywin**. Powiedział, że chce pomóc przy zawarciu kompromisu, a z prośbą o mediacje z Agorą zwróciła się do niego „druga strona”.

Lew Rywin to prezes rady nadzorczej Canal+, właściciel firmy producenckiej Heritage Films, od lat jedna z najważniejszych postaci na rynku mediów elektronicznych, m.in. producent „Listy Schindlera” i „Pianisty”. Rapaczyńska zna go z czasów, gdy Agora SA była współudziałowcem cyfrowej telewizji Canal+.

Rapaczyńska: - 11 lipca przy kawie Rywin poprosił mnie o notatkę określającą „warunki brzegowe”, jakie zdaniem Agory powinna spełniać nowelizacja. Napisałam to, co przekazywaliśmy już Krajowej Radzie i Ministerstwu Kultury, to samo, co postulowały inne media prywatne.

Rywin powiedział, że do jego domu na Mazurach przyjeżdża na ryby premier Miller. I że na tych rybach przekaze mu nasze uwagi.

Potem poszliśmy razem do ministra Dąbrowskiego. Cały czas myślałam, co takiego stało się Rywinowi, że chce pomagać.

W poniedziałek, 15 lipca, Rywin dzwoni do Rapaczyńskiej, nalega na spotkanie.

Rapaczyńska: - Rozmawialiśmy może dziesięć minut. Rywin przedstawił propozycję, którą - zapewniał - usłyszał właśnie na rybach. Jakbym dostała pałką po głowie.

Na korytarzu Rywin spotyka Piotra Niemczyckiego, wiceprezesa Agory. Rywin streszcza „propozycję z ryb”.

Niemczycki: - Najpierw byłem przekonany, że czegoś nie dosłyszałem. Potem pomyślałem, że albo ja zwariowałem, albo zwariował Rywin.

16 lipca

Rapaczyńska do Michnika

Rapaczyńska: - Trzęsło mną z obrzydzenia. Przecież Rywin musi wiedzieć, że taka propozycja jest dla mnie i dla Agory po prostu uwłaczająca. Jak ktoś odważył się przyjść do nas z czymś tak odrażającym! Myślałam: jeśli tak ma wyglądać świat polskiego biznesu, jeśli z propozycją łapówki można przyjść do firmy, która zawsze była poza podejrzeniem, jeśli w korupcję angażują się ludzie na takich stanowiskach, to finis Poloniae.

Rapaczyńska wysłuchała Rywina bez komentarzy i poinformowała go, że przekazuje sprawę Michnikowi.

We wtorek, 16 lipca, Rapaczyńska pisze notatkę dla Michnika. Informuje, że Rywin, powołując się na premiera, sygnalizuje ustępstwa rządu w sprawie przepisów antykoncentracyjnych w nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji w zamian za przekazanie 5 proc. od 350 mln dolarów (tak Rywin określił wartość Polsatu) na konto jego firmy Heritage Films, czyli ok. 17,5 mln dolarów (30 proc. z tej sumy ma być zapłacone zaraz po wejściu ustawy w życie, a 70 proc. - po kupnie Polsatu). Jednocześnie Rywin sugeruje, że pieniądze będą spożytkowane przez Sojusz Lewicy Demokratycznej. Pozostałe warunki: „Gazeta” ma zaprzestać krytykowania premiera, zaś po przejściu Polsatu zatrudnić tam Rywina, który przypilnuje w Polsce interesów lewicy.

Rywin powiedział, że oczekuje odpowiedzi na piśmie zawierającej konkretne zobowiązania Agory. Odpowiedź nie musi być natychmiastowa, lecz jeśli Agora nie zobowiąże się do realizacji zgłoszonych oczekiwań, nie ma szans na ustawę w formie akceptowanej przez spółkę.

Adam Michnik: - Jakby strzelił we mnie piorun. Pierwszy raz w życiu zaproponowano mi coś takiego. Nie rozumiałem, że można złożyć taką ofertę, że robi to Rywin, którego przelotnie znałem i wiedziałem, że jest człowiekiem, by tak rzec, z towarzystwa, że powołuje się na nazwisko Millera. Słowem - nie rozumiałem nic.

17 lipca

Agora na tarasach

Rapaczyńska i Michnik obradują wyłącznie na tarasach budynku Agory. Nastrój podły, nawet histeryczny. Jak postąpić, jak się zachować?

Dzwonią do Heleny Łuczywo, wiceprezes Agory i zastępcy redaktora naczelnego „Gazety”. Unikają komórek i redakcyjnych telefonów. Skoro padła taka propozycja, skoro mowa o takich pieniądzach i tak ważnych ludziach, podsłuch telefonów i gabinetów też wydaje się możliwy.

Łuczywo: - Natychmiast wróciłam z urlopu do Warszawy osobiście poniżona i dotknięta. W końcu w Agorze pracują ludzie z biografiami, w końcu dostaliśmy wiele międzynarodowych nagród za czytelność i czystość prowadzonych przez nas interesów. Nie mieściło mi się w głowie, że można do nas wystąpić z czymś takim.

Michnik: - Rywin ustawił się w trzech rolach. Był jednocześnie załatwiaczem, beneficjentem (w zamian za załatwienie ustawy miał zostać szefem Polsatu), a jego firma miała transferować pieniądze z łapówki. Trzy w jednym, trochę za dużo.

Rapaczyńska: - Gdy ochłonęłam, zaczęłam analizować. Coś tu nie grało. Wszyscy wiemy, że w Polsce jest korupcja polityczna i że sięga głęboko. Ale takich spraw nie załatwiają ludzie ze świecznika. Rywin zbyt otwarcie szermował nazwiskiem Millera. To był pierwszy sygnał ostrzegawczy. Drugi: Rywin zażądał odpowiedzi Agory na piśmie. Nic tak nie brudzi jak atrament. Własnoręczne dokumentowanie własnej korupcji to samobójstwo dla polityków, ale też dla firm, których pozycja jest ściśle związana z przejrzystością i rzetelnością interesów. Może ktoś chce mieć haka na Agorę? Trzeci: Przez 12 lat istnienia Agory nikt nie ośmielił się złożyć nam korupcyjnej propozycji. W trzynastym roku oferta Rywina była trzecia z kolei. Dwie poprzednie zakamuflowano, chodziło w nich o mniejsze pieniądze, nie dotyczyły bezpośrednio tak ważnych ludzi. Ale były...

Rapaczyńska: - Pomyślałam, że trzeba sprawę załatwić po amerykańsku: nagrać Rywina i wszystko przekazać FBI. Ale nie miałam śmiałości, by poprosić o to Adama. Nie pasowało mi to do jego stylu.

Ale Michnik wpadł na taki sam pomysł: - Ty, Wandziu, jesteś dobra w rozmowach z amerykańskimi bankierami. Na tutejszy grunt ja jestem lepszy. Powiedz Rywinowi, żeby do mnie wpadł. Nagram go.

Rapaczyńska: - Chciałam Adama wycalować z radości.

Michnik: - Zdecydowałem się na nagranie, choć byłem pewien, że Rywin nie powtórzy propozycji. Nie wierzyłem, że się ośmieli.

Tymczasem Rywin nalega na spotkanie z Michnikiem. Wydzwania do Rapaczyńskiej: „Premier wie, że jedziesz niedługo na urlop. Sprawę warto załatwić przed wyjazdem”.

Michnik: - Wanda pytała mnie, czy - na mojego nosa - to możliwe, by za ofertą Rywina stał premier. Odpowiedziałem, że raczej nie. Millera oskarżano o wszystko, ale nie o to, że jest skorumpowany, oraz że jest głupi. A przecież wiktanie się w taką aferę to głupota, to samobójstwo.

18 lipca

Michnik mówi Millerowi

Posiedzenie Rady Integracji Europejskiej; jej członkiem jest Michnik.

Michnik: - Zadzwoiłem do premiera z prośbą o rozmowę w cztery oczy przed posiedzeniem. Powiedziałem ogłędnie, choć byłem zdenerwowany jak cholera, że przyszedł do nas jego pełnomocnik z pewną propozycją personalną i biznesową... Premier zrobił wielkie oczy.

Leszek Miller: - Michnik zapytał, czy wysyłałem do Agory emisariusza. Gdy zaprzeczyłem, pokazał mi notatkę Wandy Rapaczyńskiej. Wpadłem w osłupienie.

Michnik: - Premier zapytał mnie: „Ale przecież ty w to nie wierzysz?”. - Wierzę, nie wierzę - mówię. - Byłeś z Rywinem na jakichś rybach.

Miller: - Nigdy nie byłem z Rywinem na żadnych rybach. Nigdy nie łowiłem z nim żadnych ryb ani dużych, ani małych. Widziałem go ostatni raz na pokazie „Pianisty” w połowie czerwca. Doszedłem do wniosku, że musimy zrobić konfrontację: Michnik, Rywin i ja.

Michnik: - Między spotkaniem z Millerem a rozmową z Rywinem minęły cztery dni. Moim zdaniem to dowód na to, że premier nic nie wiedział o ofercie. Bo gdyby wiedział, ostrzegłby Rywina, by mi jej nie zgłaszał, a przynajmniej bez powołania się na jego nazwisko.

22 lipca, godz. 19.30

Konfrontacja u Millera

Tego samego dnia, o 19.30, ze spisaną rozmową i płytą kompaktową z nagraniem Adam Michnik idzie do premiera. Rywin miał wyjechać w interesach do Kijowa, lecz rezygnuje, gdy premier prosi go telefonicznie o pilne spotkanie.

W saloniku przy gabinecie Millera Rywin natyka się na Michnika. Rywin zastyga. Nie zamieniają ani słowa. Razem wchodzi do premiera.

Miller: - Od razu dałem Rywinowi do przeczytania notatkę Rapaczyńskiej. Zapadła cisza. Rywin bladł, zieleniał, tężał na twarzy. Zapytałem, dlaczego to zrobił, kto mu kazał, kto go inspirował. Wymienił dwa nazwiska: byłego członka KRRiTV Andrzeja Zarębskiego i Roberta Kwiatkowskiego. A potem powiedział: „Co mam zrobić? Mam się zastrzelić?”.

Michnik: - Powiedziałem Rywinowi, że nasza rozmowa została nagrana. Niczemu nie zaprzeczył.

Miller go wypytywał: - Lwie, to Robert dyktował ci te wszystkie cyferki? Rywin na to: „Rozstrzelajcie mnie, zabijcie, popełnię samobójstwo”. Miller zapytał: - Naprawdę tak potrzebujesz pieniędzy?

Miller: - Kazałem wyjść Rywinowi bez pożegnania. Wyglądał jak człowiek, który dostał kopniaka w twarz. Powiedziałem Michnikowi, że widzieliśmy właśnie pacjenta zakładu psychiatrycznego, który oszalał dla pieniędzy. To tragiczne i żalosne zarazem. A co do nazwisk, jakie podał, mają one uprawdopodobnić jego chore urojenia i to wszystko. Od tamtej pory nie miałem z Rywinem kontaktu.

Lato, jesień

Kiedy to opublikować?

Łuczywo: - Początkowo chcieliśmy opublikować rozmowę Michnik - Rywin od razu. To odruch wyniesiony z opozycji demokratycznej: dzieje się coś strasznego, więc pisz o tym. Ale gazety nie publikują od razu wszystkich informacji. Chcieliśmy zweryfikować wersję Rywina, odkryć, czy pomysł łapówki powstał w jego głowie, czy może rzeczywiście jest tylko listonoszem. A jeśli tak, to kto jest faktycznym autorem tej propozycji? Kto jest tak ustosunkowany, że może załatwić treść ustawy?

Na redakcyjnym zebraniu Michnik relacjonuje przebieg rozmowy z Rywinem. O propozycji „ustawa za łapówkę” wiedzą setki dziennikarzy „Gazety” i pracowników Agory, powoli dowiadują się ludzie spoza firmy. Redakcja zakłada, że może w ten sposób uda się złapać jakiś trop. Że coś może zrobić sam Rywin.

Niemczycki: - Rywin prosił mnie, bym umówił go z Michnikiem, chciał przeproszać, mówił, że nie ma pojęcia, co robić. Wyemigrować? Strzelić sobie w łeb? Namawiałem go: „Jeśli nie wiesz, co robić, powiedz prawdę. Jeśli jesteś tylko listonoszem, jeśli dałeś się wmanewrować, ktoś cię użył, napisz to, nasze łamy są otwarte. My tej sprawy nie zakopujemy, jakiś finał musi być”.

Rywin odpowiedział, że wyjeżdża na Mazury, że musi nad wszystkim się zastanowić, że pewnie coś napisze, jeśli nie do „Gazety”, to dla własnego bezpieczeństwa „do sejfu”...

Czy napisał? Piotr Niemczycki nie wie. Wiadomo natomiast, że - choć minęło kilka miesięcy - **Lew Rywin** nie złożył w redakcji „Gazety” ani jednej kartki papieru.

Łuczywo: - Teksty śledcze nie powstają szybko. Wstrzymywaliśmy się z publikacją, licząc na to, że będziemy mogli uzupełnić zapis rozmowy o konkretne nazwiska, że odkryjemy przynajmniej część prawdy.

Michnik: - Czy Rywin wszystko sam wymyślił, czy też stali za nim potężni mocodawcy? Czy szło tylko o pieniądze z łapówki? Czy może o to, by skompromitować „Gazetę” i Agorę: chwala się, że są tak czysti, a siadają do rozmowy o milionowej łapówce? Dziennikarskie śledztwo nie wyjaśniło, niestety, wątpliwości. Co nie znaczy, że nie domyślamy się odpowiedzi na te pytania.

Rywin: To była rozmowa negocjacyjna i biznesowa

Zapytałem Lwa Rywina o jego rozmowę z Michnikiem. Odparł: - To była rozmowa negocjacyjna i biznesowa. Miałem objąć Polsat, chciałem sprzedać Agorze moją firmę Heritage Films. Więcej komentować nie będę.

[-]

22 lipca, godz. 11

Michnik nagrywa Rywina

22 lipca o godz. 11 Rywin przychodzi do gabinetu Michnika. Rozmawiają mniej więcej pół godziny.

Magnetofon stoi za książkami. Jakość nagrania jest dobra.

całość w tekście Rzepy, patrz niżej

Michnik: - To dlaczego zaangażował się w poparcie ustawy?

Rywin: - Żeby nie być sam. Ty nie jesteś dla Roberta wielkim zagrożeniem. Front się podzielił równo.

Dlaczego media protestują?

Oprotestowane przez prywatne media przepisy nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji zawierały m.in.:

Projekt znaczącego poszerzenia uprawnień Rady, także w sferze własnościowej mediów prywatnych. Jeśli nadawca chciałby sprzedać lub kupić nawet kilka procent firmy, jeśli chciałby podnieść jej kapitał, musiałby uzyskać zgodę KRRiTV. Taki zapis praktycznie oznacza, że Rada może narzucać prywatnym nadawcom swoje warunki. A skoro jest ciałem politycznym, stawiane warunki mogą być formułowane pod konkretne polityczne zamówienia. Z kalendarza wyborczego i układów parlamentarnych wynika, że SLD zdobył na kilkanaście lat pozycję dominującą w KRRiTV, czyli że może rządzić w eterze.

Wzmocnienie telewizji publicznej, choćby przez zezwolenie na tworzenie cyfrowych kanałów tematycznych, przejęcie na własność części, a zarządzanie całością archiwów TVP. (Wyobraźmy sobie kanał tematyczny pod nazwą „Polskie seriale”. Będzie miał wielką oglądalność, bo stare seriale cieszą się ogromną popularnością. Będzie również w pewnym sensie monopolistyczny, bo z jakiej racji TVP ma udostępniać konkurencji zawartość archiwów).

Zakaz posiadania więcej niż jednej lub dwóch radiostacji w jednym mieście. Ilość posiadanych radiostacji zależy od liczby mieszkańców i od charakteru stacji. Co to znaczy „charakter stacji”, poprawka nie precyzuje. Można więc przyjąć, że radio nadające punk rocka i radio nadające muzykę klasyczną, choć ewidentnie skierowane do różnych odbiorców, mają, wedle uznania urzędników KRRiTV, ten sam charakter rozgłośni muzycznej, więc nie mogą należeć do jednego właściciela.

Zakaz koncentracji kapitału w mediach, np. wydawca gazety ogólnopolskiej nie może mieć stacji telewizyjnej.

Poszczególne paragrafy ustawy były dyskutowane i głosowane w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Z eksperckich projektów wiele poszło do kosza, między innymi ten o koncentracji kapitału. Rada nie ma inicjatywy ustawodawczej, co oznacza, że projekt ustawy musi zgłaszać Sejmowi via rząd. W kulisach KRRiTV krążyła uporczywa plotka, że zapisy nowelizacji, odrzucone w drodze głosowania przez członków Rady, i tak dopisze Rada, ale Ministrów.

Rozmowa z Andrzejem Zarębskim, ekspertem rynku mediów. Rozmawiał Paweł Smoleński

Włosy stają dęba

Spotkałem się z poglądem, że w tej sprawie nie chodziło o żadne pieniądze i żadną ustawę, tylko o skompromitowanie Agory. Jak w dowcipie z Radia Erewań o kradzieży zegarka: on ukraść, jemu ukradli - nie ma znaczenia, tak czy siak jest zamieszany w kradzież

Paweł Smoleński: W rozmowie z premierem Leszkiem Millerem i Adamem Michnikiem Lew Rywin powiedział, że był Pan jednym z inspiratorów propozycji „łapówka za ustawę”.

Andrzej Zarębski: To oczywista nieprawda. Czy **Lew Rywin** dosłownie tak powiedział, czy to interpretacja jego słów? Moja rozmowa z Rywinem w ani jednym słowie nie dotyczyła takiej propozycji.

Czy to oznacza, że w ogóle nie rozmawiał Pan z Rywinem na temat ustawy?

- Poprosiłem Rywina o spotkanie. Byliśmy na wspólnym obiedzie 9 lipca. Chciałem sprawdzić, czy Rywin może pomóc w zaaranżowaniu bezpośredniego kontaktu premiera z nadawcami prywatnymi i operatorami kablowymi, żeby wspólnie znaleźć konsens wokół kontrowersyjnego projektu nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji. Na spotkanie przyprowadziłem zresztą jeszcze jedną osobę.

Z Agory?

- Nie, ale to ktoś poważny z pewnej dużej firmy medialnej. Prowadzę firmę konsultacyjno-doradczą, pracuję dla różnych mediów, od prywatnych nadawców, przez firmy telekomunikacyjne i operatorów sieci kablowych. Wcześniej przez sześć lat byłem członkiem i sekretarzem KRRiTV. Pod koniec ubiegłego roku zostałem poproszony przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji do współudziału w pracach kilkusobowej grupy ekspertów przy tworzeniu założeń do projektu nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji. Chętnie się zgodziłem, była to praca społeczna, odmówiłem przyjęcia wynagrodzenia. Jestem współautorem obecnie obowiązującej ustawy, pracowałem nad nią jako członek sejmowej komisji kultury w 1992 r., dlatego zależało mi na tym, żeby nowelizacja służyła rozwojowi polskiego rynku medialnego jako całości. Wyszło inaczej i po kilku tygodniach moja aktywność w tej grupie praktycznie ustała. Pierwotne założenia - ma to być projekt napisany z otwartą głową, odważny, który niezależnie od koniunktur politycznych przygotowuje dobrą regulację na rynku mediów, sprostą wyzwaniom Unii Europejskiej i nowych technologii - brały w łeb. Koniec końców zostałem jeszcze poproszony przez Radę na finalne spotkanie, na którym grupa ekspertów zaprezentowała swój projekt. Okazało się, że dokument, który dostałem poprzedniego dnia, jest różny od tego, który został wręczony Radzie; w ciągu jednej nocy dopisano cały ciąg przepisów dotyczących zakazu koncentracji mediów, o czym wcześniej w ogóle nie było mowy.

To był zły projekt. Pogłębiał sytuację nierównowagi na rynku, budził zasadnicze wątpliwości z perspektywy konstytucji i regulacji obowiązujących w Europie. Dlatego praktycznie wszyscy nadawcy prywatni, z którymi zresztą projektu wcześniej nie konsultowano, zaczęli protestować. Nie odniosło to skutku, bo zwyciężyło lobby nadawców publicznych. Rada przekazała projekt rządowi, a ten po wprowadzeniu pewnych zmian skierował go do parlamentu.

Sytuacja wokół nowelizacji stała się patowa. Sejmowa komisja jak czołg parła do takiego sformatowania ustawy, jakiego sobie życzą autorzy pomysłu.

Ani ja, ani media, które zaangażowały się w protest, nie chciały i nie chcą wojny z rządem. Wojna wyniszcza wszystkich, a media są na tym froncie w bardzo niekorzystnej sytuacji, bo muszą borykać się nie tylko z walką konkurencyjną na rynku i z recesją, ale jeszcze z projektem złych przepisów i stojącym za nim politycznym lobby. Wtedy przyszło mi do głowy, by spotkać się z Rywinem i poznać jego pogląd na sytuację, zapytać, czy może pomóc w poszukiwaniu kompromisu. Rywin powiedział mi, że znalazł się w kręgu nieformalnych doradców premiera w sprawie nowelizacji. Usłyszałem, że w rządzie panuje przekonanie, iż media komercyjne tylko pozornie prowadzą walkę o ustawę, bo w rzeczywistości to pretekst do politycznej walki z premierem, z ministrami, z SLD. Powiedziałem: „To absurd, przecież ty też w to nie wierzysz. Zbyt różni ludzie zaangażowali się w protest, zbyt wiele mają sprzecznych interesów wynikających z rynkowej konkurencji. Występują wspólnie, bo protestują wobec bardzo złego prawa i - jeśli wejdzie w życie - bardzo złych skutków jego zastosowania. Nie ma w tym krzty polityki”.

Na tym skończyliśmy rozmowę, Rywin obiecał coś w tej sprawie zrobić. Później nie miałem z nim żadnego kontaktu. Niedługo po naszej rozmowie premier zaprosił przedstawicieli mediów prywatnych, zaczęto szukać dróg kompromisu, rząd zobowiązał się do wprowadzenia autopoprawki. Wydawało się, że jesteśmy na dobrej drodze.

Wyjechałem na wakacje i pewnego dnia przeczytałem we „Wprost” notkę o tym, jak **Lew Rywin** zaproponował Agorze ustawę za łapówkę. Nie uwierzyłem; notka pojawiła się na takich kpiarskich stronach tygodnika. Wróciłem do Warszawy, przypadkowo spotkałem Adama Michnika. Opowiedział mi całą historię. Włosy stanęły mi dęba, również dlatego, że widziałem, jak Michnik jest nią głęboko przejęty.

Podczas rozmowy z premierem Millerem i Adamem Michnikiem Rywin wskazuje prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego jako drugiego z inspiratorów propozycji.

- Jeśli chodzi o propozycję kompromisu w sprawie ustawy, to może być prawda. Jeśli natomiast pyta pan o propozycje łapówki, to ja w tego typu inspiracje ze strony Roberta Kwiatkowskiego nie wierzę. Gdy czyta się projekt nowelizacji, gołym okiem widać, że głównym beneficjentem nowych przepisów będzie telewizja publiczna. Ten projekt nie tylko umacnia jej pozycję, ale wręcz pozwala na ekspansję dzięki kanałom tematycznym opartym również o zasoby archiwalne, które przechodzą na własność TVP, zachowuje możliwość działalności reklamowej, która już dziś jest niszcząca dla rynku. Sądzę,

że Robert Kwiatkowski odwrotnie do nadawców prywatnych zabiega, by nowelizacja przeszła w obecnym kształcie, gdyż po prostu jest to zgodne z interesami TVP. Nie dziwi mnie, gdy mówi publicznie, że projekt ustawy jest dobry lub bardzo dobry. Ale widząc trudności, na jakie natknęli się autorzy projektu, widząc zbiorowy protest mediów prywatnych, czuje, że nie tędy droga. Najpewniej jest więc zainteresowany jakimś kompromisem, który i tak wyjdzie TVP na zdrowie.

Rywin mówił Wandzie Rapaczyńskiej, że za propozycją „ustawa za łapówkę” stał premier Rzeczypospolitej.

- Pracowałem w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego i wiem, że - z całym szacunkiem do rynku mediów - media nie są najważniejszą sprawą dla rządu państwem. Każdy premier ma swoich ludzi od mediów, ufa ich fachowości i liczy na lojalność. Ci ludzie prowadzą sprawę, od czasu do czasu raportują; z takimi problemami jak nowelizacja ustawy o mediach premier ma kontakt incydentalny. Również dlatego wykluczam, że za propozycją zgłoszoną przez Rywina, tak jak ją przedstawia Adam Michnik, stał premier Miller. To nie ten język i nie ten kaliber spraw, jakimi zajmują się premierzy.

Pan zna Rywina. Czy zakłada Pan, że całą historię mógł sobie wymyślić?

- Znam go, ale czy dobrze, tego dziś już nie wiem. Ale jeśli pan pyta, czy za propozycją, jak pan to nazywa, „łapówka za ustawę” stała większa grupa osób lub jakieś polityczne środowisko, odpowiem po prostu: nie wiem. Osobiście nigdy się nie spotkałem z żadnymi działaniami Lwa, które od początku były podejmowane w złej woli, z zamiarem zaszkodzenia komuś. Rywin ma tak silną pozycję, gdy idzie o prestiż, autorytet, fachowość, zasobność materialną, że - myślę - proste wytłumaczenia, jak: „poprawię swoją pozycję”, chyba w tym wypadku nie wchodzi w grę.

Wiem o całej sprawie zbyt mało, Michnik pokazał mi tylko notatkę Wandy Rapaczyńskiej, nie znam taśmy, więc sam zapytam. Czy w nagranej rozmowie z Michnikiem Rywin mówi wprost, gdzie pieniądze z łapówki mają trafić, czy wskazuje jakieś konto lub środowisko?

Tak. Mówi o „grupie” z SLD. Pośrednikiem w przekazaniu pieniędzy - co powiedział Wandzie Rapaczyńskiej - miała być jego firma producencka Heritage Films.

- Czy można z tego zrozumieć, że te pieniądze mają zasilić konta partyjne?

Można.

- To niesamowite...

Z drugiej strony pojawia się opinia, zgłaszana choćby przez kręgi decyzyjne TVP, że cała historia z łapówką i Rywinem została zaaranżowana przez Agorę, by uderzyć w twórców nowelizacji ustawy.

- Znam sposób myślenia Michnika o państwie. Sugerowanie, że całą rzecz wymyślił Michnik i Agora, to czysty absurd.

Ja natomiast spotkałem się z poglądem, że w tej sprawie nie chodziło o żadne pieniądze i żadną ustawę, nie o to, czy Agora kupi lub nie kupi Polsatu, tylko o skompromitowanie Agory. Jak w dowcipie z Radia Erewań o kradzieży zegarka: on ukradł, jemu ukradli - nie ma znaczenia, tak czy siak jest zamieszany w kradzież.

Czy, na Pańską znajomość polskiego rynku medialnego i politycznego, jest prawdopodobne, by komuś zależało na takiej kompromitacji Agory?

- Znajomość rynku to zbyt mało, by udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Robert Kwiatkowski odmówił spotkania z dziennikarzem „Gazety”. Poprosił o pytania na piśmie

Paweł Smoleński: Dlaczego Pana zdaniem Lew Rywin wymienił Pana nazwisko jako osoby, która stoi za propozycją „łapówka za ustawę”?

Robert Kwiatkowski: Nie wiem. To jest pytanie do Lwa Rywina, który twierdzi, że takiej propozycji nie składał. Ja nigdy nie składałem nikomu takiej propozycji.

Czy Rywin mówił Panu o takiej propozycji?

- **Lew Rywin** nie mówił mi o „takiej propozycji”. **Lew Rywin** rozmawiał ze mną - jak twierdził - w imieniu Agory, ale rozmowa dotyczyła nowelizacji ustawy, a konkretnie takiego ograniczenia zakazu koncentracji w mediach, aby Agora mogła kupić Polsat. Agora - jak mówił - podobno obiecała mu prezesurę Polsatu. Jeśli zna się sytuację **Canal+ Polska** z lata tego roku, to wiadomo, że taka propozycja była dla Lwa Rywina, przewodniczącego rady nadzorczej Canal+, bardzo atrakcyjna.

Dlaczego Pana zdaniem Rywin przyszedł z taką propozycją do Agory?

- To jest sprawa między Lwem Rywinem a Agorą. **Lew Rywin** twierdzi, że to pani Wanda Rapaczyńska i Andrzej Zarębski, b. sekretarz KRRiTV, przyszedli do niego z propozycją włączenia się w batalię wokół ustawy po stronie nadawców prywatnych i stworzenia prawnych możliwości kupna Polsatu przez Agorę.

Czy Pana zdaniem Lew Rywin chciał Pana skompromitować? A może chciał skompromitować Agorę?

- Nie podejrzewam go o to. Może raczej **Lew Rywin** szukał roboty, a może to Agora chce skompromitować nowelizację ustawy, a może... i tak dalej, i tak dalej.

Czy słyszał Pan latem tego roku o propozycji „łapówka za ustawę”, zanim w małej notce wyciągnął ją tygodnik „Wprost”?

- Wielokrotnie od osób, którym opowiadał o tym Adam Michnik.

Kiedy i przy jakich okazjach widywał się Pan latem tego roku z Lwem Rywinem?

- Tak, wielokrotnie się spotykałem i wielokrotnie rozmawiałem z nim przez telefon służbowo i prywatnie.

Czy w lipcu tego roku rozmawiał Pan z nim przez telefon?

- Jak wyżej.

Czy ktoś od Rywina rozmawiał z Panem na temat tej propozycji? Czy ktoś od Pana rozmawiał o tym z Rywinem?

- Nie, nie było takich rozmów, bo nie mogło ich być.

Czy rozmawiał Pan z kimś ze sfer rządowych lub wysokich parlamentarnych o możliwości Pana pośrednictwa między decydentami a Agorą w sprawie ustawy?

- W sprawie ustawy spotykałem się wielokrotnie z posłami, senatorami i przedstawicielami rządu. Należy to do moich obowiązków, szczególnie gdy projektowane rozwiązania dotyczą firmy, którą kieruję.

Czy czuje się Pan ojcem ustawy?

- O zmianę ustawy zabiegam od 1997 r., kiedy jako członek KRRiTV wspólnie z Bolestawem Sulikiem, ówczesnym przewodniczącym Krajowej Rady, i Andrzejem Zarębskim, ówczesnym sekretarzem Rady, opracowałem projekt pierwszej nowelizacji ustawy. Projekt ten przesłany został na ręce premiera Cimoszewicza, gdyż KRRiTV nie ma inicjatywy ustawodawczej. Jako prezes TVP pracowałem nad projektem nowelizacji ustawy zarówno z politykami rządzącej wówczas AWS, jak i SLD, kiedy formacja ta wygrała wybory. Koncentruję się na czterech sprawach, które nazywam racją stanu telewizji publicznej. W największym skrócie - większa ściągalność abonamentu, możliwość tworzenia kanałów tematycznych, możliwość bycia operatorem multipleksu i przekazania TVP archiwów telewizyjnych po Radiokomitecie na własność. Czy to wystarczy do przyznania statusu ojca? Nie wiem.

Czy ojcem ustawy jest Włodzimierz Czarzasty?

- Trzeba by jego spytać. Rozumiem, że pana zdaniem ewentualny sukces nowelizacji miałby wielu ojców.

Czy Lew Rywin rozmawiał z Panem lub Czarzastym o kształcie ustawy?

- Ze mną tak. Lwa Rywina interesowały dwa tematy - koncentracja mediów i ryczałtowe 3 proc. dotyczące odpisów dla organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi i pokrewnymi.

Co sądzi Pan o obecnym kształcie ustawy?

- Ustawy, niestety, jeszcze nie ma.

Czy uważa Pan, że dominująca pozycja telewizji publicznej na rynku reklamy powinna być zachowana?

- To jest zasadnicze pytanie. To jest sedno sprawy! Tak naprawdę nadawcom komercyjnym chodzi o nasze pieniądze. Ciężką pracą doprowadziłem w ciągu czterech lat do zwiększenia naszego udziału w rynku reklamy o blisko 20 proc., i to przy słabnącym rynku reklamy.

Jak, patrząc na klimat ustawy, na polityczną awanturę również o zasięgu międzynarodowym, na to, co zrobił Rywin, ocenia Pan swoją rolę?

- Nowelizacja w porównaniu z ustawami w krajach europejskich nie wprowadza żadnych elementów, których powinniśmy się wstydzić. Jestem zdecydowany i twardy w negocjacjach, bo od nowelizacji ustawy zależy przyszłość TVP, firmy, za którą odpowiadam. Ocena, że nowelizacja jest polityczną awanturą na skalę międzynarodową, jest oczywistą przesadą. Tego być może chcieliby niezadowoleni z jej rozwiązań.

Jak Pan ocenia rolę Czarzastego?

- Jest to rola znacząca. W sposób naturalny wynika ona z pełnionej przez niego funkcji.

Rywin mówi: „Początek ustawy to był Czarzasty i Robert, każdy chciał załatwić swój interes, Robert - sprywatyzować Dwójkę. Czarzasty - żeby stworzyć koncern nowy, nazwijmy to prasowy, kontr-Agora”. Jakie jest Pana zdanie na temat tej wypowiedzi?

- Swoją koncepcję telewizji publicznej przedstawiłem w strategii TVP do roku 2006, którą zresztą podważał autor „Gazety Wyborczej” Andrzej Zagozda. Ten felietonista napisał o mnie jako o dyrektorze wielkiej socjalistycznej huty. Czy huty, odlewnie i walcownie chcą się prywatyzować? Tak, jeśli toną w długach. A TVP ma co roku zysk. Muszę dodać, że to kierownictwo Agory rozmawiało ze mną na temat prywatyzacji jednego z programów TVP. Na szczęście jest świadek tej rozmowy.

Rywin sugeruje, że w Pana interesie leży, by Agora kupiła Polsat. Jak jest naprawdę? Jeśli ma rację, to dlaczego? Jeśli kłamie, dlaczego?

- Ja osobiście nie mam żadnego interesu. Interes może mieć TVP. Jeśli bowiem doszłoby do sprzedaży, to jako szef TVP wolałbym widzieć w Polsce Michnika niż Murdocha. Przede wszystkim dlatego, że byłby to krajowy nadawca, z którym łatwiej nawiązać partnerskie stosunki. Jednocześnie byłby to konkurent bez doświadczenia i telewizyjnego zaplecza, bez takich pieniędzy i takich zasobów programowych, jakie ma Murdoch.

Rywin sugeruje, że „front podzielił się równo”. Co to oznacza? Czy prawdą jest konflikt dotyczący ustawy w SLD, ale też między Panem a rządzącymi, między Panem a Czarzastym?

- Frontów w tej batalii jest bardzo wiele. Nie słyszałem ani nie znam takiej wypowiedzi.

2002/12/28-2002/12/29, TOBI, ML Gazeta Wyborcza nr 301, s. 1

„Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika” - cd.

Przychodzi prokurator do Rywina

Minister sprawiedliwości nakazał śledztwo w sprawie próby wymuszenia przez Lwa Rywina 17,5 mln dol. łapówki od Agory, wydawcy „Gazety Wyborczej”. Rywin żądał tej sumy w zamian za „załatwienie” korzystnej dla Agory wersji ustawy o RTV

Sprawę, którą opisaliśmy w piątek, skomentowali najwyżsi urzędnicy i politycy. - Premier nigdy nie zlecał Lwu Rywinowi pośrednictwa w żadnej sprawie - oświadczył rzecznik rządu Michał Tober. Leszek Miller wydał oświadczenie, że próbą korupcji „zajmą się odpowiednie organy”, a cytowane przez „Gazetę” propozycje Rywina nazwał „kłamliwymi i absurdalnymi”. Prokuratura apelacyjna w Warszawie rozpocznie śledztwo w sprawie domniemanego przestępstwa płatnej protekcji. Według kodeksu karnego, „kto powołując się na swoje wpływy w instytucji państwowej (...), podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub jej obietnicę, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech”. Do prokuratury wystąpił też szef KRRiTV Juliusz Braun. Poseł PiS Zbigniew Wasserman powiedział w telewizji Polsat, że jego partia zażąda, by sprawę zbadała parlamentarna komisja śledcza. Rywin powiedział tylko agencji PAP, że „musi sobie pewne sprawy przypomnieć” i zabierze głos później.

Przypomnijmy: w lipcu producent filmowy **Lew Rywin**, powołując się na premiera i „grupę, która trzyma w rękę władzę”, zaoferował Agorze załatwienie korzystnych dla niej zapisów w nowelizowanej ustawie o RTV. Obecny projekt uderza w media prywatne i wzmacnia dominację telewizji publicznej. Wywołał powszechne protesty. Agorze uniemożliwia m.in. rozwój na rynku telewizyjnym, np. zakup Polsatu.

Rywin zażądał od Agory wpłaty 17,5 mln dol. na konto swej firmy, ale na użytek SLD. Sam chciał zostać szefem Polsatu, by tam „przypilnować interesów lewicy”. Naczelnny „Gazety” Adam Michnik nagrał rozmowę z Rywinem i poinformował premiera. Miller nazwał Rywina „pacjentem zakładu psychiatrycznego, który oszalał dla pieniędzy”.

JULIUSZ BRAUN, MICHAŁ TOBER, BARBARA MAKOSA-STĘPKOWSKA, BRONISŁAW KOMOROWSKI, WYB. ML, ANDRZEJ LEPPER, SYBI, MAREK BOROWSKI, IWONA ŚLEDZIŃSKA-KATARASIŃSKA, PAP, MAREK JUREK, PAP, JERZY WENDERLICH, PAP, ALEKSANDRA JAKUBOWSKA, PAP, PIOTR NIEMCZYCKI, PAP

Przychodzi prokurator do Rywina

Wczoraj opisaliśmy, jak w lipcu znany producent filmowy **Lew Rywin** - powołując się na premiera i na „grupę, która trzyma w rękę władzę” - zaoferował Agorze pośrednictwo w załatwieniu korzystnych dla

spółki zapisów w nowelizowanej ustawie o radiofonii i telewizji. Za pośrednictwem Rywin zażądał wpłaty 17,5 mln dolarów na konto swej firmy, ale na użytek SLD

JULIUSZ BRAUN przewodniczący KRRiTV

W świetle informacji opublikowanych przez „Gazetę „, biorąc pod uwagę, iż opisana tam próba korupcji stanowi zagrożenie dla systemu wolnych mediów, zwracam się do ministra sprawiedliwości o niezwłoczne podjęcie działań dla wyjaśnienia wszystkich okoliczności związanych z opisanymi zdarzeniami.

Jednocześnie apeluję do marszałka Sejmu, by dalsze prace nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji były prowadzone w spokojnej, merytorycznej dyskusji uwzględniającej różne punkty widzenia, umożliwiającej wypracowanie rozwiązań służących rozwojowi polskich mediów. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, zgodnie ze swymi konstytucyjnymi zadaniami, jest gotowa do udziału w takich pracach.

MICHAŁ TOBER rzecznik rządu

W związku publikacją w „Gazecie” artykułu „Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika” - przytaczającego kłamliwe i absurdalne wypowiedzi Lwa Rywina - informuję, że prezes Rady Ministrów nigdy nie zlecał Lwu Rywinowi pośrednictwa w jakiegokolwiek sprawie. **Lew Rywin** nigdy nie był także formalnym lub nieformalnym doradcą premiera.

Wcześniejsze sygnały dotyczące rzekomego pośrednictwa Lwa Rywina w sprawie nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji premier traktował jako absurdalne.

Po zapoznaniu się jednak z całościowymi rezultatami zakończonego właśnie śledztwa dziennikarskiego premier oczekuje, że sprawą zajmą się z urzędu właściwe organy, zaś wszystkie jej szczegóły zostaną podane do wiadomości opinii publicznej.

BARBARA MAKOŚA-STĘPKOWSKA rzecznik prasowy ministra sprawiedliwości

W związku z publikacją w „Gazecie” z 27 grudnia 2002 pt. „Ustawa za łapówkę” minister sprawiedliwości - prokurator generalny polecił Prokuraturze Apelacyjnej w Warszawie wszczęcie postępowania w tej sprawie.

Zachodzi bowiem potrzeba wszechstronnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności opisanych zdarzeń, a to w celu ustalenia, czy zostało popełnione przestępstwo płatnej protekcji (z art. 230 kk, który stanowi, że „Kto powołując się na swoje wpływy w instytucji państwowej lub samorządu terytorialnego, podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub jej obietnicę, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”).

Z uwagi na to, że dotyczą one osób sprawujących ważne funkcje publiczne, o wynikach postępowania media i opinia publiczna będą niezwłocznie informowane.

[TVN przypomniał wczoraj, że minister sprawiedliwości Grzegorz Kurczuk już raz - 3 września - obiecał zająć się sprawą, gdy pierwsze pogłoski o łapówce pojawiły się w tygodniku „Wprost” - red.]

BRONISŁAW KOMOROWSKI B. szef MON, poseł po, w „salonie politycznym trójki”

To jest sprawa, która powinna być przedmiotem postępowania prokuratorskiego. Dla mnie jest to sprawa potwierdzająca moją opinię, że im więcej się tworzy sztucznych barier prawnych czy administracyjnych, tym większa jest pokusa i ryzyko łapówkarstwa. Proszę zwrócić uwagę, że pierwotnie niewątpliwie politycznie umotywowana decyzja o takich zapisach w ustawie, które eliminowały spółkę Agora, okazała się być może drogą do tego, aby następnie zażądać od nich łapówki za odkręcenie sprawy. Lepiej nie tworzyć tego rodzaju fatalnych barier ustawowych, które mogą stanowić albo uzasadnienie, albo pokusę do nieuczciwych żądań natury finansowej. Wyb. ML

ANDRZEJ LEPPER, szef Samoobrony na specjalnie zwołanej konferencji prasowej w Koszalinie

Artykuł w „Gazecie” jest prowokacją pana Michnika i jego spółki, która ma wymusić przyjęcie przez Sejm korzystnej dla Agory wersji ustawy o mediach. Redaktor naczelny „Gazety” dostał jakiś dobry cios od pana Solorza, który nie chce sprzedać Polsatu tak szybko, i zaczyna działać w sposób perfidny, włączając w to nawet premiera. Czytam to jednoznacznie: pan Michnik chce wymusić tym artykułem na premierze Millerze i na jego partii to, aby ustawa o mediach, która pozwala jemu i jemu podobnym przejąć większość mediów w Polsce, została przyjęta w trybie pilnym przez Sejm. W zamian za to pan Michnik będzie promował i popierał wejście Polski do UE i robił propagandę dla rządu Millera.

MAREK BOROWSKI, marszałek Sejmu, w radiowych „Sygnałach dnia”

Czytam to zupełnie jak jakąś bajkę o żelaznym wilku. W każdym razie gdybyśmy mieli wybierać jakąś najbardziej dziwną czy niesamowitą historię roku, może pięciolecia, to pewnie ta kandydowałaby do pierwszego miejsca, to nie ulega wątpliwości.

IWONA ŚLEDZIŃSKA-KATARASIŃSKA, Platforma Obywatelska

Trudno jest mi sobie wyobrazić Lwa Rywina, który sam, z własnej nieprzymuszonej woli, próbuje rozgrywać swoje własne interesy. Z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić Adama Michnika, który finguje jakieś nagrania i upublicznia coś, co jest wierutną nieprawdą. Tak prowadzonej ustawy jeszcze nie widziałam, a jestem czwartą kadencją w Sejmie. Cały czas mam wrażenie, że jej losy ważyły się poza Sejmem, a nie w Sejmie. Ścierały się tu sprzeczne interesy, także polityczne. Fakt jest taki, że ustawa nie ma, a kształt, w jakim znajduje się obecnie, jest fatalny.

MAREK JUREK, poseł PiS, członek komisji kultury

Na najbliższym posiedzeniu Sejmu PiS zażąda powołania parlamentarnej komisji śledczej w sprawie propozycji zapłacenia przez Agorę 17,5 mln dolarów łapówki. Fakty podane przez „Gazetę” pokazują, że rozmiary patologii w relacjach rząd – media osiągnęły skalę monstrualną. Równie porażające jak sama propozycja łapówki jest też to, że duża stacja telewizyjna miała być przejęta politycznie przez władzę. To korupcja na najwyższym poziomie, która może zagrozić wolności informacji. Należy rozważyć, czy nie mamy do czynienia ze splotem korupcji prowadzących do zamachu na demokratyczne państwo. Cała ta sprawa kompromituje intencje rządu.

PAP

JERZY WENDERLICH

SLD, szef sejmowej komisji kultury

Ja bym SLD w to wszystko nie włączał. Pojawiły się wersje zdarzeń kilku osób i trzeba je wyjaśnić, by tak ważny akt prawny mógł być przeprowadzony. Atmosferę trzeba oczyścić z dwuznaczności. Osobiście nie wiem, jak mam traktować dramat zarysowany w dzisiejszej publikacji. Moja baza danych jest w tej sprawie zbyt uboga. W mojej głowie jakieś nazwiska chodzą, ale sprawa jest tak poważna, że niech tam pozostaną.

PAP

ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

wiceminister kultury

Jestem mocno zdziwiona, że sprawa znalazła finał na łamach „Gazety Wyborczej” w grudniu, a nie w prokuraturze w lipcu. Gdyby do mnie ktoś przyszedł z taką propozycją, natychmiast zgłosiłabym to do prokuratury. Cała Warszawa o sprawie huczała od dawna, ale wszyscy traktowali to z przymrużeniem oka.

Według doniesień „Gazety” Rywin skierował swoją ofertę do Agory SA już po tym, gdy resort kultury przygotował autopoprawkę do noweli ustawy o RTV. Zarówno pan redaktor Michnik, jak i pani prezes Rapaczyńska doskonale wiedzieli, że autopoprawka rządu, która akurat w tej kwestii była po myśli Agory, została skierowana do Rady Ministrów 5 lipca, więc prowadzenie rozmów z panem Rywinem po 5 lipca na temat tej zmiany jest zupełnie bezsensowne.

Lew Rywin nie był zaangażowany w publiczną debatę nad projektem i nie pojawiał się na spotkaniach w tej sprawie. Z drugiej strony obserwuję, że wiele osób próbuje ukrywać swoje interesy, wiele mówi, że potrafi coś załatwić.

Na podstawie opisanego przez „Gazetę” zdarzenia można domniemywać, że takie propozycje w tym środowisku są czymś normalnym. Sama jednak przy pracach nad ustawą o RTV z propozycją łapówki w jakiegokolwiek formie się nie spotkałam.

Rozumiem, że istnieje coś takiego jak śledztwo dziennikarskie, ale ono ma miejsce wtedy, jeśli trafia się na ślad czegoś, co jest trudne do udowodnienia, od czego prokuratura umywa ręce, natomiast tutaj żadnymi efektami to się nie zakończyło. Jest to absurdalne. Było spotkanie z premierem, który całą sprawę wyśmiał.

Jeśli powiązać to z ostatnią wypowiedzią pani prezes Rapaczyńskiej, że Agora wszelkimi dostępnymi środkami nie dopuści do uchwalenia tej ustawy, to być może jest to metoda robienia szumu na łamach własnej gazety na zasadzie, że coś gdzieś śmierdzi, tylko nie wiadomo gdzie.

Nadal mam nadzieję, biorąc pod uwagę, jaka jest większość parlamentarna, że nowela w kształcie zaproponowanym przez rząd zostanie uchwalona.

PAP

PIOTR NIEMCZYCKI

wiceprezes Agory

Publikacja „Gazety” nie ma związku z kampanią Agory przeciw projektowi noweli ustawy o radiofonii i telewizji. Niezależnie kiedy byśmy ten artykuł opublikowali, to zawsze byśmy byli oskarżeni, że chcemy wykorzystać to w celu naszej dyskusji o ustawie o radiofonii i telewizji. Każdy moment byłby zły.

Niemczycki pytany, dlaczego Agora nie zawiadomiła o propozycji Rywina prokuratury, odpowiedział: - Powinnością gazety jest zbieranie informacji, informowanie.

PAP

Gazeta Wyborcza nr 302, 2002/12/30, s. 7

OPRAC. TOBI, WYB. PST

Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika - cd.

Trzeba wszystko wyjaśnić

Mamy pierwszy dowód, że w Polsce ustawy mogą przechodzić za pieniądze - komentuje Jan Maria Rokita

W piątek opisaliśmy, jak w lipcu znany producent filmowy **Lew Rywin** - powołując się na premiera i na „grupę, która trzyma w ręku władzę” - zaoferował Agorze, wydawcy „Gazety Wyborczej”, pośrednictwo w załatwieniu korzystnych dla spółki zapisów w nowelizowanej ustawie o radiofonii i telewizji. Za pośrednictwo Rywin zażądał wpłaty 17,5 mln dol. na konto swej firmy, ale na użytek SLD.

Po opublikowaniu przez nas tekstu minister sprawiedliwości nakazał prokuraturze apelacyjnej śledztwo w sprawie domniemanego przestępstwa płatnej protekcji.

Wczoraj usłyszane

Dlaczego dopiero dziś?

„Siódmy dzień tygodnia” Radio Zet

Marek Sawicki, PSL: - To skandaliczne, że „Gazeta” ujawnia tę próbę korupcji po pół roku. Redaktor naczelny „Gazety” w momencie, w którym nagrał kasetę, powinien ją zanieść do prokuratora.

Wiesław Walendziak, PiS: - Fakty wyglądają tak, że Adam Michnik zaniósł nagranie do premiera. Leszek Miller nie uznał jednak za stosowne poprosić o spotkanie prokuratora, policję czy poinformować kolegów z SLD, że **Lew Rywin** próbuje w ich imieniu wymuszać haracze.

Roman Giertych, LPR: - Ja łączę dwa fakty - zapowiedź tworzenia partii centrowej z udziałem prezydenta Kwaśniewskiego i Unii Wolności oraz ujawnienie tej sprawy dopiero po sześciu miesiącach. Ta sprawa musi być jednak wyjaśniona. Powinniśmy powołać komisję śledczą.

Dariusz Szymczycha, Kancelaria Prezydenta: - Wiązanie tej sprawy z koncepcjami politycznymi odnoszącymi się do prezydenta jest bez podstaw. Nie rozdzierałbym szat nad tym, że „Gazeta”

dopiero teraz opublikowała ten tekst. Dziwię się, że Ministerstwo Sprawiedliwości nie podjęło żadnych działań po notatce, którą na ten temat we wrześniu opublikowało „Wprost”.

Józef Oleksy, SLD: - Jest jakiś powód, dla którego „Gazeta” dopiero dziś to publikuje. Wszyscy tu nie dopełnili czegoś, jeśli chodzi o rygor natychmiastowego zgłoszenia do prokuratury. Trzymanie w tajemnicy jest niezrozumiałe i naganne. Myślę jednak, że cała sprawa rozmyje się tak jak inne do niej podobne.

Jan Rokita, PO: - Mamy tu pierwszy dowód na to, że w Polsce ustawy mogą przechodzić za pieniądze, że jest to przedmiotem debaty. Sprawa, która wydarzyła się w lipcu, nie stała się jednak przedmiotem zainteresowania organów ścigania. Chodziło tu o pieniądze, które zdaniem żądającego łapówki miały pójść na SLD. A czołowy przedstawiciel tej partii wyraża opinię, że wyjaśnienie sprawy ugrzęźnie.

Walendziak: - Jak rozumiem, „Gazeta” i Adam Michnik po poinformowaniu o sprawie premiera z lękiem myśleli o negocjacjach kopenhaskich. Bardzo możliwe, że dlatego odwlekli tę publikację. Faktem jest, że redaktor naczelny zaniósł kasetę do premiera, a premier nie podjął jakichkolwiek czynności. I w pierwszej sposobnej chwili po zakończeniu negocjacji ten tekst został opublikowany.

Szymczycha: - Tak to pewnie wyglądało, że tekst czekał na zakończenie Kopenhagi. Gdyby ukazał się w czasie finisu negocjacji, okazałoby się, że nie spełniamy podstawowego warunku przystąpienia do UE - kryterium demokratycznego państwa prawnego.

Monika Olejnik: Czy wierzy Pan, że Lew Rywin sam z siebie przyszedł do „Gazety” i nikt za nim nie stał?

Szymczycha: - Nie wiem, nie jestem Rywinem. Mogę sobie wyobrazić dużą bezczelność człowieka, który ma duże pieniądze.

Giertych: - Wydaje mi się, że SLD powinno być pierwszym ugrupowaniem zainteresowanym wyjaśnieniem tej sprawy.

Walendziak: - Intencją wszystkich w Sejmie powinno być wyjaśnienie sprawy. Bo bez tego państwo będzie się zapadało w jakiejś okropnej magmie.

OPRAC. TOBI

Trzeba wierzyć, że „Gazeta” nie uczestniczyła w grze

„Rzeczpospolita” komentarz Krzysztofa Gottesmana

Podstawowe pytanie brzmi: co się działo między lipcem, kiedy Rywin miał złożyć propozycję, a 27 grudnia, datą opublikowania tekstu przez „Wyborczą”? Przecież najważniejsze fakty były znane już latem. Przecież na dobrą sprawę **Lew Rywin** nie powinien wyjść wolno z gabinetu Leszka Millera po konfrontacji z Adamem Michnikiem. Po przyznaniu się do złożenia propozycji łapówki, również w imieniu szefa rządu! Niestychane. Tak się jednak stało.

Polski biznes nie jest zdrowy. Czy ci, którzy twierdzą, że ład na rynku medialnym jest wynikiem cichych układów między największymi wydawcami i nadawcami, biznesem oraz władzą, nie dostali argumentu do ręki? Bo oto - mogą sądzić - o transakcjach wartych miliony dolarów dyskutuje kilka osób, dobrze znających się, będących po imieniu. A rząd jest raz bardziej, raz mniej restrykcyjny wobec prywatnych nadawców, w zależności od politycznej potrzeby.

Trzeba wierzyć, że „Gazeta” w sprawie Rywina od lata prowadziła dziennikarskie śledztwo - choć jego wyniki wydają się mizerne. Trzeba też wierzyć, że nie uczestniczyła w żadnej grze. Miejmy nadzieję, że wkrótce uda się wyjaśnić całą tę aferę.

WYB. PST

PAP, WYB. ML, WYB. WK, WYB. RAF

Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika - cd.

Rywin milczy, prokuratura działa

Po publikacji „Gazety” Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wszczyną postępowanie w sprawie domniemanego przestępstwa płatnej protekcji Lwa Rywina wobec Agory. On sam oświadcza, że do prawomocnego zakończenia postępowania nie będzie niczego komentował. W sprawie Rywina wypowiadali się natomiast politycy: m.in. premier, minister sprawiedliwości, marszałek i wicemarszałek Sejmu

W piątek opisaliśmy, jak w lipcu znany producent filmowy **Lew Rywin** - powołując się na premiera i na „grupę, która trzyma w ręku władzę” - zaoferował Agorze, wydawcy „Gazety Wyborczej”, pośrednictwo w załatwieniu korzystnych dla spółki zapisów w nowelizowanej ustawie o radiofonii i telewizji. Za pośrednictwo Rywin zażądał wpłaty 17,5 mln dolarów na konto swojej firmy, ale na użytek SLD.

Wczoraj na polecenie ministra sprawiedliwości Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wszczęła postępowanie przygotowawcze w sprawie domniemanego przestępstwa płatnej protekcji. - Postępowanie ma na celu zebranie materiałów w celu wszczęcia formalnego śledztwa - wyjaśnił szef prokuratury Zygmunt Kapusta.

- Prokuratura zwróciła się już m.in. do „Gazety” o udostępnianie materiałów sprawy. Zarząd Agory SA, wydawcy „Gazety Wyborczej”, podjął bezzwłocznie pełną współpracę z Prokuraturą Apelacyjną w Warszawie.

Oświadczenie Lwa Rywina

- W związku z wypowiedziami przedstawicieli władz stwierdzającymi, że sprawa mojej prywatnej rozmowy z panem Adamem Michnikiem będzie badana przez prokuraturę lub komisję sejmową, postanowiłem, że do chwili prawomocnego zakończenia tego postępowania nie będę publicznie komentował niczego, co wiąże się - choćby pośrednio - z kwestią nowelizacji ustawy radiowo-telewizyjnej lub interesami prywatnych nadawców, a zwłaszcza materiałów publikowanych przez „Gazetę Wyborczą”.

Jednocześnie oświadczam, że pozostaję do całkowitej dyspozycji organów wymiaru sprawiedliwości w celu pełnego wyjaśnienia tej sprawy oraz oczyszczenia mojego dobrego imienia.

PAP

Marszałek Sejmu Marek Borowski jest zwolennikiem powołania sejmowej komisji śledczej, która miałaby się zająć wyjaśnieniem kulisów propozycji Rywina. - Właściwe byłoby, gdyby w skład takiej komisji weszli posłowie z komisji sprawiedliwości i kultury - przyznał wczoraj Borowski. Jednak jego zdaniem czas na pracę takiego sejmowego ciała śledczego nadejdzie dopiero po zakończeniu śledztwa przez prokuratora i tylko jeśli nie wyjaśni on wszystkich wątpliwości.

Mówi Grzegorz Kurczuk

To musi być wyjaśnione

Rozmowa w Radiu Plus

Tomasz Sekielski: Co przez pół roku ze sprawą korupcyjną może zrobić sprawny prokurator?

Grzegorz Kurczuk, minister sprawiedliwości: - To zależy od tego, jaki materiał posiada i kiedy został zawiadomiony. Rozumiem, że pytanie związane jest ze „sprawą Rywina”. Uprzejmie informuję, że dowiedziałem się o tym na początku września, kiedy to, w jednym z programów zostałem zapytany, czy w sytuacji, kiedy mamy do czynienia z korupcją, prokuratura będzie wkraczać. Oczywiście odpowiedź musi być pozytywna, bo nie dopuszczam w ogóle myśli, że jakkolwiek sprawa o charakterze korupcyjnym może być niewyjaśniona.

Ale prokuratura nie wszczęła postępowania.

- Nie. Wszczęcie postępowania przygotowawczego jest możliwe tylko wówczas, gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. Sprawą się zainteresowałem. Sprawdziłem i okazało się, że do prokuratury nie wpłynęło żadne doniesienie. W tej sytuacji stanąłem wobec kłopotu, czy jedno zdanie dziennikarki oparte w dodatku na jednej notce, podkreślam, krótkiej notce opublikowanej w jednym z tygodników i to, niestety, na stronie kpiarsko-satyrycznej, jest wystarczającą podstawą, aby wszczynać postępowanie prokuratorskie, bo być może wystawimy się jako prokuratura na ośmieszenie.

Wystarczyło, aby porozmawiał Pan we wrześniu z premierem Millerem, i wiedziałby Pan od razu to samo, co dzisiaj wiemy po publikacji „Gazety Wyborczej”. Mógł Pan już we wrześniu wszcząć postępowanie.

- (...) Oczywiście poinformowałem go we wrześniu, uzyskałem odpowiedź, że sprawa jest dość groteskowa i śmieszna, ale proszę jej nie lekceważyć, proszę wraz z podległymi prokuratorami zająć się nią, a przede wszystkim porozmawiać z redaktorem Michnikiem. Rozmowę taką odbyłem, uzyskując zapewnienie o zbliżającym się do końca śledztwie dziennikarskim. (...) Dopiero w tym momencie jest wystarczająca podstawa dostarczająca dowody, czy materiały uzasadniające wszczęcie tego postępowania. Wcześniej tego nie było.

WYB. ML

Mówi Donald Tusk

Czego trzeba więcej?

Poranny gość Radia Zet

Donald Tusk, wicemarszałek Sejmu, PO: Trudno podważać wiarygodność „Gazety Wyborczej”, szczególnie wtedy, kiedy publikuje informacje tak niebezpieczne i tak przykre dla SLD. „Gazeta” jest znana z wyważonego stosunku także do tej partii i trudno byłoby mi uznać, że w zachowaniu „Gazety” czy w materiałach przygotowanych przez „Gazetę” jest coś niestosownego lub coś niepokojącego, jeśli chodzi o rzetelność zawodową.

Dlatego istotą problemu wydaje się treść tego materiału. To, co zaskakuje, to tak długi czas między pierwszą informacją, która pojawiła się w innych mediach, ale także przecież w „Gazecie”, a tym rozpisaniem tego całego zdarzenia, uzupełnieniem o tak bulwersujące szczegóły w tym ostatnim materiale. I rzeczywiście do tej pory nie uzyskaliśmy żadnej poważnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego premier Miller, dlaczego minister sprawiedliwości pan Kurczuk i w jakimś sensie dlaczego redaktor naczelny Adam Michnik tak długo zwlekali i z reakcją, i z przedstawieniem całości tego, w lekkim cudzysłowie, materiału dowodowego.

Monika Olejnik: Jak Pan myśli, dlaczego „Gazeta” nie zgłosiła natychmiast sprawy do prokuratury?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Premier Miller na pytanie w „Sygnałach dnia”, dlaczego nie skierował sprawy do prokuratury w lipcu, kiedy dowiedział się o sprawie, odpowiedział, że ważne jest nie tylko uzyskanie ważnej wiadomości, ale jej ocena. „Ja oceniłem ją jako niepoważną i niezgodną z prawdą” - tak powiedział szef rządu.

Jestem rozczarowany i zawiedziony także dlatego, że podobnie jak Adam Michnik uważam, że Leszek Miller nie jest politykiem skorumpowanym, w każdym razie w jego dotychczasowych działaniach, szczególnie jako premiera Rzeczypospolitej, nic na to nie wskazywało. Natomiast wypowiedź premiera, w której sensacyjne doniesienie o tym, że jest nagrany materiał, zgodnie z którym wokół kontrowersyjnej ustawy pojawia się bądź co bądź poważna postać publiczna, jaką jest **Lew Rywin**, i powołuje się na kontakty z samym premierem, z SLD, żąda gigantycznej łapówki i w dodatku bardzo poważnie te rewelacje traktuje największa gazeta codzienna w Polsce, to ja nie

wiem, co poważniejszego trzeba usłyszeć lub co poważniejszego trzeba zobaczyć w wykonaniu o ile poważniejszych aktorów dramatu, żeby uznać całą sprawę za wartą zainteresowania. Mam wrażenie, że raczej uznano - zarówno premier Miller, jak i całe środowisko SLD - że sprawa przyschnie, że nie będzie problemu, powodu, żeby do niej wracać, bo często z takimi sprawami w Polsce właśnie tak jest. WYB. WK

Mówi Leszek Miller - Rywinowi pomyliły się role

„Sygnały dnia” I Program PR

Rozmowa Krzysztofa Grzesiowskiego i Romana Czejarka z premierem Leszkiem Millerem

„Sygnały dnia”: Piątkowa publikacja w „GW” i opisane tam spotkanie Adama Michnika i Lwa Rywina... jakoby próba wyłudzenia łapówki za zapisy w nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji zgodne z oczekiwaniami Agory, a także możliwość zakupu przez Agorę telewizji Polsat, spowodowało mnóstwo zamieszania. W jednej z ról występuje także Pan - prezes Rady Ministrów. Czy może Pan opowiedzieć, co wydarzyło się w lipcu tego roku?

Leszek Miller: Mogę tylko potwierdzić, że ta historia przedstawiona przez pana Rywina jest dla mnie nieprawdopodobna i niewiarygodna, i to jest opowieść z gatunku o talibach lądujących w Klewkach. Niedawno jeszcze cała prasa polska, Sejm się tym zajmował. I niewątpliwie panu Rywinowi pomyliły się jego role filmowe, gdzie odgrywał jakieś postaci mafiosów czy gangsterów, z realnym życiem i z realną rzeczywistością. Ja nigdy nie upoważniałem pana Rywina do jakiegoś pośrednictwa w sprawach nie tylko tej ustawy, ale jakichkolwiek innych, nigdy nie zlecałem żadnego pośrednictwa. Pan Rywin też nigdy nie był moim formalnym lub nieformalnym doradcą. No i tyle.

Dlaczego „Gazeta „ opublikowała ten tekst 27 grudnia, a nie w końcu lipca? Mówi o tym wyraźnie, że prowadziła śledztwo dziennikarskie. Tam nie było śledztwa, te pięć miesięcy, które minęły, nie przyniosły żadnej informacji, która pozwoliłaby wyjaśnić tę sprawę.

- Nie jestem naczelnym redaktorem „Gazety” i to jest pytanie, jak rozumiem, do ludzi, którzy o tym decydowali. Nie potrafię odpowiedzieć panu na to pytanie.

Dlaczego po tym, kiedy dowiedział się Pan o przebiegu rozmowy Lwa Rywina z Adamem Michnikiem, wtedy, kiedy Pan już wiedział, co się stało, minister sprawiedliwości i prokurator generalny nie został poinformowany o tej sprawie? Zajął się nią 27 grudnia.

- Nie tylko jest ważne pozyskanie jakiejś wiadomości, ale także ocena jej wiarygodności i prawdopodobieństwa. Otóż - tak jak już wspominałem wcześniej - kiedy zapoznawałem się z tą sprawą, wtedy, kiedy Adam Michnik mi o niej opowiadał, i wtedy, kiedy miałem okazję wysłuchać, co w tej sprawie miał do powiedzenia pan Rywin, upewniałem się w przekonaniu, że cała ta historia jest nieprawdopodobna i niewiarygodna. Jeżeli tak, jeżeli taką opinię mogłem sobie wyrobić, no to miałem do niej stosunek taki właśnie, że to jest wszystko niepoważne, niezgodne z rzeczywistością, niezgodne z prawdą i nie ma potrzeby, żeby traktować to poważnie.

Czy Adam Michnik uprzedził Pana o tym, że to wszystko będzie opublikowane, że będzie ujawnione?

- Owszem, to było przecież jasne, że skoro materiały są zbierane przez dziennikarzy „Gazety Wyborczej”, to zostaną opublikowane. Zresztą uważam, że dobrze się stało, dlatego że - jak pisał rozmaite źródła - ta sprawa była znana. „Rzeczpospolita” - jak przeczytałem - napisała, że o sprawie huczało w kuluarach Sejmu, wśród polityków. Więc lepiej, że taki tekst się ukazuje, niż gdyby nadal miał być okryty jakąś mgłą tajemniczości. Ale to, że o tym wcześniej nie pisano, to tylko zdaje się potwierdza, że ci wszyscy, którzy słyszeli w tej sprawie jakieś opinie czy plotki, również traktowali całą tę rzecz jak z gatunku jakiegoś political fiction.

Do końca nie wiadomo, dlaczego Pan postąpił tak, jak postąpił, czyli nie poinformował ministra sprawiedliwości o tym, żeby się tym zajął.

- Proszę pana, wiadomo. Jeszcze raz to powtarzam - w mojej ocenie cała ta historia przedstawiona przez pana Rywina jest nieprawdopodobna i niewiarygodna. Przecież jeżeli pan Rywin się powołuje na mnie, to przecież ja wiem najlepiej, czy przekazywałem jakieś pełnomocnictwa, czy nie, prawda? Na marginesie - wtedy kiedy pan Rywin rozmawiał ze mną w obecności pana Michnika. Pan Rywin zaprzeczył, że to ja byłem jego jakby inspiratorem. Wymienił inne nazwiska. Więc to wszystko po prostu jest niewiarygodne, sprawa...

Czy wymienił te dwa nazwiska, o których mowa w artykule w „Gazecie Wyborczej”? Roberta Kwiatkowskiego i Andrzeja Zarębskiego?

- Tak, wymienił te dwa nazwiska, więc człowiek, który co chwila podaje inne nazwisko, na jaką wiarygodność zasługuje? Mogę jeszcze raz - korzystam z tej okazji - bardzo wyraźnie powiedzieć, że te wszystkie fakty, które niby miały miejsce, zwłaszcza to, co pan Rywin powiedział na temat uzyskanych przeze mnie pełnomocnictw, to są rzeczy kłamliwe, absurdalne. Ja nigdy nie zlecałem pośrednictwa w jakiegokolwiek sprawie, nigdy nie potrzebowałbym zresztą takiego pośrednictwa. Jeśli chodzi o samą ustawę, o nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji, to autopoprawka, którą skierowaliśmy w lipcu do Sejmu jako rząd, była tematem rozmów, narad, konsultacji z nadawcami prywatnymi, z nadawcami publicznymi i w tej sprawie nie potrzeba było żadnego pośrednictwa. Są odpowiedzialne instytucje w Polsce, w tym wypadku chodziło głównie o Ministerstwo Kultury, które się tym zajmowało. Byłem przekonany - i jestem zresztą - że w lipcu udało się wypracować rozsądny kompromis, skierowaliśmy ustawę do Sejmu i oczekujemy, że ustawa zostanie uchwalona z tą właśnie autopoprawką, która jest, a w każdym razie wtedy była rozsądnym kompromisem. (...)

Czy czuje Pan, że ktoś Pana próbuje wmanipulować w całą tę sprawę? Pana osobę, Pana urząd?

- Jeżeli ktoś, to autor tych sensacji. Przy czym - jak powiadam - w rozmowie ze mną i z panem Michnikiem **Lew Rywin** nie powoływał się już na moje nazwisko, więc jeżeli chciał to uczynić, to potem się z tego wycofał.

Ale to w takim razie (...) może żądać po prostu jakichś publicznych przeprosin od pana Rywina? Bo jednak Pana nazwisko padło, „Gazeta” to ujawniła, przekazała do mediów nagranie dokonane ukrytym mikrofonem, ukrytym magnetofonem przez pana Michnika. No, to tam jest, to tam po prostu jest.

- No proszę pana, ja po prostu uważam, że byłbym bardzo bliski ośmieszenia się i jak czytam niektóre relacje, to warto pamiętać, że od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. I jak czytam to, co na ten temat **Lew Rywin** powiedział, przypominam sobie moją rozmowę na ten temat z Adamem Michnikiem i z Lwem Rywinem, no, mam tylko jedną ocenę - to jest po prostu coś, co jest po prostu wysane od początku do końca z palca, jest niewiarygodne, jest nieprawdopodobne i w sumie śmieszne. Więc jest pytanie, czy kwestiami, które są wymyślone, które są niewiarygodne, nieprawdopodobne, warto się zajmować? (...)

Jeszcze raz wróć do pytania: czy nie czuje się Pan manipulowany?

- Ja nie mogę zaprzeczyć, że taka rozmowa w moim gabinecie z udziałem Adama Michnika miała miejsce. Potwierdzam to: miała miejsce. I potwierdzam, że na moje pytanie skierowane do pana Rywina - kto go inspiruje i kto jak gdyby jest uwikłany w tę sytuację? - padły dwa nazwiska, przy czym nie było to moje nazwisko. Więc to, co w tym zakresie jest opisane w „Gazecie Wyborczej”, jest prawdą.

2002/12/31-2003/01/01, Gazeta Wyborcza nr 303, s. 1

Wyjaśnić sprawę Rywina: Aleksander Kwaśniewski dla „Gazety” Rozmawiały: Agnieszka Kublik, Monika Olejnik

Agnieszka Kublik, Monika Olejnik: Jakie mogą być konsekwencje opisanej przez „Gazetę” sprawy Lwa Rywina? Zaproponował on - powołując się na premiera i „grupę, która trzyma w ręku władzę” - że jeśli Agora, wydawca „Gazety”, zapłaci 17,5 mln dol., to on „załatwi” korzystną dla Agory wersję ustawy o RTV.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski: To dziwna sprawa, niezrozumiała, jeśli chodzi o intencje, i bulwersująca, jeśli chodzi o występujące osoby. Wymaga wyjaśnienia i oczekuję, że właściwe urzędy uczynią to bezzwłocznie. Konsekwencje muszą wynikać z ustaleń nie tylko śledztwa dziennikarskiego, ale i postępowania przeprowadzonego przez prokuraturę, a może i komisję sejmową, jeśli będzie taka wola Sejmu.

Józef Oleksy mówi - jak wielu sceptyków - że to kolejna afery, która nie zostanie wyjaśniona. W jakim świetle stawia to organy państwa?

- Afery muszą być do końca wyjaśnione. Choć nie jest to takie proste. Przecież jak czyta się wasz tekst, to też trudno wszystko ułożyć w logiczną całość. Nie może to być jednak żadnym usprawiedliwieniem. Trzeba wyjaśnić. Poza tym w Polsce jest problem zaufania do organów państwa. Zwłoka „Gazety” w upublicznieniu sprawy, niezgłoszenie jej do właściwych urzędów zaraz po fakcie, niestety też o tym świadczy. Apeluję do ministra sprawiedliwości, by dołożył niezbędnych starań, aby ta i inne afery były wyjaśnione. Od tego zależy powaga państwa i zaufanie obywateli do jego instytucji.

Jak się Panu wydaje - czy Rywin przyszedł do Adama Michnika z taką propozycją sam z siebie, czy też zainspirowały go jakieś grupy ludzi władzy?

- Nie mam pojęcia. Czekam na pracę prokuratury, a także wyjaśnienia samego Lwa Rywina.

Cały wywiad z prezydentem - s. 16-17

Premier Leszek Miller dla radiowych „Sygnałów dnia”: Dobrze się stało, że materiały zbierane przez „Gazetę” zostały opublikowane;

Wicemarszałek Sejmu Donald Tusk, PO, dla Radia Zet: Trudno podważyć wiarygodność „Gazety”, kiedy publikuje informacje tak niebezpieczne i tak przykre dla SLD;

Minister sprawiedliwości Grzegorz Kurczuk dla Radia Plus: Nie dopuszczam myśli, że jakkolwiek sprawa o charakterze korupcyjnym może być niewyjaśniona;

2003-01-05, Stanisław Tym, Rzeka, nr 3

Danka, idziesz! Danka, musisz! Szafka

W połowie zeszłego roku nosiłem się z zamiarem kupienia jakiejś małej szafki pod telewizor. Nie miałem wprawdzie pieniędzy na tę szafkę, ale na szczęście dla mnie była jakaś bardzo niekorzystna ustawa o RTV i nawet gdybym miał pieniądze, to i tak nie mógłbym tej szafki telewizyjnej kupić. W tej sytuacji uznałem, że na cholerę mi ta szafka. Ale licho nie śpi. Dwa dni później zadzwonił telefon u mojej znajomej, która ma na imię Czesia. Dzwonił jakiś mężczyzna, który się nawet nie przedstawił, tylko powiedział:

- Cześć, Czesia!

- Cześć, Rysiu - odpowiedziała Czesia i wyprzedzając pytanie, którego się spodziewała, dodała szybko:

- Poznałam cię po twarzy.

- Aha - powiedział Rysio, lekko zbity z tropu - skoro po twarzy, to rozumiem, bo się zdziwiłem, że mnie poznałaś, a wiedziałem, że nie mogłaś mnie rozpoznać po głosie, bo głos zmieniałem nie do Poznania, bo dzwonię z Łodzi...

- Rozumiem - powiedziała Czesia, żeby zyskać na czasie.

- Dzwonię do ciebie, bo przede wszystkim już nie jestem Rysiem...

- Oo? - zdziwiła się Czesia, ale zdziwiła się nieszczerze.

- Zdziwiłaś się? - spytał już nie Ryś.

- Szczerze ci powiem, że nie - uczciwie odpowiedziała Czesia.

Dalsza rozmowa Czesi z Rysiem, który już nie był Rysiem, nie była istotna. Przynajmniej tak się początkowo wydawało. Potem się okazało, że była bardzo istotna. Ryś popadł bowiem w sentymentalne wspomnienia. Przypomniał, że zaczynał jako Mały Kotek, a potem się rozwijał, aż doszedł do kapitana Żbika i w ten sposób wdepnął w seriale. A wiadomo, że jak się w serial wdepnie, to już się z niego nie wydepnie. Na koniec spytał:

- Słuchaj, Czesiu. Czy to prawda, że Stasiak (chodziło mu o mnie, czyli o T.) -... czy to prawda, że Stasiak chce kupić szafkę do łazienki?

Czeska nie była w ciemni bita i spokojnie odpowiedziała:

- Nie mam pojęcia, bo ja nie byłam nigdy u Staśka w łazience i nawet nie wiem, czy on ma. Zdaje się, że kąpie się u brata albo gdzieś na mieście. Ale mogę cię z nim umówić.

Na wszelki wypadek postanowiłem zaopatrzyć się w magnetofon, by całą rozmowę z Rysiem nagrać, bo czułem, że coś tu się święci. Dodatkowo umówiłem się w pokoiku wnuczki mojego kolegi. Mała Basia ma 14 lat i jest rezolutną dziewczynką, a poza tym redaguje gazetkę klasową, co było dla mnie bardzo istotne. W rzeczywistości Basia ma inaczej na imię, ale dla dobra dziecka nie podaję, bo po co. Zresztą jest to chłopczyk. Nieważne. Rysio przyszedł punktualnie, jak to zwykle on.

- Cześć, Stasiak - powiedział. - Gdzie ty mnie zaciągnąłeś? Co to za pokój?

- Nie zadawaj mi dziecięcych pytań - odpowiedziałem. - Przecież widzisz, że to dziecięcy pokój. Poza tym muszę cię uprzedzić, że całą naszą rozmowę nagrywam na superczuły chiński patefon z przystawką.

Rysiek spieszył się. Widziałem to bardzo wyraźnie, bo nie dał znać po sobie, że go to zdziwiło. Uśmiechnął się i powiedział:

- To bardzo dobrze, że nagrywasz, bo ja też ją nagrywam. Nawet na dwa magnetofony nagrywam, żeby się dobrze nagrało...

Blefował. To było jasne. Ja zresztą też blefowałem, bo z tego wszystkiego zapomniałem pożyczyć magnetofon. Ale Rysiek nie mógł wiedzieć, że blefuję. Poszedł na całego:

- Stasiak! Musisz się poświęcić i musisz mi dać dużą łapówkę, czyli musisz mnie skorumpować, a przez to sam się wciągnąć w aferę korupcyjną na bardzo wysokim szczeblu, rozumiesz?

Odpowiedziałem, żeby na mnie nie liczył, że ja nigdy nie dam się wciągnąć w żadną aferę korupcyjną. Nie chcę żadnej szafki ani niczego w ogóle i przypomniałem, że całą rozmowę nagrywam. Rysiek na to odpowiedział, że on też nagrywa. A ja go wtedy nagle spytałem:

- A dlaczego ja mam się dać wciągnąć w jakąś aferę korupcyjną? Ty przecież wiesz, że ja się nigdy w nic takiego wciągnąć nie dam!

- Właśnie dlatego, że się nie dasz i wszyscy to wiedzą, więc przychodzę z tym do ciebie. Po pierwsze i tak nikt nigdy nie uwierzy, że na to poszedłeś, a po drugie - nie musisz na to iść. Czy ten chłopiec, w pokoju którego jesteśmy, redaguje gazetkę klasową?

Nie wiem, skąd to wiedział, ale nie puszczałem farby:

- To dziewczynka, Basia. Może coś tam redaguje...

- Stasiek, posłuchaj - mówił Rysiek. - Przestańmy się szachować. Ja ci tę szafkę skombinuję, ale jest jeszcze jedna sprawa. Czy ty wiesz, że w kraju jest stagnacja do tego stopnia, że nawet korupcja nam się zatrzymała? Tak! Od dwóch lat jesteśmy na 45. miejscu w świecie i nie idziemy w górę. Korupcja nie rośnie, a powinna. Nie idziemy w górę, to znaczy w dół! Nie patrz tak na mnie. Stasiek! Daj się skorumpować i skorumpuj mnie i jak się razem zeskorumpujemy, to będzie taki pasztet, że wejdziemy do trzydziestki najbardziej skorumpowanych krajów świata, rozumiesz? A wtedy dostajemy sześć miliardów dolarów na walkę z korupcją. Wiesiek dzwonił do Jacka, że Bolek rozmawiał już z Dżordżem, a resztę szmalu dokłada Transparency And Agency i musisz się poświęcić. Chcesz kupić szafkę telewizyjną, to ja ci załatwię. Chcesz szafkę na mydełko? Też ci załatwię. Ja zostaję szefem Polskiej Agencji Antykorupcyjnej i już połowę pieniędzy mam na koncie. Rozpisujemy nowy konkurs międzynarodowy na alternatywny hymn narodowy, wiesz, tak jak z tym latawcem, który ma wygryźć orła. Nieważne... Daj mi pięć milionów dolarów za cokolwiek... Zmienię rozkład jazdy kolei, żeby było dla ciebie korzystniej jeździć do Gdańska albo...

- Do Suwałk - odpowiedziałem.

- Do Suwałk nie dam rady. Wszystkiego nie mogę. Bierz Gdańsk i daj mi pięć milionów...

- Rysiek, jak ci mam dać... Ja nie mam tyle... Ja w ogóle...

- To ja ci pożyczę! Masz!

I wepchnął mi w rękę kilkanaście milionów dolarów, których ja nie chciałem i krzyczałem: - Weź te pieniądze, Rysiek! Weź ode mnie te pieniądze! I on wziął. Ale najlepsze w tym wszystkim było to, że on nie blefował i rzeczywiście nagrał naszą rozmowę i zmuszał mnie, żebym ja to w tej gazecie opublikował, a ja nie chciałem. Tłumaczyłem, że musimy najpierw wygrać przetarg na samolot, potem jeszcze ten hymn i że lepiej poczekać. Powiedziałem mu, że ja wiele mogę zrobić, ale muszę przeprowadzić jakieś wstępne rozeznanie sprawy, i tak dalej. To ten chamidło, bez słowa nawet, poszedł do kogo innego i z tym innym chciał podobnie sprawę załatwić. Też mu się nie udało podobno, ale jaka świnią! Ludzie mówią, że nie wiadomo, o co mu chodzi, ale wiadomo, o co chodzi. Zostałem jak głupi z tą szafką, którą zresztą trzymam u Czesi, no bo tak dyskutujemy wieczorami o całej tej sprawie. Szafeczka jest mała. Na mydełko. Basia (niech już tak zostanie) dostała wyróżnienie na konkursie gazetek klasowych. Ryś jest teraz Gepardem i dowodzi Brygadą Tygrysa. Mydełko się wymydlą, szafkę się przemaluje i jakoś to będzie.

2003/01/02, Paweł Smoleński Gazeta Wyborcza nr 1, s. 1

Fałszywe oskarżenia

W piątek 27 grudnia ubiegłego roku „Gazeta” opublikowała materiał „Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi **Rywin** do Michnika”. Ujawniliśmy, po raz pierwszy w historii III RP, próbę korupcji na skalę,

od której włos się jeży na głowie. Okazuje się bowiem, że w Polsce można za kilkanaście milionów dolarów łapówki obiecywać przeprowadzenie przez rząd, Sejm i Senat ustawy, powołując się przy tym na „grupę ludzi, która ma władzę” i wikłając w tę próbę przekupstwa autorytet premiera.

Tymczasem z kompletnie niezrozumiałych dla nas powodów opisana przez nas największa udokumentowana próba korupcji w III RP stała się pretekstem do zdumiewających oskarżeń pod adresem „Gazety”, jej wydawcy - spółki Agora - a nawet premiera, któremu zarzucono chęć ukrycia afery przed opinią publiczną. To absurd i kłamstwo. Wyszło na jaw, że są w Polsce tacy, dla których ważniejsze od wyjaśnienia całej sprawy są próby oczernienia „Gazety” i premiera oraz przypisywanie redakcji fałszywych intencji. Być może to ludzie i środowiska, którzy boją się wyświetlenia całej prawdy.

Chcąc uciąć obraźliwe spekulacje, wyjaśniamy:

1. Po konfrontacji w gabinecie premiera, kiedy Lew **Rywin** przyznał się do próby korupcji, Adam Michnik poinformował Leszka Millera, iż redakcja „Gazety” niezwłocznie rozpocznie dziennikarskie śledztwo, gdyż w świetle posiadanych przez nas dowodów oraz tego, co w obecności premiera mówił sam **Rywin**, nie wydaje się prawdopodobne, by działał on na własną rękę. Uważamy, że rzeczywiście istnieje „grupa ludzi, która ma władzę”, na którą powoływał się **Rywin**, stojąca za tą próbą korupcji.

2. Ponieważ dziennikarskie śledztwo zbiegło się w czasie z końcówką negocjacji o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej, redakcja postanowiła nie upubliczniać całej sprawy przed szczytem kopenhaskim 13 grudnia 2002. Byłoby wysoce szkodliwe i nieodpowiedzialne, gdyby „Gazeta” odwracała w tym czasie uwagę opinii publicznej od najistotniejszych dla Polski spraw.

Jesteśmy przekonani, że wszystkie próby zaciemnienia i zagmatwania obrazu tak niezwyklej próby korupcji można tłumaczyć wybujałą wyobraźnią albo - i to jest w istocie najgroźniejsze dla czytelności polskiego życia publicznego i polskiej demokracji - złą wolą wynikającą ze strachu przed prawdą.

2003/01/02, PAP, Krzysztof Kozłowski, Janina Paradowska, Gazeta Wyborcza nr 1, s. 8

Śledztwo z uzasadnionym podejrzeniem. Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi **Rywin do Michnika - cd.**

Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wszczęła we wtorek śledztwo w sprawie domniemanej obietnicy płatnej protekcji Lwa **Rywina** na rzecz spółki Agora - poinformował prokurator apelacyjny w Warszawie Zygmunt Kapusta

W komunikacie prokurator Kapusta napisał, że po wstępnych czynnościach sprawdzających i analizie uzyskanych z redakcji „Gazety” kopii notatki prezesa Agory Wandy Rapaczyńskiej i dysku z nagraniem rozmowy Adama Michnika z Lwem **Rywinem** prokuratura, „mając uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa”, wszczęła śledztwo.

Śledztwo toczy się w sprawie złożonej przez **Rywina** obietnicy załatwienia w kręgach rządowych ustępstw korzystnych dla prywatnych nadawców radiowo-telewizyjnych w nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji w zamian za łapówkę.

- Dalsze czynności procesowe zostały zaplanowane na 6 stycznia, bezpośrednio po powrocie z zagranicy Michnika i Rapaczyńskiej, od których prokuratura zamierza zebrać zeznania - poinformował Kapusta.

Przypomnijmy w skrócie: w zeszłym tygodniu opisaliśmy, jak w lipcu znany producent filmowy Lew **Rywin** - powołując się na premiera i na „grupę, która trzyma w ręku władzę” - zaoferował Agorze, wydawcy „Gazety Wyborczej”, pośrednictwo w załatwieniu korzystnych dla spółki zapisów w nowelizacji korzystnych dla spółki zapisów w nowelizowanej ustawie o radiofonii i telewizji. Za pośrednictwo **Rywin** zażądał 17,5 mln dolarów na konto swojej firmy, ale na użytek SLD. Premier zdecydowanie stwierdził, że nie zlecał nigdy **Rywinowi** pośrednictwa w jakiegokolwiek sprawie. **PAP**

W „Tygodniku Powszechnym” przeczytane. Taśmy Michnika

Czy mamy do czynienia z największą aferą polityczną w III Rzeczypospolitej? Największą, bo w odróżnieniu od wielu skandali, jakie oglądaliśmy w ciągu minionych 13 lat, ukazującą - jeśli to wszystko prawda - jak na dłoni mechanizm korupcji politycznej na najwyższych szczeblach. Czyli dowodzącą, że nasza władza jest, mówiąc wprost, sprzedajna. Jeśli to wszystko prawda...

Ktokolwiek i cokolwiek by tu jeszcze w następnych dniach powiedział - potwierdzał, dementował - opisana przez „Gazetę” sprawa kwalifikuje się nie tylko do zwykłego śledztwa prokuratorskiego. Należy być może powołać specjalną komisję parlamentarną, choć i ona nie gwarantuje wyjaśnienia kulis afery. Ale komisja jest teraz bodaj najlepszą formą strukturalnego potraktowania tak poważnych oskarżeń. Oskarżeń także wobec premiera Leszka Millera.

Być może „Gazeta Wyborcza” zwlekła z opisaniem skandalu, o którym plotki od dawna krążyły po Polsce, by rząd zdążył zakończyć negocjacje z Unią Europejską - bo skutki tego skandalu mogą być nieprzewidywalne. (...)

Teraz „Gazeta” ujawnia taśmę z nagraniem oraz to, czego jej dziennikarzom udało się dowiedzieć o kulisach sprawy. Tyle że nie dowiedzieli się niczego, co by choć trochę ją wyjaśniło. Pozostają spekulacje i domysły.

Pospekulujmy. Są trzy możliwe scenariusze. Jeden czarniejszy od drugiego.

Scenariusz pierwszy: „grupa trzymająca władzę” - jak ją określa jej domniemany pełnomocnik **Rywin** - rzeczywiście chciała od Agory uzyskać 17,5 mln dolarów w zamian za „ustawienie” ustawy tak, aby Agora mogła kupić Polsat (o zamiarach Agory mówi się od dawna, tymczasem forsowany przez SLD projekt zakazuje ogólnopolskiej gazecie posiadania ogólnopolskiej telewizji). **Rywin** miał domagać się też zobowiązania, że „Gazeta” nie będzie zbyt krytykować rządu.

Scenariusz drugi: „grupa trzymająca władzę”, walcząca nie od dziś z „Gazetą Wyborczą”, chciała skompromitować zarówno ten wpływowy dziennik, jak i spółkę Agora i osobiście Michnika, uzyskując na piśmie (tego żądał **Rywin**) od Agory warunki i cenę korupcyjnej w istocie transakcji (30 proc. łapówki Agora miała zapłacić po podpisaniu „poprawionej” ustawy przez prezydenta, a 70 proc. po zakupieniu Polsatu). Gdyby Michnik podjął w ogóle takie negocjacje, ich późniejsze ujawnienie przez „grupę rządzącą” - obojętne, na jakim etapie - odbierałoby wiarygodność „Wyborczej” i totalnie ją skompromitowało.

Scenariusz trzeci: „grupa trzymająca władzę” łądzi się tylko, że panuje nad swoimi ludźmi. Tymczasem **Rywin** chciał po prostu ubić z Agorą własny interes (miał wedle tej koncepcji zostać prezesem Polsatu po jego zakupieniu przez Agorę, żeby „pilnować w Polsce interesów lewicy”). Robert Kwiatkowski (prezes telewizji publicznej), chciał - tak sugeruje **Rywin** - „układu”, który pozwoliłby mu łatwo sprywatyzować i przejąć drugi program telewizji publicznej, zaś Włodzimierz Czarzasty (członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz jeden z głównych autorów projektu nowelizacji ustawy) chciałby utworzyć własny prasowy koncern medialny, konkurujący na rynku z Agorą. A wszyscy trzej panowie tylko udają, że reprezentują interesy rządzącej SLD.

Rywin przyznał się - bo i nie miał innego wyjścia - że rozmowa z Michnikiem miała miejsce. Który z tych scenariuszy jest więc prawdziwy?

Czy ktoś może wyjaśnić, co się naprawdę dzieje w naszym kraju?

W „Polityce” przeczytane. Afera korupcyjna? Przypadek medyczny? Gra medialna?

(...) Sprawa opisana przez „Gazetę” liczy sobie kilka miesięcy życia, w tym także intensywnego życia salonowego. W lecie była sensacją wielu prywatnych rozmów, na wielu spotkaniach o niej dyskutowano, zastanawiając się, kiedy i w jakiej formie wypłynie na powierzchnię życia publicznego. Rozmówcy Rywina z kierownictwa Agory nie kryli bowiem, że o propozycji powiadomili premiera i

można było nawet odnieść wrażenie, że chcą, aby wiedziało o niej jak najwięcej osób. Czy była to próba ubezpieczenia się przed prowokacją (propozycja mogła mieć przecież taki charakter), czy też element dziennikarskiego śledztwa prowadzonego z nadzieją, że jeżeli tyle osób o sprawie wie, to może ktoś powie coś więcej, co pozwoli rozwikłać tę zdawałoby się zupełnie pozbawioną logiki aferę, to już kwestia taktyki kierownictwa Agory. Można zrozumieć, że o szokującej propozycji nie napisano natychmiast na łamach gazety, że próbowano szukać drugiego, a może i trzeciego dna, weryfikować, czy był to indywidualny pomysł Rywina, czy też rzeczywiście stała za nim jakaś grupa partyjnych osób, choć inspirację premiera natychmiast wykluczono. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, wydaje się jednak, że nadmiernie odłożono w czasie nadanie sprawie publicznego biegu, że być może wcześniejsze zawiadomienie prokuratury nie prowokowałoby dziś dość oczywistego pytania: dlaczego zwlekano tak długo?

W tej sprawie jest zresztą bardzo wiele pytań i nie ma prawie żadnych odpowiedzi. Nie wiadomo bowiem, dlaczego nie zareagował stanowczo premier, którego próbowano przecież wplątać w aferę korupcyjną, dlaczego prokuratura z urzędu nie wszczęła śledztwa, mimo że ministrowi i prokuratorowi generalnemu zarazem sprawa była znana. (...)

Dziś opinii publicznej nie wystarczy niemądre oświadczenie rzecznika rządu, że sprawa Rywina kwalifikuje się jako przypadek medyczny. To jest przypadek jak najbardziej prokuratorski, nawet jeżeli ostatecznie okaże się, że nie ma materiału na postawienie zarzutu płatnej protekcji czy jakiegokolwiek innego, bo nikt łapówki nie wręczył.

Łapówki rzeczywiście nikt nie wręczył, ale sam fakt, że taka propozycja padła, pokazuje nieprzejrzystość naszego życia publicznego, nieprzejrzystość procesów decyzyjnych, nieprzejrzystość stanowienia prawa.

Agora miała zapłacić za korzystne dla niej przepisy w ustawie o radiofonii i telewizji. Projekt tej ustawy ma już tak wielu ojców, że doprawdy trudno rozsądzić, kto za niego odpowiada, dlaczego jedne przepisy pojawiają się, a inne znikają, dlaczego uzgodnienia tak szybko tracą jakąkolwiek moc, gdzie kończy się rola rządu, gdzie zaczyna Sejmu i kto w rzeczywistości całą sprawą kieruje zza kulis. Tu tkwi grzech pierworodny. Klimat, w jakim rodzi się ta ustawa, konflikty interesów bardzo wielu stron, ogromne pieniądze, możliwość uzyskiwania wpływu na kształtowanie opinii publicznej wyjątkowo sprzyjają próbom korupcji, formułowaniu propozycji, że ktoś coś załatwi lub że ktoś kogoś załatwi. To jest klimat zabójczy dla państwa, ugruntowujący społeczne przekonanie, że przecież Polska korupcją sptywa.

Gazeta Wyborcza nr 3, GP, PAP, 2003/01/04-2003/01/05, s. 26

Nowy wątek śledztwa w tzw. sprawie Rywina. Kto szuka haków

Minister sprawiedliwości chce, by prokuratura zbadła, kto lub co wzbudziło poczucie zagrożenia u szefa sejmowej komisji kultury Jerzego Wenderlicha, który kieruje pracami nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji

Szef resortu sprawiedliwości Grzegorz Kurczuk zwrócił się w piątek do prokuratora apelacyjnego w Warszawie, by w śledztwie w sprawie domniemanej próby wyłudzenia łapówki od Agory (wydawcy „Gazety Wyborczej”) przez producenta filmowego Lwa Rywina zbadano też wątek „ewentualnych nacisków różnych grup lobbystów, zainteresowanych treścią nowelizacji”. Przypomnijmy: „Gazeta” ujawniła, że Rywin chciał od jej wydawcy 17,5 mln dol. za pomoc w usunięciu z projektu zmian w ustawie o RTV zapisów niekorzystnych dla spółki. Śledztwo w tej sprawie prowadzi Prokuratura Apelacyjna w Warszawie.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu poseł Jerzy Wenderlich z SLD, kierujący w Sejmie pracami nad tą nowelą, ujawnił, że „czuje się zagrożony fizycznie przez naciski mediów prywatnych”. - Chodzi o to - mówił dziennikarzom Wenderlich - że ktoś zaczyna interesować się moim życiem prywatnym. Nie jestem strachliwym człowiekiem, więc nie traktuję tego w kategoriach strachu czy przerażenia, gdyby chodziło o mnie, ale przecież nie jestem sam, mam synka.

Według PAP poseł Wenderlich wskazywał, że jeden z lobbystów związany z prywatną telewizją poszukiwał „haków” na jego osobę, co miało na celu doprowadzić do tego, by przestał kierować komisją kultury.

Jak już pisaliśmy, poseł zwrócił się o pomoc do marszałka Sejmu. Marek Borowski doradził Wenderlichowi na konferencji prasowej, by był na te naciski odporny i nie spotykał się z nieodpowiednimi ludźmi w nieodpowiednich miejscach.

- Zwróciłem się też do prokuratora, by zwrócił uwagę na wątek, który podniósł poseł Wenderlich - mówił w piątek minister Kurczuk, powołując się na wypowiedzi szefa komisji kultury dla „Rzeczpospolitej”. - Poseł wyraźnie powiedział, że były próby - co prawda takie zawoalowane, ale jednak - jakby grożenia mu czy wywierania wpływu na niego, żeby zajął takie, a nie inne stanowisko wobec tego, co jest tak naprawdę istotą całego problemu, a mianowicie nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji - zaznaczył minister.

Jego zdaniem wokół nowelizacji ustawy narosło wiele emocji i interesów politycznych, „a w tle - interesów biznesowo-finansowych”. - Dlatego - apelował minister sprawiedliwości - tam powinno pójść generalne zainteresowanie i oko opinii publicznej. Natomiast to, co uczynił pan Rywin, jest tylko jednym niewielkim elementem tego całego, równie ważnego, problemu.

Gazeta Wyborcza nr 4, Paweł Wroński, 2003/01/06, s. 2

Empiryk z „Trybuny”

Marek Barański w tym samym tekście wspomina wyemitowaną w czasach stanu wojennego esbecką prowokację - zmontowaną rozmowę Lecha Wałęsy z jego bratem. „Do dziś obrywam za udział w tamtym eksperymencie” - pisze. I jednocześnie zaprasza nas do udziału w kolejnym „eksperymencie”, który, jak sam stwierdza, podpowiada tylko jego wyobraźnia.

O co chodzi? O to, że prezydent, Lew Rywin i Adam Michnik wspólnie zawiązali spisek, by skompromitować premiera i zmusić go do ustąpienia. Równocześnie mruga do SLD: premiera trzeba bronić przed prezydentem i ludźmi Michnika!

Barański w rzadkim przypadku jasności umysłu pisze: „że sobie zmyślam? Może”. Rzeczywiście, Barański zmyśla, aż się kurzy, podobnie, jak zmyślał dwadzieścia lat temu.

Do niedawna postać Marka Barańskiego, dziennikarskiego sługi SB czasu stanu wojennego, budziła odrazę. Teraz okazuje się, że on jest tylko „eksperymentatorem”. Czy ten eksperyment nie jest aby kolejną prowokacją - tym razem skierowaną do SLD? Albo Barański ma po prostu kłopoty z własną wyobraźnią. Medycyna nazywa takie przypadki paranoją.

Gazeta Wyborcza nr 4, 2003/01/06, s. 2

Wczoraj przeczytane. Wiadomy spisek określonych sił. Marek Barański, „Trybuna”, 4-5 stycznia

Można odnieść wrażenie, że Rywin wyłącznie z Millerem prowadził się pod rękę. Tymczasem, jak się zdaje, znacznie bliższe było mu środowisko okołoprezydencckie. (...) Z Michnikiem zaś łączyły go zainteresowania kulturalne, wspólna fascynacja filmem, osobiwie twórczością Wajdy. (...) Nie ma wątpliwości, że Rywinowi niewiele zrobiają. (...) Z powodu niepoinformowania prokuratury nie poniesie również konsekwencji żaden z posiadaczy wiadomości o łapówkarskiej propozycji złożonej „Gazecie”. (...) Jeśli ktoś bardzo się doczyta, to się doczyta, że ukłuć można premiera. (...) Gdy znajdzie się kilku zdecydowanych na wszystko graczy, którzy dzień w dzień będą żądać od prokuratury pociągnięcia premiera do odpowiedzialności, to choć faktycznie nie będzie ku temu podstawy, formalnie można ją sobie wyobrazić. Jak długo prezydent będzie musiał znosić takie osłabienie autorytetu państwa. Czy będzie chciał, bo przecież może mieć już kogoś innego na oku... Że sobie zmyślam? Może, bo

faktycznie premiera nie jest łatwo odwołać. Jednak problemu nie będzie, gdy sam poda się do dymisji. Tym bardziej że jeśli chodzi o państwo, to nie tylko pan prezydent, ale i pan redaktor jest bardzo czuły.

Posłowie sami chcą badać sprawę "łapówki Rywina"

2003-01-07, E.O., LUZ, M.M., PAP, Rzepa, nr 5 s. 4

PiS i PO złożyły wczoraj w Sejmie wnioski o powołanie komisji śledczej, która zbada aferę korupcyjną związaną z Lwem Rywinem. Jednocześnie prokuratura rozpoczęła przesłuchania w tej sprawie - zaczęła od redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej" Adama Michnika.

- Sprawa jest tej wagi, że trzeba sięgnąć po nadzwyczajne środki - tłumaczył szef Klubu PiS Ludwik Dorn. Stąd wniosek o powołanie sejmowej komisji śledczej, która miałaby zbadać nie tylko informacje "Gazety Wyborczej" o próbie wyłudzenia od jej wydawcy Agory wysokiej łapówki w zamian za zmiany w nowym prawie medialnym, ale też inne patologie na styku władza - media. Chodzi m.in. o to, czy władza ma lub może mieć wpływ na obsadę wysokich stanowisk w prywatnych stacjach, czy faktycznie, jak alarmowali mniejsi nadawcy, politycy wywierają na nie naciski, w czym imieniu działał Lew Rywin, składając obietnice pozytywnych rozstrzygnięć Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, czy faktycznie rozważana jest prywatyzacja mediów publicznych, którzy politycy i urzędnicy udzielili Rywinowi pełnomocnictw do składania Agorze tak wielu obietnic.

Komisja śledcza miałaby też wyjaśnić, dlaczego urzędnicy państwowi przez pół roku - od lipca, kiedy Rywin odwiedził prezesa Agory - nie zrobili nic, by próbą wyłudzenia łapówki zainteresować organa ścigania. Cytowani we wczorajszej "Rz" prawnicy nie mieli wątpliwości, że do obowiązków premiera należało poinformowanie o tym prokuratury, kiedy tylko dowiedział się o sprawie. Według mec. Macieja Bednarkiewicza, skoro premier nie podjął w lipcu żadnych działań, w grę może wchodzić niedopełnienie obowiązków, co jest przestępstwem. Na najbliższym posiedzeniu Sejmu PiS złoży zapytanie w tej sprawie do ministra sprawiedliwości. Natomiast Stowarzyszenie Pomocy Ofiarom Przestępstw Katon, jak poinformował związany z nim poseł PiS Zbigniew Ziobro, złoży społeczne zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez premiera. - Milczenie premiera w tej sprawie jest wielce wymowne. Miał obowiązek służbowy i moralny zareagować tym bardziej, że obiecał, iż jednym z priorytetów jego rządu będzie walka z plagą korupcji. Tymczasem postawił się ponad prawem - uważa Ziobro.

Prawie wszyscy chcą komisji śledczej

Wniosek o powołanie komisji śledczej złożyła też Platforma Obywatelska, a Liga Polskich Rodzin zapowiedziała podobną inicjatywę.

Marszałek Sejmu Marek Borowski zapowiedział, że wszystkie propozycje powołania komisji śledczej trafią do sejmowych komisji. Dodał, że "jeśli komisja miałaby się zajmować wyjaśnieniem motywacji, jakimi kierował się pan Rywin, przedkładając stosowną, czy raczej niestosowną propozycję, to jest to temat, który nie budzi mojego sprzeciwu i w takim przypadku bym za taką komisją głosował".

Opozycja chce jednak, by Sejm rozstrzygnął sprawę już na najbliższym posiedzeniu, czyli w tym tygodniu. - Nie ma sensu odwlekać rozstrzygnięcia o dwa tygodnie - mówi Maciej Płażyński, przewodniczący Klubu PO. Wtórzy mu Marek Kotlinowski, szef Klubu LPR: - Cała sprawa jest związana z pracami legislacyjnymi i dlatego zasadne jest powołanie komisji śledczej właśnie w Sejmie.

Za powołaniem takiej komisji opowie się też zapewne Klub Unii Pracy. Wicemarszałek Sejmu Tomasz Nałęcz (UP) powiedział nam, że odrzucenie wniosku o powołanie takiej komisji mogłoby stworzyć wrażenie, iż lewica ma w tej sprawie coś do ukrycia. - A lewica nie ma nic do ukrycia i dlatego należy tę komisję powołać - uważa Nałęcz. Nie jest wykluczone, że pomysł prawicy poprze Samoobrona. Tylko stanowisko SLD, które byłoby rozstrzygające, nie jest jasne.

Jedynie sekretarz generalny PSL Jan Bury jest zdecydowanie przeciwny powoływaniu komisji śledczej. - Skoro prokurator już się tą sprawą zajął, to dajmy mu się wykazać. Zresztą posłowie nie mają szans na ustalenie czegoś więcej niż prokuratura czy policja. Praca takiej komisji miałaby charakter wyłącznie polityczny.

Michnik na pierwszy ogień

Wczoraj, jako pierwszy świadek, przesłuchiwany był w Prokuraturze Apelacyjnej Adam Michnik, redaktor naczelny "Gazety Wyborczej". Przed i po kilkugodzinnym przesłuchaniu Michnik nie chciał rozmawiać z dziennikarzami. - Pan Michnik potwierdził wszystkie okoliczności zawarte w artykule "Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika" - powiedział po przesłuchaniu rzecznik prasowy Prokuratury Apelacyjnej Zbigniew Jaskólski.

Naczelny "Gazety" został zobowiązany do przedstawienia prokuraturze oryginału taśmy, na której nagrał swą rozmowę z Rywinem, sprzętu, jakim ją nagrał oraz oryginału notatki Wandy Rapaczyńskiej, prezesa Agory, której pierwszej Rywin miał złożyć propozycję łapówkarską. Dotąd "Gazeta" ujawniła tylko 10-minutowy fragment nagrania rozmowy Michnika z Rywinem, choć spotkanie trwało pół godziny.

Jaskólski nie wykluczył też przesłuchania premiera Leszka Millera, ale podkreślił, że "taka czynność nie jest na razie planowana".

Tymczasem premier wyjawiał wczoraj, że o sprawie Rywina rozmawiał, jeszcze przed opublikowaniem tekstu przez "Gazetę", z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. - Odniosłem wrażenie, że pogląd prezydenta na tę sprawę jest podobny do mojego. Mamy do czynienia z jakąś groteską, z chorymi urojeniami i to wszystko - mówił w radiowej Jedynce. Nie zgodził się z opiniami, iż zbyt późno zwrócił się w tej sprawie do ministra sprawiedliwości. Dodał, że kiedy minister sprawiedliwości zapytał go, czy coś wie o całej sprawie, powiedział to, co wiedział i poprosił Grzegorza Kurczuka, by skontaktował się z Adamem Michnikiem, "co też minister sprawiedliwości uczynił".

Miller wyjawiał, że "konieczność podjęcia odpowiednich działań w związku z ogromną aktywnością lobbingsową towarzyszącą noweli ustawy o rtv" sygnalizował także szefowi Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Zespół marszałka pracuje

Wczoraj pierwszy raz zebrał się w Sejmie zespół, który na wniosek marszałka Sejmu ma przejrzeć projekt noweli ustawy o radiofonii i telewizji (która była powodem całej tej wielkiej awantury) pod względem zgodności z konstytucją. Na razie postanowiono zebrać razem wszystkie proponowane artykuły, poprawki i przyjęte już przez Komisję Kultury artykuły. Zaplanowano też sporządzenie mapy interesów nadawców.

Omawiano również wstępnie część ekspertyz prawnych. Co ciekawe, okazało się, że największy sprzeciw konstytucjonalistów budzą zapisy dotyczące sposobu pobierania abonamentu dla mediów publicznych, które dotąd nie budziły żadnych kontrowersji.

Bronisław Wildstein, Tylko komisja śledcza. Komentarz

Sprawa Lwa Rywina nie jest zwykłą aferą korupcyjną. Chodzi w niej przecież o zmianę za łapówkę ważnej, istotnej dla porządku medialnego w Polsce, ustawy. Głównymi bohaterami są: najbardziej znany, związany z rządzącą partią polski producent filmowy, urzędujący premier i redaktor naczelny największej polskiej gazety.

Lew Rywin przyznał się do próby przekupstwa - tak w każdym razie twierdzą Adam Michnik i Leszek Miller, a oskarżony nie zaprzecza. Premier neguje swój udział w sprawie, ale jest winien zaniechania swoich obowiązków: zaniechał uruchomienia procedur prawnych przeciwko próbującemu dokonać poważnego przestępstwa Rywinowi.

Czy sprawa ta dowodzi, że w Polsce narodził się tak niebezpieczny dla demokracji układ towarzysko-biznesowych powiązań świata polityki, gospodarki i mediów? W takim stanie rzeczy potrzebne są działania nadzwyczajne. Dobrym rozwiązaniem byłoby powołanie sejmowej komisji śledczej, w której znajdą się przedstawiciele różnych i opozycyjnych wobec siebie partii. Jej obrady muszą być jawne dla opinii publicznej. To jedyna szansa, aby sprawa została całkowicie wyjaśniona, a winni ponieśli choćby polityczną odpowiedzialność. Wprawdzie fakt, że coś jest słuszne i oczywiste, nie jest gwarancją, iż zostanie w Polsce zaakceptowane, ale w każdym razie będziemy wiedzieli, kto chce sprawę ukryć.

Prawnicy dziwią się, że na śledztwo w aferze Lwa Rywina trzeba było czekać aż pół roku

Co powinien zrobić premier

- **W tym tygodniu warszawska Prokuratura Apelacyjna ma rozpocząć pierwsze przesłuchania w sprawie obietnicy Lwa Rywina załatwienia Agorze w kręgach rządowych ustępstw w noweli ustawy o radiofonii i telewizji - w zamian za łapówkę. Zapytaliśmy dwóch znanych adwokatów, co w tej sprawie powinien był zrobić wówczas premier. Podajemy też [kalendarium sprawy](#). Publikujemy też [przepisy](#) dotyczące ciążącego na urzędnikach obowiązku powiadamiania organów ścigania o podejrzeniu popełnienia przestępstwa oraz fragmenty znanych komentarzy prawniczych na ten temat.**

Maciej Bednarkiewicz, adwokat, były prezes Naczelnej Rady Adwokackiej

Premier miał piętnaście sekund

Jak powinien zachować się premier, gdy w lipcu ub.r. przyszedł do niego Adam Michnik z Lwem Rywinem i opowiedział całą historię?

- Miał piętnaście sekund, czyli tyle, ile potrzeba, by wziąć słuchawkę i wykręcić numer telefonu do prokuratora generalnego. Premier jest urzędnikiem państwowym. Miał obowiązek powiadomić o wszystkim prokuratora generalnego bez względu na to, czy Lew Rywin mówił prawdę, czy nie. To obowiązek prawny premiera wynikający z ustawy, która określa kompetencje jego urzędu. Tym się różni funkcjonariusz publiczny, który powinien się cieszyć zaufaniem publicznym, od zwykłego obywatela, że nie może na takie sprawy nie reagować.

Premier zapewne słyszy wiele różnych historii: ktoś komuś coś powiedział, coś zasugerował... Gdyby za każdym razem zawiadamiał prokuratora generalnego, nie miałby czasu na rządzenie.

- Nie. Wielu takich historii nie ma. W tym przypadku w grę wchodzi przestępstwo przeciwko urzędowi państwowemu. Bez względu więc na to, czy Rywin mówi prawdę, czy nie, cała sprawa dotyczy możliwości popełnienia przestępstwa przeciwko urzędowi. Lew Rywin ani Adam Michnik nie pełnią funkcji publicznych i mogą sobie opowiadać, co chcą, mogą dawać sobie pieniądze, za co chcą. Kiedy jednak ktoś do kogoś przychodzi i mówi lub sugeruje, że działa w imieniu urzędu lub funkcjonariusza publicznego, istnieje możliwość popełnienia przestępstwa przewidzianego w art. 230 k.k.

Premier potraktował Rywina jak osobę chorą psychicznie.

- To nie premier jest od ustalania stanu zdrowia psychicznego Rywina. Takie sprawy w toku postępowania bada lekarz na żądanie prokuratora.

Premier jednak nie zawiadomił prokuratora.

- I to jest dla mnie sytuacja niepojęta. Na zwykłym obywatelu ciąży w takich przypadkach obowiązek społeczny, czyli może on powiadomić prokuratora, ale nie musi. Gdyby o takiej sprawie słyszał np. policjant, zawiadomienie prokuratora jest już dla niego obowiązkiem służbowym. Moim zdaniem podobnie jest z premierem, tym bardziej że informacja podawana przez Rywina, niezależnie od tego, czy prawdziwa, czy nie, obrażała urząd, jaki premier pełni.

Skoro premier nie zareagował właściwie, niewątpliwie w grę może wchodzić art. 231 k.k., czyli niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariusza publicznego. Niedopełnienie obowiązku jest przestępstwem. Prokuratura, która wszczęła postępowanie w tej sprawie, i tym wątkiem powinna się zająć, by wyjaśnić, czy premier postąpił prawidłowo.

Czy gdyby prokurator natychmiast zajął się sprawą, byłyby większe szanse na jej wyjaśnienie niż teraz, po sześciu miesiącach?

- Nie wiem, bo nie znam dokładnie faktów. Na pewno jednak opóźnienie jest dla mnie zadziwiające i niezrozumiałe. Wszystko wskazuje przecież na to, że gdyby nie artykuł w "Gazecie", śledztwo w ogóle nie zostałoby wszczęte.

Może premierowi niezręcznie byłoby zlecać ministrowi sprawiedliwości prokuratorowi generalnemu zajęcie się sprawą, bo jest to jego bezpośredni podwładny, a on sam, premier, w sprawie występuje?

- Ta okoliczność na pewno nie może być powodem niepowiadomienia prokuratora.

Minister sprawiedliwości twierdzi, że o sprawie usłyszał dopiero we wrześniu, ale ponieważ opisano ją w satyrycznej rubryce "Wprost", uznał ją za niepoważną. Jedyne, co mógł zrobić - twierdzi - to sprawdzić, czy do prokuratury nie wpłynęło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. A nie wpłynęło.

- Nie musiał czekać na żadne zawiadomienie. Prokurator ma ustawowy obowiązek sprawdzania każdej informacji tego typu. Mógł przesłuchać świadków, sprawdzić autentyczność taśmy i dopiero potem zdecydować, czy wszcząć śledztwo. Teraz nie może się tłumaczyć tym, że czekał na oficjalne zawiadomienie, bo ani Michnik, ani Rywin takiego obowiązku nie mieli.

We wrześniu ub.r. o sprawę pytała ministra także Monika Olejnik w "Kropce nad i", powołując się na "Wprost".

- Czy podała nazwiska i konkretne informacje?

Tak.

- Jeśli tak, na pewno był już powód, by sprawę zbadać. To była przecież rozmowa publiczna. Jeśli podano w niej informacje, że podejmowane były próby wpływania na władzę ustawodawczą, nie wolno było tego tak zostawić. Prokurator generalny musi być aktywny. Nie wystarczy bierne oczekiwanie na złożenie zawiadomienia. Prokurator miał już wtedy obowiązek zlecić wszczęcie śledztwa i oczekiwać od prokuratora apelacyjnego, by ten ocenił, czy fakty są prawdziwe i wiarygodne.

Minister jednak nie zlecił wszczęcia postępowania.

- I musi ponieść odpowiedzialność. To urzędnik państwowy, który dostaje informacje o najwyższych organach państwowych, a nie robi nic, nie podejmuje żadnych kroków, nie podejmuje czynności sprawdzających, nie sporządza notatki służbowej, mimo iż docierają do niego informacje z dwóch źródeł. Nawet, jeśli było w nich 5 proc. prawdy, prokurator jest od tego, by to wyjaśnić.

Minister twierdzi, że po rozmowie z Michnikiem postanowił poczekać na artykuł w "Gazecie", która miała prowadzić dziennikarskie śledztwo w tej sprawie.

- Absolutnie nie miał do tego prawa. Nie istnieje taka kategoria prawna jak śledztwo dziennikarskie. Z całym szacunkiem dla dziennikarzy, nie mają oni kompetencji i uprawnień takich, jak prokuratura. Dziennikarzom przecież brakuje środków do prowadzenia postępowania dowodowego.

Jak więc ocenia pan postępowanie premiera i prokuratora generalnego, jednych z najwyższych urzędników w państwie?

- To bardzo trudne pytanie. Zachowanie ministra i premiera jest dla mnie niezrozumiałe i nie do zaakceptowania. Dlaczego tak postąpili, musi zostać wyjaśnione.

Jerzy Naumann, adwokat, rzecznik dyscyplinarny Naczelnej Rady Adwokackiej

Prokurator nie może czekać na koniec śledztwa dziennikarzy

Co powinien zrobić premier po tym, jak usłyszał od Adama Michnika, że Lew Rywin, powołując się na niego, domaga się wysokiej łapówki?

- Powinien przeprowadzić niezwłocznie rozmowę z odpowiedzialnym za ściganie przestępstw prokuratorem generalnym. Wystarczyłoby zasygnalizowanie mu, że sprawę należy wyjaśnić. I to nawet w sytuacji, gdy pomówienie dotyczy premiera osobiście.

Ale premier tego nie zrobił.

- Powstaje więc pytanie, czy premier naruszył prawo czy nie. Uważam, że premier jest szczególną osobą w państwie i nie obejmuje go artykuł 304 k.p.k., który nakłada na instytucje państwowe obowiązek zawiadomienia o przestępstwie. Miara wobec osoby pełniącej funkcję premiera jest inna niż np. wobec burmistrza czy wojewody. Wywodzę to stąd, że prokurator generalny, a przy okazji także minister sprawiedliwości, jest funkcjonariuszem państwowym bezpośrednio podległym premierowi. Poza tym, nakładanie na premiera obowiązku, by w każdej sprawie, w której zetknie się z informacjami, mogącymi wskazywać na popełnienie przestępstwa, stawiał się w prokuraturze i składał doniesienie jak każdy inny obywatel, mogłoby doprowadzić do absurdu. Do premiera dociera zapewne wiele informacji, które mogą nosić znamiona przestępstwa. Trudno więc oczekiwać, by premier zajmował się przede wszystkim dostarczaniem informacji prokuraturze i składał kolejne doniesienia. Poleca po prostu daną sprawę wyjaśnić kompetentnemu podwładnemu.

Dlaczego odpowiedzialność premiera miałaby być inna niż wójta czy burmistrza?

- Bo ani wójtowi, ani burmistrzowi nie podlega żaden z prokuratorów. Żadne instytucje państwowe nie mają wpływu na prokuraturę - właśnie z wyjątkiem premiera. Niezależnie od tego, w jaki sposób poleciłby prokuratorowi, by zajął się sprawą, zawsze będzie to akt władczy. Co innego, gdyby okazało

się, że premiera trzeba przesłuchać w charakterze świadka. Wtedy powinna działać normalna procedura, bo nie widzę powodów, by prokuratura miała inaczej traktować świadka będącego premierem niż jakiegokolwiek innego.

Jak pan ocenia zachowanie ministra sprawiedliwości: na początku nie traktował sprawy poważnie, a po rozmowie z naczelnym "Gazety" postanowił poczekać na rezultaty dziennikarskiego śledztwa.

- To dziwne. Jak rozumiem, minister nie rozmawiał z Adamem Michnikiem prywatnie, tylko jako prokurator generalny z redaktorem naczelnym gazety, która jest w sprawę włączona. Jeżeli rozmawiał jako prokurator (a tylko w tym charakterze mógł na ten temat rozmawiać), to musiał działać w granicach określonych przez kodeks postępowania karnego, który na to nie zezwala. Ewentualna rozmowa mogłaby odbyć się tylko przy stole przesłuchań i sporządza się z niej protokół. Nie znam trybu procesowego, który przewidywałby inną możliwość. Nie wiem więc, jak taką rozmowę-spotkanie traktować, także z punktu widzenia postępowania, jakie prowadzi teraz Prokuratura Apelacyjna. Być może trzeba będzie przesłuchać w charakterze świadka prokuratora generalnego, by wyjaśnić istotne okoliczności związane z tą rozmową. Choćby to, kiedy się odbyła i jaki był jej dokładny przebieg. Od momentu, kiedy zaczyna się cokolwiek, co ma związek z postępowaniem karnym, na takie rozmowy nie ma już miejsca. Prowadzi się przesłuchania.

A jeśli Grzegorz Kurczuk rozmawiał z redaktorem naczelnym nie jako prokurator generalny, a jako minister, urzędnik, polityk?

- Trudno jest znaleźć usprawiedliwienie dla tej inicjatywy. Jeśli informacje o sprawie były ocenione jako niepoważne, nie ma uzasadnienia prowadzenie takiej rozmowy. Jeśli jednak były półpoważne albo poważne, to dla takiej rozmowy nie ma uzasadnienia w k.p.k. Zupełnie zaś nie ma uzasadnienia treść listu opublikowanego we wtorkowej "Rz", że trwające śledztwo dziennikarskie miało jakieś przełożenie na czynności organów śledczych karnych. Ze słów ministra można wysnuć taki wniosek: organa procesowe postanowiły zaczekać ze swoimi czynnościami na artykuł w prasie. Taka zależność nie jest przecież w żaden sposób uzasadniona. Nigdy ani prokurator, ani policjant nie czeka, aż dziennikarz zakończy swoją pracę, bo tak naprawdę zajmują się przecież czymś innym i sprawy mogą prowadzić równocześnie.

Gdy minister sprawiedliwości wiedział już, co się stało, miał obowiązek prawny wszczęcia postępowania?

- Postępowanie zostało wszczęte teraz, choć wszystkie konieczne przesłanki, by nadać sprawie bieg, były spełnione znacznie wcześniej. To najlepszy dowód na to, że postępowanie powinno zostać wszczęte już dawno temu, natychmiast po zdarzeniu.

Czy wobec ministra mogą być z tego powodu wyciągnięte konsekwencje?

- Taka decyzja należy do premiera, który przecież związany jest ze sprawą. Opinia publiczna powinna się pośrodkować, czy premier wyciągnie konsekwencje czy nie i dlaczego. Pewne zaniedbanie w tej sprawie jest oczywiste. Nie bardzo wiadomo tylko, kto zwinął bardziej, kto mniej. Od lipca do grudnia minęło przecież mnóstwo czasu.

Rozmawiała Luiza Zalewska

Co na temat powiadamiania o przestępstwie mówi prawo i komentarze

Płatna protekcja

Art. 230 [kodeksu karnego](#):

Kto, powołując się na swoje wpływy w instytucji państwowej lub samorządu terytorialnego, podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub jej obietnicę, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

Obowiązek powiadomienia o przestępstwie

Art. 304 § 2 [kodeksu postępowania karnego](#):

Instytucje państwowe i samorządowe, które w związku ze swoją działalnością dowiedziały się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, są obowiązane niezwłocznie zawiadomić o tym prokuraturę lub policję oraz przedsięwziąć niezbędne czynności do czasu przybycia organu powołanego do ścigania przestępstw lub do czasu wydania przez ten organ stosownego zarządzenia, aby nie dopuścić do zatarcia śladów i dowodów przestępstwa.

Niedopełnienie obowiązku

Art. 231 kodeksu karnego:

§ 1. Funkcjonariusz publiczny, który przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do 3 lat.

§ 2. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do 10 lat.

§ 3. Jeżeli sprawca czynu (...) działa nieumyślnie i wyrządza istotną szkodę, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

Komentarze prawnicze

"Niedopełnienie obowiązku wynikającego z art. 304 § 2 przez funkcjonariusza publicznego stanowi przestępstwo niedopełnienia obowiązku służbowego (art. 231 k.k.)" - "Kodeks postępowania karnego. Komentarz", Ryszard A. Stefański, 1998 r. (str. 43),

"Niedopełnienie obowiązku prawnego przewidzianego w art. 304 § 2 może stanowić przestępstwo z art. 231 § 1 k.k." - "Polskie postępowanie karne", Tomasz Grzegorzczak, Janusz Tylman (str. 569),

"Statuowany w art. 304 § 2 obowiązek powiadomienia o przestępstwie ciąży na instytucjach wynika z zasady współdziałania wszystkich władz państwowych w zwalczaniu przestępstw" - "Komentarz do kodeksu postępowania karnego", Feliks Prusak, 1999 r. (str. 854),

"Obowiązek ten (zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa) ciąży na kierownikach instytucji i jej samodzielnych jednostek organizacyjnych oraz na osobach zobowiązanych do zawiadomienia na podstawie podziału czynności. Niespełnienie tego obowiązku pociąga za sobą odpowiedzialność karną z art. 231 § 1 - 3 k.k." - "Proces karny. Zarys systemu", Stanisław Waltoś, 2001 r. (str. 236).
(A.Ł.)

CO SIĘ DZIAŁO MIĘDZY LIPCEM A GRUDNIEM 2002 ROKU

11 lipca 2002 r. Lew Rywin, producent telewizyjny i szef rady nadzorczej Canal Plus, dzwoni do Wandy Rapaczyńskiej, prezes Agory ("Gazeta" i kilkanaście rozgłośni lokalnych). Proponuje jej pomoc w zawarciu kompromisu w sprawie rządowej noweli ustawy o radiofonii i telewizji, którą prywatni nadawcy ostro atakują.

Tego samego dnia Rapaczyńska spotyka się z Rywinem na kawie. Na prośbę Rywina Rapaczyńska daje mu notatkę określającą warunki brzegowe, pod którymi nowela byłaby zaakceptowana przez Agorę. Rywin informuje, że premier Leszek Miller przyjeżdża do niego na Mazury na ryby i tam przekaże mu uwagi Agory.

15 lipca Rywin spotyka się z Rapaczyńską. Przedstawia propozycję, którą miał usłyszeć na rybach: rząd ustąpi z zapisów antykoncentracyjnych w noweli ustawy o RTV w zamian za przekazanie 17,5 mln dolarów na konto firmy Rywina. W rzeczywistości pieniądze mają trafić do SLD. Inne warunki układu: "Gazeta" przestaje krytykować premiera, a Rywin - kiedy Agora - kupi Polsat, ma być zatrudniony w tej stacji, by pilnować interesów SLD. Rywin to samo mówi też Piotrowi Niemczyckiemu, wiceprezesowi Agory (wszyscy dobrze się znają, bo kilka lat wcześniej Agora była akcjonariuszem Canal Plus).

16 lipca Rapaczyńska sporządza notatkę dla Adama Michnika z opisem rozmowy z Rywinem.

18 lipca Michnik prosi o spotkanie Millera. Pyta, czy to premier wysłał Rywina do Agory. Premier zaprzecza. Miller pokazuje mu notatkę Rapaczyńskiej. Miller ponownie zaprzecza. Twierdzi, że nie był z Rywinem na rybach i ostatni raz widział go w czerwcu na pokazie "Pianisty". Premier postanawia doprowadzić do konfrontacji Rywina z Michnikiem.

22 lipca przed południem Michnik zaprasza do siebie Rywina. Za książkami stawia magnetofon i nagrywa rozmowę. Powołując się na "grupę, która trzyma w rękach władzę", Rywin powtarza propozycję, którą wcześniej złożył Rapaczyńskiej. Domaga się, by umowę spisać na piśmie.

22 lipca o 19.30 Michnik ze spisaną rozmową i płytą kompaktową z nagraniem udaje się do premiera. Na spotkanie premier ściąga też Rywina. Gdy wszyscy są już razem, premier daje Rywinowi do przeczytania notatkę Rapaczyńskiej. Rywin błędnie. Zapytany, kto go inspirował, podaje dwa nazwiska: byłego członka KRRiTV, dziś eksperta medialnego Andrzeja Zarębskiego i prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego. Miller każe Rywinowi wyjść. Mówi Michnikowi: "Widzieliśmy właśnie pacjenta zakładu psychiatrycznego, który oszalał dla pieniędzy".

(Tak powyższe wydarzenia przedstawia "GW")

2 września tygodnik "Wprost" w kpiarskiej rubryce "Życie koalicji" opisuje wszystko ze szczegółami. Według "Wprost" przed pierwszym spotkaniem z Millerem Michnik zadzwonił jeszcze do Dariusza Szymczychy (Kancelaria Prezydenta, sam prezydent miał być wtedy za granicą), Krzysztofa Janika (szefa MSWiA) i Jerzego Koźmińskiego (były ambasador Polski w USA, bliski prezydentowi).

3 września o historię opisaną przez "Wprost" pyta ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Grzegorza Kurczuka Monika Olejnik w "Kropce nad i" w TVN. Minister obiecuje, że zajmie się sprawą.

4 września o sprawie wspomina "Rz" w artykule "Wielkie pieniądze i wielka polityka w cieniu ustawy o RTV" (nie podajemy jednak nazwiska Rywina). Dodajemy, że Agora nie chce komentować tych informacji.

O notatkę "Wprost" pyta Rywina "Życie Warszawy". Ten odpowiada: "Prowadziłem pewne rozmowy handlowe, które zostały opisane tak jak w tym starym radzieckim dowcipie (...) Myślę, że jest nieporozumieniem, gdy niektórzy myślą politykę z negocjacjami handlowymi, z biznesem (...)".

Po rozmowie w TVN minister sprawiedliwości konsultuje się ze współpracownikami -prokuratorami. Uznaje, że notka we "Wprost" to zbyt mało i wszczęcie postępowania może narazić prokuraturę na ośmieszenie. Minister sprawdza jednak, czy do prokuratury wpłynęło jakiegokolwiek zawiadomienie w tej sprawie. Nie wpłynęło.

Po rozmowie w TVN, ale nie wiadomo dokładnie kiedy, minister rozmawia z Michnikiem. Dowiaduje się od niego, że "Gazeta" toczy "dziennikarskie śledztwo" w tej sprawie i że zbliża się ono do końca. Minister czeka, aż artykuł się ukaże.

27 grudnia "Gazeta" publikuje artykuł; obszernie opisuje w nim, co się działo w lipcu, i kto z kim rozmawiał. Na stronach internetowych zamieszcza nagranie rozmowy Rywina z Michnikiem.

Tego samego dnia premier oraz minister sprawiedliwości polecają organom ścigania zająć się sprawą opisaną przez "Gazetę".

30 grudnia prokuratura wszczyna postępowanie wyjaśniające w sprawie domniemanej płatnej protekcji Lwa Rywina wobec Agory.

2 stycznia 2003 r. Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wszczyna w sprawie śledztwo. Uznaje, że po wstępnych czynnościach sprawdzających i analizie uzyskanych z redakcji "Gazety" kopii notatki prezesa Agory oraz dysku z nagraniem rozmowy Michnika z Rywinem pojawiło się uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. OPR. LUZ

2003-01-06, Ryszard Bugaj, Rzeka, nr 4, s. 8

Jeżeli elity polityki, mediów i biznesu są spojone ze sobą wspólnymi interesami i wspólną wizją, to demokracja staje się zwykłym teatrem.

Narodziny oligarchii

Elementy systemu oligarchicznego są w Polsce coraz silniejsze, a demokracja słabnie. Tego zdaje się dowodzić opisana przez "Gazetę Wyborczą" afery korupcyjna z Lwem Rywinem w roli głównej.

Cała ta sprawa stanowi jeszcze jeden powód, by zastanowić się nad naturą systemu, w którym żyjemy. Formalnie mamy demokrację parlamentarną, ale wielu ludzi uważa, że to tylko parawan, za którym pociągają za sznurki wpływowi i uprzywilejowani. Szlachetni inteligenci ciągle jednak ostrzegają, by nie poddawać się spiskowej wersji historii. Rzeczywiście trzeba uważać, ale też niewiele z naszej historii można zrozumieć, jeżeli lekceważy się konszachty ludzi wpływowych.

Demokracja rzeczywista czy udawana

W Polsce elementy systemu oligarchicznego są coraz silniejsze, a demokracja słabnie. Ogromna większość klasy politycznej i biznesowej - niezależnie od teatralnych często podziałów - ma coraz więcej spraw wspólnych i... coraz słabsze związki z poglądami i aspiracjami dużej większości

społeczeństwa. System polityczny został tak ukształtowany, że na polityczny rynek wstęp jest bardzo trudny. W końcu ludzie będą zmuszeni wybierać spośród tych, którzy do klasy politycznej już należą, a jeśli im się nikt nie spodoba to... mogą zostać w domu. Dowiedzą się, że nieobecni nie mają racji.

Na przykładzie skandalu korupcyjnego opisanego przez "GW" cechy tego oligarchicznego układu widać wyraźnie. Występują tam Adam, Leszek, Robert, Lew, Wanda itd., a inne charakterystyczne imiona nie pojawiają się - powiedzmy - przez niedopatrzenie. Wysoce charakterystyczny jest też tryb postępowania "Gazety". Oto bardzo wpływowy przedstawiciel establishmentu związany z SLD popełnia drastyczne przestępstwo - dobrze udokumentowane - ale "Gazeta" nie ujawnia faktów, natomiast jej redaktor naczelny pyta głównego podejrzanego (nie zabiera ze sobą adwokata i, można przypuszczać, magnetofonu), czy to prawda? Oczywiście dowiaduje się, że to nieprawda. Zaprzeczają też inni obciążeni przez Rywina.

Gazeta przedstawia wersję, która nie rzuca cienia na klasę polityczną ani na żaden jej wpływowy odłam. Jest tylko jedna czarna owca - Rywin. Uważam więc, że działania "GW" nie są podporządkowane interesom opinii publicznej, ale interesom politycznej elity.

Reformator Sekuła

Choć struktury oligarchiczne działają niejawnie, to w minionych latach można było dostrzec zdarzenia i inicjatywy, które pokazują, jak wąskie elity porozumiewają się ponad społeczeństwem i poza procedurami demokracji. Spoiwem jest osobisty lub grupowy interes uczestników takich porozumień, ale ich decyzje - jeżeli zostaną ujawnione - motywowane są dobrem wspólnym. Znaczenie ma też swoista "misja elit" przekonanych, że wiedzą lepiej, co jest dobre dla społeczeństwa.

Narastanie alienacji polskich elit związane jest z mechanizmem przechwytywania publicznego majątku i z procesem wchodzenia w politykę środowisk postkomunistycznych. Przełamanie podziałów historycznych otworzyło drogę do załatwiania najważniejszych spraw "ponad podziałami". Zdarzeniem na tej drodze szczególnie ważnym będzie powołanie - "ponad historycznymi podziałami" - partii centrum. Jednak warto najpierw obejrzeć się za siebie.

Wbrew temu, co twierdzi wielu pravicowych polityków, aktem założycielskim oligarchii III Rzeczypospolitej nie był Okrągły Stół. Owszem, niektórzy wybitni aktorzy tamtego wydarzenia zaprzyjaźnili się trwale ze swoimi partnerami i uważają, że fakt zawarcia porozumienia powinien przesądzać o zwolnieniu z politycznej (co najmniej) odpowiedzialności za czasy komunizmu liderów tego systemu. Oto skromna ilustracja tej postawy: w 1989 r. powołana została sejmowa komisja ds. zbadania działań rządu Mieczysława F. Rakowskiego. Zostałem jej przewodniczącym i wtedy jeden z najbardziej znanych opozycjonistów powiedział mi: "pamiętaj, że Sekuła to jest reformator".

Jednak Okrągły Stół przede wszystkim otwierał możliwości swobodnego wyboru. Alternatywą było trwanie komunizmu jeszcze przez pewien czas i - najprawdopodobniej - gwałtowne jego zmiecenie. Nie ma powodu przyjmować, że byłby to wariant lepszy dla Polski.

Pierwszym produktem umowy elit ponad głowami społeczeństwa nie było więc porozumienie Okrągłego Stołu, ale decyzja o przeniesieniu miejsc mandatowych z listy krajowej do drugiej tury wyborów w czerwcu 1989 r. Pozwoliło to na wprowadzenie do Sejmu kilkudziesięciu funkcjonariuszy PRL, mimo że w normalnym trybie lista ta nie uzyskiwała od wyborców wymaganego poparcia. Taka procedura nie wynikała z porozumienia Okrągłego Stołu, przeciwnie, porozumienie to łamała. Wola wyborców została wcześniej jednoznacznie wyrażona, a żadne szersze gremium reprezentujące opozycję nie dało przyzwolenia na taki krok. Ci, którzy po stronie "Solidarności" ten krok podejmowali, przypuszczalnie mieli jednak na uwadze możliwość utworzenia rządu ze swoim przedstawicielem na czele.

Rząd Mazowieckiego był w znacznej mierze oparty na porozumieniu elit ponad dotychczasowymi podziałami. Nie chodzi tylko o to, że był to rząd koalicyjny, właściwie bez parlamentarnej opozycji. Ważniejsze, że było to wielkie porozumienie liberalnych elit PZPR i liberałów z dawnej opozycji, które pozwoliło na odrzucenie społeczno-gospodarczego programu "Solidarności". To umożliwiło

kontynuację uwłaszczania się nomenklatury, a jej zdobyta w ten sposób pozycja stała się jednym z głównych wyznaczników politycznych wpływów środowisk postkomunistycznych.

Nie wszystkim z dawnej opozycji podobało się to zbliżania elit i forsowana przez nie polityka. Mało kto już dziś pamięta, że w roku 1990 podjęta została próba zorganizowania "partii Solidarność" jako ugrupowania centroliberalnego, które miało przejąć etos ruchu i zmarginalizować inne inicjatywy polityczne. Projekt się nie powiódł - głównie dlatego, że nie poparł go Wałęsa i ogłosił tzw. wojnę na górze.

Po "wojnie na górze" powstały bardziej sprzyjające warunki dla nowego ukształtowania sceny politycznej. Moje osobiste doświadczenie związane jest z tworzeniem Unii Pracy. Ten eksperyment się nie powiódł. Unia nie zdołała zająć niezależnej pozycji w pluralistycznym spektrum politycznych ugrupowań, a po kilku latach stała się składnikiem nieformalnego bloku postkomunistycznego. Nie chcę bić się tylko w cudze piersi. Z perspektywy czasu widać, że ta inicjatywa była źle pomyślana i nie przyniosła zamierzonego efektu - większej różnorodności sceny politycznej.

Nie tylko Unia Pracy nie stała się trwałym elementem nowej sceny politycznej. Z różnych powodów porażkę poniosły również inne inicjatywy polityczno-programowe. Ocalały ugrupowania "pragmatyczne", gotowe do współzrządzenia w najbardziej nawet dziwacznych układach.

Zaufanie ludzi do demokracji w wielkim stopniu podważyły wkrótce rządy AWS, która dała dowód, że ludzie "Solidarności" nie stosują innych reguł etycznych niż SLD. Ewolucja sceny politycznej nie przyniosła więc wzmocnienia barier wobec tendencji oligarchicznych.

Media przede wszystkim

Ważnym i wciąż aktualnym polem sporu pozostają ocena PRL i lustracja. Dla homogenizacji sceny politycznej i usuwania barier dla współdziałania "ponad podziałami" konieczne jest "zamknięcie historii". Nie można współdziałać z agentami, trudno też o bliskość z tymi, którzy agenturę aktywnie tworzyli, zajmując kierownicze stanowiska w partii komunistycznej. Jedyna rada to zamknąć archiwa i zostawić historię historykom. Adam Michnik i "GW" są i w tej kwestii nadzwyczaj wpływową grupą lobbującą. Środowisko to nie zdołało wprawdzie zapobiec uchwaleniu ustaw lustracyjnych, ale przecież "GW" skutecznie przyczyniła się do ukształtowania złej atmosfery wokół lustracji. To ułatwia działania SLD. Na naszych oczach - choćby dzięki orzeczeniom Sądu Najwyższego czy finansowej diecie aplikowanej IPN - ustawy lustracyjne przekształcają się w świstki papieru.

Największe jednak znaczenie dla stopniowego ubezwłasnowalniania demokracji ma postępujący proces poddawania mediów kontroli ośrodków politycznych i biznesowych. Rząd i prezydent skutecznie - choć pośrednio - kontrolują publiczne media elektroniczne. Dziennikarze coraz częściej odpowiednio komponują serwisy informacyjne, udając bezstronność. Trudno nie dostrzec, że prowadząc telewizyjne debaty są najczęściej dodatkowymi reprezentantami rządu.

Związki ze środowiskami biznesu coraz częściej widoczne są w mediach prywatnych. Pewna wielka gazeta pominęła informację o zmasowanych podwyżkach cen usług TP SA, a wcześniej była wyraźnie zaangażowana w prywatyzację tego przedsiębiorstwa. Takie przykłady można mnożyć.

Najważniejsze znaczenie mają jednak chyba własne interesy biznesowe i status wpływowych dziennikarzy. "Gazeta Wyborcza" po przekształceniu - które w potocznym języku nazwać można wielkim uwłaszczeniem - stała się jednym z największych kapitalistycznych koncernów w Polsce i naszej części Europy, a jej czołowi dziennikarze i menedżerowie - z wyjątkiem Adama Michnika - otrzymali w postaci akcji majątki, które lokują ich w bardzo wąskiej grupie najzamożniejszych obywateli. Chyba nigdzie na świecie nie istnieje gazeta, której kierownictwo to, relatywnie, tak zamożni ludzie. Na mniejszą skalę takie wyróżnienie jest też udziałem kilku innych wpływowych grup prasowych w Polsce.

Czy taka prasa może pokochać progresywne podatki? Czy może sympatyzować z modelem demokracji, który da szansę "zawistnemu społeczeństwu", by wybrało polityków obiecujących wprowadzenie 50-procentowej stawki podatku dochodowego lub opodatkowanie dochodów

giełdowych? Nie jest to wykluczone, ale mało prawdopodobne. Problem nie w tym oczywiście, że dziennikarze i gazety mają poglądy, ale w tym, że - oprócz skądinąd ważnych wyjątków - polityka dyskryminacji jednych i preferowania innych poglądów godzi w demokrację i sprzyja oligarchizacji życia publicznego.

Biznes i polityka, polityka i biznes

Oligarchizację systemu władzy ułatwiają także coraz ściślejsze więzi między światem polityki i światem wielkiego - bywa, że i szemranego - biznesu. Jest tajemnicą poliszynela, że osoby zajmujące najwyższe stanowiska w państwie utrzymują bliskie kontakty z największymi biznesmenami. Coraz powszechniejsza staje się praktyka przechodzenia ministrów do biznesu natychmiast po zaprzestaniu pełnienia funkcji. Zależności te mają oczywiście dwustronny charakter, choć konkrety tylko wyjątkowo docierają do opinii publicznej. A przecież nie może to pozostać bez wpływu na politykę gospodarczą i tworzenie prawa.

Po ostatnich wyborach parlamentarnych ogromną większość stanowisk w administracji rządowej objęli politycy SLD, tworzący bardzo spójne środowisko złączone wspólnymi biografiami. Ta grupa ma też szczególnie zagęszczone kontakty w świecie biznesu. Wszystko to bardzo ułatwia nieformalne działania i traktowanie instytucji demokratycznych jako tylko potwierdzających wcześniejsze rozstrzygnięcia. Poprzednia ekipa rządząca była nieporównanie mniej spójna i nie dysponowała szerszymi kontaktami biznesowymi. I choć w okresie rządów AWS nie brakowało prób budowania nieformalnej struktury zdolnej także do kontroli wielkich przedsiębiorstw, to działania te prowadziły raczej do skandali niż do skutecznego budowania oligarchicznych struktur. Obecnie niebezpieczeństwo jest nieporównanie większe. Wzrośnie jeszcze bardziej, jeżeli powiodą się plany budowy politycznego ugrupowania "ponad podziałami" pod auspicjami prezydenta.

Jeżeli elity polityki, mediów i biznesu są silnie spojone ze sobą wspólnymi interesami i wspólną wizją, to oligarchiczne rządy stają się nieuchronne, a demokracja staje się zwykłym teatrem. Niedostrzeganie w Polsce coraz silniej obecnego mechanizmu oligarchii byłoby naiwnością. Ale to nie znaczy, że demokracja polityczna utraciła już realne znaczenie. Rzeczywisty system rządów jest mieszanką.

Trudno o optymizm

Rządy elit niosą wielkie ryzyko, bo podmywają demokrację. Wcześniej lub później ceną rządów oligarchicznych jest utrata zaufania do wszelkich elit, destrukcja wszelkich autorytetów. Rządy oligarchiczne demoralizują też uczestniczące w nich elity, bo przyznają sobie nienależne przywileje i nie potrafią podporządkować się woli większości, nawet jeżeli jest ona demokratycznie i jasno wyrażona. Elitom, gdy uzyskują kontrolę, trudno pozbyć się przekonania, że mają "bezpośredni kontakt z historią", który - tak się jakoś składa - jest zgodny z ich grupowymi interesami.

Na przyszłość polskiej demokracji trudno więc patrzeć z optymizmem, a przystąpienie do Unii rozszerzy jeszcze przestrzeń spraw faktycznie wyłączonych spod wpływu wyborców. To nie oznacza, że z mechanizmami systemu oligarchicznego należy się pogodzić. Najważniejsza jest tu uporczywa wojna o rygorystyczne oddzielenie polityki od biznesu i tworzenie warunków dla pluralistycznej opinii publicznej. Potrzebne jest też urealnienie warunków konkurencji ugrupowań politycznych, tak by ludzie mogli wybierać spośród realnie zróżnicowanego spektrum koncepcji programowych. To wymaga likwidacji zbędnych instytucji politycznych (np. powiatowego szczebla samorządowego) i obniżenia barier broniących dostępu na scenę polityczną. Z polityki nie można też rugować kwestii etycznych i historii.

Sposób załatwienie "sprawy Rywina" będzie miał wielkie - i nie tylko symboliczne - znaczenie. Jeżeli Lew Rywin zrobił to, o czym pisze "Gazeta Wyborcza", to powinien, sam lub z mocodawcami, przejść na państwowy wikt. Ale jest też rzeczą niesłychanie ważną, by pierwszy urzędnik Rzeczypospolitej wyjaśnił opinii publicznej, dlaczego przez kilka miesięcy nie powiadomił formalnie organów ścigania o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. To sprawa poważna - wszak podejrzany mógł skutecznie mataczyć.

Dziś wszyscy deklarują konieczność pełnego wyjaśnienia tej sprawy. Ale marszałek Sejmu Marek Borowski mówi, że sejmowa komisja śledcza powinna powstać po śledztwie prokuratorskim - jeżeli ono nie będzie zadowalające. Z góry można jednak przewidzieć, że sejmowa większość będzie z pracy prokuratora zadowolona. Stanowisko Borowskiego to sygnał, iż jest także pomysł, by sprawa nie została wyjaśniona przy całkowicie podniesionej kurtynie. Znam z doświadczenia wszystkie mankamenty parlamentarnej komisji śledczej, ale nie mam wątpliwości, że szansę, choć nie gwarancję, wiarygodnego wobec opinii publicznej wyjaśnienia tej sprawy ma tylko jawnie pracująca komisja śledcza Sejmu.

Inaczej łatwo można sobie wyobrazić taki scenariusz zakończenia "sprawy Rywina": prokurator wobec braku wystarczających dowodów popełnienia przestępstwa (lub jego ograniczonej szkodliwości) umarza sprawę, a "GW"... kupuje ogólnopolską telewizję Polsat.

2003-01-07, Wojciech Maziarski, Michał Karnowski, Newsweek Polska, nr 2, s. 10-11.

Polityka sięgnęła bruku

Nie ma jasnej definicji patologii. Ale to, co zrobiliśmy z naszym życiem publicznym, na pewno przekroczyło już próg normalności.

Jeden z najpotężniejszych ludzi w polskim biznesie filmowym, człowiek będący gwiazdą salonów towarzyskich i politycznych III Rzeczypospolitej, w biały dzień przychodzi do redaktora największej polskiej gazety i proponuje: "Kup pan ustawę". Próbuje negocjować warunki, wyznacza cenę, podaje konto. Mówi, że przychodzi w imieniu "grupy trzymającej władzę". Wybuchu skandal, bo Adam Michnik propozycję Lwa Rywina nagrywa i po sześciu miesiącach - ale właściwie dlaczego dopiero po sześciu? - publikuje w "Gazecie Wyborczej".

To już nie przypadek, to kolejny sygnał, że patologia zawładnęła Polską. Dotarła do najwyższych szczebli struktury społecznej i państwowej. Elity polityczne, które w założeniu miały reprezentować wyborców i podlegać społecznej kontroli, wyemancypowały się i zaczęły pasożytować na organizmie RP. Traktują państwo jak łup do podziału po kolejnych wyborach. Dobro publiczne zostało podporządkowane interesom grupowym poszczególnych koterii partyjnych, które rywalizują ze sobą o wpływy. Do tych środowisk lgnie biznes, potrzebujący wsparcia politycznego dla swoich interesów. Do polityków garną się szefowie potężnych grup przestępczych, traktujący dostęp do władzy jako gwarancję bezkarności. I wreszcie wokół tych znaczących graczy wiruje chmara podrzędnych cwaniaczków, awanturników i snobów. A nad wszystkimi unosi się zapach pieniędzy.

Czy dowiemy się, kto przysłał Rywina i dokąd miały trafić pieniądze? Prokuratura na polecenie ministra Grzegorza Kurczuka rozpoczęła śledztwo w tej sprawie. Przesłuchane mają być osoby, których nazwiska padły w tekście "Wyborczej". Czy jednak prokuratura zdoła dojść prawdy? Czy będzie jak w Watergate, czy raczej, jak to u nas zwykle bywa, wszystko rozmyje się - patrz sprawy Polisy, inwigilacji partii politycznych za rządów Suchockiej czy rzekomego zbierania kwitów na Kwaśniewskiego przez AWS. Mechanizm umierania takich spraw jest podobny i prosty - śledztwo zwykle trwa miesiącami, temat schodzi z czołówek dzienników, w końcu prokuratura z braku dowodów po cichu umarza postępowanie. Nie ma winnych. A za kilka miesięcy ci sami ludzie wystąpią w kolejnej farsie politycznej na pierwszych stronach gazet.

Amerykańscy neokonserwatyści, jak Irving Kristol, poszukujący ratunku dla degenerujących się demokracji, twierdzą, że grupy wpływów zawłaszczyły dla siebie całe państwa. Coraz wyższe koszty prowadzenia kampanii wyborczych spowodowały, że politycy stają się zakładnikami pieniędzy i koncentrują się na ich zdobywaniu - albo od wielkiego biznesu, którego w Polsce wciąż mało, albo poprzez próbę budowania własnych zapleczy finansowych. Poszczególne firmy polityczne, jak nazywa takie partie Kristol, zaczynają konkurować między sobą nie o wyborców, ale o pieniądze. Coraz więcej czasu poświęcają własnym interesom i coraz mocniej są odizolowane od realiów i potrzeb społecznych.

Bezrobocie oraz bezpieczeństwo to największe polskie problemy społeczne - zobaczymy, ile czasu i uwagi poświęcił im Sejm w ostatnim roku w porównaniu z innymi zagadnieniami - np. ustawie o

radiofonii albo reformie służb specjalnych, polegającej na wymianie dawnych agentów na "swoich". Ile czasu politycy strawili na powoływanie spółki Cukier Polski, tworzenie nowych zapisów w ustawie lustracyjnej czy dziwaczne inicjatywy ministra zdrowia Mariusza Łapińskiego. Nie wiemy, o co chodzi w większości tych projektów, ale wiemy, że dla polityków są ważniejsze od naszych problemów.

Wyborcy stają się klasą zapomnianych. Obok niej na naszych oczach rodzi się natomiast nowa kasta społeczna. Nietykalni. Uważają się za właścicieli Rzeczypospolitej. Przekonani są, że stoją ponad prawem obowiązującym zwykłych obywateli. I rzeczywiście, coraz częściej pozostają bezkarni - niczego nie można im udowodnić i niczego zarzucić. Gdy w połowie 2001 roku liderzy PO ujawnili oświadczenia majątkowe, okazało się, że były prezydent Warszawy Paweł Piskorski, który nie ma nawet czterdziestu lat, posiada ponad 300 tys. zł, działkę o powierzchni 2,4 ha (własność żony i jej matki), kilka mieszkań, akcje i kolekcję antyków. Media wyceniły jego majątek na pół miliona dolarów. Pytany przez dziennikarzy, jak zgromadził taki majątek, działając przez cały czas tylko w polityce, Piskorski odpowiedział: grałem na giełdzie i handlowałem antykami. Urząd skarbowy to potwierdził, ale polityk nie ujawnił opinii publicznej żadnych dokumentów. Kilka miesięcy później Piskorski zbiedniał: właścicielką części jego dóbr została żona Aleksandra.

Podobnie było, gdy dziennikarze wytropili, że minister obrony narodowej Jerzy Szmajdziński ma 300 tysięcy złotych pożyczki niewiadomego pochodzenia. - Pożyczyłem od przyjaciół - odpowiedział minister i odmówił ujawnienia ich nazwisk.

Nietykalnych, jak sama nazwa wskazuje, tykać i pytać nie wolno. Oni sami natomiast mówią bez ogródek, żądają i sięgają po publiczne jak po swoje. Ich język jest prosty i wulgarny, jak słowa zabitego ministra sportu Jacka Dębskiego, który w wywiadzie prasowym cytował rzekomych szantażystów, mających się domagać: "Znajdź kwity na Kwaśniewskiego, bo jak nie, to my znajdziemy kwity na ciebie".

Ci ludzie nie boją się kompromitacji i społecznego potępienia. I słusznie - bo jak wykazała praktyka, od sankcji społecznej groźniejsza jest dla nich zemsta ze strony partnerów ze świata przestępczego. W końcu to nie społeczny ostracyzm przerwał polityczno-finansową karierę Jacka Dębskiego, lecz strzały oddane przez wynajętego bandziora. Opinia publiczna nie była nawet specjalnie zdziwiona, że w chwili zabójstwa były minister i biznesowy partner gangsterów jadł kolację w knajpie z luksusową dziwką i znanym dziennikarzem. To w końcu normalne. Taki jest skład społeczny elit III Rzeczypospolitej.

Nie tak miało być. Nie takie były plany i nadzieje. Czy pamiętają Państwo tamten entuzjazm i zaangażowanie? Tłumy walące w 1989 roku drzwiami i oknami do siedzib Solidarności i komitetów obywatelskich. Te koleżki licealistów, studentów, ludzi w średnim wieku i emerytów, domagających się, by dać im coś do roboty, cokolwiek - mogą rozklejać plakaty, roznosić ulotki, parzyć herbatę dla działaczy. Oczywiście wszystko za darmo, dla sprawy. Taki był klimat tamtej epoki i wielu osobom wydawało się, że te standardy moralne będą obowiązywać w III RP.

Jeszcze w czasach rządu Tadeusza Mazowieckiego powszechne było przekonanie, że uda się stworzyć państwo obywatelskie. Nie przypadkiem do terminu "gospodarka rynkowa" dodawano wówczas określenie "społeczna". Powstał wtedy nawet specjalny fundusz Mazowieckiego - przekształcony później w Fundusz Daru Narodowego - na który obywatele wpłacali dobrowolne datki. To miała być wspólna, obywatelska kasa III RP, służąca zaspokajaniu potrzeb tych, którzy wymagają pilnego wsparcia. Entuzjazm wyczerpał się i fundusz zlikwidowano w roku 1992. Dziś słowo "kasa" budzi całkiem inne skojarzenia - przywodzi na myśl raczej wspólne interesy Dębskiego i gangstera "Baraniny" niż szczytne plany z czasów tamtego premiera. Jeszcze w czasach rządu Tadeusza Mazowieckiego powszechne było przekonanie, że uda się stworzyć państwo obywatelskie. Nie przypadkiem do terminu "gospodarka rynkowa" dodawano wówczas określenie "społeczna". Powstał wtedy nawet specjalny fundusz Mazowieckiego - przekształcony później w Fundusz Daru Narodowego - na który obywatele wpłacali dobrowolne datki. To miała być wspólna, obywatelska kasa III RP, służąca zaspokajaniu potrzeb tych, którzy wymagają pilnego wsparcia. Entuzjazm wyczerpał się i fundusz zlikwidowano w roku 1992. Dziś słowo "kasa" budzi całkiem inne skojarzenia - przywodzi na myśl raczej wspólne interesy Dębskiego i gangstera "Baraniny" niż szczytne plany z czasów tamtego premiera.

Program polityczny, z jakim Polska wchodziła w epokę III RP, dawał nadzieję na stworzenie państwa, które będzie służyło wszystkim obywatelom, a nie tylko wąskiej grupie władców. W większości europejskich demokracji powstała klasa urzędnicza, nie tylko przekładająca i stemplująca papiery, ale będąca też swoistym bezpiecznikiem, buforem między klasą polityczną a resztą społeczeństwa.

I u nas aparat państwowy poniżej szczebla ministrów miał być odpolityczniony i wyłaniany z szeregów korpusu cywilnego, kształconego w Krajowej Szkole Administracji Publicznej. Odpolitycznione miały być media publiczne. Pamiętają Państwo prezesa Radiokomitetu Andrzeja Drawicza, który mawiał, że dziennikarze wchodzący do gmachu TV powinni zostawiać legitymacje partyjne w portierni? Prywatyzacja miała odebrać politykom dostęp do "kasy" i doprowadzić do wyłonienia się klasy średniej, będącej depozytariuszem etosu obywatelskiego. Budowa samorządu miała doprowadzić do narodzin obywatelskich społeczności lokalnych, które będą się rządzić same, bez ingerencji ze strony partii i warszawskich elit. Właśnie tak miało być.

Jednak stopniowo, pod presją różnych grup interesu, cele i ideały z początków III RP poszły w niepamięć. Dziś państwo jest traktowane przez pazerne elity jak łup polityczny. I znów, jak w zamierzonych czasach PRL, nabiera aktualności wiersz Wisławy Szymborskiej, która tak pisała o relacjach między elitą władzy a społeczeństwem:

Między nimi i ludem miały być tylko drzewa, to tylko, co się w liściach przemilczy i prześpiewa. Między nimi i ludem. A tu mosty zwodzone, a tu wąwóz z kamienia (...) Kristol przekłada słowa poetki na język politologów, mówiąc o demokratycznym kryzysie autorytetu.

Obala popularne twierdzenie, że brak zaufania społecznego i niechęć do uczestniczenia w życiu publicznym to wytwór popkultury. Nie, to produkt uboczny umacniania klasy nietykalnych. We współczesnym świecie każdy indywidualnie podejmuje decyzje, gdzie i w jakim stopniu chce być aktywnym obywatelem, i każdy uzależnia to od tego, czy czuje, że jego działania przynoszą efekty. Jeżeli widzi, że każde działanie natychmiast staje się łupem klasy politycznej, ingerującej we wszystkie dziedziny życia, od samorządów po kulturę, to szybko się wycofuje. Polacy w coraz mniejszym stopniu wierzą, że w tym kraju można coś jeszcze załatwić bez płacenia okupu nietykalnym.

Według sondażu CBOS (z sierpnia 2001 roku) aż 68 procent ankietowanych twierdzi, że korupcja jest w Polsce wielkim problemem. Dziesięć lat wcześniej opinię tę podzielało 33 procent pytanym. Polska spada w międzynarodowych rankingach, które oceniają przejrzystość prawa i życia polityczno-gospodarczego. W 1997 roku "antykorupcyjny" ranking organizacji Transparency International dawał nam dość wysoką 29. pozycję (im wyższa pozycja, tym mniejsza skala korupcji), w roku 2000 już 43. (na 91 miejsc). Zdaniem wielu organizacji monitorujących walkę z patologiami skala korupcji w Polsce jest zastraszająca. Taką opinię zawiera m.in. ubiegłoroczny raport węgierskiego Open Society Institute (Instytutu Społeczeństwa Otwartego) omawiający zjawisko korupcji w dziesięciu państwach kandydujących do UE.

Dwa lata temu wstrząs wywołała informacja zawarta w raporcie Banku Światowego, że ustawę w Polsce można kupić. Podano nawet cenę - 3 miliony dolarów za zmiany w prawie dotyczącym gier losowych. Jak mówi Grażyna Kopińska, dyrektor programu Przeciw Korupcji Fundacji im. Stefana Batorego, coraz wyraźniej widać, że nasila się opisane w tamtym raporcie zjawisko tzw. state capture, czyli zawłaszczanie państwa i prywatyzowanie jego struktur.

2003.01.08, Jan Krauze, Rzeka, nr 6 s. 2

Rzeczowy Przegląd Prasy **Dziwny "napad szaleństwa" prezesa Canal+ Polska, Le Mond, 2003-01-03**

Cała historia wydaje się aberracyjna. Najbardziej znany producent polskiej kinematografii, Lew Rywin, będący ponadto prezesem rady nadzorczej Canal+ Polska, próbuje uzyskać olbrzymią łapówkę od Adama Michnika, redaktora naczelnego największego dziennika w kraju. W zamian oferuje zmianę rządowego projektu ustawy o mediach audiowizualnych. Sugeruje, że działa w imieniu premiera

Leszka Millera. Jednak Michnik bez wiedzy Rywina nagrywa jego propozycję i opowiada wszystko - ale sześć miesięcy później - w swoim dzienniku, w "Gazecie".

Trzeba się jednak cofnąć do lipca 2002 roku. W tym czasie między postkomunistycznym rządem i "Gazetą" istniał ostry konflikt, bowiem rząd opublikował projekt ustawy, która zabraniałaby dziennikom nabywania prywatnych stacji telewizyjnych i znacznie wzmocniłaby telewizję publiczną, ściśle kontrolowaną przez socjaldemokratów. Rywin kontaktuje się z kierownictwem "Gazety" i oferuje gwarancje, iż ustawa zostanie zmodyfikowana tak, by dziennik mógł nabyć prywatny kanał Polsat, o który zabiega. Żąda 17,5 miliona dolarów, czyli 5 procent zakładanej wartości kanału. Pieniądze miałyby zostać przelane na konto jego spółki produkcyjnej, Heritage. W rzeczywistości są jednak przeznaczone dla partii Millera, SLD. Ponadto żąda powierzenia mu kierowania Polsatem, gdzie broniliby "interesów lewicy"... Michnik wyraża chęć spotkania, skłania Rywina do powtórzenia propozycji, nagrywa ją i kontaktuje się z premierem. Miller wszystkiemu zaprzecza, wzywa jeszcze tego samego wieczoru Rywina, który staje twarzą w twarz z Michnikiem celem konfrontacji i mówi, pობladłszy, o samobójstwie lub wyjeździe z kraju...

Jak człowiek tak inteligentny, mający tak wysoką pozycję, tak bogaty jak Lew Rywin, koproducent "Listy Schindlera" Spielberga i "Pianisty" Polańskiego (gdzie występuje w roli geszefciarza z getta zbierającego złote monety), mógł choć przez moment sądzić, że uda mu się skorumpować Adama Michnika? Tego, który tyle lat poświęcił walce o demokrację i który z celi rzucił w twarz komunistycznym przywódcom książkę o "Historii honoru w Polsce"?

Rywin, wyjaśnia dziś premier, oszalał "na punkcie pieniędzy". Ale dlaczego on sam nie zareagował natychmiast i nie wniósł skargi? I dlaczego "Gazeta" czekała sześć miesięcy z ujawnieniem sprawy, o której od dawna krążyły pogłoski? Czy tylko dlatego - jak pisze dziennik - by mieć czas na przeprowadzenie "dziennikarskiego śledztwa", które nie wniosło niczego nowego? Konkurencyjne gazety podchodzą do całej sprawy z niesmakiem, sugerują, że nie wiemy wszystkiego. Kierownictwo "Gazety" kategorycznie odmawia dalszych informacji. Lew Rywin nabrał wody w usta. A minister sprawiedliwości nareszcie zdecydował się wszczać postępowanie.

2003-01-19, Eliza Olczyk, Rzeka, nr 15.

Przychodzi Rywin do Michnika - pełna wersja

O życiowej szansie prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego, czyli pomysłe na prywatyzację telewizyjnej Dwójki. Kto jest dla Kwiatkowskiego największym zagrożeniem na rynku telewizyjnym? O "wirusie Czarzastym", powstaniu i obecnej sytuacji Polsatu. Dlaczego lewica bała się, że Agora kupi Polsat? Z czym redaktor naczelny "Gazety Wyborczej" Adam Michnik porównuje walki po lewej stronie życia politycznego? Dlaczego zepsuły się jego stosunki z prezesem TVP? Poza tym kilka zdań o sztuce - sukcesie "Pianisty" i kolejnej części "Skrzypka na dachu". No i słynna propozycja korupcyjna Lwa Rywina, producenta filmowego.

Tak w rzeczywistości wyglądała rozmowa Michnika z Rywinem, którą prowadzili w gabinecie szefa "GW" 22 lipca ubiegłego roku. Spisaliśmy trwający 30 minut i 15 sekund dialog. Nagranie dostarczone prokuraturze jest dłuższe, trwa 54 minuty. Według "GW" w nieudostępnionym w Internecie fragmencie słyhać tylko ciszę - Michnik z Rywinem dyskutowali wówczas na tarasie redakcji, a magnetofon znajdował się w pomieszczeniu.

Lew Rywin: ...ale nie chcę już na ten temat gadać, bo już zdenerwowałem się na nich potwornie...

Adam Michnik: Posłuchaj - co Cię obchodzą... Ty masz Złotą Palmę, to masz ich gdzieś, gdyby na odwrót było... To był dobry film, gdyby przegrał na konkurencji międzynarodowej, to ja bym rozumiał twoje zirytowanie. Ale jeżeli wygrał...

R.: Moje zirytowanie wynika stąd: oni na... poszli na kasę w trójkę. Reszta nie doszła, bo 400 osób w ogóle się nie dostała na projekcję prasową w Cannes. Ja ich spotykam potem i mówię: uprzedzam Was, że mam przecieki, że będzie jakaś tam... Oni: a co Ty tu pieprzysz, to jest twój film, dlatego,

takie tam. Ja mówię: jury jest zafascynowane, bo widziałem wcześniej. Oni pojechali tam, jak zwykle do Cannes, po nowe filmy. Tam dostawały nagrody filmy, które wprowadzały coś nowego, wszystko jedno: forma, kształt, muzyka, obraz, jakieś takie, wiesz, poszukiwania. A tu nagle czysty film klasyczny, pięknie zrobiony, doskonale wyrzeźbiony, ale nic nie wkłada, jeśli chodzi o formę. Jest tam troszkę w getcie Polańskiego itd. Więc oni wysłuchali, chociaż ich uprzedzałem z lekka, że mam takie nadzieje po rozmowach z przewodniczącym jury, który powiedział, że on będzie walczył. Nie oczekiwałem głównej nagrody, przyznaje.

M.: A Romek (chodzi o Romana Polańskiego, reżysera "Pianisty" - red.)?

R.: Romek powiedział, że przyjedzie do Cannes, jeśli będzie albo pierwsze, albo drugie (miejsce - red.). On szczał po nogach, żeby ten film wygrał i tego... Bardzo się denerwował. I, jak się dowiedział, że już jest, cieszył się jak chłopak.

M.: Miał z czego.

R.: Cieszył się, jak chłopak. Jutro przylatuje. Z powodów technicznych przegląd czy pokaz tego, bo premierę w Filharmonii, tam gdzie Szpilmann grał swoją muzykę bardzo często, nie chce tego robić w Teatrze Wielkim, bo się nie nadaje. Więc robi bardzo wąski VIP w Filharmonii, a resztę zrobi w Relaksie, ten pokaz tego. W każdym razie jestem zadowolony dlatego, że...

M.: To największy twój sukces tego typu.

R.: Nie, no wiesz, ja cieszyłem się z "Pana Tadeusza" bardziej, bo to było jednak siedem milionów widzów.

M.: No znaczy kasowo, ale ze względów prestiżowych?

R.: No, ale wiesz, "Pan Tadeusz" ja miałem sam, a tu jestem w grupie.

M.: Rozumiem, rozumiem,

R.: No wiesz, to troszkę inaczej się odbiera.

M.: Już rozumiem, nie pomyślałem. No dobrze, Lwie. Czasu nie ma już wiele bardzo?

R.: Zrobię ci wstęp, co ja mogę ci powiedzieć. Jest grupa, która zawołała mnie i mówi: "Słuchaj. Chodzą po mieście takie te, że ty im się przyglądasz, że ty chciałbyś ewentualnie z Adamem porozmawiać, jak on chce ten Polsat kupić". Ja - "Czy to są żarty, czy nie, powiedziałem, jeśli chodzi o mnie, nie ma żadnego problemu". Oni - "Ale chcielibyśmy z ciebie skorzystać, żeby przekazać pewien message...". To się złożyło tak, że zawołał mnie Zarębski też i Wandę... I ta grupa po prostu, znaczy jak gdyby z jednej strony mówi: gwarantuje ci ustawę i gwarantuje ci akceptację zakupu. Czy to dojdzie do tego, czy nie, to jest wasza sprawa, ja na ten temat też mam swój pomysł. I oni chcą wykorzystać mnie do zrobienia, żeby to było bardzo koszerne i czyste. I ponieważ ta grupa trzyma w rękę władzę, a jest zainteresowana środkami, bo są im potrzebne, powiedzieli, że mogą to... Władza im daje gwarancje, że to będzie przeprowadzone. A jak nie, to bierzesz jak gdyby sam na siebie ryzyko, jakie będą walki i w Sejmie, i w Senacie.

M.: I ty usłyszałeś to na rybach wszystko, tak?

R.: Ja to usłyszałem. Gdzieś tam.

M.: Poczekaj. To sam wiem.

R.: No i to tyle wiesz, to wszystko.

M.: Dobrze. A ustawa, w jakim kształcie?

R.: 30 procent.

M.: Nie, nie, nie. Co w ustawie będzie?

R.: W ustawie będzie to, co będziecie chcieli. Znaczący, w ogóle będziecie mieli te wszystkie wasze postulaty. Ja nie wchodziłem w szczegóły.

M.: Klucz jest w dwóch miejscach tak naprawdę. Po pierwsze - jeżeli to jest wiadomość, message od Leszka Millera, to ja to biorę. Ja żadnego innego message nie biorę serio. Już za dużo mnie wykiwali.

R.: To ja jestem gwarantem.

M.: Że to od Leszka?

R.: Ale on nie jest sam.

M.: Nie, no nie sam. Mnie wystarczy, że on, ale że nie ktoś inny ci to mówił, że to on ci powiedział. Mnie już dziesięć osób gwarantowało, a potem to okazało się wszystko nieprawdą.

R.: Słuchaj, Wanda i Piotrek znają powagę mojej osoby... [chodzi o Wandę Rapaczyńską, prezesa Agory, wydawcy "Gazety", i Piotra Niemczyckiego, wiceprezesa Agory - red].

M.: To ja wszystko wiem. Ja chcę od ciebie...

R.: Nie usłyszysz tego słowa.

M.: Nie usłyszę?

R.: Nie, nie mogę ci tak powiedzieć. Ja muszę to inaczej jakoś umieścić. Ja ci mogę powiedzieć, że masz rację.

M.: No dobrze, tylko teraz jeszcze powiedz o terminach. Jak to wszystko...

R.: Ja jestem zobowiązany wrócić tam i powiedzieć, że: zastanawiacie się, nie, tego, cokolwiek. Muszę im coś powiedzieć. Natomiast, jeśliby doszło do tego, to trzeba spisać i ustalić. Pierwsze zadanie moje było dowiedzieć się od was, czy w ogóle jest o czym rozmawiać, i ustalić, że tak powiem, technologię rozmów i...

M.: Jak to sobie wyobrażasz?

R.: Wyobrażam sobie, że zostanie to napisane tutaj, i ja to zaniosę i ewentualnie jakieś uwagi lub tego, i w pewnym momencie to będzie powiedziane, proszę bardzo, tak to ma być. Może być Piotrek, może być Wanda. Piotrek jest dla mnie doskonałym rozmówcą, bo mamy duże doświadczenie, ale tu mi wszystko jedno. Grupa może być i większa. W każdym razie nikt z tamtej strony się nie pokaże. A w ogóle ja będę rozmawiał w bardzo wąskim gronie, to oczywiste.

M.: Dobrze, a powiedz mi, co na takim papierze powinno być?

R.: Na tym papierze powinny być warunki. Zresztą ten papier istnieje tak naprawdę. Wanda mi go dała, co byście chcieli tam mieć.

M.: Nie. Co byśmy chcieli, to myśmy informowali wszystkich.

R.: Natomiast innych papierów nie ma. Tylko ja jestem zakładnikiem po jednej i po drugiej stronie.

M.: No dobrze, a w jakim terminie my byśmy mieli zapłacić kasę?

R.: Po rozmowie z Wandą były to dwa punkty. Jeden - z chwilą, kiedy ustawa jest załatwiona, a drugi...

M.: Rozumiem, ale jaki termin?

R.: No nie rozmawialiśmy na temat terminu.

M.: Dlatego cię pytam.

R.: Ty mówisz po fakcie?

M.: Nie, teraz.

R.: Teraz nie ma żadnych układów.

M.: Nic takiego nie ma?

R.: Nie. Ja nic nie chcę.

M.: Dobrze.

R.: Ja chcę tylko za efekt i wystarczy mi twoje słowo, że tak będzie. Ja tak powiedziałem. Ja powiedziałem, że żadnych dokumentów nie chcę.

M.: Trzydzieści procent najpierw, tak?

R.: Tak. Znaczy nie najpierw. Z chwilą, kiedy prezydent podpisuje ustawę.

M.: A siedemdziesiąt?

R.: Kiedy ty kupisz, po zakupie.

M.: Po zakupie?

R.: Tak.

M.: Powiedz mi, jak sądzisz, skąd, że tak powiem, ta grupa wpadła na pomysł, żeby składać taką ofertę?

R.: Ja myślę, że jako partia potrzebują środków. Myślę, że to jedna z głównych możliwości sięgnięcia po takie środki. I dwa: część przynajmniej z tych ludzi, część w ogóle śmieje się z tego, że chcesz kupić Polsat, bo nie wiedzą, w którym kierunku pójdziesz, jaka to będzie widownia, czy będziesz wypychał TVN. W ogóle już jest duża dyskusja, merytoryczna, nazwijmy to. A część chce niepisanego sojuszu na zasadzie - zresztą to, co mówili ostatnio - że nie to, że ty będziesz ich pomagierem, nazwijmy to, ale że nie będziesz stał w pierwszym szeregu, ale w drugim, trzecim, jeśli trzeba przypierdolić, to dopiero wtedy. Chcą takiego powiązania nieformalnego. Boją się poza tym, że... Gdzieś muszą szukać oparcia.

M.: Powiedz mi, czy ty to wiążesz w jakikolwiek sposób z wewnętrznymi podziałami w towarzystwie?

R.: Moim zdaniem, Miller czuje się słaby w tej chwili. Potrzebuje jakiegoś oparcia. Nie wiem, może zaczyna się czegoś bać. Nie sądzę, żeby to był oryginalny jego pomysł. Myślę, że ktoś jego na to namówił.

M.: A, jak sądzisz, dlaczego oni wolą się w takiej sprawie porozumieć ze mną, a nie z Solorzem?

R.: Dlatego, że ty - pomimo że jesteś wariat, ale to obliczalny wariat jesteś i z tobą jak się dogadam, to się dogadam, z Solorzem nie. Zresztą ja im sam odmawiałem od Solorza. Dlatego, że to jest bandyta, nie złodziej, z nim się nie da namówić. Ja próbowałem, zresztą Wanda i Piotr mogą o tym dokładnie opowiedzieć. Ułożyć się potrzebowałem, ale to nie, nie. To jest facet, który ci wbije rdzawy nóż w plecy. Wiem, że on chodził tam i tego, ale... Bo był ruch odwrotny, że Polsat wchodzi...

M.: A, wedle twojej opinii, skąd się wziął ten pomysł tej ustawy? Dlatego, że ja to próbowałem...

R.: Myślę, że początek ustawy to był Czarzasty i Robert, którzy chcieli załatwić każdy swój interes (Włodzimierz Czarzasty, założyciel wydawnictwa Muza, sekretarz KRRiTV, Robert Kwiatkowski, prezes TVP - red.). Robert - sprywatyzować Dwójkę, Czarzasty - żeby jeszcze stworzyć koncern nowy, nazwijmy to prasowy, że tak powiem kontr-Agora: wydawnictwa, plus tam... Muza to się chyba nazywa.

M.: Twoim zdaniem to jest dostatecznie mocna oferta, żeby przebić Roberta?

R.: On jest w tym, ale on nie będzie miał nic, że tak powiem, do tego.

M.: Nie sądzisz, że on...

R.:... nie oszuka

M.: (...) zagrożenia?

R.: Nie, dlatego, że Robert wymyślił sobie, że jeśli, to pójdzie w tym kierunku, to będzie on miał łatwiej z prywatyzacją Dwójki w przyszłości.

M.: Tak. Ja rozumiem, że pierwsza rata po tym, jak prezydent to podpisuje. Jest jedna rzecz, której ja nie umiałem wyciągnąć od Wandy. Jaka suma wchodziłaby w grę?

R.: Ich rozumowanie jest następujące: wartość Polsatu, według nich, jest 350 i oni chcą 5 proc. od tego.

M.: 5 proc. od 350 to jest 10.

R.: Nie. 3,5 razy 5 to 17,5. Ja myślę, że ja jestem w stanie to troszkę w dół. Uważam, że to jest troszkę przesada. Nie mogę ci powiedzieć, jaka cena, ale takie było ich myślenie.

M.: Mniej więcej rozumiem. No dobrze, słuchaj. To jest sprawa bardzo poważna. Ja sobie zastrzegłem w tej sprawie decyzję. Ona musi należeć do mnie, choć to jest decyzja czysto biznesowa.

R.: Słuchaj.

(W nagraniu zapada w tym momencie 8-sekundowa cisza - red.).

M.: (...). Ja się boję jednej rzeczy. Wedle mojej oceny, która oczywiście nie opiera się na mediach, ja się na tym za słabo znam, ale według oceny innych, że tak powiem, to tam bardzo rozmaici ludzie kręcą.

R.: Bardzo różni.

M.: Każdy inny. Od pewnego momentu ty masz szum informacyjny. Jak mówił Stefan Kisielewski, masz buldogi pod dywanem. Coś się rusza, rozumiesz, ale kto, kogo gryzie, nie wiesz.

R.: Ja nie szukałem tego, zostałem w pewnym momencie poproszony, bo stałem z boku. I również na zasadzie jak gdyby pewnego zmęczenia materiału z tamtej strony, przecież oni tak samo się czują. Ja

też nigdy nie rozmawiałem tete-a-tete. Zawsze była rozmowa w dwie, trzy osoby. Zadałem, czy mogę takie pytanie postawić, czy jesteś zainteresowany. Powiedziałem, że uważam, że sprawa jest tak poważna i tak interesująca, że mogę jakiś ruch wykonać. Ale ja jeszcze bym zaczął od końca, bo powiedzmy, że to jest problem decyzyjny i jest do przeprowadzenia. (...) Ale co dalej? Co ty chcesz zrobić? Czy ty już wiesz do końca? Bo nie możesz utracić tej widowni Polsatu.

M.: Naprawdę ja bym ci powiedział, że wiem...

R.: to byłoby ci prościej podjąć decyzję.

M.: To po pierwsze, a po drugie - to ja bym sam siebie uważał za hochsztaplera. Dlatego, że to jest bardzo trudne. Bardzo trudne to jest..

R.: Czego ja się boję, powiem ci szczerze. Że w pewnym momencie będziecie przeżywali syndrom Waltera. To znaczy z jednej strony byście chcieli to, co robicie najlepiej, ale może się okazać, że ten produkt ma siedem procent widowni. A w związku z tym... Albo mówimy biznes jest biznes, a my swoje rzeczy robimy gdzie indziej, a to zostawiamy w tych formatach, jakie są, polepszamy je, ale robimy telewizję komercyjną dla pewnej niszy, która nas też interesuje i będziemy próbowali tą niszę troszkę edukować, troszkę zmieniać, troszkę powiększać itd. Ale nie można ich tak zostawić, bo ktoś inny w to wejdzie. I to jest problem.

M.: (...) przecież on (...)

R.: Solorz jest człowiekiem, który rozpiardala każdy interes. Polsat po prostu był trafiony. Nurowski (członek rady nadzorczej Polsatu - red.) załatwiał te sprawy politycznie i organizacyjnie, a Basia Pietkiewicz z Wrocławia, nie wiem, czy ją znasz...

M.: Nazwisko znam.

R.: Ona była szefową we Wrocławiu i widziała, jak się robi telewizję dla mas. Poza tym zobaczył u Kircha, jak to jest, że trzeba najtańszy produkt (...) Ale później to wszystko rozpieprzył, platformę cyfrową wspólną nam (...) Ja wziąłem wszystkie biznesy, które on robi i on robił wszystko po prostu na szczęście. On nie miał żadnych mądrych pomysłów. Nie miał żadnego mądrego posunięcia. (...)

M.: (...).

R.: To mówię ci, że wszystko zrobili mu ludzie, a on tam tylko trochę (...)

M.: On poradził (...) telewizji, przecież to jest człowiek w ogóle z innej łapanki.

R.: Nurowski. Nurowski to wtedy poprzez Majkowskiego (pracował przez pierwsze lata w Polsacie - red.) i poprzez te, twierdzi, że on to załatwiał wszystko. I był układ taki z Universalem, nie wiem, czy siedzi, czy nie siedzi, pierwsze pieniądze stamtąd dostał (Universal przez kilka pierwszych lat był udziałowcem Polsatu - red.). Jak on się nazywał... Przywieczerski (Dariusz Przywieczerski, prezes Uniwersalu - red.).

M.: On już dawno nie siedzi.

R.: A Przywieczerski trochę czuł to. Oni tam jeszcze wzięli... był taki (...), on był dyrektorem generalnym w telewizji. On nabierał trochę ludzi z telewizji, z ośrodków.

M.: A czy, twoim zdaniem, on (Solorz - red.) jest to gotowy sprzedać? Bo jest taka hipoteza, że on nas traktuje jako zająca po prostu. Że on wcale nie zamierza tego nam sprzedawać.

R.: Ale on nie ma żadnej alternatywy na rynku w tej dzisiejszej sytuacji. Ja byłem obecny, kiedy mu proponowali Amerykanie 650. On w ogóle się z tego śmiał. (...) A dzisiaj on zabiera samochody

służbowe ludziom i komórki. I to jest wynik oczywiście rynku itd., ale też działalność Roberta (chodzi o Roberta Kwiatkowskiego, prezesa TVP - red.), kiedy zrobili dumping na ceny reklam.

M.: Czyli, jeśli dobrze rozumiem, to właściwie Robert ma interes, byśmy kupili Polsat.

R.: Ma.

M.: To dlaczego on się zaangażował w poparcie tej ustawy (chodzi o rządowy projekt nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji - red.)?

R.: Dlatego, że ty nie byłeś sam. Bo ty nie jesteś dla Roberta tak wielkim zagrożeniem, jakim jest Mariusz (Mariusz Walter, założyciel TVN - red.). A ten front się podzielił równo: Mariusz jest razem z tobą w tym wszystkim.

M.: Na czy polega zagrożenie?

R.: Jedyne zagrożenie, jakim jesteś, to to, że ty, jak kupisz Polsat, to oddasz część częstotliwości, które są ci niepotrzebne, Mariuszowi.

M.: A nie to, że wtedy on blokuje nam drogę do Dwójki?

R.: Znaczący, że ty chcesz do Dwójki?

M.: Na przykład.

R.: Tak nie rozumowałem. Jego interesuje prywatyzacja Dwójki, ale on z tego chce zrobić życiową szansę dla siebie. A nie wie, czy ty mu to gwarantujesz.

M.: Na odwrót. On blokuje wtedy udział w przetargu na Dwójkę.

R.: Ja myślę, że jego rozumowanie szło, że prywatyzacja Dwójki to jest inwestor strategiczny zagraniczny.

M.: Na sprzedaż? Na sprzedaż? Nie ma wtedy...

R.: Ale nie brałem pod uwagę takiego wariantu, powiem ci szczerze.

M.: No, ja to sobie po prostu rozważam...

R.: Nie, ja rozumiem, Adam. Nie wpadło mi w ogóle do głowy, że może być taki wariant - dajecie sobie spokój z tym (chyba chodzi o Polsat - red.) w ogóle i ty się łączysz z nim w Dwójkę. Muszę pomyśleć, może to jest najinteligentniejsze rozwiązanie. Moim zdaniem, nawet tańsze.

M.: W tej chwili ja po prostu próbuję rozczytać sytuację, w której się znalazłem. Kto, czym się kieruje. Tylko to, co ci mówię: dywany pod buldogiem. Tfu, buldogi pod dywanem. Nie sposób się połapać, kto tu, co gra.

R.: Moje doświadczenie są takie: że ani z Mariuszem byś się nie dogadał, nie, z Mariuszem byście się dogadali, ale z Weichertem (szef ITI, właściciela TVN - red.) byście się nie dogadali. (...) I z Solorzem bezpośrednio, moim zdaniem, też byście się nie dogadali. Więc jest albo to (Polsat - red.), albo to (Dwójka TVP - red.), co może być i tańsze, i lepsze, żeby się dogadać sprawiedliwie.

M.: Nie, nie, ale takiego planu strategicznego nie było. Ja Ci to pytanie zadaję z inną intencją, żeby zrozumieć, co w tym wszystkim oznacza całe postępowanie Roberta. Dlatego, że ja z nim miałem relacje dobre, koleżeńskie i przy tej ustawie nagle coś się ryło. I teraz: ja miałem kilka interpretacji. Jedną z interpretacji może być po prostu ten wirus Czarzasty.

R.: (...) Ale widzę, że tam nie ma kumplostwa. (...) Oni się dawno już pożarli. Czarzasty mu tę ustawę pilotował.

M.: Pilotował, no to po coś? Trzeba mieć wspólny interes.

R.: Moim zdaniem, oni nie dopuszczą tego Czarzastego do tego. Czarzasty chce... ale ja też wszystkiego nie wiem.

M.: Oczywiście, oczywiście.

R.: Ale zaraziłeś mnie tą Dwójką...

M.: Nie chcę, żebyś mnie źle nie zrozumiał teraz. Tu u nas nikt o tym nie rozmawiał. Tylko ja się zastanawiałem, jak zinterpretować postępowanie Roberta. Bo ja jego po prostu nie rozumiałem i nie rozumiam nadal, dlaczego on kryje jakichś dziwnych ludzi w Bydgoszczy ("Gazeta" atakowała przed rokiem szefa ośrodka TVP w Bydgoszczy, ale władze TVP odrzuciły wszystkie zarzuty - red.) nie umiałem tego pojąć.

R.: No wiesz, on ma tam zaplecze. Jego ojciec... itd. Bo on jest tam powiązany z tymi ludźmi.

M.: Ale nie, no wiesz, jeżeli pokazujemy w telewizji film, facet reklamuje przestępcę ściganego listem gończym (prawdopodobnie chodzi o Cliffa Pineirę i oskarżenia TVP pod adresem braci Kaczyńskich w kampanii wyborczej w 2000 r. - red.).

R.: Ja też o wszystkim nie wiem. Natomiast, ja wracam (...). Dwójka to jest, powiem wprost, wspaniała oferta.

M.: Słuchaj (...), ale ty nie bierz tego wszystkiego serio. Nie myśl, że to jest na poważnie rozpatrywane.

R.: Ale jeżeli możesz osiągnąć prawie to samo, bo nie jest to samo, mniejszym nakładem środków. (...) Znaczy mój interes jeszcze do moich Francuzów, z którymi i tak się chyba pożegnaj z nimi w ciągu 6 - 8 miesięcy...

M.: Myślisz?

R.: Taaak. (...)

M.: Mówisz o Canale (Rywin był wtedy szefem Rady Nadzorczej firmy, do której należą Cyfra Plus i Canal Plus - red.).

R.: To myślę, że gdybyście wy przejęli Polsat, to już jest coś, to my byśmy się dogadali co do reszty tej platformy. (...) Nie, no bo trzeba by to uporządkować. W tej chwili tam jest teraz 650 tys. abonentów, jest możliwość, że za jakieś 16 - 18 miesięcy (...) Dochody pokrywają wydatki, także to już nie dokłada się do tego dużo.

M.: No tak, ale tak to robić na dwie ręce? Tutaj masz filmy (Rywin jest właścicielem firmy producenckiej Heritage Films - red.), tutaj masz te... jakieś mecze.

No dobrze, słuchaj, umówmy się tak. Jaki ty masz rozkład jazdy?

R.: Jadę teraz na lotnisko...

M.: Znaczy nie, nie...

R.: Ile ty czasu potrzebujesz? Tydzień, dwa?

M.: Nieee. Trzy dni.

R.: Myślę, że w poniedziałek, wtorek, w przyszłym tygodniu możemy się zdzwonić. Za pięć dni.

M.: Dobrze.

R.: Poniedziałek, wtorek, za tydzień. Lecę do Kijowa...

M.: Co ty chcesz w Kijowie?

R.: No, szukam filmu, możliwości. Amerykanie chcą dalszą część "Skrzypka na dachu". No i chcę to zrobić w powiązaniu z Kijowem, bo tam jest klimat wsi ukraińskiej jeszcze. Więc jadę tam, pogawędzić i jutro wracam. I pojadę potem na dwa dni do Sopotu. (...) To w poniedziałek mogę zadzwonić do ciebie i...

M.: Dobrze. Ja czekam.

R.: O tyle jest, że zaraz oni wszyscy się rozjeżdżają.

M.: Nie, nie, zdążę.

R.: Wiesz, wraca Kwaśniewski i oni wszyscy uciekają.

M.: A gdzie on jest teraz? Z Ameryki już wrócił?

R.: On w Berlinie. Z Berlina chyba wraca dzisiaj i zaczyna... on siedzi tam u siebie na dacy, a ten też... No, wszyscy się rozjeżdżają w każdym razie.

M.: Dobrze.

R.: No, przykro mi bardzo, że taki message ci przynoszę, ale... (rozmówcy się żegnają, koniec nagrania - red.)

(W nawiasach fragmenty, których nie udało się dokładnie zrozumieć) Spisała Luz

Analiza. Słowa i czyny prezydenta

Leszek Miller powinien był zawiadomić prokuraturę o aferze Lwa Rywina niezwłocznie po tym, jak się o niej dowiedział - takie stwierdzenia padają coraz częściej ze strony opozycji. Wczoraj do krytyków premiera dołączył Aleksander Kwaśniewski i trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to efektem pogarszających się stosunków z premierem.

Trudno nie zauważyć, że prezydent znacznie życzliwiej traktował rządy koalicji SLD - PSL, które przypadły na początek pierwszej jego kadencji, niż traktuje gabinet Millera. Mimo że wówczas Kwaśniewski kreował się na prezydenta wszystkich Polaków i bardzo dbał, aby nie być posądzonym o sprzyjanie lewicy, to od 1996 r. do jesieni 1997 roku nie została zawetowana ani jedna ustawa, która wyszła z koalicji rządowej.

Przeciwnie, wkrótce po objęciu urzędu prezydenckiego Kwaśniewski wycofał z Sejmu weto Lecha Wałęsy do ustawy o przekazaniu SdRP majątku byłej PZPR (oczywiście ustawy korzystnej dla socjaldemokracji).

Teraz, gdy prezydent nie musi już zabiegać o elektorat (a może właśnie dlatego) jego stosunek do lewicy, jej lidera i rządu wyraźnie się zmienił. Wczoraj odmówił podpisania ustawy o biopaliwach, której odrzucenie może zaważyć na sytuacji w koalicji, ze względu na determinację PSL w tej sprawie.

Pod koniec ubiegłego roku Aleksander Kwaśniewski nie bacząc na skutki budżetowe odesłał do Trybunału Konstytucyjnego ustawę o abolicji i oświadczeniach majątkowych, która zresztą ostatecznie przepadła w Trybunale. Jeszcze wcześniej bronił niezawisłości Rady Polityki Pieniężnej, gdy koalicja żądała od niej obniżenia stóp procentowych i groziła poszerzeniem Rady o nowych, bardziej życzliwych rządowi ludzi. Kwaśniewski krytykował też rządowy projekt noweli ustawy o radiofonii i telewizji, przeciwko któremu protestowali prywatni nadawcy. Prezydent już na samym początku prac legislacyjnych sugerował, że zawetuje ustawę, choć zwykle takich zapowiedzi nie czyni, gdy nie ma w ręku dokumentu. Tak więc rozdźwięk między dwoma ośrodkami władzy to w ciągu ostatniego półtora roku nie tylko słowa, ale i czyny.

2003-01-16, Rzeka, nr 13,

"Gazeta" żałuje, że zwlekała. Nikt z "Wiadomości" TVP nie obsługiwał posiedzeń sejmowej komisji śledczej

Adam Michnik i Paweł Smoleński, autor tekstu "Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika" podczas wczorajszej konferencji

- To był błąd - przyznał redaktor naczelny "Gazety Wyborczej" Adam Michnik mówiąc o pięciomiesięcznej zwłoce w publikacji artykułu o tym, jak Lew Rywin próbował wyłudzić łapówkę od Agory.

- Gdybym miał dzisiejszą świadomość skutków zwłoki w publikacji tego tekstu, możliwych interpretacji i dezinterpretacji, to już wtedy (czyli w lipcu - red.) poszedłbym do prokuratora - powiedział wczoraj Adam Michnik, naczelny "Gazety" na zwołanej przez kierownictwo dziennika konferencji prasowej. Zapewnił, że jeśli prokuraturze uda się wyjaśnić, dlaczego Rywin złożył Agorze łapówkarską ofertę i na czyje polecenia działał, będzie szczęśliwy. - Natomiast wiemy, bo czytamy te same gazety, oglądamy te same programy telewizyjne, że wiele wielkich afer pozostaje niewyjaśnionych - dodał.

Tłumacząc zwłokę w publikacji, Michnik wyjawiał, że omawiając sprawę z wieloma ludźmi ze świata polityki, biznesu i kultury, próbował ustalić, czy oferta Rywina to propozycja korupcyjna na wielką skalę czy też polityczna prowokacja, która miałaby skompromitować "Gazetę". Pytany, komu mogło zależeć na kompromitacji "Gazety", odparł: - Zadawaliśmy sobie to pytanie przez pięć miesięcy i nie potrafiliśmy na nie odpowiedzieć. Sprawa jest zbyt poważna, by snuć domysły. Ale trzeba zapytać, kto może mieć w tym interes i jaki. Pod tym kątem można przeanalizować reakcje rozmaitych ludzi i środowisk na publikację "Gazety" - odparł Michnik.

- Cała moja biografia była skonstruowana w ten sposób, że miałem niejako zakodowane w mózgu: chcesz ustalić prawdę, nie chodź do prokuratora - tłumaczył Michnik. - Wydawało mi się, że jesteśmy w stanie wyjaśnić, z czym mamy do czynienia - czy jest to próba korupcyjna na wielką skalę, czy prowokacja polityczna, który ma skompromitować "Gazetę", itd. - Mój błąd polegał na tym, że występowałem jakby nie w roli dziennikarza i nie powinienem się w tym momencie do tej roli ograniczać - stwierdził redaktor naczelny "Gazety".

Naczelny "Gazety" przyznał, że nie całe spotkanie z Rywinem w lipcu zeszłego roku zostało nagrane. W grudniu "Gazeta" napisała, że rozmowa nagrywana była na magnetofonie cyfrowym, który redaktor naczelny postawił na półce na książkach. Potem okazało się, że spotkanie rejestrowały dwa magnetofony: jeden (analogowy) stał za książkami, ale nic nie nagrał, bo się zepsuł, drugi (cyfrowy) Michnik umieścił w kieszeni marynarki wiszącej na krześle. On również nie zarejestrował w całości spotkania Michnika z Rywinem, bo marynarka została w pokoju, kiedy naczelny oprowadzał Rywina po tarasach siedziby redakcji.

Według Michnika rozmowa na tarasie nie dotyczyła już sprawy łapówki.

Awantura w "Wiadomościach"

Ani we wtorek, ani w środę żaden dziennikarz "Wiadomości" TVP nie podpisał się pod relacją z pierwszych posiedzeń komisji śledczej, która ma wyjaśnić aferę Rywina. Wszystko dlatego, że nikt nie obsługiwał tego wydarzenia - materiały, które widzieliśmy wieczorem, powstawały na podstawie zdjęć, które zarejestrowali operatorzy, bez reportera telewizyjnego.

Powód? Spór o to, kto ma się tym tematem zajmować - podał Presserwis. Jeszcze w poniedziałek wydawca "Wiadomości" przydzielił ten temat Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej, jej też przydzielił operatora z kamerą na wtorkową obsługę. Jednak wieczorem Piotr Sławiński, szef "Wiadomości" poinformował ją, że to nie ona zajmować się będzie obradami komisji. Mimo prób perswazji ze strony wydawców i dziennikarzy, którzy wskazywali, że Kolenda, jako główny sprawozdawca sejmowy "Wiadomości" ma najlepsze kontakty z posłami i największą wiedzę o funkcjonowaniu Sejmu, nie zmienił zdania. Zlecił przygotowanie relacji innej dziennikarce - Monice Kaniewskiej (zajmuje się m.in. pracą prokuratury) - ale ta odmówiła.

Sławiński: - Jedna osoba powinna zajmować się tym tematem od początku do końca. Relacje od początku przygotowywała Monika Kaniewska i ona powinna nadal się tym zajmować. Poza tym pani Kolenda-Zaleska popełniła ostatnio dwa błędy w relacjach na ten temat mówiąc np., że większość w komisji śledczej należy do SLD (w rzeczywistości, większość ma cała koalicja rządowa) oraz że to największa afera korupcyjna ostatnich lat, a tymczasem w grę wchodzi próba płatnej protekcji. Według k.k. to dwie różne sprawy. W każdym razie nie są to żadne szykany polityczne. Nie ma też mowy o żadnym buncie, następane relacje będą już przygotowywane normalnie.

Kolenda-Zaleska: - To są wewnętrzne sprawy redakcji i nie chcę ich komentować. Nie chcę też być sędzią we własnej sprawie, ale w kwestii rzetelności dziennikarskiej nie mam sobie nic do zarzucenia.

Przypomnijmy, że w sprawie Rywina był już przesłuchiwany prezes TVP Robert Kwiatkowski. Właśnie jego Rywin wymienia jako inicjatora próby wymuszenia łapówki od Agory. - Nie szukałbym między tymi sprawami żadnych związków - mówi Sławiński. LUZ

Posłowie będą czytać gazety i czekać na akta z prokuratury

Wolna komisja, szybkie śledztwo

Dopiero na początku lutego sejmowa komisja śledcza powołana do zbadania afery Rywina przesłucha pierwszych świadków. Dlaczego? Bo posłowie muszą przeczytać publikacje na temat sprawy i dostać akta od prokuratury. Te ostatnie mają się pojawić w komisji dopiero za dziesięć dni.

- Nie ma mowy o odmowie przekazania akt, ale dokładnej daty nie mogę podać - powiedział "Rz" prokurator krajowy Karol Napierski. - Nie ma obawy, że prace komisji zostaną z tego powodu opóźnione.

Tymczasem Tomasz Nałęcz (UP) powiedział podczas posiedzenia komisji, iż prezydium uzgodniło z ministrem Grzegorzem Kurczukiem i prokuratorem Napierskim, że posłowie otrzymają uwierzytelnione kserokopie akt w ciągu dziesięciu dni.

- Dlaczego musi to tak długo trwać? - zapytaliśmy przewodniczącego Nałęcza.

- Nie chcemy pokrzyżować taktyki prokuratorom prowadzącym śledztwo. Rano obaj prokuratorzy (Kurczuk i Napierski - red.) poinformowali mnie, że śledztwo w warszawskiej prokuraturze skończy się w ciągu 7 - 8 dni. Oczywiście, jeśli nie będzie jakiegoś zwrotu w postępowaniu - powiedział nam Nałęcz.

Informacje o ustaleniach z Ministerstwem Sprawiedliwości potwierdził w rozmowie z "Rz" także inny członek prezydium komisji - Bogdan Lewandowski z SLD. - Powiedzieli nam, że za 7 - 10 dni śledztwo zostanie zakończone - oświadczył.

Tymczasem prokurator Napierski, pytany o ustalenia oraz czas zakończenia śledztwa, powiedział, że nic o nich nie wie, a decyzja co do terminu przekazania akt zależy od prokuratora prowadzącego.

- Rozmawiałem z szefem, prokuratorem apelacyjnym Zygmuntem Kapustą. Twierdził, że nie było dotychczas żadnej dyspozycji z Ministerstwa Sprawiedliwości w kwestii przekazania materiałów komisji - powiedział "Rz" Zbigniew Jaskólski, rzecznik prasowy Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie, prowadzącej śledztwo w sprawie płatnej protekcji, o którą podejrzany jest Rywin.

Według Jaskólskiego prokurator Anna Baranowska nie rozpoznała jeszcze wniosków dowodowych Rywina i nie wiadomo, czy będzie przesłuchiwać wymienionych przez niego kilku przedstawicieli świata polityki, filmu i mediów. Jak ustaliliśmy, chodzi m.in. o Marka Kondrata, Janusza Majewskiego i Janinę Paradowską. Jedyнным politykiem wymienionym we wniosku Rywina jest Zbigniew Ziobro (PiS), członek sejmowej komisji śledczej.

Podczas wczorajszej konferencji prasowej Adam Michnik powiedział, że wymienieni we wnioskach to ludzie ze świata filmu i mediów, z którymi rozmawiał od lipca ubiegłego roku o sprawie Rywina.

Ziobro z kolei zawiadomił prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez premiera Leszka Millera, "ponieważ wiedział w lipcu o aferze łódzkiej i nie zawiadomił prokuratury".

Wczoraj po południu Ziobro powiedział nam, że otrzymał telefon z warszawskiej Prokuratury Apelacyjnej, w którym sugerowano możliwość przesłuchania go jako świadka w sprawie złożonego przez niego zawiadomienia. (Postępowanie to jest prowadzone w tej samej prokuraturze, ale odrębnie od sprawy płatnej protekcji - red.).

Według Ziobry jest to próba wyeliminowania go z komisji. - Świadek nie może być członkiem komisji śledczej. Mówi o tym ustawa. Fakty są takie, że prokuratura podlega uwikłanemu w tę sprawę prokuratorowi generalnemu Grzegorzowi Kurczukowi, którego bezpośrednim przełożonym jest, nie mniej uwikłany, Leszek Miller - powiedział poseł PiS.

Doktor Marek Zubik, adiunkt z Uniwersytetu Warszawskiego, powiedział "Rz": - Nie można wykluczyć, że w świetle art. 4 ustawy o sejmowej komisji śledczej poseł występujący w roli świadka w postępowaniu prokuratorskim w tej samej sprawie musiałby zostać wyłączony ze składu tej komisji. Mam jednak poważne wątpliwości, czy racjonalne było sformułowanie w ustawie tak szerokiego ograniczenia członkostwa posłów w jej pracach.

Wczoraj przesłuchany został poseł Jerzy Wenderlich, szef Sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu. Gdy wypłynęła sprawa Rywina, Wenderlich pytany, czy czuje się zagrożony w związku z naciskami w sprawie ustawy, mówił: "Nie jestem strachliwym człowiekiem, więc nie traktuję tego w kategoriach strachu czy przerażenia, gdyby chodziło o mnie, ale przecież nie jestem sam, mam synka". Później Wenderlich zaprzeczył, jakoby w trakcie prac nad ustawą o radiofonii dostawał listy z pogróżkami. Tłumaczył, że jego wypowiedź dotyczyła innej sytuacji.

Na dzisiaj zaplanowane jest przesłuchanie Andrzeja Zarębskiego. Na rozmowy z nim powoływał się Rywin podczas konfrontacji z Adamem Michnikiem u premiera.

Prokuratura czeka też na ekspertyzę cyfrowego magnetofonu, na który Michnik nagrał rozmowę z Rywinem (ma być gotowa w tym tygodniu). Zarządziła też ekspertyzę drugiego dyktafonu, który dostarczył Paweł Smoleński, dziennikarz "GW".

Prokuratorzy, z którymi rozmawialiśmy, uważają, że nawet jeżeli prokuratura zechce przesłuchać świadków wskazanych przez Rywina, może to zrobić w ciągu kilku dni. Jeżeli nie uwzględni wniosków dowodowych Rywina, to po przeanalizowaniu dokumentów, w których posiadaniu już jest, może właściwie zakończyć śledztwo. Wówczas przekazanie akt komisji nie miałoby już wpływu na jego przebieg.

Pierwszych przesłuchań przed komisją można się spodziewać dopiero na początku lutego. Posłowie chcą najpierw przeczytać artykuły dziennikarskie na temat afery oraz protokoły z prac komisji i podkomisji, które zajmowały się nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji. Chcą także zapoznać się z nagraniami radiowymi i telewizyjnymi dotyczącymi sprawy Rywina. Po otrzymaniu dokumentów z

prokuratury posłowie chcą mieć trzy dni na przeczytanie zebranego materiału. Dopiero potem komisja zbierze się i zdecyduje, kto i kiedy ma być przesłuchany.

Anna Marszałek, Michał Majewski

- We wtorkowych sylwetkach członków komisji popełniliśmy dwa błędy*. Napisaliśmy, że poseł Zbigniew Ziobro z PiS jest na aplikacji prokuratorskiej, tymczasem już ją skończył. Posła Stanisława Rydzonia, który jest radcą prawnym, nazwaliśmy doradcą podatkowym. Błąd w swoim wtorkowym biogramie zarzucił nam też publicznie Tomasz Nałęcz. - Przepraszam, pomyliłem się - przyznał po południu przewodniczący komisji.

Michał Majewski, Luiza Zalewska

*W wydaniu internetowym błędy zostały już poprawione

Prawnicy dla "Rzeczpospolitej"

Czy prokuratura potraktowała Rywina zbyt łagodnie, nie stosując wobec niego aresztu?

Zbigniew Wassermann (PiS), zastępca przewodniczącego sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka

Zastosowano zbyt łagodny ogląd prawny. Tymczasem z tego, co ujawniła "Gazeta Wyborcza", nie ulega wątpliwości, że Rywin nie miał zagarnąć tych pieniędzy dla siebie, lecz przekazać je dalej. Dlaczego więc zakończono sprawę na nim? Jakie przesłanki legły u podstaw takiej kwalifikacji? Według mnie można było śmiało zastosować art. 229 k.k. mówiący o przekupstwie.

Jerzy Naumann, znany warszawski adwokat

Prokuratura postawiła Rywinowi zarzut z art. 230 k.k. Przepis ten przewiduje odpowiedzialność tego, kto będąc osobą wpływową, zgadza się zostać pośrednikiem w załatwieniu jakiejś sprawy w instytucji państwowej lub samorządowej. Pomoc nie ma być bezinteresowna. Sprawca otrzymuje za nią łapówkę lub obietnicę, że taką łapówkę dostanie np. po załatwieniu sprawy. Przystępstwo to jest zagrożone karą do 3 lat więzienia.

Rywin nie żądał jednak łapówki dla siebie, pieniądze miały w części pójść na finansowanie partii politycznej, a w części na przekupstwo. Nie wydaje mi się, aby z ujawnionego nagrania wynikało, że w owych 17,5 milionach złotych Rywin miał mieć udział. Jeżeli zatem to nie Lew Rywin miał być beneficjentem łapówki, to w grę może wchodzić inna kwalifikacja prawna.

Rozważyć trzeba zasadność przyjęcia konstrukcji pomocnictwa do przestępstwa łapówki, jeśli miała ją otrzymać lub obiecano ją osobie pełniącej funkcję publiczną. Wówczas zagrożenie znacząco wzrasta, bo art. 229 § 1 k.k. przewiduje już karę od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Więcej nawet, gdyby w grę wchodziło nakłonienie osoby pełniącej funkcję publiczną do naruszenia obowiązków służbowych, to sankcja wynosi od 6 miesięcy do 8 lat więzienia. Warto pamiętać, że gdy chodzi o granice zagrożenia karą, pomocnik w przestępstwie odpowiada tak samo jak sprawca przestępstwa.

Dywagacje nad kwalifikacją prawną przyjmowaną wobec Rywina nie powinny jednak odwrócić uwagi od istoty sprawy, do której Lew Rywin jest wyłącznie dziurką od klucza.

Marek Łopuszański, warszawski adwokat, niegdyś prokurator oskarżający w głośnych procesach

Zgadzam się z opinią posła Wassermanna. Zastosowaną przez prokuraturę taktykę nazwałbym zachowawczą. W takiej sprawie jak ta trzeba było pójść znacznie dalej, zarówno jeśli chodzi o krąg osób, jak i zarzucanych im czynów. Można było np. zaproponować Rywinowi współpracę i w zamian

za obszerne wyjaśnienia obiecać mniejszą karę. Nie jest też wykluczone, że stawiany dziś zarzut będzie w najbliższych dniach rozszerzony. NOT. A.ł.

Andrzej Barcikowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Publicznego

List szefa wywiadu

W "Rzeczpospolitej" z 13 stycznia 2003 r. został opublikowany artykuł "W sieci zależności", rozpoczynający się akapitem o następującej treści: "Wielu wpływowych ludzi rządzących światem mediów i polityki, których nie posądzilibyśmy o spiskowe teorie, było przekonanych, że całą historię Czmontowały służby specjalneC (...) Propozycja Rywina była prowokacją mającą skompromitować Agorę, a nawet doprowadzić do wrogiego przejścia tej spółki, gdyby wycena jej akcji dramatycznie spadła".

Jestem czytelnikiem "Rzeczpospolitej" i szanuję pracę dziennikarzy Pańskiej gazety. Zakładam, że przygotowując artykuł, rzetelnie odwołali się do zasłyszanych opinii o rzekomej roli służb specjalnych w tak zwanej sprawie Rywina.

Rozumiem, iż wspomniane opinie mogły dotyczyć Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W związku z tym mam do wyboru dwa zachowania. Pierwsze: spokojnie przejść do porządku dziennego nad opiniami, które są po prostu bzdurne, zbudowane na groteskowych wyobrażeniach o tym, czym zajmują się obecnie w Polsce służby specjalne. To byłoby najprostsze rozwiązanie, bowiem marnotrawienie energii na zmagania się z absurdalnymi pomówieniami jest zajęciem, eufemistycznie ujmując, mało twórczym.

Wszelako muszę wziąć pod uwagę szczególny kontekst przywołanego artykułu w "Rzeczpospolitej". Chodzi o wyjaśnienie sprawy korupcyjnej, która przykuwa uwagę opinii publicznej i powinna być szybko wyjaśniona. Zwracam się zatem do Pana Redaktora o umożliwienie mi otwartej konfrontacji z rzeczonymi "wpływowymi ludźmi, rządzącymi światem mediów i polityki", którzy uważają, że służby zorganizowały prowokację zwaną dziś Rywingate. Z artykułu wynika, że są osobami publicznymi i jeśli mają odwagę cywilną, niech otwarcie przedstawią swoje racje i nie budują immunitetu z anonimowości, schowani za plecami dziennikarzy "Rzeczpospolitej".

Afera związana z zachowaniem Lwa Rywina musi być wyjaśniona dokładnie i do końca. Otwarcie i bez niedomówień. Osłanianie jej oparami absurdu - takimi jak pomówienie służb specjalnych o zmontowanie prowokacji w celu wrogiego przejścia Agory - jest po prostu dziwaczne.

Zwracam się zatem za Pańskim pośrednictwem do tych, którzy takie opinie "Rzeczpospolitej" przedstawiają: oczekuję, że starczy Wam odwagi i publicznie powiecie o naturze swoich podejrzeń. W Polsce bardzo łatwo wypowiada się sądy o statusie pomówień. Niestety, znacznie rzadziej starcza konsekwencji, aby autorów pomówień przynajmniej etycznie napiętnować. Najlepiej zrobić to w publicznej, otwartej debacie, gdzie krzyżują się argumenty i racje.

Maciej Rybiński Szpilka. Stonoga się nadstawia

Część konferencji prasowej kierownictwa "Gazety Wyborczej" w sprawie tak zwanej afery Lwa R. poświęcono panu Zbigniewowi Stonodze, rzekomemu doradcy szefa Samoobrony Andrzeja Leppera. Pan Stonoga oskarżył na piśmie naczelnego "Gazety", Adama Michnika o to, że namawiał go - to znaczy Stonogę - do sporządzenia za pieniądze artykułu kompromitującego Leszka Millera. Kierownictwo "Gazety Wyborczej" uznało dokument za idiotyczny i dlatego natychmiast, nie czekając na referendum unijne, skierowało przeciwko jego autorowi akt oskarżenia do sądu.

Nie wiadomo, jak się skończy sprawa Lwa R., ale Stonoga odpowie na pewno.

2003-01-09, Piotr Semka Rzepa

Witajcie w nowych czasach. Czy stosunek do spółki Agora i "Gazety Wyborczej" staje się linią podziału w obozie postkomunistów?

Szefem gabinetu politycznego Leszka Millera zostaje Aleksandra Jakubowska, niegdysiejszy główny adwersarz spółki Agora w sporach związanych z ustawą o radiofonii. Posłowie SLD atakują marszałka Marka Borowskiego, sugerując, że spełnia życzenia "prywatnych inwestorów". Jerzy Jaskiernia, szef Klubu Sojuszu, wprost mówi o ataku na premiera ze strony "ośrodka pozaparlamentarnego".

Jerzy Urban ostrzega z kolei, że "Gazeta Wyborcza" chce doprowadzić do obalenia Leszka Millera, i daje do zrozumienia, że Adam Michnik złamał pakt milczenia o propozycji Rywina. Wreszcie Aleksander Kwaśniewski w wywiadzie dla IAR decyduje się na deklarację, że "żaden plan przeciwko temu rządowi czy jakiegokolwiek rządowi nie płynie z Pałacu Prezydenckiego".

Takiego nagromadzenia sygnałów o wewnętrznym konflikcie w łonie postkomunistycznej lewicy nie obserwowaliśmy od dawna. Czy stosunek do spółki Agora staje się linią podziału wśród postkomunistów? W jakim stopniu wpłynie on na rywalizację Kwaśniewski - Miller i wybór kandydata lewicy na następnego prezydenta?

Czyj jesteś?

- Czy ty to wiążesz w jakikolwiek sposób z wewnętrznymi podziałami w towarzystwie? - zastanówmy się nad tym doniosłym pytaniem Adama Michnika pod adresem Lwa Rywina.

No właśnie, co takiego dzieje się od dłuższego czasu w "towarzystwie"? Rywalizacja Leszka Millera z Aleksandrem Kwaśniewskim nie przybierała dotąd ostrzejszych form. Jednakże wraz ze zbliżaniem się wyborów prezydenckich i parlamentarnych, które wypadają w 2005 roku, sytuacja się zmienia. Obóz lewicy musi najpóźniej do połowy tego roku zdecydować się na jednego kandydata na prezydenta. Tylko to może mu zapewnić skuteczną i zwycięską kampanię. Z kolei Kwaśniewski nie może w nieskończoność wspominać o partii centrowej bez wzbudzania niepokoju i rozłamów w obozie SLD.

Jak to często bywa z nawarstwiającymi się pod powierzchnią konfliktami - w końcu jakieś wydarzenie musiało ujawnić skalę emocji po obu stronach. Rolę katalizatora spełniło ujawnienie afery "Rywingate" przez "Gazetę Wyborczą".

Adam Michnik od ponad dekady jest ważnym punktem odniesienia dla wszystkich liderów obozu postkomunistów. Począwszy od historycznego kompromisu przy Okrągłym Stole poprzez niebagatelny wkład największego dziennika w Polsce w uchronieniu byłych członków PZPR od lustracji i dekomunizacji w najgorszym dla nich okresie początku lat 90. Demonstracyjna fraternizacja naczelnego "Gazety" z generałami Jaruzelskim i z Kiszczakiem, wprowadzenie liderów SLD na europejskie salony były dla postkomunistów swego czasu bezcennym darem.

Bez świadectwa moralności ze strony tak wybitnego byłego dysydenta ludzie Sojuszu ze znacznie większym trudem zbudowali swoją obecną pozycję w kraju i za granicą. Jednak te niezwykle harmonijne relacje zaczęły się psuć na początku zeszłego roku. W obozie SLD pojawiły się oznaki silnego zaniepokojenia wpływem Michnika na prezydenta Kwaśniewskiego, czego wyrazem było ironiczne stosowanie wobec naczelnego "Gazety" określenia "wiceprezydent".

Ta zmiana nastrojów wśród polityków Sojuszu objawiła się inicjatywą ograniczenia chęci ekspansji spółki Agora na media telewizyjne, co znalazło odbicie w propozycji nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji w formie zapisów blokujących ewentualne przejście przez Agorę stacji Polsat.

Istotę tych obaw formułuje w zbliżonym do SLD tygodniku "Przegląd" (12.01.2003 r.) Robert Walenciak, wyliczając, że Agora oprócz "Wyborczej" posiada 20 stacji radiowych, 11 czasopism i może kapitałowo zaangażować się w wydawanie polskiej edycji popularnej niemieckiej popołudniówki

"Bild". Walenciak przestrzega: - Taki koncern rozdawałby w Polsce karty. Zarówno na rynku reklam, jak i polityki oraz idei, bo mógłby skutecznie docierać nie tylko - jak dzisiaj - do inteligencji, ale również, poprzez Polsat i "Bild", do elektoratu plebejskiego.

Tekst z ostatniego numeru "Przeglądu" sugeruje, że obóz lewicy chce zachować monopol na "elektorat plebejski" i zakusy nań Agory traktuje jako casus belli. W lipcu zeszłego roku ostry konflikt interesów zażegnano, wprowadzając autopoprawkę w ustawie, która usuwała bariery blokujące możliwość przejęcia Polsatu przez spółkę z ulicy Czerskiej. Czy jednak na dalszą metę mogło to usunąć obawy Agory?

Rzecz w tym, że nad planami spółki wisi ciągle miecz w postaci ewentualnej inicjatywy czy to posłów, czy senatorów SLD, którzy mogą autopoprawkę rządu odrzucić w czasie dalszych prac legislacyjnych. Taki scenariusz prawdopodobnie zarysował w rozmowie z Adamem Michnikiem Lew Rywin, sugerując, że w razie odmowy zapłacenia politycznego okupu szef "Wyborczej" może oczekiwać kłopotów. Rywin stwierdził wówczas: "A jak nie, to bierzesz jak gdyby sam na siebie ryzyko, jakie będą walki w Sejmie i Senacie".

Czy to zagrożenie dla interesów Agory zniknęło? Najwyraźniej nie, skoro sama decyzja marszałka Borowskiego o przełożeniu prac nad ustawą o miesiąc wywołała w Klubie SLD aż tak ogromne wzburzenie.

Kto kogo?

Nieufność wobec planów medialnych Agory zaczyna się wśród postkomunistów nierozdzielnie wiązać z oceną intencji "Gazety Wyborczej" w sprawie Rywina. W jednym czasie trzy podstawowe pisma lewicy - "Trybuna", tygodniki "Nie" i "Przegląd" - w różny sposób, ale jednoznacznie postawiły tezę, że publikacja "Gazety" to początek akcji mającej na celu obalenie Leszka Millera.

Jerzy Urban - człowiek niewątpliwie miarodajny dla opinii w dużej części elit SLD - sugeruje, że po konfrontacji w gabinecie Millera z udziałem Michnika i Rywina wszystkie strony podjęły decyzję o nieupublicznianiu sprawy. "Gazeta", według Urbana, ów niepisany układ złamała i ujawniając sprawę, otworzyła drogę do dymisji premiera za niepowiadomienie prokuratury o próbie korupcji. Czy jest to wydumany scenariusz?

Raczej nie. Janusz Wojciechowski, prominentny polityk PSL, już wyraża opinię, że obowiązkiem premiera było powiadomienie prokuratury. Podobny zarzut postawiła też prawicowa opozycja, która od razu domagała się powołania komisji śledczej.

Dochodzimy więc do paradoksalnej sytuacji. "Trybuna", Urban i pośrednio "Przegląd" bronią Leszka Millera przed atakiem "Gazety", podczas gdy dziennik Adama Michnika deklaruje, że osoba premiera jest poza podejrzeniami. Ten paradoks jest jednak pozorny. I Marek Barański, i Jerzy Urban wyrażają jedynie to, co wielu polityków sojuszu formułuje w kularowych rozmowach.

Najgorsza ta niepewność

Przed SLD pojawił się dylemat, czy Aleksandra Kwaśniewskiego traktować jako lidera obozu postkomunistów, czy też jak kogoś, kto staje się potencjalnym rywalem, patronem nowej tzw. centrowej formacji. Słusznie czy nie - politycy Sojuszu zadają sobie pytanie, czy przyszłość lewicy ma być konstruowana według recepty Adama Michnika. To właśnie on - w opinii wielu SLD-owców - jest pomysłodawcą projektów powołania nowego centrum, która to idea pojawia się w niektórych wypowiedziach prezydenta Kwaśniewskiego.

Dla tysięcy lokalnych liderów Sojuszu sama wizja konkurenta dla SLD w centrum sceny politycznej to śmiertelne zagrożenie. Podstarzali partyjni baronowie z obawą zastanawiają się, czy taki pomysł nie zaktywizuje SLD-owskiej młodzieży. Już dziś na spotkaniach uważnie rozglądają się po sali, zastanawiając się, który z ich rywali może taką ideę kupić. Ich obawy nie są bezpodstawne. Czołówka Sojuszu i rządu to grono pięćdziesięciolatków najwyraźniej dobrze czujące się w swoim towarzystwie.

Powracając co pewien czas zaklęcia o "otwarcu się na młodzież" to jedynie rytuał. Młody rzecznik rządu Michał Tober jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Jeśli Aleksander Kwaśniewski chce naprawdę utworzenia partii centrowej, to ma czas na decyzję do przyszłego roku. Kwaśniewski, dywagując na temat zasadności powołania partii centrum, wykopał rów nieufności między sobą a dużą częścią aparatu SLD. Może to doprowadzić do polaryzacji stanowisk, której jeszcze pół roku temu nie chciała żadna strona konfliktu.

Niezwykle utrudni to uzgodnienie wspólnego kandydata na prezydenta między SLD a Pałacem Prezydenckim. Silna zdawałoby się kandydatura Marka Borowskiego straciła na popularności po sugestiach posłów SLD o popieraniu przez niego interesów Agory. Gdyby po wyborach stworzono partię centrum np. nie tylko z posłów SLD, ale i z liberałów, to takie rozwiązanie najbardziej uderzyłoby w SLD. Ładni i młodzi dostaną zaproszenie do nowej partii, a starzy i obciążeni przeszłością zostaną w przetrzebionym klubie politycznych mastodontów.

I właśnie oni, snując dzisiaj takie scenariusze, mogą wkrótce namawiać Leszka Millera do poważnego rozważenia swojego startu w wyborach prezydenckich. Miller może stosunkowo długo zwlekać z odpowiedzią, bo wie, że wraz z rezygnacją z kandydowania straci ważną kartę w politycznej rozgrywce. Jak wpłynie to na postawę Aleksandra Kwaśniewskiego wobec konfliktu?

Prezydentowi zależy, by mieć wpływ na to, kto zajmie po nim fotel prezydencki. Niezależnie od tego, czy prezydent zdecyduje się lansować Marka Borowskiego, czy też swoją żonę Jolantę - o czym mówi się coraz głośniejsz - nie może ryzykować utraty popularności w SLD. Dotąd kapitał popularności w Sojuszu prezydent traktował jako coś oczywistego. Teraz to, że jest postrzegany jako bezwarunkowy sojusznik Adama Michnika, może go zacząć uwierać. Kłopotliwe dla Aleksandra Kwaśniewskiego ujawnienie przez "Trybunę", że w dniu imienin, 12 grudnia, gościł zarówno szefa "Wyborczej", jak i Lwa Rywina, to ostrzegawczy sygnał, który prezydent na pewno potraktował bardzo serio.

Na dodatek szef "Wyborczej", odrzucając nerwowo wszelkie pytania o przyczyny półrocznego milczenia na temat "Rywingate", przekracza granice racjonalności. Pouczanie innych dziennikarzy, jak mają pisać o aferze, czy choćby oskarżanie w telewizyjnym wywiadzie Moniki Olejnik o chęć gmatwania sprawy - nie wzmacnia wiarygodności Adama Michnika w całej sprawie.

"Gazeta Wyborcza" przyzwyczała się w ciągu minionej dekady do wywierania wpływu na politykę bez konieczności ponoszenia takiej odpowiedzialności, jaką ponoszą politycy. Tym samym stała się atrakcyjnym partnerem dla niektórych liderów obozu postkomunistycznego. Było tak przynajmniej dopóty, dopóki sytuacja ta nie zaczęła przeszkadzać wpływowym przedstawicielom obozu postkomunistycznego. Obawa, że prezydent zostanie zdominowany przez Adama Michnika - uzasadniona czy nie - Ozachęciła niektórych działaczy Sojuszu do czołowego zderzenia. Dopiero na tle takiego stanu można zrozumieć konflikt części SLD, pragnącej kontrolować rynek mediów, z rosnącą w coraz większą siłę prywatną grupą medialną Agory. Jedno jest pewne: z chwilą włączenia magnetofonu w gabinecie szefa "Gazety Wyborczej" do obozu lewicy powróciła nieufność. Coś pękło, coś się skończyło.

2003-01-11, Bronisław Wildstein Rzepa,

Autorski Przegląd Prasy. Płacz pani minister

Sobota - niedziela

Rozłam w SLD. W notowaniach "Trybuny" działacz Sojuszu Jerzy Wenderlich otrzymał strzałkę w dół.

"Pan redaktor Michnik po całej Warszawie opowiadał, że nagrał Rywinową niemoralną propozycję, i że ma w ręku dowód wielkiej korupcji w świecie politycznych elit (...) Jeśli więc Rywin miał gdzieś mocodawców, dostali oni od Michnika wyraźny sygnał, żeby uciekać od tej sprawy jak najdalej,

zacierając wszelkie ślady (...). ĆGazetaĆ wpędziwszy w pierw Millera w sytuację mało zręczną, będzie go następnie zajadle ĆbronilaĆ". Oto główne tezy niekończącego się artykułu red. naczelnego "Trybuny" Marka Barańskiego na temat afery Rywina, pod tytułem: "Rekord świata w wywracaniu kota ogonem".

Poniedziałek

"Nasz Dziennik" bije na alarm. Żydzi w Ameryce, których PRL pozbawiła własności, chcą być wzięci pod uwagę w ustawie reprivatyzacyjnej. Co za hucpa! A środek gazety zajmuje wielki dodatek zatytułowany: "Wieś nadzieją dla Polski". Gdy jednak wrócimy już na rolę, kto będzie do nas dopłacał? Unia?

Wtorek

"Premier przedstawił go [Sławomira Cytryckiego] wczoraj jako apolitycznego fachowca. Tymczasem Cytrycki od ponad roku pracuje w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. O jego funkcji mało kto wiedział. Cytrycki ma doświadczenie w maskowaniu się. W zeznaniu lustracyjnym przyznał się do współpracy ze specsłużbami PRL" - czytamy w "SuperExpressie". "Leszek Miller mówi o konieczności odpolitycznienia prywatyzacji, ale nowym ministrem skarbu państwa został nie uznany fachowiec, lecz człowiek prawie nieznan, wywodzący się ze służb specjalnych PRL. Jakoś trudno w odpolitycznienie uwierzyć" - komentuje w "GW" Witold Gadomski.

Środa

"Generał Wojciech Jaruzelski jest jak najlepszego zdania o kwalifikacjach i wiedzy ministra Sławomira Cytryckiego" - czytamy w "SuperExpressie".

"Cóż, każdy przypuszcza na miarę swoich umysłowych możliwości" - zauważa w felietonie zatytułowanym "Spiski i piski" w "GW" Marek Beylin. Spiskowym myśleniem jest, zdaniem Beylina, każda próba powiązania ze sobą faktów i przyjęcia, że ludzie, broniąc swoich interesów, działają w układach. Cóż, każdy analizuje na miarę swoich umysłowych możliwości.

"Nasz Dziennik" jak co dzień pisze o ludobójstwie Palestyńczyków dokonywanym przez Izrael i ostrzega przed imperializmem USA na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza przed interwencją w Iraku. Jak każda lewicowa gazeta w UE.

Czwartek

W apologetycznej sylwetce zachodniemieckiego dziennikarza i pisarza Guntera Wallrafa, "GW" pominęła fakt jego pracy dla STASI (departament dezinformacji). To niesprawiedliwe. Trzeba przecież docenić wpływ tej instytucji na rozwój demaskatorskiego dziennikarstwa RFN.

2003-01-13, Michał Majewski, Anna Marszałek, Luiza Zalewska, Rzepa,

Afera Rywina Zdaniem jednego z naszych rozmówców, to jest historia, która może zmieść z powierzchni całą klasę polityczną. W sieci zależności. Opozycja nie chce Nałęcza na czele sejmowej komisji śledczej

Cały zeszyły tydzień rozmawialiśmy z ludźmi, którzy mogą coś wiedzieć o aferze Rywina. Spotkaliśmy się z kilkudziesięcioma prezesami firm, politykami, lobbystami. W nieoficjalnych rozmowach, po wyłączeniu magnetofonu, słyszeliśmy najbardziej fantastyczne scenariusze. Wielu wpływowych ludzi rządzących światem mediów i polityki, których nigdy nie posądzilibyśmy o spiskowe teorie, było przekonanych, że całą historię "zmontowały służby specjalne".

Według jednych propozycja Rywina była prowokacją mającą skompromitować Agorę, a nawet doprowadzić do "wrogiego przejęcia" tej spółki, gdyby wycena jej akcji dramatycznie spadła.

Inni sądzą, że ujawnienie afery sprzed pół roku to akcja wymierzona w szefa rządu. Niektórzy wskazywali Pałac Prezydencki jako ośrodek zainteresowany całą sprawą i prorokowali, że skończy się ona dymisją premiera. Jeszcze inni twierdzili, że tej historii nie da się poskładać w logiczną całość, ponieważ jest zbiegiem przypadków i nieracjonalnych zachowań jej uczestników. Przedstawiamy wersje głównych bohaterów afery i to, co udało nam się do tej pory ustalić. Niczego nie przesadzamy i nikogo nie oskarżamy.

Nikt nie ma wątpliwości, że jest to największa afera ostatnich lat, która wstrząśnie nie tylko światem polityki i biznesu. Twórcy "Pianisty" obawiają się, że już przepadły szanse na zdobycie Oscara, skoro jego producent jest zamieszany w głośną historię korupcyjną.

Jeden z poważnych przedsiębiorców nie dawał nam żadnych szans: "Niczego się nie dowiecie. Sprawa rozegrała się między czterema, pięcioma osobami. To jest historia, która może zmieść z powierzchni całą klasę polityczną".

Wersja Lwa

Lew Rywin, główny bohater afery, nie chciał z nami rozmawiać. - Po konsultacjach z prawnikami zdecydowałem, że zacznę mówić dopiero w prokuraturze - powiedział nam przez telefon.

Udało nam się jednak dotrzeć do ludzi, którzy cały czas mają bliski kontakt z Rywinem. Linia obrony, jaką im przedstawił, jest następująca: cała historia wydarzyła się w gronie znajomych, których już wcześniej łączyły zarówno interesy, jak i zażyłość towarzyska. Dlatego Rywin czuje się przez nich oszukany. Zwłaszcza że, jak uważał, sprawa miała pozostać w tajemnicy, bo tak - jego zdaniem - ustalono w trakcie konfrontacji u premiera, w której brali udział: on, Adam Michnik i Leszek Miller.

Rywin - jak twierdzą nasi rozmówcy - nie zaprzecza faktom opisanym przez "Gazetę Wyborczą", jednak inaczej je interpretuje. Twierdzi, że pieniądze, których żądał, miały być zapłatą za 98 procent udziałów w jego spółce producenckiej Heritage Films, jakie Agora miałyby odkupić (Heritage produkowała m.in. "Pianistę", "Listę Schindlera", "Króla Olch", "13 posterunek").

Według Rywina inicjatywa lobbingu na rzecz Agory w sprawie noweli ustawy o radiofonii i telewizji wyszła od Andrzeja Zarębskiego i Wandy Rapaczyńskiej. Zarębski to były rzecznik prasowy rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego i były członek KRRiTV, dziś lobbysta pracujący dla prywatnych mediów. Rapaczyńska zaś stoi na czele spółki Agora (m.in. "Gazeta Wyborcza" i kilkanaście rozgłośni radiowych).

Rywin mówi ponadto, że część rozmowy z Michnikiem odbyła się na tarasie w redakcji "Gazety" i nie była nagrana, o czym sama "Gazeta" w artykule "Przychodzi Rywin do Michnika" nie pisze.

Tyle Rywin.

O tym, że inicjatywa spotkania wyszła również od Zarębskiego Rywin mówił podczas spotkania z Michnikiem. Jak ustaliliśmy, tego fragmentu nie ma jednak w stenogramie opublikowanym przez "Gazetę", chociaż autor tekstu Paweł Smoleński, zaznacza wyraźnie w nagłówku: "Spisuję bez skrótów".

Oryginał dźwiękowego nagrania fragmentu rozmowy Michnik - Rywin ściągnęliśmy ze strony internetowej "Gazety". Rywin mówi tam nie tylko "o grupie, która ma w ręku władzę". Wyłuszczonego drukiem podajemy to, co w "Gazecie" się nie pojawiło.

Rywin: - Jest grupa, która powiedziała mnie: "Słuchaj, chodzą po mieście takie te, że ty im się przyglądasz, że ty chciałbyś ewentualnie z Adamem porozmawiać, jak on chce ten Polsat kupić". Ja: "Czy to są żarty, czy nie, ale jeśli chodzi o mnie, nie ma żadnego problemu". Oni: "Chcielibyśmy ciebie wykorzystać, żebyś przekazał pewien message...". To się złożyło tak, że zawołał mnie Zarębski też i Wandę... I ta grupa po prostu z jednej strony gwarantuje ci ustawę i gwarantuje ci akceptację zakupu (...)

Wanda Rapaczyńska nie potrafiła nam wyjaśnić, dlaczego wypadło zdanie o niej i o Zarębskim. Odesłała nas do autora tekstu Pawła Smoleńskiego.

Smoleński: - Niech pan przeczyta mi to zdanie. Na ile jest ono istotne?

"Rz": - Jest istotne, ponieważ napisał pan na górze, że tekst jest bez skrótów...

Smoleński: - Jest napisane bez skrótów, ale przecież gdybym zostawił wszystkie "ochy", "achy" i westchnienia, byłoby to nie do zniesienia.

Po przytoczeniu wyciętego zdania Smoleński mówi: - Tutaj nie ma żadnego zabiegu czyszczącego. Było to potrzebne do rozjaśnienia całej historii.

"Rz": - Ale, jak to? Rywin przecież mówi, że zawołał go Zarębski.

Smoleński: - Dokładnie ta sama informacja jest w rozmowie z Zarębskim.

Jednak w publikacji "Gazety" nazwisko Zarębskiego pojawia się w nieco innych okolicznościach - pada dopiero w czasie konfrontacji u premiera, gdy Rywin wycofuje się z tego, że działał w imieniu Leszka Millera.

Wersja Zarębskiego

Spotkaliśmy się Andrzejem Zarębskim. Nigdy - jak zaznacza - nie pracował na zlecenie Agory ani Canal Plus, z którym wtedy związany był Rywin. Powtórzył, że jadł obiad z Rywinem 9 lipca: - Chciałem go spytać, czy może pomóc w szukaniu kompromisu wokół ustawy. Jestem doświadczonym człowiekiem, więc poszedłem na to spotkanie z jeszcze jedną osobą ze świata mediów. Ale nie była to Rapaczyńska ani nikt inny z Agory.

"Rz": - Przez wiele miesięcy Rywin i jego firma nie chcieli się włączać w wasz protest. Po co więc pan chciał się z nim spotykać?

Zarębski: - Minęło pół roku. Rywin mógł zmienić zdanie. Podczas obiadu wyznał, że wchodzi w skład nieformalnej grupy doradców premiera. Wcześniej o tym nie wiedziałem. Zaprosiłem go jako przedstawiciela dużego nadawcy telewizyjnego (Canal Plus - red.) i człowieka, który ma szerokie znajomości. Odniosłem wrażenie, że Rywin po naszym spotkaniu pójdzie i powie: słuchajcie, trzeba szukać kompromisu.

"Rz": - Komu powie?

Zarębski: - Osobom forsującym w imieniu rządu ten projekt ustawy. Mówił przecież, że należy do nieformalnej grupy doradców premiera. Nie mówił, że ma kontakty z premierem, ale że bywa w otoczeniu premiera. Potem się już nie spotkaliśmy, nie rozmawialiśmy też przez telefon.

W grudniowym wywiadzie dla "Gazety" Zarębski mówił trochę inaczej: "Chciałem sprawdzić, czy Rywin może pomóc w zaaranżowaniu bezpośredniego kontaktu premiera z nadawcami prywatnymi i operatorami kablowymi, żeby wspólnie znaleźć konsens wokół kontrowersyjnego projektu nowelizacji ustawy".

Przypomnijmy, że Rywin i Zarębski jedzą obiad 9 lipca. Tymczasem już dwa tygodnie wcześniej, czyli 26 czerwca premier Miller spotyka się z prezesami największych mediów i deklaruje chęć zawarcia kompromisu. Nadawcy po wyjściu ze spotkania z szefem rządu wyglądali na zadowolonych. - Nie spodziewałem się aż tylu sensownych zmian i jestem usatysfakcjonowany - mówił wtedy założyciel TVN Mariusz Walter.

Wersja Rapaczyńskiej

Prezes Agory twierdzi, że przynajmniej przez rok przed wydarzeniami z lipca 2002 r. nie miała kontaktów z Rywinem. Wcześniej były one regularne, bo Rapaczyńska wchodziła w skład rady nadzorczej Canal Plus, którym kierował Rywin. Przez kilka lat Agora była też udziałowcem tej stacji.

Rapaczyńska: - Rywin mija się z prawdą. To on zadzwonił z ofertą przyjaznej pomocy. Powiedział, że jest w kontakcie z kręgami rządowymi, które mają moc sprawczą, że może pomóc zakończyć te awantury wokół ustawy.

Przypomnijmy. Jest pierwsza połowa lipca. Po czerwcowym spotkaniu Millera z nadawcami wiceminister kultury Aleksandra Jakubowska pracuje nad autopoprawką do ustawy, jaką obiecał wnieść rząd. Jakubowska jest w stałym kontakcie z nadawcami. Z Rapaczyńską telefonicznie i za pośrednictwem e-maili uzgadnia ostateczne zapisy. Mają być one korzystne dla Agory, tak by mogła ona kupić Polsat.

Dlaczego Rapaczyńska nie zapytała Jakubowskiej o to, co wyprawia Rywin?

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ta sprawa ma związek z ustawą i że ta oferta pochodzi od osób, które zajmują się procesem legislacyjnym. Dla mnie od początku było jasne, że Rywin lub ludzie, którzy za nim stoją, chcą wymusić pieniądze od Agory. Dlatego nie próbowałam tego wyjaśniać z minister Jakubowską - odpowiada prezes Agory.

Dlaczego w ogóle Rapaczyńska spotykała się z Rywinem, który wcześniej nie interesował się ustawą?
- Może byłam naiwna, ale wierzyłam, że jest mi przychylny. Że jest jeszcze jedną osobą, która będzie mówiła, iż forsowany przez rząd projekt jest niedobry. Potrzebna była każda para rąk - mówi.

Prezes Agory zaprzecza, by kiedykolwiek rozmawiała z Rywinem o kupnie udziałów w jego firmie. - Nie bylibyśmy zresztą nią zainteresowani - twierdzi. Jej zdaniem nazwa Heritage Films padła tylko raz. - Rywin proponował, by na konto jego firmy przelać 17,5 mln dolarów, by pieniędzy nie trzeba było przekazywać w walizkach.

Lewica marzy o Agorze bis

Jedna z wersji, mających wyjaśnić aferę Rywina, głosi, że jego działania to część większego przedsięwzięcia - próby stworzenia przez lewicę dużego koncernu medialnego, w którego skład wchodziłyby m.in. telewizja (np. sprywatyzowana Dwójka TVP), nowy lewicowy dziennik i inne media, które udałoby się na rynku zdobyć. Miałyby to być swego rodzaju anty-Agora. Siłą rzeczy między takim koncernem a wydawcą "Gazety" musiałyby dojść do konfliktu interesów.

Na realizację swoich planów lewica nie ma jednak pieniędzy. Zapleczem finansowym nowego koncernu mogłyby być prywatyzowane właśnie Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. WSiP to największy podmiot na polskim rynku książki. W 2001 roku spółka odnotowała zysk netto w wysokości 17,3 mln zł, rok wcześniej - 22 mln zł. Wydawnictwo ma ponad 100 mln zł w gotówce. Z tego powodu jest dla wielu bardzo łakomym kąskem.

Losy trzeciego już przetargu na WSiP decydowały się dokładnie w tym samym czasie, kiedy Rywin zgłosił się ze swoją propozycją do Agory.

Agora była zaś jedną z ośmiu firm, które stanęły do przetargu na WSiP. 1 sierpnia minister skarbu Wiesław Kaczmarek zdecydował, że do dalszego etapu rokowań dopuszcza Agorę, wydawnictwo MAC Edukacja oraz Mużę. Ta ostatnia to spółka związana z Włodzimierzem Czarzastym, sekretarzem KRRiTV.

Czarzasty to - obok Roberta Kwiatkowskiego, prezesa TVP - jeden z dwóch najważniejszych specjalistów od mediów na lewicy. Obaj byli desygnowani przez prezydenta do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Już kilka miesięcy temu prasa sugerowała, że Czarzasty jest głównym inicjatorem powołania anty-Agory. - Bzdury zupełne - drwi Czarzasty. - Takie rzeczy opowiadają idioci,

k którzy nie mają doświadczenia w biznesie i pojęcia, ile trzeba pieniędzy i starań, aby taki koncern założyć. A inni idioci te plotki powtarzają.

We wrześniu Agora i Muza złożyły wiążące oferty zakupu akcji WSiP. W "Gazecie Wyborczej" ukazały się krytyczne artykuły na temat Muzy i Czarzastego. 15 listopada minister skarbu dał wyłączność na dalsze negocjacje w sprawie WSiP Muzie. Agora wypadła z gry.

Rapaczyńska: - Podczas prywatyzacji trzeba się liczyć z tym, że działają inne siły niż podczas normalnych transakcji. Bardzo często w grę wchodzi czynniki pozabiznesowe. Normalnie wygrywa ten, który daje najlepszą ofertę. W przypadku WSiP, można domniemywać, że było inaczej.

Czy sprawa WSiP mogła być powodem ostatecznej decyzji o opublikowaniu tekstu na temat afery Rywina?

- Nie. Nawet nie przyszło mi to do głowy - odpowiada Rapaczyńska.

Kto w lipcu łowił ryby

Czarzastego nie łączą z Rywinem bliskie kontakty. - Mam ten komfort, że należę do niewielu, którzy z Rywinem nie są na ty - twierdzi. Takiego komfortu nie ma dziś prezes TVP Robert Kwiatkowski, który z Rywinem miał zawsze bliskie związki i towarzyskie, i zawodowe. Kiedy na polskim rynku pojawiły się platformy cyfrowe, TVP właśnie firmie Rywina oddała swój sygnał na wyłączność, czym znacznie wzmocniła atrakcyjność tej oferty. Telewizja publiczna wspólnie z firmą Rywina, Heritage Films, wyprodukowała wiele filmów, m.in. "Pana Tadeusza" i "Wiedźmina".

Nazwisko Kwiatkowskiego pojawia w aferze Rywina najczęściej. To właśnie on - jak twierdził Rywin podczas konfrontacji u premiera - miał stać za łpówkarską propozycją, jaką złożono Agorze.

Leszek Miller wyjaśniał tę sprawę z Kwiatkowskim jeszcze latem. Potwierdził nam to rzecznik rządu Michał Tober: - Premier rozmawiał z Robertem Kwiatkowskim, by zweryfikować słowa Rywina, i Kwiatkowski wszystkiemu zaprzeczył.

Przez cały tydzień staraliśmy się o rozmowę z szefem TVP. Bez powodzenia. W końcu, za pośrednictwem sms-a (zwyczajowa forma kontaktu z Kwiatkowskim) zadaliśmy mu jedno pytanie wprost: czy to on w lipcu zeszłego roku był u Rywina na Mazurach? (Rywin powiedział Michnikowi, że właśnie na Mazurach swoją ofertę konsultował "z grupą trzymającą władzę").

Kwiatkowski odpisał, że będzie z nami rozmawiać dopiero po złożeniu zeznań w prokuraturze. Prezes zeznaje we wtorek.

Przez cały miniony tydzień Kwiatkowski nie pojawiał się na publicznych spotkaniach. Nie było go wśród szefów innych telewizji na posiedzeniu Sejmowej Komisji Gospodarki. Nie pojawił się też na wręczeniu nagród Człowieka Roku tygodnika "Wprost", choć tytuł ten przyznano Leszkowi Millerowi. Przyszedł za to na noworoczne spotkanie posłów SLD, zamknięte dla dziennikarzy. Z relacji uczestników wynika, że doszło tam do nieprzyjemnej sytuacji. Premier przy świadkach miał przeprowadzić z Kwiatkowskim ostrą rozmowę, używając mocnych słów.

Kwiatkowski, jako drugi obok Czarzastego, lewicowy specjalista od mediów, miał odegrać kluczową rolę w tworzeniu koncernu medialnego, a konkretnie projektu telewizyjnego. Dotąd Kwiatkowski zaprzeczał, że dąży do prywatyzacji jednego z kanałów TVP. Gdy wybuchła afera Rywina, Kwiatkowski przyznał nieoczekiwanie, że prowadził rozmowy o prywatyzacji jednego z programów publicznej stacji.

Potwierdza to także Rapaczyńska: - Nie wykluczam, że trzy, może dwa lata temu taka rozmowa była. I prezes był równie żywo zainteresowany sprawą, tak jak i ja.

- To znaczy?

- Prezes mówił, że jest żywo zainteresowany prywatyzacją jednego z kanałów, ja odparłam, że to ciekawa oferta, i że gdyby taka rzecz miała miejsce, nie wykluczone, iż Agora byłaby tym zainteresowana.

Opozycja twierdzi, że już niedługo prywatyzacja będzie możliwa, a potwierdzać to mają losy kluczowych artykułów w projekcie noweli ustawy o rtv. W obowiązującej dziś ustawie wpisano, że TVP rozpowszechnia dwa programy ogólnopolskie: Jedynkę i Dwójkę. W kontrowersyjnym projekcie, który leży w Sejmie, nie wymienia się już, ile tych programów będzie. Co ciekawe, w przypadku publicznego radia sytuacja pozostała bez zmian - według obecnego prawa rozpowszechnia cztery programy i według projektu też mają być cztery.

Dwa magnetofony Michnika

W całej historii jest jeszcze dużo pytań i wątpliwości:

- Skąd wzięła się suma 350 mln dolarów, którą Rywin wymienia jako cenę za Polsat. Jeszcze rok temu Polsat wyceniano na co najmniej miliard dolarów. Z powodu recesji i kiepskiej sytuacji na rynku mediów dziś prawdopodobnie jest znacznie niższa, ale i tak kwota podana przez Rywina budzi zdziwienie medialnych ekspertów. Druga na naszym rynku wielka prywatna stacja telewizyjna, która ma jednak mniejszy od Polsatu zasięg, czyli TVN, wyceniona została - podczas niedawnej transakcji z koncernem SBS - na 465 mln dolarów.

- Dziwi też wysokość domniemanej łapówki, jakiej domagał się Rywin - 17,5 mln dolarów. Biznesmeni i lobbyści, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że to gigantyczna stawka, bo zwyczajowe "prowizje" przy podobnych przedsięwzięciach mogą sięgać pół, ewentualnie miliona dolarów. Wprawdzie Rywin ma obecnie kłopoty finansowe i pojawiają się opinie, że starał się o pieniądze dla siebie, a powołując się na wpływy wzmacniał tylko swoją ofertę. Sam mówił Agorze, że pieniądze mają trafić do SLD. Wysokość żądanej łapówki może wskazywać, że zamierzał się jednak z kimś podzielić. Większość naszych rozmówców uważa, iż Rywin nie działał sam.

- Czy Rywin planował przekazać większość pieniędzy z łapówki na doinwestowanie lewicowego koncernu?

- Dlaczego Rywin podczas rozmów z Rapaczyńską i Michnikiem domagał się, by Agora na piśmie odpowiedziała na jego ofertę? Taki dokument oznaczałby, że Agora podjęła grę z Rywinem. Niezależnie od treści mógłby posłużyć do skompromitowania spółki.

- Dlaczego Rywin powiązał swą ofertę z kupnem Polsatu przez Agorę? Możliwość takiej transakcji żyła głównie w mediach. W rzeczywistości właściciele Polsatu sondowali tylko rynek, ale nie planowali sprzedaży stacji.

- Czy i jaką rolę odegrały w tej sprawie kontakty Rywina z ludźmi ze służb specjalnych, o których wcześniej pisała prasa?

- Jak prokuratura oceni dowody i zeznania w tej sprawie? Nieoczekiwanie po piątkowym przesłuchaniu premiera, rzecznik prasowy Prokuratury Apelacyjnej powiedział dla TVN24, że magnetofon cyfrowy, na którym Michnik nagrywał rozmowę z Rywinem, jest wątpliwym dowodem, ponieważ nie można jednoznacznie stwierdzić, czy cyfrowe nagranie nie było montowane. Udało nam się potwierdzić, że Michnik nagrywał Rywina na dwa magnetofony; "Gazeta" napisała tylko o jednym. Prokuratura poprosiła "Gazetę" o przekazanie także drugiego magnetofonu. Nie wiemy jednak, czy on również jest cyfrowy.

Po publikacji "Gazety" akcje Agory spadły do najniższego poziomu od roku.

Czy Agora nie żałuje, że zdecydowała się ujawnić aferę? Wanda Rapaczyńska: - Widziałam w Stanach, jakie kłopoty mają ci, którzy informują o przekrętach finansowych, praktykach seksistowskich i tym podobnych sprawach. Jednak bez takich ludzi na dłuższą metę demokracja nie ma szans. Zdajemy sobie sprawę, że i my poniesiemy pewien koszt. Trudno, nie jesteśmy ze szkła.

Kalendarium

- 11 lipca 2002 r. Lew Rywin, producent telewizyjny i szef Rady Nadzorczej Canal Plus, dzwoni do Wandy Rapaczyńskiej, prezesa Agory ("Gazeta" i kilkanaście rozgłośni lokalnych). Proponuje jej pomoc w zawarciu kompromisu w sprawie rządowej noweli ustawy o radiofonii i telewizji, którą prywatni nadawcy ostro atakują.
- Tego samego dnia Rapaczyńska spotyka się z Rywinem na kawie. Na prośbę Rywina Rapaczyńska daje mu notatkę, określającą warunki brzegowe, by nowela była zaakceptowana przez Agorę. Rywin informuje, że premier Leszek Miller przyjeżdża do niego na Mazury na ryby i tam przekaże mu uwagi Agory.
- 15 lipca Rywin spotyka się z Rapaczyńską. Przedstawia propozycję, którą miał usłyszeć na rybach: rząd ustąpi z zapisów antykoncentracyjnych w noweli ustawy o rtv w zamian za przekazanie 17,5 mln dolarów na konto firmy Rywina. W rzeczywistości pieniądze mają trafić do SLD. Inne warunki układu: "Gazeta" przestaje krytykować premiera, a Rywin - kiedy Agora - kupi Polsat, ma być zatrudniony w tej stacji, by pilnować interesów SLD. Rywin chce, by Agora swe zobowiązania spisała na piśmie.
- 16 lipca Rapaczyńska sporządza notatkę z opisem rozmowy z Rywinem i przekazuje ją Adamowi Michnikowi.
- 18 lipca Michnik prosi o spotkanie Millera. Pyta, czy to premier wysłał Rywina do Agory. Premier zaprzecza. Miller pokazuje mu notatkę Rapaczyńskiej. Miller ponownie zaprzecza. Twierdzi, że nie był z Rywinem na rybach i ostatni raz widział go w czerwcu na premierze "Pianisty". Premier postanawia doprowadzić do konfrontacji Rywina z Michnikiem.
- 22 lipca przed południem Michnik zaprasza do siebie Rywina. Nagrywa rozmowę. Powołując się na "grupę, która trzyma w rękach władzę", Rywin powtarza propozycję, którą wcześniej złożył Rapaczyńskiej. Domaga się, by umowę spisać na piśmie.
- 22 lipca o 19.30 Michnik ze spisaną rozmową i płytą kompaktową z nagraniem udaje się do premiera. Na spotkanie premier ściąga też Rywina. Gdy wszyscy są już razem, premier daje Rywinowi do przeczytania notatkę Rapaczyńskiej. Rywin jest w szoku. Zapytany, kto go inspirował, Rywin podaje dwa nazwiska: byłego członka KRRiTV, dziś eksperta medialnego Andrzeja Zarębskiego i prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego.

2003-01-15, Anna Marszałek Rzepa

Milczenie Lwa. Prokuratura stawia Rywinowi zarzuty - Prezes TVP Robert Kwiatkowski przesłuchany. Pierwsze posiedzenie pierwszej w historii Sejmu komisji śledczej. Czy dowiemy się wszystkiego

Lew Rywin odmówił wczoraj składania wyjaśnień w prokuraturze, która formalnie przedstawiła mu zarzut tzw. płatnej protekcji. Chodzi o zażądanie 17,5 mln dolarów od Agory.

Jednocześnie obecni w trakcie przesłuchania Rywina jego obrońcy złożyli obszerne pisemne wnioski o "przesłuchanie w charakterze świadków szeregu znanych osób ze świata mediów, polityki, jak i środowisk aktorskich" - głosi komunikat prokuratury.

"Rz" nieoficjalnie dowiedziała się, że na liście 5 - 6 osób, których przesłuchania domaga się Rywin, są m.in. ludzie świata filmu - w tym Marek Kondrat i Janusz Majewski oraz publicystka "Polityki" Janina Paradowska. Jest także jeden polityk, którego nazwiska nie udało nam się ustalić. We wnioskach dowodowych Rywin stawia m.in. hipotezę, że Adam Michnik miał mieć do niego rzekomo jakieś prywatne anse, o czym wskazani przez Rywina ludzie mają powiedzieć. Drugi wniosek dowodowy ma potwierdzić istnienie jakiejś "przestępczej zмовy milczenia" wokół sprawy. Do tego wniosku miałyby być przesłuchana m.in. Janina Paradowska, bo - jak Urban napisał - już we wrześniu wiedziała o sprawie i rozmawiała o niej z premierem, ale żaden tekst się nie ukazał.

- Nie znam Rywina osobiście. Oczywiście rozmawiałam z wieloma osobami o tej sprawie, ale wszyscy słyszeli tylko pogłoski. Z kolei, kiedy w połowie września rozmawiałam o tym z Adamem Michnikiem, powiedział mi, że prowadzą własne śledztwo. Kiedy zapytałam, czemu nie zawiadomili prokuratury, odparł, że najważniejsze jest zakończenie negocjacji w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej, a potem nie zamierzają niczego ukrywać - powiedziała "Rz" Janina Paradowska.

Prokuratura nie zdecydowała jeszcze, czy wnioski dowodowe Rywina uwzględni. Nie zmieniają one także zasadniczego zarzutu wobec niego, że przyszedł do Agory i zażądał pieniędzy, co jednoznacznie potwierdza nagranie rozmowy z Michnikiem.

Mimo odmowy odpowiedzi na pytania prokuratorskie, Rywin nie został zatrzymany. Prokuratura tłumaczy, że przy zagrożeniu niską karą o areszt wnioskuje się tylko w wyjątkowych wypadkach. Prokuratorzy zakazali Rywinowi opuszczania kraju, zatrzymali paszport oraz przyjęli poręczenie majątkowe w postaci obciążenia hipoteki jednej z jego nieruchomości do wysokości 500 tys. złotych.

Rywin pojawił się w prokuraturze ok. 14.30 po południu. Do budynku wszedł jednak niezauważony przez fotoreporterów. Chwilę po 15 prokuratura oficjalnie poinformowała, że przedstawiła mu zarzut płatnej protekcji z artykułu 230 kodeksu karnego ("Kto, powołując się na swoje wpływy w instytucji państwowej lub samorządu terytorialnego, podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub jej obietnicę, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3").

Po postawieniu zarzutów, prokuratorzy chcieli go przesłuchać jako podejrzanego. Rywin odmówił jednak składania wyjaśnień.

Budynek warszawskiej Prokuratury Apelacyjnej Rywin opuścił ok. godz. 17.30. Nie chciał rozmawiać z dziennikarzami.

Rywina przesłuchiowano trzy godziny. Prokurator Anna Baranowska zadawała mu konkretne pytania, dotyczące sprawy zażądania przez niego łapówki od prezesa Agory Wandy Rapaczyńskiej i Adama Michnika, redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej". Rywin odmawiał odpowiedzi.

Rano, między 9 a 11, Prokuratura Apelacyjna w Warszawie przesłuchała do tej samej sprawy jako świadka Roberta Kwiatkowskiego, prezesa TVP. Podczas konfrontacji u premiera Millera między Michnikiem a Rywinem, ten ostatni wymienił Kwiatkowskiego, jako jednego z "grupy ludzi, która trzyma w rękę władzę", w imieniu której składał swą propozycję. Wcześniej powoływał się na Millera i mówił, że 17,5 mln dolarów "spożytkowane miały być m.in. na potrzeby SLD". Nazwisko prezesa TVP pojawia się też w tej sprawie w kontekście planów utworzenia przez lewicę konkurencyjnego dla Agory koncernu medialnego, w skład którego miałyby wejść m.in. sprywatyzowana Dwójka (program II TVP). Przed przesłuchaniem szef telewizji nie odpowiedział na żadne pytania dziennikarzy, a po przesłuchaniu wymknął się tylnym wyjściem.

Pierwsze posiedzenie pierwszej w historii Sejmu komisji śledczej

Największe kluby opozycji poza prezydium

Posłowie dwóch największych klubów opozycyjnych - PO i PiS - nie znaleźli się w prezydium pierwszej w historii Sejmu komisji śledczej. Ona właśnie ma wyjaśnić zarzuty dotyczące korupcji podczas prac nad nowym prawem medialnym.

Przedstawiciele PiS i PO już zapowiedzieli, że jeśli obrady komisji będą przypominać farsę, wycofają się z jej prac.

Większość w trzyosobowym prezydium komisji, która będzie wyjaśniać aferę Rywina, stanowią posłowie koalicji SLD-UP. Jedyne przedstawiciel opozycji w tym gremium to Bohdan Kopczyński z Ligi Polskich Rodzin. - To najgorszy z możliwych scenariuszy - skomentował Zbigniew Ziobro z PiS.

- Jeżeli potencjalny oskarżony dysponuje przyniatającą większością w składzie sądu, to wszyscy, którym zależy na wyjaśnieniu prawdy, mogą czuć się zaniepokojeni - dodał Jan Rokita (PO).

Przypomnijmy, że - według Rywina - łapówka, jaką miał on wymusić od Agory, miała iść właśnie na konto SLD.

Szefem komisji - na wniosek Ryszarda Kalisza z SLD - został Tomasz Nałęcz z Unii Pracy. Nałęcza poparli postowie SLD oraz PSL. Kandydatura Ziobry zyskała tylko trzy głosy (opozycji).

Kiedy przegłosowano, że w komisji będzie dwóch wiceprzewodniczących, Kalisz natychmiast poprosił o krótką przerwę, by przeprowadzić kularowe ustalenia w sprawie tego wyboru. Po przerwie Stanisław Rydzoń (SLD) zgłosił na stanowisko wiceprzewodniczącego Bogdana Lewandowskiego, również z SLD. Lewandowski został wybrany bez przeszkód - przeciw głosowali tylko Ziobro i Rokita.

Drugim wiceszefem komisji - na wniosek ludowca - został poseł LPR. Kopczyński dostał dziesięć głosów, w tym swój własny.

Posłowie PiS i PO nawet nie kandydowali na to stanowisko. Wiedzieli, że nie mają szans. Po głosowaniach Rokita wyjawiał bowiem dziennikarzom, że Nałęcz, który jest też wicemarszałkiem Sejmu, poinformował go rano, iż SLD i UP nie zgodzą się na udział w prezydium przedstawiciela PiS lub PO. Według Rokity, Nałęcz miał powiedzieć, że jedynym możliwym do zaakceptowania kandydatem opozycji jest właśnie poseł Ligi. Nałęcz odmówił komentarza w tej sprawie. - Nie mam zwyczaju powtarzać prywatnych rozmów - odparł.

Po wyborze prezydium posłowie PiS i PO nie wróżyli najlepiej dalszym pracom komisji, która ma wyjaśnić największą aferę ostatnich miesięcy.

Rokita: - Połowa komisji to członkowie SLD-UP, przewodniczący jest z SLD-UP, dwóch na trzech członków prezydium jest z SLD-UP. To wszystko jest niepokojące.

Ziobro: - Jest to świadectwo dużej zachłanności SLD w tej sprawie, zachłanności, której podtekstem, jak sądzę, jest pewien lęk o to, jak będzie prowadzona praca w tej komisji. Ufam, że jawność naszych prac będzie przeszkodą, by obrady komisji nie przekształciły się w farsę.

Najprawdopodobniej dziś odbędzie się drugie posiedzenie komisji. Wcześniej prezydium spotka się z prokuratorem generalnym, do którego chce się zwrócić o akta postępowania w sprawie Rywina. Członkowie komisji mają też przeczytać wszystkie artykuły w prasie, jakie pojawiały się do tej pory na temat afery. Według Nałęcza pierwsze przesłuchania w komisji mogą się rozpocząć pod koniec przyszłego tygodnia.

Już przed wczorajszym posiedzeniem na każdego członka komisji czekała zielona teczka. A w niej m.in. kodeks karny, kodeks postępowania karnego, ustawy o ochronie danych osobowych i ochronie informacji niejawnych. Niektórzy zaopatrzyli się w akty prawne jeszcze w minionym tygodniu. - Kodeks karny kupiłem sobie już w piątek i przez weekend mogłem spokojnie przeczytać - chwalił się Józef Szczepańczyk, z wykształcenia geodeta.

Przypomnijmy, że w dziesięcioosobowej komisji zasiada sześciu prawników, w tym tylko jeden z uprawnieniami prokuratorskimi i takim doświadczeniem (Ziobro). Pozostali to m.in. technik budowlany, historyk i politolog. Zgodnie z ustawą swe uchwały komisja będzie podejmowała większością głosów przy obecności co najmniej 1/3 członków komisji. LUZ, M.M.

Niektóre posiedzenia komisji mogą zostać utajnione. Czy dowiemy się wszystkiego

Posiedzenia powołanej przez Sejm komisji śledczej - która ma zbadać sprawę Lwa Rywina i Agory - mogą zostać utajnione. Jej przewodniczący Tomasz Nałęcz mówi, iż trudno jest mu wyobrazić sobie taką sytuację.

Media nie mają wstępu na przesłuchania prokuratury w tej sprawie, będą mogły natomiast relacjonować prace sejmowej komisji. Według ustawy o dostępie do informacji publicznej, prawo do niej obejmuje wstęp na posiedzenia organów władzy pochodzących z powszechnego wyboru, czyli m.in. Sejmu i ich organów pomocniczych.

- To eksperyment w życiu publicznym: jednoczesna praca sejmowej komisji oraz prokuratury nad tym samym zagadnieniem. Komisja może zrobić wszystko, co przeprowadza prokuratura - przyznał w radiowej "Trójce" Kazimierz Olejnik, zastępca prokuratora generalnego. Ma jednak wątpliwości, czy to sytuacja dobra: - Widzę zagrożenie w tym, że publiczne wykonywanie tych czynności, którymi zwykle zajmuje się prokuratura (mająca łatwość dojścia do dowodów), skomplikuje istotę prowadzenia postępowania karnego. Zasygnalizowałem potrzebę porozumienia się komisji i prokuratury, by nie utrudnić czynności tej drugiej.

Dostęp do informacji ustawa ogranicza ze względu na prywatność osoby fizycznej lub tajemnicę przedsiębiorcy. Chyba że jest to informacja o osobach pełniących funkcje publiczne lub ma związek z ich pełnieniem. Świadek i ewentualny oskarżony Lew Rywin jest osobą prywatną i przedsiębiorcą, ale sprawa ociera się też o "grupę sprawującą władzę" i proces legislacyjny.

Ustawa o ochronie informacji niejawnych nakłada klauzule różnego stopnia tajności na zagadnienia, jakie mogą pojawić się w komisji śledczej. "Tajne" są m.in. informacje dotyczące czynności dochodzeniowo-śledczych, jeśli ich ujawnienie mogłoby przeszkodzić prawidłowemu tokowi postępowania karnego, a także instrukcje do negocjacji w sprawie zawierania umów finansowych o znaczeniu ogólnopaństwowym, jeśli ich ujawnienie może wpłynąć na dalszy tok rozmów.

Postowie z Komisji ds. Służb Specjalnych wskazują niektóre inne możliwe tematy, których omawianie także powinno być ukryte przed opinią publiczną. Zdaniem Zbigniewa Wassermanna z PiS (były prokurator krajowy) komisja śledcza może uznać za niezbędne do wyjaśnienia sprawy powołanie świadka koronnego. W grę może też wchodzić zaangażowanie służb specjalnych. - Telewizja jest tak ważnym medium, że tą sprawą mogły interesować się służby i mieć jakieś informacje - mówi Wassermann.

Zgodnie z ustawą informacje niejawne mogą być udostępniane osobom po odpowiednim przeszkoleniu i przeprowadzeniu wobec nich postępowania sprawdzającego. Postowie po szkoleniu składają tylko oświadczenie o znajomości przepisów. Nie są sprawdzani, chyba że mają mieć dostęp do informacji "ściśle tajnych". Takie zaś są m.in. informacje związane z pracą operacyjno-rozpoznawczą i zainteresowaniami służb ochrony państwa lub innymi organami uprawnionymi do tych prac. Taka sama klauzula chroni też świadka koronnego oraz tożsamość świadków, których ujawnienie może zagrozić ich życiu, zdrowiu albo mieniu w znacznych rozmiarach.

Gdyby zatem przed komisją mieli zeznawać funkcjonariusze służb specjalnych, konieczne byłoby utajnienie posiedzeń. Niewykluczone też, że wtedy postowie musieliby otrzymać certyfikat dopuszczający do tajemnic państwowych. Według Wassermanna jego wydanie trwa czasem dwa miesiące. To opóźniłoby prace komisji.

Inny członek Komisji ds. Służb Specjalnych, Konstanty Miodowicz z PO (były szef kontrwywiadu UOP), uważa natomiast, że komisja pełniąca zadania prokuratorskie powinna być traktowana tak jak zwykli prokuratorzy. Oni nie muszą mieć certyfikatów. Ponadto postowie mogliby uzyskać zgodę na jednorazowe ujawnienie im informacji.

Zdaniem Miodowicza, komisja śledcza zetknie się raczej z tajemnicą handlową, która także nie może być publicznie ujawniona. - Elementem afery jest przecież rzekomy projekt prywatyzacji drugiego programu TVP - mówi.

Służbowe tajemnice oznacza się w ustawie jako "poufne" (gdy ich ujawnienie godzi w interes państwa, publiczny lub chroniony obywateli) i "zastrzeżone" (może zaszkodzić chronionym interesom obywateli albo jednostek organizacyjnych). Natomiast zgodnie z kodeksem postępowania karnego, który reguluje także działania sejmowej komisji śledczej, niejawne są rozprawy, w których prokurator wnioskuje o umorzenie postępowania z powodu niepoczytalności sprawcy oraz wtedy, gdy dotyczą spraw o pomówienie lub znieważenie. Można też utajnić rozprawy - mogące wywołać zakłócenie spokoju publicznego - podczas których mogłoby dojść do obrazy dobrych obyczajów - które w efekcie doprowadziłyby do naruszenia ważnego interesu prywatnego lub ujawnienia okoliczności, które ze względu na ważny interes państwa powinny być zachowane w tajemnicy.

Ad Vocem. Lekcja jawności. Bronisław Wildstein

Czy wielkie nadzieje pokładane w Sejmowej Komisji Śledczej, która ma wyświetlić aferę Rywina, są uzasadnione?

Szanse, że odłoni ona całość ukrytego wymiaru sprawy, są nikłe. Wyłączenie z prac komisji problemu prywatyzacji telewizji publicznej oraz próby podporządkowania mediów prywatnych KRRiTV, ogranicza możliwości dochodzenia przez nią prawdy. Niepokój budzi skład komisji, połowę jej członków stanowią bowiem posłowie SLD - UP, którzy - jak zauważył Jan Maria Rokita - będą prowadzić dochodzenie w swojej sprawie.

Tym osobliwiej brzmi pytanie przewodniczącego Nałęcza: dlaczego opozycja miałaby być w tej sprawie bardziej wiarygodna. Po prostu dlatego, że nikt nie jest dobrym sędzią we własnej sprawie.

Samoobrona już wie, że afery Rywina jest prowokacją wymierzoną w rząd. I można sądzić, że jak zwykle w sprawie mediów (i nie tylko) będzie głosowała tak jak SLD.

Protesty przeciwko przewodniczeniu komisji przez Nałęcza, który nie jest prawnikiem, sam zainteresowany zbył stwierdzeniem, że w ciągu kilku dni się nauczy. Minister sprawiedliwości Kurczuk (SLD) stwierdził, że sędziowie dostają pół roku na przygotowanie się do zmiany przepisów. Widocznie Nałęcz jest inteligentniejszy.

Niepokojące jest wspomnienie już na wstępie o tajemnicy państwowej, zwłaszcza że jej zakres w Polsce jest wręcz nieograniczony.

A mimo to komisja będzie miała wielkie znaczenie. Po raz pierwszy na oczach obywateli pod przysięgą będzie można przepytwać wielkich III Rzeczypospolitej. I nie będą mogli oni wykręcić się dowcipem. Z pewnością dowiemy się wiele o niejawnym mechanizmach funkcjonowania III Rzeczypospolitej, mechanizmach, które zyskują w niej coraz większe znaczenie. Będzie to lekcja jawności, a więc demokracji.

2003-01-12, Marcin Król, TPow, Nr 2 (2792),

Politycy i pieniądze: kilka refleksji na marginesie „sprawy Rywina”

Mniej więcej legalnie

Politycy od zawsze mieli niejasne relacje z pieniędzmi. Pojawienie się ustroju demokratycznego zmieniło tę sytuację w niewielkim stopniu. Politycy są teraz pod każdym względem (stanu, urodzenia, uprawnień itd.) takimi samymi obywatelami, jak wszyscy inni. Od księcia, który zgarnął łupy wojenne lub niecnie wykorzystywał poddanych, niewiele można było się domagać.

Kłopoty polityków z pieniędzmi są rozmaitej natury. Możemy odróżnić kilka wyraźnie odmiennych sytuacji.

Pierwsza, to czysto osobiste problemy finansowe wynikające z tego, że polityka to zawód, który niekoniecznie jest wykonywany przez całe życie. Lekarz zostaje senatorem (w Polsce czy gdzie indziej), jest nim przez osiem lat i co ma potem zrobić? Wrócić do zawodu? Tylko w wyjątkowych przypadkach mu się to uda. W innych zawodach bywa jeszcze gorzej. Z czego zatem ma ów lekarz żyć, tym bardziej, że natura ludzka jest ułomna i przywykł już do przywilejów oraz pieniędzy wynikających z bycia senatorem. Co zrobić z politykami, którzy przestali nimi być (z różnych powodów, ale nie z własnej winy), a nie mają gdzie zawodowo i finansowo wrócić?

Partie i natura ludzka

Druga sytuacja wynika z faktu, że politycy co pewien czas muszą prowadzić kampanie, muszą się także odpowiednio ubierać, powinni mieć przyzwoicie ubrane żony i doradców. Państwo w niektórych przypadkach i do pewnego stopnia na niektóre z tych wydatków łoży, ale tylko w ograniczonym zakresie i – na przykład – polskie państwo jest niezwykle skąpe, jeżeli chodzi o finansowanie doradców z prawdziwego zdarzenia. Ponadto polityk, o ile nie ma własnych pieniędzy i należy do partii, która nie uzyskała pieniędzy w poprzednich wyborach, bo nie miała dość głosów, niekoniecznie ma skąd wziąć pieniądze na dobry samochód niezbędny do objeżdżania kraju zimą i latem, na honoraria dla autorów przemówień, na ogłoszenia wyborcze, a tym bardziej na żonę. Niezręcznością popisali się trzej liderzy Platformy Obywatelskiej, kiedy to oświadczyli, że oni nie muszą gonić za pieniędzmi, co miało ich pozytywnie wyróżniać. A niby dlaczego pozytywnie, a nie negatywnie?

Trzecia sytuacja, to problem z partią i jej pieniędzmi. Żadne europejskie lub demokratyczne państwo dobrze tego problemu nie rozwiązało. I jeżeli teraz słyszymy o – nie potwierdzonych – podejrzeniach wobec premiera i SLD, to tylko dlatego obawiamy się, że coś może być na rzeczy, bo pamiętamy sprawę Kohla czy Clintona, oraz mnóstwo innych, z licznymi przypadkami włoskimi na czele. Partie polityczne stają się w pojęciu społeczeństw demokratycznych coraz mniej przydatne, a jednocześnie nikt nie wymyślił żadnej innej formy organizacji życia politycznego i dlatego partie wciąż muszą istnieć. Istnienie zaś jest kosztowne, więc pieniądze zdobywa się metodami nie zawsze zgodnymi z prawem. Społeczeństwa skapią politykom na wszystko, a w Polsce zrobił się z tego idiotyczny i demagogiczny obyczaj, wykorzystywany zwłaszcza przez tych, którzy jeszcze nie byli u władzy. Wypominanie posłom czy senatorom, ile to dostają pieniędzy jest śmieszne, bo ani się na tym nie oszczędzi, ani też oni za dużo nie dostają, tylko grubo za mało, jeżeli mieliby swoje zatrudnienie polityczne traktować naprawdę poważnie.

Czwarta sytuacja związana jest z naturą ludzką (a przeciwnikom idei „natury” mogę przyznać, że i z kulturą, tyle że już od starożytności), która sprawia, że jak człowiek ma okazję mniej więcej legalnie „nachapać się” pieniędzy, to olbrzymia większość (oczywiście nie wszyscy) z tej okazji skorzysta. Powiadam: „mniej więcej legalnie”, co często znaczy nielegalnie w świetle prawa, ale jeszcze nie stanowi zwyczajnego brutalnego złodziejstwa w świetle przyjętych norm społecznych i obyczajowych. Zwyczajny złodziej, nawet polityk, nie jest tu przedmiotem rozważań, bo zwyczajni złodzieje idą (lub iść powinni) do więzienia.

Dwóć jest drogi

Politycy mieli niejasne relacje z pieniędzmi w zasadzie zawsze i pojawienie się ustroju demokratycznego zmieniło tę sytuację tylko w pewnym stopniu. A to mianowicie dlatego, że politycy są teraz ludźmi pod wszystkimi względami (stanu, urodzenia, uprawnień i tak dalej) takimi samymi, jak wszyscy inni obywatele. Od księcia, który zgarnął łupy wojenne lub niecnie wykorzystywał poddanych, niewiele można było się domagać. Od prezydenta, który by podobnie postępował, wymagamy znacznie więcej i po prostu mu na to nie pozwalamy. Nie jest nawet do końca jasne, czy prezenty, jakie otrzymał jako prywatna osoba w trakcie pełnienia funkcji, mogą do niego należeć. Ponadto w czasach demokracji nie godzimy się obyczajowo na to, żeby politycy dorabiali się na polityce. Oczywiście politycy świetnie zdają sobie z tego sprawę i po skończeniu kariery dorabiają potem na wykładach, co jest w pełni legalne, ale czy aby na pewno jest obyczajne, skoro polityk za wykład dla grona zamożnych pań dostaje pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Poczyńmy krok dalej i rozważmy trudniejszą okoliczność, kiedy to polityk nie zagarnia pieniędzy lub łupów po prostu dla siebie, ale czyni tak, bo musi wyżywić znaczną grupę klientów, którzy pomogli mu zdobyć władzę, pomagają mu się przy niej utrzymać oraz pomogą mu, kiedy pójdzie na zieloną trawkę. W zasadzie każdy polityk musi otaczać się takimi ludźmi, chyba że przyjmujemy zasadę, iż politykiem może być tylko człowiek, który był zamożny już wtedy, kiedy rozpoczynał karierę. Tak zresztą bywa w praktyce: taki właśnie jest obyczaj (naturalnie nie prawo) w Szwajcarii, gdzie grono polityków to ludzie, którzy decydują o gospodarczych losach państwa, czyli najczęściej bogaci bankierzy. W Stanach Zjednoczonych również biedak politykiem nie zostanie, a co najmniej musi przejść kilka stopni, które pozwolą mu uzyskać odpowiedni status finansowy (tu przykład prezydenta Clintona i jego kłopotów ma charakter wręcz podręcznikowy).

Czy polityk może się obejść bez akolitów? Otóż nie. Dawniej na dworze byli doradcy do spraw różnych, także osobistych, byli doradcy wojskowi i finansowi, był błazen i był zausznik, byli wynajęci aktorzy i muzykanci oraz byli opłacani dziejopisarze. Czy cokolwiek uległo w tym zakresie zmianie? Nic, prócz tytułów. A to dlatego, że polityk musi otaczać się ludźmi, którzy zapewnią mu nieformalne kontakty z różnorakimi (nie tylko finansowymi) elitami danego kraju i poza krajem. Polityk musi znacznie częściej niż normalny obywatel liczyć się z wypowiedzianymi publicznie słowami, ale jednocześnie musi przy kimś poprzeklinać i napić się piwa lub zagrać w karty (jeżeli to akurat lubi). Wreszcie polityk musi czasem wyrzekać się odpowiedzialności lub po prostu zrzucić na kogoś winę i takiego kogoś musi mieć zawsze pod ręką. Musi się też pośmiać – każdy z nas musi – i dlatego potrzebny mu jest błazen. Żaden polityk zajmujący wysokie stanowisko (od ministra wzwyż) nie może zrezygnować z tego otoczenia. Być może niektórzy rezygnują z racji wieku lub przekonań moralnych (religijnych), ale – przyznać musimy – są to wyjątki.

Najwięcej jednak kosztują ci, których trzeba nie tylko utrzymać, ale także zapewnić im przyszłość. Zdajmy sobie sprawę, że nawet błazen czy zausznik bez zapewnionej przyszłości może okazać się niebezpieczny, gdyż dla niezbędnych pieniędzy prędzej czy później opublikuje wspomnienia, a w takich wspomnieniach nikt nigdy dobrze nie wypada. Trzeba ich więc upchać do rad nadzorczych, na dyplomatów lub w takie miejsca, z których nikt potem ich nie ruszy przez dobrych kilka lat, a oni już sami zapewnią sobie dalsze mniej lub bardziej legalne dochody (na przykład w Polsce skierować ich do rady od radia i telewizji).

Polska: ani Północ, ani Południe

Innymi słowy, tylko człowiek ogromnie naiwny starałby się doprowadzić do tego, by politycy nie zdobywali, mniej lub bardziej legalnie, pieniędzy na wszystkie wymienione powyżej cele, dla siebie i innych. Kwestia zasadnicza kryje się (skoro wykluczaliśmy zwyczajnych złodziei) w tym „mniej lub bardziej”. Amerykanie – naiwni, wedle jednych, trzeźwi, wedle drugich – zalegalizowali lobbying właśnie po to, żeby zachowania mniej legalne uczynić bardziej legalnymi. Jednak w niektórych północnych krajach protestanckich każda forma (nawet na mikroskopijną skalę) osiągania dodatkowych mniej lub bardziej legalnych zysków prowadzi do natychmiastowej kompromitacji polityka, ale jak wiemy z licznych przykładów – najobficiej dostarcza ich Szwecja – powoduje to jedynie dalsze utajnienie niezbyt legalnych działań. W krajach południowoeuropejskiego katolicyzmu normy są znacznie złagodzone, ale też istnieją, czego dowodem jest ostateczny upadek chorobliwie i dogłębnie skorumpowanej chadecji we Włoszech, której społeczeństwo pozwalało na bardzo wiele, aż miarka się przebrała. W Polsce powstała sytuacja zupełnie niezdrowa, gdyż pokazując wyrwykowe przykłady, mass media zdają się sugerować, że wszyscy politycy są skorumpowani, ale dziennikarze nie potrafią tego udowodnić w takim stopniu, by skompromitowany polityk musiał odejść lub by go z zarzutów całkowicie oczyszczono. Pozwolę sobie skorzystać raz jeszcze z przykładu premiera i sprawy jego mieszkania, jak wiadomo kupionego za pożyczkę z banku Gudzowatego.

Czy jest w tym coś złego czy nie? Nie wiem, dopóki się nie dowiem, jakie standardy przyjmujemy w ocenianiu związków między politykami a pieniędzmi. Z jednej strony wszystko w porządku: ktoś wziął pożyczkę i jeżeli ją spłaca, to o co pretensje? Z drugiej strony, wiemy, kim jest Gudzowaty, wiemy, że jego bank w zasadzie nie udziela pożyczek mieszkaniowych i tak dalej. Otóż przykład ten pokazuje, że w Polsce uznaliśmy, iż takie zachowanie jest w porządku. Jest więcej, a nie mniej, legalne. Lecz posuńmy się krok dalej i rozważmy teoretyczną sytuację, że oto mianowicie rzeczywiście na polecenie poprzedniego premiera państwowe firmy zainwestowały w ideologicznie określoną telewizję „Puls”. Też nie wiem, jak z „Pulsem” dokładnie było, ale myślę, że było raczej bardziej nielegalnie. A co zrobić ze związkami polityków z PZU „Życie”, a co z Lwem Rywinem? Oczywiście, trzeba mieć zawsze dowody, jednak jak dużo można, gdzie jest granica między mniej a więcej?

Jedyny sędzia

Myślę, że jedynym prawdziwym sędzią w tej sprawie może być tylko opinia publiczna. A opinii publicznej muszą pomóc mass media. Dlatego na przykład sprawa o próbę przekupstwa wytoczona przez „Gazetę Wyborczą” powinna być przez nią doprowadzona do logicznego końca. Naturalnie są prokuratorzy i sądy, ale media od funkcji osądzającej uciekać nie mogą. Muszą postępować z umiarem, ale i z konsekwencją. Jeżeli się powiada, że praktycznie wszyscy kradną (a nie trzeba tego mówić wprost, wystarczy tylko o tym ciągle na przykładach nie do końca udowodnionych lub

zbadanych pisać), to wytwarza się powszechne poczucie, że otaczają nas w polityce sami złodzieje, co jest nonsensem i pożywką dla partii populistycznych. Jeżeli się postępuje przeciwnie, to się chowa głowę w piasek. Myślę, że Polska jako kraj raczej północny, ale katolicki z tradycji, powinna przyjąć postawę tak gdzieś między Szwecją a Włochami. Ale trzeba wytworzenia się konsekwencji, która doprowadzi do powszechnego odczucia, co jest mniej, a co więcej, legalne.

2003-01-19, Trybuna, nr 15.

Jest interes do zrobienia

Są sprawy w państwie, które ludzi mediów powinny łączyć. Naczelny redaktor "Gazety Wyborczej" Adam Michnik uważa, że należą do nich integracja europejska, bezpieczeństwo - żeby człowiek na ulicy nie bał się ani bandziorów, ani policji - i korupcja. Ten kanon odpowiada również nam. Mimo więc dzielących nas dotąd różnic nie chcieliśmy odrzucać propozycji, by się spotkać i pogadać. Oczywiście Czytelnikom "TRYBUNY" nie mogę dać głowy, że Pan Redaktor dostrzegłby nas, gdyby nie jego przygoda z Lwem Rywinem. Skoro jednak uznał, że na Państwa opinii mu zależy, to... serdecznie witamy. Marek Barański.

Magnetofony wykładamy na stół?

- Niech pan wyklada, co pan chce. Wydaje mi się, że jest rzeczą dobrą, że zechciał pan wyrazić zgodę, żebym ja mógł na łamach "TRYBUNY", czytelnikom "TRYBUNY", odpowiedzieć na zarzuty i na pytania o sprawy, które są dla nich niejasne.

Zacznijmy więc od pytania zasadniczego, powtarzanego od pierwszych chwil i zadawanego Panu nieustannie przez wszystkich dziennikarzy, którzy tą sprawą żyją od dwóch tygodni - dlaczego od razu nie zawiadomiliście prokuratury? Mówicie, iż prowadziliście dziennikarskie śledztwo, ale jako żywo śladów tego śledztwa nigdzie nie widać. Nie wiem, czy do tego, co o tej sprawie już Pan powiedział, może Pan dodać coś jeszcze.

- Spoglądając z pewnej perspektywy mogę powiedzieć, powtarzając za premierem Leszkiem Millerem, że gdybym wtedy, w lipcu, miał świadomość możliwych reperkusji i możliwych interpretacji, prawdopodobnie bym po prostu do prokuratury poszedł. Dlaczego nie zrobiłem tego? Po pierwsze dlatego, że kompletnie nie miałem jasności w tej sprawie. Niech pan spróbuje wejść w moje buty - oto do pana, redaktora naczelnego dziennika, przychodzi ktoś znany panu, człowiek publiczny, nie anonimowy, powołuje się na rozmowę z szefem rządu, z premierem Rzeczypospolitej i składa w jego imieniu korupcyjną propozycję...

Pierwsza moja reakcja była taka, że ja po prostu w ogóle nie wiedziałem, co o tym myśleć. Na moją znajomość premiera Millera to było nieprawdopodobne. Jego nigdy nie oskarżano o żadne korupcyjne sprawy. Jego nigdy nie oskarżano o głupotę i manię samobójczą. To nie. Ja go znam lepiej lub gorzej, jednak blisko czternaście lat. To się kompletnie nie mieściło w moim wizerunku tego polityka, z którym często bywałem w konfliktach i to ostrych. Z drugiej strony, znając Rywina, którego też widywałem w rozmaitych sytuacjach publicznych, towarzyskich, producenta filmów najwybitniejszych reżyserów, to mi się w ogóle w głowie nie mieściło, że to może być możliwe. Nie wiedziałem, czy mam do czynienia z mitomanem, czy mam do czynienia z prowokacją polityczną, a może jednak rzeczywiście z próbą wyłudzenia pieniędzy. Postanowiłem, że spróbujemy to ustalić.

Powiada się, że nasze śledztwo nic nie dało, że go nie widać. Rzeczywiście, to jest prawda. Ale od kilkunastu dni nie jedna redakcja, ale wszystkie redakcje w tym kraju prowadzą śledztwo i żadna z nich w ustaleniach nie wyszła poza to, co my napisaliśmy. Nie wiemy tak naprawdę, czy ktoś stał za Rywinem, czy to była jego fantazja...

Drugi powód, dla którego nie polecałem do prokuratury, i który oczywiście mnie nie tłumaczy, to ten, o którym mówiłem na naszej konferencji prasowej - moja droga życiowa zawsze na tym polegała, żeby się jak najdalej trzymać od wszelkich prokuratorów. To był zwykły odruch, instynkt. Trzeci motyw, autentyczny i dzisiejszy - ja w ogóle nie uważam, że dziennikarze są od tego, żeby biegać do

prokuratora. Od tego są inne instytucje. Oczywiście - można powiedzieć, że ja jestem nie tylko dziennikarzem, ale i obywatelem. To prawda, te role trochę mi się ponakładały. Patrząc więc z pewnej perspektywy mogę powtórzyć, że gdybym miał świadomość, jak to może być zdezinterpretowane, to prawdopodobnie bym do prokuratora wtedy poszedł.

Dlaczego drukowaliśmy dopiero w grudniu? Myśmy na początku myśleli, że coś powie sam Rywin. Nasz kolega Piotr Niemczycki, który zna go z nas wszystkich najlepiej, bo pracował z nim w telewizji Canal +, powiedział mu: Słuchaj, Lew, my tego tak nie zostawimy, ty musisz nam powiedzieć, co to właściwie było, z czym mamy do czynienia. Następnie ja, pan Smoleński i niektórzy inni koledzy z redakcji odbyliśmy setki rozmów, setki z ludźmi z klasy politycznej, z biznesu, z mediów, z branży filmowej. Ustaliliśmy masę interesujących rzeczy, tylko że nikt nie chciał mówić pod nazwiskiem. I co najważniejsze - żadna z tych rozmów nie była nitką, która mogła nas doprowadzić do tych, którzy stoją za Rywinem. Tak naprawdę więc do publikacji byliśmy gotowi w drugiej połowie października. Wiedzieliśmy już, że nie dowiemy się nic nowego, ale dla czystości profesjonalnej trzeba było porozmawiać i z Andrzejem Zarębskim, bo pojawiło się jego nazwisko, i z Robertem Kwiatkowskim, i szefem rządu.

I tu muszę powiedzieć, że jestem z wielkim szacunkiem dla premiera. To jest pierwszy premier naszej Rzeczypospolitej po '89 roku, który nie uchylił się i pomógł ujawnić "Gazecie" fakt próby korupcyjnej.

Ale gdy już mogliśmy drukować... zaczęliśmy się zastanawiać - mieliśmy właśnie referendum w Irlandii... No nie, odczekajmy. Odczekajmy, zła dynamika jest - rozmaici politycy zaczną się wypowiadać w sprawie Unii Europejskiej, poczekajmy trochę... Później przychodzi ta ostatnia faza przed Kopenhagą. Wyobraźmy sobie, że zrobiliśmy to w listopadzie. I premier jedzie do Kopenhagi. Z takim paszтетem! Przecież, mówiąc patetycznie, to byłaby postawa antypaństwowa, postąpilibyśmy wbrew elementarnym interesom naszego państwa. W międzyczasie, na prośbę premiera, odbył ze mną rozmowę minister sprawiedliwości, który spytał mnie, po publikacjach we "Wprost", co to za sprawa? Panie ministrze, powiedziałem, skończymy to, uporzędkujemy, żebym mógł mieć wewnętrzne przekonanie, że mam pełną wiedzę na ten temat.

Jest tu jeszcze jeden element - ja wiedziałem, że w tej sprawie nie wolno mi mieć z Lwem Rywinem wspólnych sekretów. Dlatego opowiadałem o tym na prawo i lewo, dziesiątkom, setkom ludzi... W tej sytuacji wydawało mi się, że w ogóle nie ma tematu, że nawet gdyby ktoś chciał, to nie da się oskarżyć mnie lub kogokolwiek o chęć ukrycia tego...

Pośród tych setek osób, którym opowiadał Pan o wszystkim, były takie, które chciały na ten temat coś napisać. Pan jednak je prosił, żeby tego nie robiły. Te Pańskie zabiegi, by nic się nie ukazało, uprawniają do podejrzenia, że sterowaliście wydarzeniami po to, żeby pośrednio uderzyć tą aferą w Millera zaraz po jego kopenhaskim sukcesie. Żeby mu się w głowie nie przewróciło. Nawet pana ministra Kurczuka Pan uprosił, co dla pani Olejnik jest teraz powodem do zgryźliwych żartów z ministra, który strzegąc prawa ulega prośbie redaktora.

- Muszę powiedzieć, że nie widzę w postępowaniu pana Kurczuka nic do śmiechu. Jakaś tam sprawa została ujawniona we "Wprost" w trybie żartobliwym. Ponieważ pojawiło się przy tym moje nazwisko, pan minister Kurczuk zapytał mnie o to. Powiedziałem: Panie ministrze, w najbliższym czasie pan i opinia publiczna o wszystkim będziecie poinformowani. Przecież to nie jest taki przypadek, że Rywin może jutro pójść do pana, do Jerzego Baczyńskiego czy do Macieja Łukasiewicza z podobną propozycją, a więc to nie jest tak, że myśmy mu umożliwiali kontynuowanie przestępczych działań. Wszyscy wiedzieli o tym, tego zagrożenia nie było. Jeśli chodzi o ministra Kurczuka, to ja tu w ogóle sprawy nie widzę. Natomiast jeśli chodzi o termin naszej publikacji, to najprawdopodobniej był nasz błąd. Myśmy ciągle wierzyli, że czegoś jednak się dowiemy...

Za każdym razem, po każdej rozmowie z jakąś wybitną postacią z mediów, czy z biznesu, wydawało mi się, że coś gdzieś złapię. Nie złapałem. Tak się sprawy mają, jeśli chodzi o to nasze śledztwo i o datę publikacji.

Panowie w swojej gazecie niebotycznie wywindowali standardy dziennikarskie, moralne, etyczne. Co więcej - narzuciliście taką modę, że każdy musi tego przestrzegać. Ale też sami wykreowaliście się na prymusów. Doskonale Pan wie, jak się "lubi" prymusów. Zatem - wy patrzycie na ręce, ale i wam się

patrzy. I słucha się niezwykle uważnie, co mówicie. Pana zwłaszcza. Jeśli więc Pan mówi, że Rywin chciał 17,5 mln dolarów, to dlaczego w Pańskiej głowie, poza innymi, nie odezwał się i ten brzęczyk - uważaj! No bo jak to technicznie zrobić? W walizce, na konto?

- Żeby to przepuścić przez tę jego firmę Heritage Films. I to mi się wydało podejrzané...

Przecież nadzór bankowy zaraz by to wylapał. Oni tam nic innego nie robią, tylko wpatrują się w komputery i patrzą, komu gwałtownie przybyło...

- Mogę powiedzieć panu tylko tyle - rozmawiać ze mną o pieniądzach i przepływach bankowych...

... **to tak** jak o magnetofonach?...

- (śmiech) ... to jak o magnetofonach... Ale to mały jest pikuś. Ja byłem wstrząśnięty, że Rywin posłużył się nazwiskiem szefa rządu! To był dla mnie szok.

A nie był Pan wstrząśnięty, że to powiedział on?

- Byłem! Kompletnie!

Nie byliście takimi zwykłymi znajomymi. Mieliście wspólne interesy, Agora była w Canal +...

- Ja nie jestem od...

... **od finansów**... To fantastycznie wygodna pozycja - nie jestem od...

- Ja naprawdę nie jestem. Trudno w to uwierzyć, ale ja naprawdę nie jestem. U nas jest chiński mur - nikt, ani Wanda Rapaczyńska, ani Piotr Niemczycki nie mogą w żaden sposób oddziaływać na to, co my piszemy. A my się nigdy nie wtrącaliśmy w decyzje finansowe. Gdyby się pan teraz zapytał mnie, jakie pisma Prószyńskiego kupiła Agora, to bym nie wiedział.

Dlaczego nie poszliście do minister Jakubowskiej? To, co ona mówi, jest logiczne - jeśli ona prowadzi tę ustawę, to ona powinna być korumpowana w pierwszej kolejności.

- Przez sekundę nie przyszło mi do głowy, żeby minister Aleksandrę Jakubowską o coś podejrzewać. Tu nie jej nazwisko padło, tu padło nazwisko szefa rządu! Po rozmowie z szefem rządu oczywistym się stało, że on zupełnie, kompletnie nic z tym wspólnego nie ma. To było skrajne nadużycie. Ale tam padło jeszcze inne nazwisko i myśmy szukali tą ścieżką. Prawdę mówiąc, od początku nie wierzyłem w to, że Rywin przyszedł z wiarą, że Wanda Rapaczyńska otworzy sejf i da mu kasę. Nie tylko ja sądziłem, że to jest prowokacja. W pewnym momencie on powiedział, że chce złożyć na papierze propozycję jakiejś grupie. I ja myślałem, że jakaś tam grupa jest! Byłem jej szalenie ciekaw. Nie umiałem jednak sprawdzić, z kim Rywin bywał na rybach. Do dziś nikt tego nie ustalił. Hipoteza premiera, że mamy do czynienia z mitomanem, jest równie silna jak hipoteza, że ktoś za nim stał.

A jeśli chodzi o, formułowane kilkakrotnie w "TRYBUNIE", podejrzenie, że to było uderzenie w szefa rządu - czy to pana nie zastanawia, panie redaktorze, że tego oskarżenia nigdy w stosunku do nas szef rządu nie wysuwał?

Może nie chce mu się w to wierzyć? Pan, po raz kolejny, deklaruje podziw dla postawy Millera w tej sprawie i zarazem lojalność "Gazety" wobec niego. Ale jednocześnie Pańscy znaczący pracownicy, na przykład red. Gadomski w TVN 24 informuje, że "Gazeta" sugerowała Millerowi, żeby zgłosił sprawę do prokuratora. A przypominę, że z tego, iż od razu tego nie zrobił, czyni mu się zarzut. Występująca w tym samym programie red. Paradowska pyta Gadomskiego skonsternowana, czy na pewno tak było? Na pewno! - odpowiada i dopowiada: parokrotnie, ale premier nie chciał tego zrobić... Pan redaktor Rawicz podczas swego z kolei występu w TVN 24 mówi, że premier był przez Pana poinformowany, że ma Pan zamiar Rywina nagrać, co też jest nieprawdą...

- Witold Gadomski kulisów tej sprawy nie znał, to jest dziennikarz gospodarczy...

... **ale chłapie** na Pański rachunek.

- Raz chlapnął. Nie zorientował się. Potem zastanawialiśmy się, czy pisać jakieś wyjaśnienie, sprostowanie. Uznaliśmy, że to jest mało oglądany program, a jak mawiał Aleksander hrabia Gorczakow - minister spraw zagranicznych Rosji - nie wierzę w żadne doniesienia prasowe z wyjątkiem tych, które są dementowane. Zdementuję to, to dopiero będzie wydarzenie! Nie informowałem premiera, że będę nagrywał Rywina.

Również od niego wiem, że nie informował go Pan.

- Jeżeli on tak mówi, to on prawdę mówi. To znaczy, że kiedy ja relacjonowałem to Juliuszowi Rawiczowi, doszło do nieporozumienia. Powiedziałem mu, że uprzedziłem premiera, że będę rozmawiał z Rywinem. Natomiast red. Rawicz wyciągnął z tego niesłuszny wniosek, że uprzedziłem premiera, iż tę rozmowę będę nagrywał. Tymczasem tak nie było.

... **i premier nie** uprzedził Rywina.

- To jest kluczowe! Premier na pewno prawdę mówi. To nagranie nie było mi dla premiera potrzebne. Trochę jest mi o tym niezręcznie mówić, ale wedle mojej oceny, gdybym mu powiedział, że Rywin powiedział to i to, to by miało to tę samą wagę, co taśma magnetofonowa. Nagranie było mi potrzebne, żeby ci wszyscy, którzy nie mają do mnie tego zaufania, którym zaszczyca mnie premier, mieli to na taśmie. W tej sprawie to jest jedyny, żelazny dowód. Wszystko inne można uznać za zмовę.

Pański kolega w "TRYBUNIE" sugerował, że to jest zмова prezydenta, Rywina, moja, Wandy... Jak jest ta taśma, to jest żelazny dowód, nie do odparcia. Wszystko inne to są słowa. Jeśli jest ta taśma, jeśli nie ma żadnego motywu, dla którego chcielibyśmy zrobić jakąkolwiek krzywdę Rywinowi, jeżeli są zeznania moje, pani Rapaczyńskiej, pana Niemczyckiego, jeśli w chwilę po tej rozmowie tę taśmę przesłuchuje pani Łuczywo i jeżeli do tego wszystkiego mamy świadka w osobie szefa rządu, no to mnie się zdaje, że tutaj nie może być żadnej wątpliwości.

Do jednej sprawy chcę wrócić - było mi bardzo przyjemnie usłyszeć, że premierowi do głowy nie przyszło, że szykuję przeciwko niemu jakieś uderzenie. Od siebie mogę powiedzieć tylko tyle, że, jak wykazała ta sprawa, jestem człowiekiem naiwnym dosyć. Mnie się wydawało, że ostatnie 13 lat mojej biografii i biografii "Gazety", w której pracuję, uniemożliwia w ogóle ten typ przewrotności. Ktoś u pana przywołał dla porównania sprawę Oleksego - że myśmy ją głównie obrabiali, a po kilku latach przeprosili. To nie było tak - w sprawie Józefa Oleksego mieliśmy do czynienia z oskarżeniem o zdradę główną sformułowanym z trybuny sejmowej przez urzędującego ministra spraw wewnętrznych. Jak się tylko okazało, że prokuratura umorzyła, to ja na pierwszej stronie "Gazety" przeproszałem, wyrażałem swoje ubolewanie i chyba trzykrotnie w różnych programach telewizyjnych, niesprowokowany mówiłem, że to był błąd i pomyłka. Ja i wtedy nie miałem żadnych intencji, żeby obalać premiera Oleksego. Ja tylko uważałem, że przy takim oskarżeniu dla dobra państwa on powinien zawiesić swoje urzędowanie.

Nie chciałbym uchodzić za kogoś małostkowego, łapiącego Pana za słowa, ale przeczytałem na świeżo oba teksty. W pierwszym apelował Pan bezpośrednio do Oleksego, żeby ustąpił. W drugim, finalnym, żałował Pan, że w ogóle tak się stało. Nie mówił Pan jednak, jak za pierwszym razem, wprost do Oleksego, lecz w ogóle o sytuacji, która stała się udziałem Polski i że źle się stało, iż tak się stało...

- No tak, lecz niech pan mi jedno odda - że jako jedyny wyraziłem żal. Ale rzeczywiście w tej sprawie mam absmak. Natomiast tutaj ja nie widzę żadnego powodu do jakichkolwiek oskarżeń pod adresem premiera. Powtórzę, co powiedziałem - żadną miarą, w żadnym momencie nie było intencją ani "Gazety", ani moją jakiegokolwiek dezawuowanie premiera, bo w tej sprawie premier zachował się non plus ultra. Nie pojmuję, dlaczego można oskarżać premiera za to, że zachował się dobrze i odważnie. Jestem dosyć zniesmaczony, że są opozycjini politycy, którzy tę sprawę wykorzystują per fas et

nefas. Na siłę po prostu. Do tego, żeby premiera atakować. Ja to pojmuję jako brak troski o wspólne dobro. Trudno - ten premier czy inny. Premierem poprzednio był Jerzy Buzek - jak zaczęto go nieszczelnie oskarżać o agenturalność, zwróciliśmy się z apelem do mediów, żeby tych oskarżeń nie powielać, bo to jest szef rządu! Tego nie wolno nam robić i tego klasie politycznej nie wolno robić! W tej sprawie nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Co mnie w tym wszystkim najbardziej niepokoi i boli? Przecież premier jest człowiekiem zajęтым. Mógł nie chcieć ze mną rozmawiać, nie mieć czasu, po prostu. Po drugie - absolutnie nie był zobowiązany do żadnej konfrontacji. Premier zrobił jedno i drugie! I co? Jaki to jest teraz sygnał dla klasy politycznej? Że takie sprawy lepiej i bezpieczniej zamiatać pod dywan, nie ujawniać, bo nagle z uczciwego człowieka można się stać oskarżonym o przestępstwo kryminalne! Dla mnie doniesienie złożone przez jednego z polityków do prokuratury, że premier popełnił przestępstwo kryminalne, to jest po prostu moralny skandal, bo inaczej nie umiem tego nazwać.

Panie Redaktorze, w ostatnim numerze swojego tygodnika Jurek Urban zwraca uwagę na rzecz dla Pana kapitalną i cholernie trudną - mianowicie, że po raz pierwszy w takiej skali objawiła się niewiara w to, co pisze "Gazeta", nieufność.

- To prawda.

Jak Pan to komentuje?

- To dla nas jest bardzo bolesne. My zdajemy sobie sprawę z tego, że wiarygodność jest dla nas podstawowym kapitałem. Mogę powiedzieć tylko tyle - zrobimy wszystko, żeby być dla opinii publicznej całkowicie przejrzystymi. To jest jeden z motywów, że zwróciłem się do pana z prośbą o tę rozmowę i jeszcze raz dziękuję, że pan mi taką możliwość stworzył. Stało się coś bardzo niedobrego. Wytworzył się obraz świata koleśków, którzy pod stołem układają się i załatwiają swoje interesy. Nikomu bardziej niż nam nie zależy, żeby ten obraz oczyścić, żeby dać czytelny przekaz, o co w tym wszystkim chodzi. Choć ostatnio zaczęło się to trochę zmieniać, to jednak przez kilka dni ktoś niezorientowany mógł odnieść wrażenie, że głównymi oskarżonymi w tej sprawie byli kierownictwo Agory, kierownictwo "Gazety" i przede wszystkim szef rządu. Czyli akurat ci, którzy byli niewinni i którzy zapłacili cenę za to, że się odważyli złamać pieczęć milczenia wokół takiej sprawy. To była dla nas trudna kwestia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wchodzimy na zaminowane pole. W tym kontekście ja pana zapytam - skąd pomysł, że to jakiś spisek z prezydentem?

Ja miałem zaszczyt i honor z panem prezydentem być w różnych okazjach - jako dziennikarz towarzyszący wybitnemu politykowi. Mówię o swoich publikacjach. I z doświadczenia wiem, że jeśli wszyscy wokół mówią o czymś dla niego niezbyt przyjemnym, to jedynym sposobem na przecięcie plotek jest powiedzenie tego publicznie a nie udawanie, że sprawy nie ma. Wszyscy, którzy na co dzień składają mu hołdy, jednocześnie na przyjęciach, podczas różnych towarzyskich konwentykli politykują, aż im się z czubów kurzy. A jest o czym! Po dłuższym milczeniu, akurat teraz, prezydent wypowiedział się na temat SLD - że potrzebna jest dyskusja o wartościach i że pragmatyzm polityczny nie powinien w partii dominować, że należy ją odmłodzić, a najlepiej stworzyć jakąś nową partię środka, że sam jest centrolewicowym liberałem... Ludzie łączą to w całość z aferą Rywina, było nie było, z aferą z wyższych sfer. Myślę, że daliśmy panu prezydentowi okazję do odrzucenia plotek o zмовie przeciwko premierowi, jak i do powiedzenia, że wśród ponad sześciuset jego imienninowych gości był i ten znany producent filmowy. I co z tego? Dokładnie nic. To tylko, że sprawa "Rywin u prezydenta" z wielkiej salonowej tajemnicy stała się zdarzeniem o właściwym, czyli nic nieznaczącym wymiarze.

- Na moją wiedzę o postępowaniu prezydenta Kwaśniewskiego cała taka konstrukcja spiskowa jest od a do z nieprawdziwa. Ale najbardziej mnie zaniepokoiło i przestraszyło, że to jest odwracanie uwagi od istoty rzeczy - jakby komuś zależało, żeby mówiło się o wszystkim tylko nie o fakcie próby korupcyjnej.

A propos tej słabej wiary w czyste intencje i prawdomówność "Gazety", muszę panu coś jeszcze powiedzieć. 10 stycznia, podczas debaty sejmowej, pan poseł Jan Olszewski snuł sobie dywagacje o tym, czy jest w Sejmie korupcja czy nie. W pewnym momencie powiedział: "A taki fakt jak przepis, który znalazł się w okółobudżetowej ustawie przy okazji uchwalania budżetu na rok 2000, w ustawie dotyczącej pewnych korekt w podatku dochodowym. (...) Pojawił się w tym projekcie na dobrą sprawę nie wiadomo skąd, bo nie było go w projekcie rządowym, znalazł się w toku prac nad tym aktem w

komisjach, przepis, który pozwalał pewnym ludziom w kręgu biznesu zaoszczędzić, jak wówczas oceniano, na należnym państwu podatku dochodowym lekko licząc 1,5 mld złotych. Przy czym głównym beneficjentem tego przepisu byli redaktorzy >>Gazety Wyborczej<< z tytułu udziałów w Agorze, które otrzymywali i co zostanie zwolnione z podatku. Trzeba przyznać, że w tej sprawie Wysoka Izba tamtej kadencji, a także Senat Rzeczypospolitej, już po uchwaleniu tej ustawy i podpisaniu i ogłoszeniu, zorientowawszy się, że właściwie wszyscy zostaliśmy wprowadzeni w błąd, wszyscy z wyjątkiem tych, którzy forsowali przepisy, podjęła próbę naprawy tego stanu rzeczy. Został przygotowany projekt zmieniający te przepisy. Niestety, nie mógł wejść w życie, bo uniemożliwił to, odmawiając podpisu, prezydent Rzeczypospolitej"...

Wasz człowiek, że tak powiem. Z opozycji demokratycznej...

- Oczywiście kiedyś byliśmy razem, po czym nasze drogi się radykalnie rozeszły od wielu, wielu lat. Ta sprawa była wyjaśniana publicznie. To, co mówi Jan Olszewski, jest niepoważne. Jeśli on formułuje dziś oskarżenie, że myśmy sobie na lewo coś załatwiali w Sejmie przy budżecie, to ja mu tylko współczuję. Ja się na akcjach akurat nie znam, ale tę sprawę pamiętam, bo Jan Olszewski już wtedy nas oskarżał o wpływ na ustawę. A przecież zwolnienie podatkowe zaproponowała Komisja Papierów Wartościowych i Giełd, żeby ożywić giełdę; rząd to przyjął do ustawy podatkowej, parlament przegłosował. Agora z tym nie miała nic wspólnego, zaś próbę zmiany podatków w ciągu roku zablokował Trybunał Konstytucyjny, bo takich rzeczy musi on pilnować. Gdzie tu spis Agory? Ale to idzie w czasie antenowym, starszy człowiek, mecenas, obrońca z dawnych lat. To robi wrażenie.

- Zgadzam się. I mogę tylko ubolewać, że ktoś, kto ma taką piękną kartę biograficzną jak Jan Olszewski - od dziennikarza "Po prostu" do obrońcy w procesach politycznych, człowiek dyskryminowany za swoją prawość, odwagę - w nowych czasach jak gdyby schodzi do poziomu oskarżeń, które przeciwko takim ludziom jak on formułowała najbardziej brukowa, komunistyczna propaganda: nie tylko, że on, nasz adwersarz inaczej myśli, ale do tego musi być jeszcze kanalią i złodziejem. To właśnie było to, czego ja w tamtych latach najbardziej nie znosiłem - że nie mogłeś się normalnie różnić, tylko od razu musiałeś być pętkiem skorumpowanym za pieniądze CIA czy jakiegokolwiek inne. Mogę powiedzieć tylko tyle: z tą sprawą nigdy literalnie nie miałem nic wspólnego! Sam pomysł w ogóle, pomysł sam, że ja mógłbym wpływać na prezydenta, żeby on w jakiejś okołobudżetowej... To trzeba w ogóle prezydenta nie znać, to jest pomysł z księżycy, z piekła rodem...

Ale jest coś takiego, że w naszym kraju zanikła, pękła wiara w uczciwość ludzką, że po prostu można coś zrobić dlatego, że się jest uczciwym człowiekiem. My naprawdę zastanawialiśmy się we własnym gronie, co z tą sprawą robić. Koronnym argumentem było to, że nie chcemy żyć w takim kraju, gdzie się przychodzi do redaktorów czy gdziekolwiek indziej z takimi propozycjami. My w takim kraju po prostu nie chcemy żyć! My chcemy żyć w kraju, gdzie jest miejsce na prawdę, na życzliwość i na rzetelność... I "TRYBUNA", i "Rzeczpospolita" z sympatią odnotowały, że akcje Agory spadły. Spadły, tak! My tę cenę płacimy - za to, by być wierni temu, co uważamy za swoje powołanie. Dla nas "Gazeta Wyborcza" nigdy nie była po prostu miejscem pracy. To dla nas była jedna z instytucji demokracji polskiej. W naszym, może megalomańskim, przeświadczeniu robimy to, co wcześniej robiliśmy w innych miejscach - w prasie podziemnej, w Komitecie Obrony Robotników, w "Solidarności".

Oczywiście mamy ambicję wpływania na język debaty publicznej, na wartości, dlatego tak bolesne jest to, że czujemy, iż nasza wiarygodność gdzieś się skurczyła. Cóż z tego, że nie z naszej winy... Gdybyśmy to wydrukowali we wrześniu, to mielibyśmy większą wiarygodność? Nie czarujmy się! Myśmy złamali pakt milczenia wokół takich spraw. To nie jest pierwsza sprawa tego typu, tylko pierwsza tak udokumentowana. Rywin miał swoją wiarygodność - widzieliśmy jego fotografie z najważniejszymi ludźmi w naszym kraju. I stąd jest taka dezorientacja - o co tu właściwie chodzi? Mówił mi wczoraj mój kolega, że słyszał rozmowę dwóch dżentelmenów i jeden pytał: dlaczego Michnik rozpuł te aferę? Bo Rywin za mało dawał!

Mój z kolei kolega pytał mnie, kiedy będzie przesilenie rządowe i kiedy Michnik wyforuje Borowskiego na premiera?

- Przecież to jest dom wariatów! To są konstrukcje, które mogły się narodzić w najbardziej robaczywych umysłach. W ogóle w takich rzeczach nie uczestniczę. Powiem więcej - gdybym ja w

czymś takim zaczął uczestniczyć, to moje koleżanki i moi koledzy wywieźliby mnie z tego budynku na taczkach. Ta redakcja nigdy by tego nie zaaprobowała.

Dlaczego Pan władował się w to nagranie? Po co to Panu było? Właśnie Panu. Czy nie mógł tego zrobić Niemczycki na przykład? Przecież on też spotykał się z Rywinem.

- Dlatego, że jeżeli w sprawę zaangażowane jest nazwisko szefa rządu, to jest sprawa par excellence polityczna. A od polityki w tej firmie jestem ja. Ja odpowiadam za to i za to matka Agora mi płaci. Uważałem, że mamy do czynienia z historią tak grubą, że ja to muszę wziąć we własne łapy, na swoją klatkę piersiową. Wiedziałem, może to znowu z mojej strony była megalomania, że z nas wszystkich ja jeden mam najprostszą drogę do szefa rządu i u niego mam największą wiarygodność. I jeżeli ja mu powiem: Leszku, tak było, to on mi uwierzy bardziej niż komukolwiek innemu.

Tak, ale jeśli "Gazeta" pisze o mnie, że byłem dziennikarskim pomocnikiem SB, to ja to muszę przełknąć, bo różnie bywało. Nie udaję czyściocha, choć starałem się być uczciwy. Ale jeśli Panu red. Olejnik mówi w telewizorze, że Pan postąpił jak w SB, to ja się źle poczułem za Pana.

- Uważam, że nie można działania podjętego w najlepszej wierze, które miało na celu zdemaskowanie korupcji, przyrównywać do esbeckich działań. To jest po prostu... Tak się nie robi... A co do naszych biografii - oczywiście będziemy swoje biografie oceniali różnie. Kiedyś miałem okazję rozmawiać z generałem Jaruzelskim, którego osobiście bardzo szanuję i lubię. Kiedyś mu powiedziałem tak: należą do generacji, która nigdy nie pogodzi się z tym, że stan wojenny był czymś dobrym. I z tą różnicą będziemy dalej żyli. Oczywiście jest rzeczą, że jeśli kogoś się nie zna, nie rozmawia z nim, to bardzo łatwo jest go zdemonizować. Przećwiczyłem na swojej skórze, bo mówili mi generałowie Kiszczak i Jaruzelski, co oni o nas myśleli, zanim mnie i Kuronia zobaczyli z bliska. Ja nie umiem wykluczyć, że to działa i w drugą stronę. Jak się z kimś nie rozmawia, to się go postrzega znacznie mocniej, gorzej, wredniej - dlatego rozmawiamy teraz, żeby uniknąć tego.

Ja nie twierdzę, że w ciągu tych naszych 13 lat myśmy nigdy nie przeginali... Choć może rzeczywiście napisaliśmy, że jest szykowany przełom rządowy i Wilecki szykowny jest na premiera. Była taka wiadomość, bo różni rozsądni ludzie informowali nas o tym, ale papierów nie ma i do dziś nie wiem, czy to była prawda... Na pewno jednak nigdy nie posuwaliśmy się do tego, żeby wymyślać historie na temat spisku mającego na celu obalenie rządu, jakkolwiek to rząd był. Dla mnie to jest bardzo ważne - w tym sensie my jesteśmy ludźmi państwa. Dla nas PRL to nie było nasze państwo, to był twór wrogi nam, przed którym myśmy musieli się bronić, bo chciał nas zmielić na jakąś sowiecką "ludność". Ale dzisiaj to jest nasze państwo! My się z nim identyfikujemy, my życzymy mu dobrze.

Ja byłem szczęśliwy, gdy premier Miller przywiózł z Kopenhagi wiadomość, że jesteśmy w Unii na dobrych warunkach. Tłumaczyłem na spotkaniach i pisaliśmy, że nie można, żeby rządowi na złość, być przeciwko integracji. To nie rząd do Unii wchodzi, to nasze państwo wchodzi! I którykolwiek to byłby rząd, to w tej sprawie jest pewna ciągłość Trzeciej Rzeczypospolitej. Premier Miller znakomicie powiedział, że on jest ostatni w tej sztafecie.

Ale kluczową sprawą jest to, że my musimy starać się być lojalni wobec prawdy materialnej, wobec państwa. Kto jaki ma pożytek z tego, że uczciwy czytelnik "TRYBUNY", który wierzy w to, co czyta, nagle się dowiaduje, że jest jakiś spisek, który ma wywrócić szefa rządu? Kto ma z tego jakiś pożytek? Nie wiem, czy to mi wolno powiedzieć w imieniu koleżanek i kolegów z "Gazety", ale spróbuję: my jesteśmy zdania, że wejście Polski do Unii Europejskiej to jest w jakimś sensie zwieńczenie naszego życia. Sama historia nam przyznała, że będąc młodymi ludźmi, kiedy nikomu nie śniło się jeszcze, że się Związek Radziecki rozpadnie, myśmy mieli jakąś intuicyjną rację. Więc pomyśl, że w tym momencie my chcemy wywracać tego premiera, który do tego konsekwentnie dąży, to jest po pierwsze nieprawda i mącenie ludziom w głowach. Czy ja oszalałem, czy ja jestem człowiekiem podłym, bo chciałem udokumentować przestępstwo?...

W tej sprawie nie chodzi o nas, nie jesteśmy ze szkła, nie zbijemy się. Ale w jakim to świetle stawia nasze państwo i szefa rządu? Przecież chcąc nie chcąc tymi publikacjami sugerujecie, że mamy do czynienia z bardzo słabym premierem, przeciwko któremu spiskują wielkie siły - prezydent, Agora, "Gazeta" i ja personalnie. Jak ten premier ma teraz rozmawiać ze swoimi partnerami? My natomiast

mówimy, że to jest pierwszy premier, który odważył się stanąć twarzą w twarz z korupcją i wydać jej wojnę.

Dwie sprawy. PRL moją ojczyzną była. I dlatego stanąłem przy Jaruzelskim. Ma Pan przed sobą kogoś, kto po przyjeździe do "Dziennika Telewizyjnego" przeforsował zasadę, że podpisujemy dzienniki swoimi nazwiskami. Nigdy też nie chowałem się za czyjąś twarzą. Może intuicyjnie czułem, że się kiedyś spotkamy i chciałem mieć prawo do swojej hardości. Uważałem, że robię dobrze i co robiłem, robiłem z przekonania. Potem, gdy wygraliście, w przeciwieństwie do setek moich kolegów sam odszedłem z telewizji, albowiem byłem przekonany, że skoro człowiek, z którym się identyfikuję, mój przywódca, uznał demokratyczny wynik wyborów, to także na moim poziomie byłoby kretynizmem uciekanie w "choroby", "urlopy" i w temu podobne sztuczki. Na swój sposób też uznałem wynik wyborów. W nowej rzeczywistości zaczęliśmy z Jerzym Urbanem od zera - on znieawidzony przez was rzecznik prasowy rządu PRL, ja znieawidzony przez was komentator telewizyjny. I, nie sprzeniewierzając się wartościom, które i dla Pana są ważne, odnieśliśmy sukces. Zostaliśmy zaakceptowani. Więc i ten nowy kraj, w nowej rzeczywistości, też jest nadal moim krajem... Tu możemy się spotkać, jak rozumiem.

- Bardzo mi się podobało, jak daliście w "TRYBUNIE" to nasze logo "Nasza Unia" i dodaliście logo SLD z dopiskiem "I nasza też". Myśmy to przedrukowali.

Natomiast co do kwestii, które pana tak nurtują i które wywodzi pan z tekstów "TRYBUNY". Otóż my niczego nie pisaliśmy pochopnie. Rozmawialiśmy z wieloma, znanymi również Panu, ludźmi o chłodnych umysłach. I muszę Panu powiedzieć, że opinia, iż "afery Rywina" była próbą odstrzelenia rakiety mającej wynieść premiera w kosmos, była przez nich podzielana. Jasne - jak w waszym przypadku z Wileckim - papierów nie ma. A poza tym, powiem Panu szczerze - nam trudno jest przyjąć Pańskie zapewnienia, że ta sprawa nie ma zupełnie nic wspólnego z pracami nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji. Czystość Waszych intencji nie jest tu dla nas jasna. - Jedna sprawa to jest ta ustawa. To jest zupełnie inna rozmowa. Druga to jest korupcyjna afery! Pytanie jest takie - czy myśmy napisali prawdę, czy napisaliśmy nieprawdę? Pytanie drugie jest takie - czy dobrze, że to napisaliśmy, czy lepiej było tego nie publikować, bo wielu ludzi nawet jeszcze teraz mówi - po co to robiliście, trzeba było machnąć ręką. Ja miałem w tej sprawie wielki moralny problem - bo jakże machnąć ręką, jeśli takie fakty mają miejsce i są udokumentowane... Na to wszystko nakłada się sprawa ustawy, w czym ja się nie czuję ekspertem. Rzeczywiście zająłem bardzo twarde stanowisko, gdy zauważyłem, iż w jednym miejscu była ona zaprojektowana jako otwarcie dyskryminująca Agorę. Później już się na ten temat nie wypowiadałem, bo to wymaga perfekcyjnej znajomości szczegółu i to nie moja sprawa. Rzeczywiście - jest problem, jaki kształt ta ustawa powinna mieć, kiedy powinna być uchwalona. Każdy ma swoje zdanie. Ja myślę, że niektóre media tak to przedstawiają, żeby skompromitować wszystkie argumenty wysuwane przez komercyjnych, prywatnych nadawców. Ta publikacja ugotowała tę sprawę na długo, dlatego że przeciwnikom ustawy będzie bardzo łatwo operować całą tą aferową argumentacją.

Ja też uważam, że ustawa została ugotowana, ale to Pańscy przeciwnicy natychmiast zawołają: o to Michnikowi chodziło! Jak z tego wybrnąć?

- Trzeba pozwolić sądowi spokojnie tę sprawę osądzić...

... **ale obok sądu** jest już komisja sejmowa.

- Ja się posunę aż tak daleko, że powiem, iż sąd jest ważniejszy niż komisja sejmowa. Bo to nie jest sprawa polityczna, tylko korupcyjna! Mamy do czynienia z normalnym, kryminalnym przestępstwem. Ją się upolitycznia w ten sposób, że jest związana z człowiekiem, który bywał na salonach politycznych. Ale to jest sprawa korupcyjna i tak powinna być przez wszystkich traktowana. Jakiegokolwiek gmatwanie tego jest wbrew naszym wspólnym interesom. Nazwijmy przestępstwo przestępstwem. Kształtem ustawy zajmijmy się, jak te emocje opadną. Ja się tej komisji sejmowej obawiam, dla wielu ludzi będą to polityczne igrzyska.

Pana też tam wezwą.

- Z całą pewnością. Powtórzę im to wszystko - jeśli będą chcieli słuchać i pozwolą mówić. Trzeba, żeby sąd, bez nacisków z zewnątrz, bez politycznej presji, osądził to. Sąd tu jest właściwym miejscem nie komisja. Już słyszymy, że to ma być komisja w sprawie Agory i jej przestępstw, w sprawie premiera Millera i jego przestępstw... Wszystko jest do góry nogami. Mamy do czynienia z konkretną sprawą. Źle, że została ona tak upolityczniona...

Bo dotyczy figur politycznych, jest wskazanie na konkretną partię polityczną...

- Tu muszę zaprotestować! Z publikacji "Gazety" jednoznacznie wynikało, że Rywin powoływał się na premiera nie mając ku temu żadnych podstaw.

Pan poseł Rokita, który jest członkiem sejmowej komisji śledczej, natychmiast to przekabacił, że oto mamy przypadek korupcji dotyczącej SLD. Nie sądzi Pan chyba, że ten poseł, po krakowskiej klęsce w wyborach samorządowych, ominie taką okazję jak zasiadanie w komisji i nie wykorzysta jej dla remontu swojego politycznego wizerunku. Spektakl mamy gotowy.

- Nie chcę komentować słów pana posła Rokity, którego ogromnie szanuję, którego znam niezłe i z którym często byłem w sporach. Powiem tylko tyle - bardzo źle by się stało, gdyby ci, którzy zdecydowali się złamać pakt milczenia, ale i my - dziennikarze i wydawcy "Gazety" - zostali ukarani za to, że odważyliśmy się publicznie powiedzieć o korupcji. Bardzo źle by się stało, by okazało się to okazją do załatwiania innych sporów, innych konfliktów. Źle na tym wyjdzie państwo polskie, polska demokracja i prawda materialna. Bo jak się wszystko ze wszystkim wymiesza, to się, panie Marku, na końcu okaże, że jeden jedyny niewinny to jest Rywin - ofiara, którą Michnik podstępnie zwabił do "Gazety", nagrał i uczynił narzędziem intrygi politycznej mającej na celu obalenie premiera.

Raz jeszcze dziękuję panu, że mogę na tych łamach powiedzieć, że tak nonsensowne pomysły nie przyszły mi do głowy i mam nadzieję, że czytelnicy "TRYBUNY" nigdy w nie uwierzą.

Nie jestem pewien, czy da to się do końca odpolitycznić, ale niech prawda zwycięży, jak to mówią.

Dziękuję Panu za spotkanie.

2003-01-13, Jerzy Urban, Nie, nr 2.

Rywinówek

1 sierpnia 2002 r. wydrukowaliśmy w "NIE" mój felieton "Pytanie o męskość premiera" napisany zaraz po spotkaniu konfrontacyjnym Miller–Michnik–Rywin:

Rząd lewicy stopniowo traci poparcie, wiarygodność, impet. Wyobrażamy więc sobie, że zagraża mu tylko stopniowe obsuwanie się. Możliwy jest jednak scenariusz bardziej dramatyczny: wybuch wielkiej kompromitującej afery. I dalej: Nadszedł czas, aby ścisła ekipa premiera wykryła i ujawniła z hukiem aferę we własnych szeregach ubiegając w tym konkurencję. To jedyny sposób na uwiarygodnienie zasadniczej uczciwości rządu jako instytucji. Także niezbędny sygnał dla swoich, że posiadanie władzy nie zmniejsza stopnia ryzyka w ciemnych interesach, a polityczna osłona swojaków ma swoje granice. Jeżeli Miller nie zechce ponieść takiego ryzyka lub nie potrafi przeniknąć płątaniny interesów, które go otaczają, zakres korupcji szybko będzie się wzrastał i różnicował. Aż po krach, który może wstrząsnąć Polską i formację rządzącą strącić w niebyt.

Efektom wydrukowania tych przepowiedni było aż dziewięć ze mną spotkań inicjowanych przez członków ekipy rządzącej (szerszej niż rządowa). To jednak nie zawarta w felietonie propozycja ujawnienia przez SLD afery w swych szeregach zapewniła mi owo wzięcie. Wszyscy rozmówcy badali redaktora "NIE", czy aby on nie wykrył i zapowiada opisanie jakiejś afery korupcyjnej na lewicy.

Zapewniałem, że nie, co ucinąło rzeczywiste zainteresowanie rozmówców, którym mówiłem o narastaniu atmosfery korupcyjnej wskazując ważne sygnały i tropy. W początkach sierpnia 2002

omawiałem m.in. obszernie zagadki tkwiące u podłoża niesamowitej oferty łapówki, jaką Lew Rywin złożył wydawcom i redaktorowi "Wyborczej" występując tam jako wysłannik premiera. Wyrażałem pogląd, że występ Rywina wyrasta z gęstwy ciemnych interesów, jest jaskrawym objawem wadliwych stosunków. Ta sprawa – wieściłem – źle się skończy dla lewicy.

Powtórka z Nixona

Moi rozmówcy bagatelizowali incydent Michnik–Rywin, nie podzielili mojej opinii, że groteskowa wyprawa Lwa Rywina po 17 500 000 dolarów stanie się bombą zegarową, która podłożona pod premiera zacznie długotrwale tykać. Z pozoru mieli rację.

Spójrzmy bowiem: ani Miller nie wysyłał nikogo, żeby skosił dla niego łapówkę, ani nikt nie chciał mu jej dawać. Dlaczego pomimo to jest wielka afera? Wynika to z niedomówień, nierozwiązanych zagadek zgęszczających podejrzliwość i złą atmosferę. Afera Watergate, która spowodowała rezygnację Nixona, także zaczęła się niewinnie, a prezydent traktował ją z lekceważeniem, czyli podobnie jak teraz Miller traktuje Rywingate. A jednak pravicowi komentatorzy bąkają już o upadku Millera jako efekcie afery Rywina.

Podobieństwa nie kończą się na tym, że i w Watergate, i w Rywingate grają rolę taśmy. I tam, i tu bohaterowie nie mówią całej prawdy, która stopniowo będzie im wydzierana. Red. Paweł Smoleński w "Wyborczej" z 2 stycznia 2003 r. już przyznaje, że jego gazeta pół roku zwlekała z ogłoszeniem afery nie dlatego, że, jak wcześniej twierdziła, prowadziła tak długie śledztwo, tylko żeby przed szczytem kopenhaskim nie odwracać uwagi od końca negocjacji z Unią. Prawda wygląda trochę inaczej: "Wyborcza" przed Kopenhagą nie chciała pogrążyć premiera, którego wcześniej sama wpuściła w kłopotliwą sytuację. Gdy spełnił swoją rolę, już go "Wyborcza" nie osłania, choć mu kadzi.

Janina Paradowska, która w "Polityce" komentuje Rywingate, też nie mówi tego, co o niej wie, bo nie może. W podobnie powściągliwy sposób i ja piszę. W Rywingate ścierają się już rozmaite interesy, zobowiązania, układy i zamysły.

Tam są drzwi panie Murzyn

"Trybuna" z 30 grudnia trafnie napisała, że to "Gazeta Wyborcza" podłożyła bombę zegarową, poczem ona tykała przez pół roku, aż nastąpiła eksplozja w postaci publikacji o wizycie Rywina w "Wyborczej" i u premiera oraz nagrania rozmowy Michnika z Rywinem. Michnik ujawnia się w niej jako tak sprytny funkcjonariusz śledczy, że powinien wypróbować swe talenty także jako kompozytor, malarz i poeta, aby geniusz swój poddawać próbie na każdym polu. Mylnie jednak – moim zdaniem – w artykule "Pachnie lipą jak diabli" Maciej Wołyński za powód wywołania wybuchu uważa interesy pieniężne "Agory" związane z ustawą przeciwdziałającą koncentracji mediów. "Trybuna" drukuje, ale zlekceważa wyjaśnienia minister Aleksandry Jakubowskiej, że wcześniej, niż przyszedł Rywin do Michnika, "Agora" dobrze już wiedziała, że będzie mogła kupić Polsat, bo się w tej sprawie dogadała. Przed występowaniem Rywina u prezeski "Agory" rząd wniósł więc stosowną autopoprawkę zgodną z życzeniem Michnika i zaraz zostały o tym uprzedzone odpowiednie czynniki sejmowe.

Już 18 kwietnia 2002 r. pisałem w artykule "Michnik Millerowi Kwachem" ("NIE" nr 16/2002) Miller próbuje uniemożliwić teraz Michnikowi kupienie telewizji Polsat. Raczej mu się nie uda ze względu na potęgę Michnika albo premiera za to niestety zapłaci stratami politycznymi powyżej wartości Polsatu.

Millerowi nie udało się założyć "Agorze" ustawowej uzdy, więc nie za Polsat premier zapłacił koszty polityczne.

22 lipca 2002 r. roku premier poznał szczegóły misji Rywina, a swej roli i winie Rywin w rozmowie z Millerem nie zaprzeczył. Po kilku dniach niesłychane zdarzenie było już znane szerokiemu kręgowi polityków lewicy oraz wielu dziennikarzom nie tylko tym z "Wyborczej". Przez pół roku nic się nie działo. Twierdzą, że to "Wyborcza" zapobiegała oddaniu od razu sprawy do prokuratury, jak i ujawnieniu afery w prasie. (Notatka we "Wprost" była wyjątkiem i przeszła bez echa). Nie oszczędziła premierowi w tym okresie czułych pieszczot.

Wbrew początkowym przyrzeczeniom "Gazeta Wyborcza" ogłosiła potem przebieg zdarzeń w barwnej relacji reporterskiej, w której Rapaczyńska trzęsie się z obrzydzenia i odrazy, w Michnika strzela piorun, a jego zastępczyni, pani red. Łuczywo, jest poniżona i dotknięta tym, że Rywin propozycją łapówki obraził "ludzi z biografiami", ludzi czystych, czyli tych z "Wyborczej".

Jednakże – powtarzam – to "Wyborcza" – gazeta niepokalanych – wpędziła Millera w pułapkę wynikającą z obopólnego tajenia zdarzenia przed opinią publiczną, co musiano obustronnie ustalić we własnym interesie stron. Następnie "Gazeta" uznała, że Murzyn w Kopenhadze zrobił swoje, można więc Millerowi zacząć pokazywać drzwi.

Potwierdziła tę kalkulację z opóźnieniem. Natychmiast gdy skończył świętowanie Kopenhagi obcałowany, obściskany, nasycony przez Michnika komplementami Miller został przez "Wyborczą" wpuszczony w maliny jak przedszkolak publikacją, z której wynika, że urzędnik państwowy, premier, nie zawiadomił prokuratury, że facet powołując się na niego (taśma) żąda wielkiej łapówki.

Mechanizm milczenia

Gdybym w lipcu lub sierpniu 2002 r., zamiast omawiać przy kawie z różnymi rozmówcami aferę Rywina, napisał o niej w "NIE" pobudzając właściwe reakcje urzędowe premiera i odpowiednich organów, dziś afery nie niosłaby dla rządu kryzysowych skutków. Nie mogłem tego zrobić, bo oznaczałoby to wykorzystanie w "NIE" rozmów towarzyskich. Millerowi, Michnikowi i Rywinowi wczesne ujawnienie afery wyszłoby na dobre, bo skandal nie zdążyłby nabrać dzisiejszego kalibru.

Teraz wszystkie trzy strony dramatu wyjdą z niego obświnione.

– Michnik, bo sprawił, że to nie Miller od razu, lecz on po pół roku ujawnił aferę, a też dlatego, że to opóźnienie znamionowało polityczne wyrachowanie swym ostrzem godzące w premiera i SLD.

– Miller, bo gdyby od razu oświadczył publicznie, że nadużyto jego nazwiska, i oddał sprawę do prokuratora, nie miałby żadnych kłopotów. Teraz zaś jest podejrzany o to, że miał powody, żeby osłaniać Rywina i taić próbę korupcji.

– I Rywin źle wyszedł na zwłocę, gdyż jego afery zmierzałyby do finału, nim narosła i nabrała tak wielkiego ciężaru gatunkowego. On także wierzył, że skandal zamknie się w wąskim kręgu, gdyż 22 lipca obiecano mu, iż nie ujrzy światła dziennego.

Ofiary

O Adamie Michniku pisałem: Za trzeciego obok Millera i Kwaśniewskiego tenora – władcę Polski – uchodzi Adam Michnik... Dalej, że spośród wszystkich założycieli III RP z obozu "Solidarności" tylko on coś dziś znaczy. Morał z tego taki, że istnieje różnica pomiędzy władzą formalną a rzeczywistą i trwałą. Robienie kariery stanowi więc sztukę złożoną ("Michnik Millerowi Kwachem").

W artykule "NIE" nr 1 z 2 stycznia 2003 r., ale napisanym 19 grudnia 2002 r., czyli przed ogłoszeniem w "Wyborczej" afery Rywina, napisałem zaś: Sądzę, że przyszłym kandydatem na prezydenta powinien być Adam Michnik jako najdoskonalsze wcielenie nowej centrolewicy. Po uzasadnieniu tego mniemania dodałem: Przy tym Michnik już dziś trzyma w ręku tyle nici władzy, że objęcie przezeń prezydentury nie przyda mu, lecz ujmie realnego znaczenia.

Jeżeli premier Miller upadnie bezpośrednio lub pośrednio pod wpływem skutków Rywingate, obciąży to znakomite konto polityczne Adama Michnika jako twórcy, przyjmijmy, że zrazu mimowolnej, zasadzki na premiera. Gdy bowiem Michnik z jakichkolwiek względów zdecydował się przerwać milczenie o Rywingate, powinien był lojalnie, zawczasu uprzedzić o tym Millera i osłonić go, skłaniając do zawiadomienia prokuratury o skandalu. Nawet jeśli sam premier miał powody, aby się do tego nie kwapić.

Trzecim ciężko poszkodowanym jest oczywiście Lew Rywin. Znam go sporo lat od czasów, kiedy jako przewodniczący Radiokomiteu miałem przyjemność współpracować z tym znakomitym menedżerem.

Trudno uwierzyć w Millerową wersję, że Lew oszalał. Rywin, zaufany wielu wybitnych osobistości z Wajdą na czele, idąc do "Wyborczej" z propozycją łapówki poczynił sobie z wielką pewnością siebie, którą teraz utracił. Jednakże może ją odzyskać – jak to bywa z właścicielami mrocznej tajemnicy, na której objawienie tacy np. bracia Kaczyńscy tęsknie czekają. Rywin nie sprawił nam jeszcze ostatniej niespodzianki.

Rywin musiał wiedzieć tyle różnych rzeczy o premierze lub bliskich mu ludziach, że przypuszczał, iż premier nie odważy się zaprzeczyć jego wiarygodności, gdy on pojawił się u Michnika proponując wielką łapówkę. Logicznie rozumując podejrzewać trzeba, że idąc z propozycją łapówki Rywin miał powody, by w ogóle nie bać się premiera. Mógł bowiem przewidzieć, że Michnik jednym telefonem do Millera sprawdzi pełnomocnictwa wysłannika i wyjdzie na oszusta. Albo więc ktoś Rywina upewnił, że żądając forsy wystąpi po myśli premiera. Albo Rywin był Millerowi służebny w innych dyskrecjonalnych sprawach, więc uważał, że w każdej sytuacji będzie kryty.

W każdym razie Lew Rywin wiele musiał mieć uzasadnionej pewności siebie, braku lęku przed premierem, złego mniemania o "kryształowym" Michniku i innej mrocznej wiedzy i władzy, aby zaryzykować numer, który wykonał. Zdarzenia typu "Przyszedł Rywin do Michnika" rodzą się bowiem tylko na zgniłym podłożu.

Przegranymi w aferze Rywina będą ci, którym życzę wygranej. Wygranymi ci, którym życzę przegranej. Tak być nie musiało, bo premier nie żądał przecież łapówki, Michnik jej bynajmniej nie dawał i nawet nie miałby powodu otwierać portfela, a jednak wszyscy uczestnicy zaplątali się w tę aferę. Toczy się ona i rośnie na podłożu trafnej podejrzliwości społecznej.

2003-01-18, Angora, nr 3

We władzy aż trzeszczy - Rozmowa z Jerzym Urbanem

Kto zyska na aferze Rywina?

W każdej aferze korupcyjnej obowiązuje mechanizm, że jak się uda – to wszyscy zyskują, a jak się nie uda, to wszyscy tracą.

Lew Rywin jest wpływowym człowiekiem, dlatego więc szedł z ofertą łapówki do Michnika, skoro szefowie Agory już załatwili korzystne dla siebie poprawki w ustawie o telewizji i radiofonii?

Prawdopodobnie o tym fakcie jeszcze nie wiedział.

Podobno Rywin poszedł do Wyborczej wyłącznie z własnej inicjatywy, bez rozmowy z Millerem lub kimś z bezpośredniego otoczenia premiera?

Mimo że Lew Rywin jest człowiekiem mającym zawsze znakomite samopoczucie, to myślę, że idąc do Michnika z tak bezczelną propozycją, musiał być przez kogoś do tego ośmielony, ale kto go ośmielił lub co go ośmieliło, tego nie wiem. Mogę tylko pana poinformować, że słyszałem, iż istnieje już nagranie ze „spowiedzią” Rywina, które zostanie ujawnione w stosownej dla niego chwili.

Ta "spowiedź" to fragment z prokuratorskiego przesłuchania, czy też jest to wystąpienie autorskie?

To nagranie zrobiono podobno na indywidualne zamówienie Rywina i zapewne zostanie opublikowane w jednej z ogólnopolskich stacji radiowych.

W wyniku afery premier może stracić stanowisko?

Na zdrowy rozum nie, gdyż ani Miller nie żądał łapówki, ani nikt tej łapówki nie dał. Jednak dynamika tej sprawy jest zadziwiająca i z punktu widzenia opinii publicznej bardzo obciąża władzę. Sama

sprawa „poszedł Rywin do Michnika” nie może skończyć się upadkiem premiera. Może jednak uruchomić bardzo niekorzystne dla rządu procesy.

Wierzy pan, że u podłoża tej afery leży spisek prezydenta Kwaśniewskiego wymierzony w premiera? Przecież zarówno lewicowa Trybuna, jak i prawicowa profesor Staniszkis sugerują taką możliwość.

Tego typu intryga zupełnie nie leży w charakterze ani też w możliwościach Kwaśniewskiego.

Dlatego, że nie jest intrygantem?

Nie jest intrygantem w takim stylu.

Czy jednak osłabienie Millera nie jest na rękę Kwaśniewskiemu?

Nie ma na to żadnych dowodów.

Atak na Millera mógłby być pierwszym krokiem do budowania przez prezydenta nowej centrolewicowej formacji. Przecież sam Kwaśniewski sugerował taką możliwość.

Jest to nadinterpretacja słów prezydenta. Kwaśniewski nie powiedział, że zamierza tworzyć taką partię, tylko że podobnej formacji brakuje mu na mapie politycznej. Partii, w której mogliby się znaleźć ludzie z Unii Wolności czy Platformy. Nie Geremkowie czy inni weterani, ale ludzie młodzi. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Kwaśniewski miałby tworzyć coś nowego, co nie dawałoby szans na polityczny sukces, gdy może stanąć na czele SLD, formacji większościowej. Wygrać wybory i zostać premierem.

Dla prezydenta to dobry interes?

Kwaśniewski zaprzecza takim spekulacjom, ale uważam, że są to zaprzeczenia nie mające znaczenia. Być może tylko on będzie w stanie wygrać wybory dla SLD i nie pozwolić na jego rozproszenie.

Z pańskich felietonów wynika, że wolałby pan, aby przywódcą lewicy pozostał Miller.

Powiem uczciwie. Od sprawy Rywina wolę, żeby przywódcą był Kwaśniewski, chociaż mogłoby się to wiązać z niemiłym dla mnie skrętem na prawo.

Profesor Staniszkis sugeruje, że na razie prezydent chciałby widzieć na stanowisku premiera kobietę, Henrykę Bochniarz. Miałaby to być przygrywka do utworzenia drogi dla prezydentury Jolanty Kwaśniewskiej.

Prezydenturę Kwaśniewskiej uważam za zupełny nonsens. Nic takiego nie nastąpi. Natomiast w kandydaturze Bochniarz coś jest, choć uważam, że jest to fatalny wybór. Liberałka, reprezentantka pracodawców, może być najgorszym szefem rządu, gdy ogromna część pracobiorców czuje się sponiewierana i zniewolona wobec dysponentów pracy.

Kilka miesięcy temu z Pałacu Prezydenckiego puszczano plotki o premierostwie marszałka Borowskiego.

Oczywiście, byłaby to dobra kandydatura.

Wielu polityków zarzuca premierowi, że nie zawiadomił prokuratury, ale przecież to Adam Michnik dysponował dowodem w postaci nagrania. Tylko on miał rzeczywistą wiedzę o ofercie Rywina.

Michnik, jako prywatny przedsiębiorca, redaktor naczelny, był zobowiązany do powiadomienia prokuratury tylko w przypadku, gdyby chodziło o zbrodnię. Co innego Miller. Premier jest funkcjonariuszem publicznym, ciężą więc na nim o wiele poważniejsze obowiązki.

O ofercie Rywina wiedział minister sprawiedliwości i prokurator generalny Grzegorz Kurczuk. Mógł więc nadać sprawie oficjalny bieg.

Wszyscy wiedzieli. Namawiałem moich kolegów z SLD, żeby wszystko publicznie ogłosić. Wówczas nie byłoby sprawy Rywina. Byłby to też wyraźny, czytelny sygnał, że rząd będzie walczył z korupcją.

Wielokrotnie przekonywał pan kierownictwo SLD o konieczności przecięcia korupcyjnych powiązań między światem biznesu i polityki. Nie było odzewu.

Od wielu miesięcy przewiduję, że prawdziwe afery dopiero zaczną się ujawniać. Sprawa Rywina nie jest groźna z powodu korupcji, lecz dlatego, że w odczuciu społecznym wywołuje wrażenie, iż można przyjść do każdego i bezkarnie zaproponować wielką łapówkę.

Wbrew zapewnieniom swoich najbliższych współpracowników, Miller przeprowadził zmiany w rządzie. Czy afera Rywina może być przyczyną kolejnych ministerialnych dymisji, które miałyby odwrócić społeczną uwagę od osoby premiera?

Trudno powiedzieć, gdyż nawet jego najbardziej zaufani pracownicy nie wiedzą, co zrobi ich szef. Miller trzyma to w całkowitej tajemnicy i wszelkich zmian dokonuje znienacka.

Nie widzi pan tu podobieństwa do sposobu działania Mariana Krzaklewskiego?

Wszelkie porównania Millera z Krzaklewskim uważam za obraźliwe dla Millera. Krzaklewski podejmował decyzję prawem kaduka, nie mając ku temu mandatu publicznego. Zgadzam się jednak z twierdzeniem, że premier ma nadmierną władzę, którą wykorzystuje tak, że ta władza trzeszczy. Dlatego myślę, że w obecnej sytuacji najlepszym wyjściem byłoby zwiększenie uprawnień rządu kosztem samego premiera.

Sprawa Rywina zaszkodzi Michnikowi i Wyborczej?

Zaszkodzi, gdyż widać, że Wyborcza nie jest wolna od gier politycznych. Nie przełoży się to jednak na spadek sprzedaży, gdyż nic tak nie poprawia wyników czytelnictwa, jak afery.

W „Kropce nad i” Adam Michnik, stwierdził, że jest pan wobec niego głęboko niesprawiedliwy, gdyż on nie wciągnął premiera w żadną aferę.

Napisałem, że działanie Gazety Wyborczej było nieumyślne, ale miało określone konsekwencje.

Jak ta afera skończy się dla Lwa Rywina?

Prawomocnym skazującym wyrokiem, z tym że będzie to drobny wyrok w zawieszeniu.

Czy złamie to karierę Rywina jako biznesmena?

Jak najbardziej.

2003-01-14, Piotr Zaremba, Rzepa,

Zwycięski bakcyl chaosu. Jeszcze moment i zobaczymy wojnę na publikacje, w której Urbanowe "Nie" weźmie na celownik prezydenta

W osiemnastym wieku poseł rosyjski, który odwiedził Szwecję pogrążoną w waśniach między oligarchami, zrobił uwagę: "Nastała tu istna Polska". Dziś podobną uwagę można by skierować pod

adresem obozu postkomunistycznego. Proroctwa Jana Rokity, że lewica się "spolonizuje", czyli ulegnie bakcyliowi chaosu i warcholstwa, zaczynają się spełniać.

SLD nie osiągnął może stanu schyłkowego AWS, ale jest na dobrej drodze. W TVN24 szef Klubu Sojuszu Jerzy Jaskiernia sugeruje, że premier Miller padł ofiarą spisku mającego swoje źródła w "jednym z ośrodków władzy", a plotki o własnym odejściu ze stanowiska tłumaczy intrygami "nieprzychylnych ministrów". W kuluarach krążą najdziwsze pogłoski o zbieraniu na siebie kwitów przez ludzi Kwaśniewskiego i Millera. Afera Rywina, nawet jeśli zaczęła się jako wojna czysto biznesowa, bez wiedzy głównych politycznych aktorów dramatu, stała się katalizatorem wyzwalającym tłumione emocje.

Lewica w rozsypce

Nie wiadomo, czy zwolennicy Millera w SLD naprawdę wierzą, że Kwaśniewski stoi za publikacją "Wyborczej" (wersja minimum) lub wręcz za działaniami Rywina mającymi skompromitować premiera (wersja maksimum). Zachowują się tak, jakby wierzyli. Nie wiadomo zresztą i tego, czy Pałac Prezydencki bardziej zyskuje na tej historii (jakkolwiek by się zaklinała "Gazeta Wyborcza", osłabia ona prestiż Millera i SLD), czy traci (bo stan wojny wewnątrz obozu postkomunistycznego jest ryzykowny).

Z pewnością Kwaśniewski nastawiał się na starcie z interesami obecnych liderów SLD, ale od niewinnego igrania aluzjami o nowej formacji centrum do batalii o wywrócenie całego układu droga daleka. A przecież poza Kwaśniewskim i Millerem jest w Polsce jakaś opozycja, jest opinia publiczna. Takich wojen nie prowadzi się bezkarnie na oczach widowni.

Już przed aferą komentatorzy prowadzili debatę nad przyszłością lewicy. Do tej pory mocne nerwy i brak pryncypialności pozwalały liderom tego obozu unikać losu wiecznie przepoczwarzającej się prawicy. Teraz kryzys jest niewątpliwy.

Nowy ton premiera

Zaraz po Kopenhadze można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z Leszkiem Millerem triumfującym. Premier zaczął używać nowego tonu. Gesty męża stanu, dążenie do łączenia, a nie dzielenia wyborców, ujawniały nadzieje przynajmniej na odzyskanie dobrych pozycji w sondażach. Mogły nawet wskazywać na rozbudzone nieoczekiwane ambicje prezydenckie szefa rządu.

Ale prawda była taka, że rząd ma słabe notowania, bardziej przegrał, niż wygrał wybory samorządowe, a domniemany sukces w europejskich rokowaniach i poszukiwanie wyborców w centrum niekoniecznie mu pomogą. Znamienny jest tu przykład litewski (Litwa często wyprzedzała przemiany na polskiej scenie politycznej), gdzie ojciec integracji Adamkus przegrał prezydenckie wybory, choć nie wynikało to z wcześniejszych sondaży. Doszły do tego kłopoty Millera wynikające z afery Rywina. Pierwsze pośpieszne zmiany w jego ekipie trzeba w tym ujęciu widzieć jako ucieczkę do przodu, próbę zatuszowania złego wrażenia.

Leszek Miller mógłby próbować się ratować - odchodząc ze stanowiska po wygranym europejskim referendum, pozostawiając sobie pozycję szefa partii, przeciągając SLD ku centrum i próbując godzić rozmaite sprzeczne interesy. Ale dziś wyglądałoby to na ucieczkę od odpowiedzialności. Zresztą utrata wpływu na ekipę rządzącą pozbawiłaby go realnych instrumentów władzy. I groziłaby chaosem, znanym z czasów współrzędzenia Krzaklewskiego i Buzka.

Zadania stojące przed tą ekipą są ogromne. Restrukturyzacja kluczowych działów gospodarki, przekształcenie systemu finansów publicznych, dostosowanie Polski do europejskich standardów - rokowania kopenhaskie to przy tym kaszka z mlekiem. Przy czym klasyczne pojęcia, takie jak centrum, nie oddają skali trudności - w Polsce centrowość odnosi się przede wszystkim do spraw ideowych. Jak bardzo Miller nawiązywałby do tradycji "Solidarności" czy kokietował katolików, musi sprostać wyzwaniom rosnącego socjalnego elektoratu. Musi też ugłaskać zarówno krytyków liberalnych, jak i baronów niechętnych zmianom, które zagrażają ich interesom.

Tych wyzwań wystarczy i wydaje się, że stawką dla premiera może być co najwyżej utrzymanie władzy nad partią i rządem. Wbrew logice wyniszczającej rywalizacji z prezydentem, choć także wbrew oporowi betonowego terenu.

Kwaśniewski naciska

Czego może chcieć Aleksander Kwaśniewski? Na pewno większej roli w bieżącej polityce. Służyło temu niedawne wysyłanie na emeryturę liderów Sojuszu i sugestie dotyczące budowania w centrum (czyli w miejscu, które chciałby zająć Miller) nowej formacji.

Kwaśniewski ma atuty. Nie jest uwikłany w bieżące rządzenie i ciągle cieszy się popularnością. Polityk, który chwalił w poniedziałek Balcerowicza, a we wtorek przyjmował Leppera, nie musi zdawać egzaminów z konsekwencji w poglądach, a tym bardziej w działaniach, tak jak zdaje je premier.

Kłopot w tym, że obecny lokator Pałacu Prezydenckiego nie ma też chyba pomysłu na własną osobę (oprócz hipotetycznej kariery zagranicznej). Rozbijanie SLD czy osłabianie go przez kreowanie nowej siły musi mu się wydawać ryzykowne. Co więc jest dla niego stawką w grze, którą rozpoczął straszeniem przywódców Sojuszu "młodszym rozdaniem"?

Może nią być przebudowa układu rządzącego. Jednak wprowadzenie do rządu liberałów (polityków PO lub bezpartyjnych technokratów) wydaje się ryzykowne w obliczu wielkich wstrząsów socjalnych. Zwrot ku liberalnemu centrum już się dokonuje - choćby przez wzmocnienie pozycji Jerzego Hausnera, rzecznika uelastycznienia rynku pracy. Na większe zmiany lewicowy układ może sobie nie móc pozwolić i nie na darmo Kwaśniewski ogranicza się do wychwalania Kołodki, którego nominację próbował blokować.

Jolanta na prezydenta?

Logicznym celem może też być (i - jak wynika z kularowych informacji - jest) wpływ Kwaśniewskiego na wyłonienie swojego następcy. Na przykład zapewnienie namaszczenia przez SLD żony Jolanty. Nie jest to kandydatura bezdyskusyjna (popularne kobiety bez poglądów nie muszą w Polsce wygrywać), ale dziś wydaje się lepsza niż każdy z liderów SLD. Skoro zaś w 2005 roku Polacy wybierać będą zarówno prezydenta, jak i posłów do parlamentu, Kwaśniewska mogłaby odegrać rolę promotora list lewicy.

Uzupełnieniem tego planu mogłoby stać się stworzenie z inicjatywy prezydenta nie tyle nowego ugrupowania, ile proeuropejskiego stowarzyszenia grupującego ludzi młodszych, niemających dziś zbyt wiele do powiedzenia w szeregach SLD. Są nawet kandydaci na organizatorów takiej formacji. Choćby kończący kadencję w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji Waldemar Dubaniowski, człowiek dobrze się prezentujący i bez pezetpeerowskiej przeszłości.

Premier Miller może nauczyć się angielskiego, latać F-16 i występować w sylwestra jako góral. Wszystko to pójdzie prawdopodobnie na marne, skoro wybory samorządowe wykazały słabość aparatu Sojuszu - starzejącego się i nieudolnego. Zatem taka trzymana przez Kwaśniewskiego pod parą grupa mogłaby być w przyszłości zarysem nowej socjaldemokracji. Niekoniecznie budowanej w całkowitej opozycji do "starej partii". Może przechwytyjącej ją od dołu, choćby przy okazji prezydenckiej kampanii Kwaśniewskiej.

Pozostawało kwestią otwartą, czy obecny prezydent skaże się na zakulisową rolę "twórcy królów" i czy SLD przełknie narzuconą mu kandydaturę kobiety. Teraz doszła prawie jawna wrogość Kwaśniewskiego i obrońców obecnych przywódców Sojuszu.

Jeszcze moment i zobaczymy wojnę na publikacje, w której Urbanowe "Nie" weźmie na celownik prezydenta, tak jak brało przez lata polityków solidarnościowych. To z kolei jeszcze bardziej popchnie liberalne elity i media w kierunku Kwaśniewskiego. Efektem byłby otwarty rozłam. Na scenie politycznej mogłyby stanąć naprzeciw siebie dwa ugrupowania - obecnego prezydenta i premiera lub jego kolegów. Z jednej strony dzielące centrolewicowy elektorat, z drugiej być może umożliwiający - dotyczy to w szczególności formacji prezydenckiej - sięgnięcie po nowych wyborców.

Postkomuniści, czyli taktyka

Na razie mamy wciąż do czynienia z jednym obozem. Powiązaniem dziesiątkami zależności, interesów i wciąż istotną, wbrew opiniom wielu publicystów, wspólną przeszłością. Warto pamiętać, że podziały wewnątrz tego obozu mają często charakter taktyczny lub personalny - podczas gdy obserwatorzy doszukują się w nich starcia różnych koncepcji rządzenia. Z tego punktu widzenia Kwaśniewski ma sporo cech wspólnych z Millerem, nawet jeśli różni ich retoryka lub temperament.

W dodatku wiele wewnątrzlewicowych rozgrywek - pisał o tym znawca, Jerzy Urban - ma tło czysto biznesowe. Przykładowo: usunięcie z rządu Wiesława Kaczmarska przedstawiane bywa jako pozbycie się przez Millera człowieka prezydenta. Ale może być też rozważane jako odejście człowieka związanego z interesami Aleksandra Gudzowatego, w czasach gdy szef rządu przechyla się nieco (podobnie jak Kwaśniewski) w kierunku konkurencyjnych interesów Jana Kulczyka. Co oznacza na przykład awans nieznanego Sławomira Cytryckiego na ministra skarbu? Dalsze umacnianie się grup związanych z dawnymi służbami specjalnymi? Ale tacy ludzie są i wokół Kwaśniewskiego. Ba, rzeczywiście nie wiadomo, komu bliższy był Rywin? Millerowi czy może prezydentowi? Jeszcze kilka tygodni temu składał się na prezent dla Kwaśniewskiego.

Charakteryzując wewnętrzną sytuację obozu postkomunistycznej lewicy, Urban pytał, jak długo da się rządzić, sprowadzając życie publiczne do taktyki. Czy swoista wojna na górze wewnątrz tego obozu okaże się oczyszczająca? Wyniszczająca do końca? A może zaprawieni w wieloletnich targach politycy zdołają jej w ostatniej chwili uniknąć? -

2003-01-21, Rzeczowy Przegląd Prasy, Rzepa, nr 14

Kazimierz Kutz w "Dzienniku Zachodnim", Hipoteza z Czarzastym w tle

W aferze (...) pojawiły się trzy hipotezy powiązań. Dla mnie najtrafniejsza jest ta, która łączy się z nazwiskiem Czarzastego z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz prezesa TVP Kwiatkowskiego, bo to oni szykują od lat scenariusz sprywatyzowania, oczywiście pod siebie, publicznego radia i programu regionalnego TVP. Obsadzenia swoimi ludźmi regionalnych rozgłośni radiowych już dokonali. Katowice też to przeżyły. Teraz nowelizacja ustawy o mediach stała się kluczowym momentem rozgrywki. (...)

Nowa ustawa ma także na celu ograniczenie istniejących nadawców prywatnych, by zabezpieczyć pole przyszłego działania. Przy ich narastającym oporze postanowiono dogadać się z Agorą, w związku z jej planami kupna Polsatu. Panowie ci policzyli także miesiące rządów Leszka Millera i ile panowania zostało jeszcze Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Po nich nadejdzie czas dla generacji Czarzastego i Kwiatkowskiego, bo do przetasowania dojść musi i idzie o to, by do zmian być przygotowanym i zagarnąć największą pulę. Obydwaj panowie z ramienia SLD od lat pracują w mediach, więc mają polityczne glejty gwarancyjne i najlepiej wiedzą, jakie fortuny są do zdobycia. I jakie rozmiary władzy. Dlatego działają, łącząc przyjemne z pożytecznym.

Zaś Rywinowi nie najlepiej ostatnio szło. Canal Plus, któremu przewodzi, jest bliski plajty, a jego firma nie stała się europejską filią producentów hollywoodzkich. Mówiąc najprościej, Rywinowi wyczerpał się dotychczasowy interes. Jest więc w potrzebie, ale jego nie interesują już rzeczy mniejsze; fascynują go tylko wielkie projekty, za którymi stoją wielkie pieniądze! I kiedy taki dalekosiężny projekt się pojawił, Rywin dał się uwieść. Zgodził się na pośrednictwo w realizacji idei panów Cz. i K., by uszczknąć 5 proc. z transakcji (cóż za tanioccha - tylko 17,5 miliona dolarów!) i by zabezpieczyć sobie posadę przyszłego dyrektora nowego Polsatu, by mieć własne królestwo medialne oparte na solidnym kapitale Agory. (...)

2003-01-21, Listy, Rzepa, nr 14

Reakcje na tzw. sprawę Rywina

prof. dr hab. **Piotr Kruszyński, Ocena prawna zachowań premiera**

W związku z wypowiedziami adwokatów [Macieja Bednarkiewicza i Jerzego Naumanna](#), zamieszczonymi na żółtych stronach "Rzeczpospolitej" z dnia 6.01.2003 r., na temat oceny prawnej zachowań premiera i prokuratora generalnego RP, związanych ze sprawą Lwa Rywina (propozycja łapówki od "Agory" dla premiera w zamian za odpowiednie zmiany ustawodawcze), pragnę podzielić się kilkoma refleksjami.

Istotnie, z czysto formalnego punktu widzenia, na premierze i prokuratorze generalnym spoczywa określony w art. 304 §sect; 2 k.p.k. prawny obowiązek zawiadomienia o przestępstwie ściganym z urzędu, takim zaś jest niewątpliwie przestępstwo płatnej protekcji, sformułowane w art. 230 k.k.

Zachowanie Lwa Rywina niewątpliwie wypełniało ustawowe znamiona czynu opisanego w art. 230 k.k.

Nie należy jednak zapominać, iż poza literą prawa trzeba kierować się zdrowym rozsądkiem - inaczej można narazić się na śmieszność.

Jeżeli premier, po wizycie u niego red. Adama Michnika w lipcu ubiegłego roku (kiedy to dowiedział się o propozycji Lwa Rywina), uznał, że rzekoma "misja" p. Rywina, który miał działać na zlecenie Leszka Millera, jest kompletną bzdurą, mógł potraktować całą sprawę w kategoriach absurdu.

Skoro tak, to można zrozumieć, dlaczego premier zachował się biernie. Nie o każdej historii, nawet całkowicie "wyssanej z palca", należy od razu zawiadamiać organy ścigania.

Gdybym np. jako profesor państwowego uniwersytetu dowiedział się od magistra X, że był u niego student Y i zaproponował mu, rzekomo w moim imieniu, napisanie za pieniądze owemu magistrowi X pracy doktorskiej, z pewnością nie zawiadomiłbym od razu organów ścigania, bowiem nie chciałbym uchodzić za śmieszną postać, która przejmuje się ewidentną bzdurą. Zainicjowałbym ściganie karne dopiero wówczas, gdyby magister X opublikował rozmowę ze studentem Y na łamach prasy - wówczas bowiem sprawa nabrałaby zupełnie innego wymiaru.

Podobnie mogli rozumować premier Leszek Miller oraz prokurator generalny Grzegorz Kurczuk - i dlatego, biorąc pod uwagę kryteria zdroworozsądkowe, nie nastąpiło wszczęcie postępowania karnego.

Adw. Bednarkiewicz autorytatywnie stwierdza, iż nie podjęto żadnych czynności sprawdzających w niniejszej sprawie. Otóż wcale tego nie wiemy - być może jakieś czynności zostały przedsięwzięte. To zaś, że formalnie postępowania przygotowawczego nie wszczęto, wcale nie świadczy o tym, iż sprawa Lwa Rywina leżała poza zainteresowaniem organów państwowych - premiera i prokuratora generalnego RP.

Zapewne, zdaniem prokuratora generalnego, nie było jedynie uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa, a tylko takie podejrzenie, w myśl artykułu 303 k.p.k., stanowi przesłankę wszczęcia postępowania przygotowawczego.

W świetle przedstawionych faktów wydaje się, że postępowanie Leszka Millera i Grzegorza Kurczuka może być uznane za zrozumiałe.

Adam Hojda, Warszawa, "Ocena prawna zachowań premiera"

Prof. Piotr Kruszyński w liście dotyczącym prawnej oceny zachowań premiera ("Rz" 13, 16.01.2003 r.) pomija jednak fakt, że w lipcu premier Miller poznał dokładnie te same dokumenty (nagranie, notatka pani Rapaczyńskiej), które w grudniu stały się podstawą do wszczęcia śledztwa. Jedyna różnica to opublikowanie ich w "Gazecie Wyborczej". Czyżby zdaniem pana profesora zamieszczenie dokumentu w "Gazecie Wyborczej" zwiększało jego wartość dowodową? Autor listu nie analizuje natomiast implikacji prawnych zaniechania przez pokrzywdzonego, czyli Agorę, natychmiastowego powiadomienia prokuratury o przestępstwie.

Krzysztof Stefko, Poznań, Co oferował Rywin

Zabiorę głos w sprawie mediów w Polsce. Obecna "afery" jest według mnie ostatnią rozgrywką o polską demokrację. Jest rozgrywką o niezmienną istniejących reguł rynku mediów na reguły ściśle komunistyczne, absolutnie nieprzystające do zasad demokratycznych. Jest to walka o prawo wpływu na media przez rynek. To prawo, choć kulawe już dziś, jest ostatecznie zagrożone wprowadzaną ustawą. Jest więc niezmiernie dziwne, dlaczego dziennikarze uparczywie powtarzają, że Rywin oferował zmianę ustawy etc. A Rywin oferował właśnie niezmienną istniejących dziś zapisów.

Tymczasem z komunikatów medialnych odnosi się wrażenie odwrotne, jakby Agora miała upiec dodatkowy interes. Różnica jest jakby niewielka, lecz ukrywa prawdę o charakterze sporu. Pamiętajmy, że bez wolnych mediów demokracji po prostu nie ma. Jest w najlepszym razie autokracja. Chciałbym też zwrócić uwagę na fragment powszechnie znanej już propozycji Rywina, który zdaje się dziwnie umykać uwagi komentatorów. Rywin domagał się przecież zaprzestania krytykowania premiera i nadzoru nad przyszłym Polsatem Agory. Czy istotnie jest to informacja bez znaczenia? Czy pan Michnik istotnie ma prawo głosić, że nie widzi w tym zamieszczeniu interesu SLD i premiera?

Henryk Bajcar (adres do wiadomości redakcji), Obywatelska czerwona kartka

Przyglądając się ostatnim wydarzeniom opisanym w "Gazecie Wyborczej" - "Przychodzi Lew do Adama" - odnoszę wrażenie, że stało się coś poniżającego mnie i moje poczucie przyzwoitości politycznej. Opisane z pikantnymi szczegółami spotkanie w lipcu ubiegłego roku najpierw dwóch kolegów w biurze "Gazety Wyborczej", a potem trójki przyjaciół w gabinecie premiera rządu RP, daje wiele do myślenia. (...) To są panowie z samego szczytu władzy i wpływów, ot, rozmawiali. Ale co się działo przez pół roku? (...). Myślę, że był czas na refleksję, tam, w gabinecie premiera. Ale refleksji nie było. (...)

Tego dnia dwóch przyjaciół mogło się obronić, wkopując trzeciego. Dziś cała trójka powinna odpowiadać solidarnie. (...) Chciałbym, aby to była pierwsza pokazowo zakończona i wyjaśniona, nie zaś kolejna afery z serii niewyjaśnionych. Całej trójce należy pokazać obywatelską czerwoną kartkę.

Wiem, że chciałbym tylko tyle i aż tyle. Wydaje mi się pewną pułapką kierowanie tej sprawy tylko na drogę wyjaśnienia karnego, ze świadkami, odciskami palców, notatkami itp. Wydaje się, że mamy do czynienia z przygotowaniem papki informacyjnej dla ludzi. Sam tryb powoływania sejmowej komisji śledczej i towarzyszące mu targi o liczbę członków tego ciała były gorsze. A potem to nagłe objawienie wiadomości, że jednak koalicjant dostanie teki wiceministrów. W ten sposób rządząca koalicja stanie się sędzią we własnej sprawie. Posłowie mają wyjaśnić oskarżenie, jakie padło pod ich adresem, że ustawę można kupić. To też ciekawy motyw. Dali już dowody swej bezstronności przy uchwalaniu ustawy o biopaliwach, w której zabrali nam prawo wyboru. Pachnie mi tu powtórką z rozrywki.

Dr inż. Paweł W. Góralski, Warszawa, "W sieci zależności"

W artykule ["W sieci zależności"](#) ("Rz" nr 10 z 13.01.2003 r.) przedstawiono wyniki dziennikarskiego śledztwa "Rzeczpospolitej". Czytamy tam między innymi: "...wiceminister kultury Aleksandra Jakubowska pracuje nad autopoprawką do ustawy, jaką obiecał wnieść rząd. Jakubowska (...) z

Rapaczyńską (prezesem spółki Agora - przyp. P.W.G.) telefonicznie i za pośrednictwem e-maili uzgadnia ostateczne zapisy. Mają być one korzystne dla Agory, tak by mogła ona kupić Polsat".

Jeśli przytoczony opis dziennikarski odpowiada prawdzie, to jest to skandal co najmniej porównywalny z tzw. aferą Rywina. Rząd Rzeczypospolitej (w osobach swoich najwyższych urzędników) nie może wyróżniać żadnej firm, rodzi to bowiem podejrzenia o korupcję, istnienie "układu" lub jakiejś zmywy. Jest on przecież konstytucyjnie zobowiązany do dbania o interesy wszystkich obywateli Polski, a nie tylko wybranych grup. Chyba że uznamy, parafrazując znane powiedzenie, iż co jest dobre dla Agory i "Gazety Wyborczej", dobre jest i dla Polski...

2003-01-22, Zdzisław Krasnodębski, Rzeka, nr 15,

System Rywina - z socjologii III Rzeczypospolitej Największe zagrożenie dla demokracji płynie nie z marginesu państwa, lecz z jego kulturalnego, politycznego i gospodarczego centrum

Mamy kolejną wielką aferę. Która to już z kolei? Trudno zliczyć. W gruncie rzeczy powinniśmy się przyzwyczaić. Podobno lud przyjmuje ją obojętnie, bo co go może obchodzić kłótnia wśród tzw. elity, którą od dawna ma za bandę malwersantów "u żłobu". Wstrząsem może być jedynie dla tej garstki naiwnych, która ma jeszcze w pamięci ideały przyświecające antykomunistycznemu ruchowi lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, która żyje (czy raczej stara się przeżyć) z pracy własnych rąk lub głowy, nie jest powiązana z żadną grupą kapitałową, polityczną i medialną, która marzyła o tym, żeby żyć nie w raj, ale też nie w błocie, nie w państwie doskonałym, ale przyzwoitym, nie w idealnej demokracji, ale w takiej, w której panuje jawność, prawo i zasada odpowiedzialności.

Czego nowego dowiedzieliśmy się z afery, zwanej aferą Rywina, o kraju, który już wkrótce będzie członkiem "najbardziej elitarnego klubu", jak mawia prezydent? Nie wiemy jeszcze, jak się cała sprawa zakończy, nie znamy wszystkich okoliczności. Na tyle jednak jesteśmy doświadczonymi obywatelami III RP, by zdawać sobie sprawę, iż za rok czy dwa też nie będziemy wiedzieli więcej. Może ktoś powiesi się w celi, kogoś wyłowią z Wisły, może kogoś zastrzelą, gdy będzie wchodził do samochodu, może zostanie opublikowana "biała księga", z której nic nie wyniknie. Najpewniej jednak unikniemy takich dramatów i wszystko okaże się tylko towarzyskim nieporozumieniem, spowodowanym krótkotrwałą niedyspozycją psychiczną.

Ale coś zostanie. Otóż dzięki nagraniu Adama Michnika uzyskaliśmy dokument socjologiczny pierwszej rangi. Doprawdy nie byłoby nawet tanią złośliwością twierdzić, że być może okaże się on najważniejszym tekstem, jaki Adam Michnik opublikował po 1989 roku.

Kontekst tworzy sens

Ten zapis należy traktować jako autentyczny, choć tak trudno jest w to uwierzyć. Całkowicie potwierdza przy tym słuszność postmodernistycznej teorii i metodologii. Wszak to dopiero fakt, że został opublikowany z wielomiesięcznym opóźnieniem, nadał mu pełne znaczenie. Okoliczność, że o niestosownej propozycji Rywina od dawna wiedziała już "cała Warszawa", łącznie z prezydentem i premierem, jest jeszcze jednym potwierdzeniem zasady, iż sens zależy od kontekstu. To samo dotyczy przerw i opuszczeń w opublikowanym tekście.

Zgodnie z tą zasadą zapis ten odsyła do innych publikacji. Dobrze jest go czytać z takimi tekstami jak "Nie będę walczył bronią nienawiści" oraz "Szare jest piękne", a także ze spóźnionym o kilkanaście lat wykładem Aleksandra Kwaśniewskiego "Czy możliwa jest uczciwa polityka?", w którym prezydent nieoczekiwanie okazał się znawcą Immanuela Kanta, ale nie najnowszej historii Polski i własnej formacji politycznej.

Gdyby zapis rozmowy został podany do wiadomości publicznej następnego dnia, a prokuratura została zawiadomiona zaraz po wyjściu Rywina z redakcji, moglibyśmy co najwyżej z całym szacunkiem przypomnieć redaktorom i wydawcom "GW", że należy unikać podejrzanych znajomości i że nie wypada wdawać się w upokarzające negocjacje z osobnikami czyniącymi tego typu propozycje.

Gdyby premier przez szacunek dla sprawowanego urzędu - jeśli już nie dla siebie samego - zamiast formułowania psychiatrycznych diagnoz zrobił to, co nakazuje prawo, odsuwając raz na zawsze podejrzenie, że był zleceniodawcą Rywina, gdyby prezydent staranniej dobierał gości zapraszanych na imieniny - choćby miał je spędzać samotnie przy lekturze Kanta - mielibyśmy rzeczywiście do czynienia jedynie z aferą Rywina i jego tajemniczych mocodawców, a zapis rozmowy miałby przede wszystkim wartość dowodową i sensacyjną.

Zmysł realizmu podpowiada nam jednak, że gdyby tak to się wszystko odbyło, to chodziłoby zapewne o jakiś inny kraj, a nie o postpeerelowską III Rzeczpospolitą, i o jakiś zupełnie inny ustrój niż ten zaprojektowany dla dobra nas wszystkich przy Okrągłym Stole i który, jak się okazuje, został zrealizowany z godną podziwu konsekwencją.

Polskie high society

Na czym polega wartość tego tekstu z socjologicznego punktu widzenia? Po pierwsze, jest to znakomity materiał empiryczny dla badaczy elit. Teraz wiemy wreszcie, jakie to "high society" na bardzo wysokich obcasach zastąpiło "civil society", które na szczęście dla pomyślnego rozwoju "high society" nie uformowało się w kształt wykraczający poza postać orkiestry świątecznej pomocy. Ci, którzy piszą o braku solidarności społecznej, mogą się przekonać, że nie dotyczy to tej grupy, stwierdzić, jak zażyłe są stosunki między różnymi odłami elity, ludźmi polityki, biznesu, mediów.

Dla badaczy mechanizmów rekrutacji nowych elit Lew Rywin ze swą bogatą biografią może, obok takich postaci jak Sławomir Wiatr i im podobni, posłużyć do konstruowania typu idealnego człowieka sukcesu III RP. Wprawdzie od dawna wiemy już, że wstyd jest się ubiegać o jakieś ważne funkcje, jeśli kiedyś nie było się świadomym - etatowym lub tajnym - współpracownikiem służb - bo to dzisiaj najlepsze świadectwo kompetencji i ofiarności. Łatwiej jest jednak teraz zrozumieć, dlaczego tak nikłe szanse w instytucjach państwowych, w biznesie, w filmie, w literaturze, ma ktoś, kto chciałby pogwałcić nowy kodeks "elitarniej" solidarności, do którego głównych zasad należy "niegrzebanie w biografiami" oraz przebaczenie, o którego chrześcijańskich aspektach pisał ostatnio Roman Graczyk (zob. "GW" z 13 stycznia br.). Oczywiście swoisty typ tej solidarności nie wyklucza zaciętych walk i "ciosu zardzewiałym nożem w plecy" ze strony osobników nieodpowiedzialnych, jak dowiadujemy się z tego pasjonującego, utrwalonego na magnetofonie dialogu.

Negocjacje a la Pruszków

Po drugie, jest to doskonały obiekt badań dla socjolingwistyki, etnometodologii, analizy konwersacyjnej itp. Można dowiedzieć się, jak w Polsce negocjuje się interesy polityczne i gospodarcze. Jak ze sobą rozmawiają, jakim językiem komunikują się ze sobą ludzie naszych "sfer wyższych". Zapis tej rozmowy falsyfikuje zresztą hipotezę o wyalienowaniu się elit ze społeczeństwa.

Okazuje się, że ci panowie (zapewne też i panie) załatwiają swoje interesy nie inaczej, niż się załatwia w Pruszkowie i innych polskich miastach i miasteczkach. Przyjazny ton, w którym prowadzona jest ta konwersacja, czyni jednak z nagrania towarzyską niedyskrecję i akt nielojalności, pogwałcenie podstawowych reguł konwersacyjnych, na które nagrany Lew Rywin reaguje ze zrozumiałym rozgorczeniem

Państwo w rękach towarzystwa

Po trzecie, instytucjoniści, konstytucjoniści, socjologowie państwa itd. mogą, wychodząc od tego przypadku, wysuwać hipotezy dotyczące tego, jak w Polsce konkretnie tworzy się prawo, kto ma inicjatywę ustawodawczą w realnospołecznym sensie i jakie mechanizmy prowadzą do jego uchwalenia. Widać, że chodzi raczej o "agregację" indywidualnych i grupowych interesów (czyli, mówiąc w innym, bardziej zrozumiałym języku, o dzielenie działek, doli, kasy), a nie o dobro wspólne. Zresztą z tej perspektywy takie rozróżnienie nie ma sensu - na tym właśnie ma polegać dobro wspólne.

Prawo jest dostosowywane do potrzeb grup interesu, a państwo nie jest jakimś bytem "pozatowarzyskim", lecz instrumentem używanym przez "towarzystwo" w rozgrywkach grupowych oraz środkiem kumulowania i dystrybucji kapitału przez "grupę trzymającą władzę".

Wypowiedzi obu panów nie bez empatii wnikających w intencje i dążenia prezesa telewizji publicznej oraz członków KRRiTV, obecnych i byłych, ujawniają, jak traktują instytucje publiczne osoby, którym powierzono ich kierowanie. Kompetentny komentarz Rywina i Michnika o zamierzeniach dotyczących II programu telewizji to istotny przyczynek do analizy strategii prywatyzacyjnych w III RP, gdyż można przypuszczać, że podobną strategię stosowano już z powodzeniem w wielu innych przypadkach.

Dziennikarz spisuje bez skrótów

Po czwarte, specjaliści od środków komunikowania się na podstawie tego zapisu i sposobu jego opublikowania uzyskują wiele informacji o stanie wolności prasy, o rozumieniu jej funkcji, o stopniu uzależnienia dziennikarzy od właścicieli gazet, a jednych i drugich od polityki i biznesu.

Można też na tej podstawie zastanawiać się nad etosem dziennikarskim, który skłania dziennikarza do pisania "spisuję bez skrótów", chociaż publikuje tekst okrojony, oraz nad efektywnością zbierania informacji, skoro opublikowany w parę miesięcy po wydarzeniu artykuł nie zawiera niczego, czego by już od razu nie wiedzano. Przy okazji tej sprawy znowu dużo dowiadujemy się o roli telewizji publicznej, która od jakiegoś czasu zaczęła wyraźnie zaniedbywać premiera, gdy zmuszona jest mówić o aferze "płatnej protekcji", choć jeszcze do niedawna bez jego wielokrotnej obecności na ekranie nie obył się żaden dziennik telewizyjny.

Gazeta w systemie władzy

Po piąte wreszcie, badacze ruchów społecznych, na przykład pierwszej "Solidarności", mogą potraktować tę aferę jako smutny epilog historii "opozycji demokratycznej". Obyczajnie ludzi, którzy zaczęli swoje błyskotliwe kariery od tej strony Okrągłego Stołu, którą eufemistycznie nazywano rządową, nie mogą nikogo zaskoczyć. Działają tak, jak potrafią. Niczego innego się nie nauczyli.

Pewnie nawet nie wiedzą, że można inaczej, i tylko wydaje się im, iż stali się demokratami, liberałami, socjaldemokratami. Ale niestety w skład tak działających elit III RP weszło także wielu z tych, którzy kiedyś reprezentowali stronę społeczną, solidarnościową. Często słyszymy tezę, że dawne podziały straciły na znaczeniu. Rzeczywiście, gdy czyta się zapis tego spotkania, można w to uwierzyć. Oczywiście to Rywin przychodzi z propozycją do Michnika - nie odwrotnie. To Michnik ujawnia nagranie - a nie odwrotnie. Ale dlaczego Rywin w ogóle przychodzi? Dlaczego w ogóle może sądzić, że taką rozmowę można prowadzić z nim poważnie? Czyżby nie wiedział, z kim rozmawia?

Te wszystkie obiady, pertraktacje, narady z premierem, imieniny i przyjęcia, nazwiska i imiona, które padają w tej rozmowie, pokazują, w jakim stopniu "GW" wmontowała się w system nieformalnej i formalnej władzy. To jest najsmutniejszy aspekt tej sprawy. Ta największa w Polsce gazeta - jak niedawno przypomniał Ryszard Bugaj - była na samym początku gazetą nas wszystkich, wyrażała nadzieje, że można uprawiać politykę inaczej, uczciwie, a nawet bardzo uczciwie, w interesie ogółu. Jej sukces wynikał z początku w ogromnej mierze ze społecznego powiernictwa, z zaufania, którym ją obdarzano.

Z czasem każdy kolejny wywiad z osobami w rodzaju Czesława Kiszczaka czy Jerzego Urbana, każdy atak na IPN i ustawę lustracyjną, każdy nowy tekst Mieczysława M. Rakowskiego i jemu podobnych, sprawa Maleszki itd. sprawiały, że coraz trudniej było się łudzić, iż nowe sojusze "GW" wynikają z błędnego rozumienia demokracji, prawa i wolności. Ta rozmowa świadczy o tym, że już dawno nie o idee chodzi, lecz o interesy, i to one oraz te wszystkie powiązania i zależności określają ideowe stanowisko tej gazety, że nawet gdyby chciała, nie może już inaczej. Dzisiaj "GW" jest raczej powiernikiem - czy raczej zakładnikiem - zupełnie innych ludzi niż ci, którzy kiedyś jej zaufali, którzy tworzyli ruch, z którego wyrosła.

Kto przeszkadza modernizacji

Szósta perspektywa, w jakiej może być czytany ów tekst, to perspektywa teorii modernizacji. Z punktu widzenia tej teorii, odniesionej do zapisu rozmowy, widać wyraźnie, że największą przeszkodą w modernizacji Polski nie są małorolni rolnicy, lecz polskie "elity", to "towarzystwo" z kapitałem, wpływowe, zasobne i pewne siebie. Scała ono wszystkie dziedziny życia w jedną wierchuszkę, jak za dawnych czasów. Pod demokratyczną powierzchnią w istocie w Polsce ukształtował się ład monocentryczny, oligarchiczny.

Wydaje się, iż ta rządząca warstwa tak odporna jest na wszelkie procesy, zmiany i unowocześnienia, że trudno wiązać zbyt daleko idące nadzieje na to, że członkostwo Polski w Unii Europejskiej doprowadzi do jej rozbicia, rozproszenia i umożliwi budowę w Polsce gospodarki rzeczywiście rynkowej i demokracji typu zachodniego. To raczej "towarzystwo", całkiem dobrze rozumiejące się ze swoimi zagranicznymi partnerami, będzie próbowało dostosować słabe i podatne na korupcję struktury europejskie do swoich sposobów działania i obyczajów.

* * *

Ktoś mógłby powiedzieć, że przecież wszędzie zdarzają się afery. To prawda, chociaż afera aferze nierówna. Skandal dotyczący nielegalnego finansowania partii, który wstrząsnął Niemcami, byłby według polskich standardów jakimś nieważnym incydentem. W każdym kraju praworządnym wystarczyłoby już to, co wiemy o aferze Rywina, żeby premier podał się do dymisji. Nie o aferę jednak w Polsce chodzi, lecz o system.

Przez całe lata mówiono nam, że największym zagrożeniem dla polskiej demokracji są najpierw "oszołomy", potem populiści i fundamentaliści. Jakaż byłaby to ulga, gdybyśmy się na końcu dowiedzieli, że tak jest i w tym przypadku, że w istocie to byli tylko przebierańcy, np. że to była rozmowa Andrzeja Leppera z ojcem Rydzykiem, którzy zręcznie podszyli się pod postacie producenta "Listy Schindlera" i dawnego bohatera opozycji. Jakże chcielibyśmy wrócić do czasów, gdy można nas było straszyć polskim prostakiem, ciemniakiem i antysemitą. Z tym niebezpieczeństwem przecież jakoś byśmy sobie poradzili. Ale takiego happy endu nie będzie.

Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: największe zagrożenie dla demokracji, dla naszej wolności i naszej pomyślności płynie nie z marginesu III RP, lecz z jej kulturalnego, politycznego i gospodarczego centrum, nie z dołów, lecz z samej góry, z "towarzystwa", postkomunistycznego i po części postsolidarnościowego.

2003-01-23, Paweł Śpiewak, Rzeka, nr 16,

Koniec złudzeń. Wiele wskazuje na to, że III Rzeczpospolita wyczerpała swoje możliwości samonaprawy. Czas zacząć myśleć o IV Rzeczypospolitej.

Język Rywina i Michnika jest jędrny, rzeczowy. Nie ma tu dwuznaczności, duserów, którymi karmi się obcych. Mowa jest pozbawiona wszelkich naleciałości języka oficjalnego i politycznie poprawnego. Od początku do końca intencje obu rozmówców są jasne. Nie tylko przejrzysty jest sens wypowiedzi, ale również klarowny jest sposób myślenia. Wszystko jawi się jako gra, w której chodzi o wpływy i pieniądze. Żadnej taniej moralistyki, wynoszenia się ponad przeciętność. Gra wymaga pieniędzy, znajomości (Robert, Andrzej, Leszek i wiele innych postaci) i chodzi w niej tylko o jedno: o skuteczność. Nie wolno dać się wykuglować. Wszystko ma być czyste dla maluczkich.

Zapewne na poziomie gminy czy powiatu bohaterami będą osoby o podobnych imionach, ale nieco innych stanowiskach, jednak cele i reguły gry nie będą się wiele różniły. Lekcja jest prosta: jeśli chce się brać udział w podziale łupów, nie ma znaczenia, czy ktoś był opozycjonistą, czy oficerem komunistycznych służb specjalnych. Biografia do niczego nie zobowiązuje i nie zapewnia

wiarygodności. Wygrywa twardy realizm, zwany też cynizmem. Poza tym w tej rozgrywce chodzi rzeczywiście o bardzo dużą stawkę.

Handel na Jarmarku Europa

Można być zaprawdę wdzięcznym za to, że ta rozmowa została opublikowana. Nawet najbardziej naiwny czytelnik teraz wie, jak wygląda demokracja polityczno-towarzyska. Bardziej wyrobieni politycznie obserwatorzy zapewne potwierdzili swoje intuicje. Politykę uprawia się w Polsce jak handel na Jarmarku Europa lub w pubie podmiejskim. Koniec złudzeń. Zmowa milczenia została zerwana. Jeszcze raz jawność życia publicznego zatriumfowała, co jest budujące i ważne.

Rzecz idzie o media. Nie sposób bez nich zaistnieć dla opinii publicznej. Najważniejsza jest oczywiście telewizja. Prasę codzienną kupuje nieco ponad dwadzieścia procent dorosłych obywateli. Telewizję oglądają prawie wszyscy. Media to też wielkie pieniądze. Do pełnego obrazu dodać trzeba stosowne uregulowania prawne. I tu natrafiamy na wiele raf. Pierwsza to pomieszanie ról.

Wygrywa demagogia i tupet

Redaktor "Gazety Wyborczej" chce najwyraźniej pełnić rolę polityka, a swoją redakcję i pismo ma za swoiste ugrupowanie polityczne. Chce również pełnić rolę trzeźwego człowieka interesu. I wreszcie, rzetelnego, niezależnego, wiarygodnego dziennikarza. Tych ról nie sposób pogodzić. I chwała Michnikowi za to, że zdobył się na odwagę ujawniając swoją złożoną sytuację. Odkrył prawdę na temat swojego dziennika wiedząc, że grozi to utratą wiarygodności. Jednak, co docenić trzeba, otwartym tekstem powiedział, gdzie jest. Zapewne w tej sytuacji nie jest on jeden. Media, bez których demokratyczna opinia publiczna nie istnieje, są uwikłane w gry polityczno-finansowe. Rodzą się niezwykle ważne pytania, tak o niezależność dziennikarzy od polityków (bez względu na polityczne sympatie dziennikarzy), jak i o niezależność finansową wydawców od aktualnych politycznych koniunktur.

Zapewne nie doszłoby do tej rozmowy, gdyby członkowie gabinetu Leszka Millera nie forsowali wyjątkowo nieudanej ustawy o mediach i nie próbowali wykorzystać do tego swej liczbowej przewagi w parlamencie. Kluby rządzące zachowały się po dyktatorsku lekceważąc racje strony przeciwnej. Odmówiły jakiegokolwiek dialogu, ba nie wykazali chęci zrozumienia racji przeciwnych. Tak samo zapewne dzieje się z kolejnymi ustawami sejmowymi (patrz: nieszczęsna ustawa o biopaliwach, służbie zdrowia czy abolicyjna). Parlament traktuje się nie jako miejsce, w którym opinie są dyskutowane, dojrzewają, ale miejsce, w którym załatwia się interesy i narzuca swoją wolę nie licząc się z głosami krytycznymi. Wygrywa więc demagogia i tupet. Pozostaje wtedy tylko wątła nadzieja - prezydent i sąd konstytucyjny.

Fasadowa demokracja

Nie tylko koalicja broniła tego projektu ustawy medialnej, ale, co gorsza, z braku w Polsce przyzwoitej opozycji, nie było partii, która by potrafiła skutecznie tej ustawie się przeciwstawić. Politycy opozycyjni okazali się, jak zwykle, bardziej niż nieporadni, bo po prostu głupi. W tej sytuacji sami zainteresowani, właściciele mediów, musieli stworzyć własną grupę nacisku i wprost odgrywać rolę polityków.

Gdy okazuje się, że ustawy przepycha się, dlatego, że stoją za nimi silne lobbies (biopaliwa), to znaczy, że ustawy się kupuje w jakiejś postaci. Ktoś robi lub chce na nich robić duże pieniądze, a partia polityczna zamienia się w reprezentację grup interesu i ginie jej związek z wyborcami, nie wspomnę, naiwnie, o dobru wspólnym czy interesie publicznym. Kilka lat temu wiele sobie obiecywano po ustawie dotyczącej finansowania partii z budżetu państwa. W ten sposób miała zostać ukrócona korupcja. Okazało się, że ta kolejna ustawa mająca oczyścić polskie życie polityczne niczemu nie służy. Od dwunastu lat wprowadza się prawne rozwiązania antykorupcyjne. Korupcji to nie przeszkadza. Powiedziałbym nawet - wprost przeciwnie. Wniosek z tego wynika dramatyczny. Prawo słabo broni przed nadużyciami. Jest albo źle skonstruowane, albo można je lekceważyć. Jeżeli tak jest, to znaczy, że polska demokracja ma charakter fasadowy. Wybory jeszcze się odbywają. Głosy zapewne liczone są skrupulatnie, ale już wybrańcy zachowują się tak, jakby prawo w Polsce nie zawsze musiało obowiązywać.

Propozycja łapówki, z którą wystąpił Lew Rywin, jest szokująca tyleż swoją bezgraniczną szczerością, ile tym, że może być czymś normalnym dla naszego porządku politycznego. Zapewne liczne ustawy się "kupuje" w taki lub inny sposób i pisze pod lobbies, pod aktualne interesy, rządziej, dlatego, że są oczekiwane lub potrzebne. Jeśli ustawy są produkowane z taką nonszalancją, a potem i tak bywają omijane, to podstawowa norma demokracji - rządy prawa - jest już nie tyle zagrożona, ile po prostu lekceważona i głęboko podważona. Być może wejdziemy do Unii Europejskiej, ale z takim nieporządkiem prawnym krajem europejskim nie będziemy. Możemy się pocieszać tym, że zapewne większość państw na świecie jest chora; nie respektuje się prawa, lekceważy interesy obywateli. W tym jesteśmy podobni do Argentyny, Kenii, Bułgarii czy Ukrainy. Ale o żadnej Europie być mowy nie może. Bowiem Europa to nie jest tylko wielka instytucja zwana Unią Europejską, ale to przede wszystkim europejski duch praw.

Choroba rodem z PRL

System polityczny Polski jest chory, podobnie jak chore są dziesiątki państw na wszystkich kontynentach. Okazało się, że ową chorobę przenieśliśmy razem z instytucjami i personelem z PRL. Z tą jedną różnicą, że teraz sekretarze Komitetu Centralnego, funkcjonariusze komunistycznych służb specjalnych wraz z działaczami ZSL, mogą powoływać się na mandat demokratyczny, a nie jak dawniej na konieczność historyczną, geopolityczne racje lub wolę partii rządzącej. Sprawują jednak władzę tak samo, jak przed wielu laty, lekceważąc prawo, partnerów politycznych i obyczaj społeczny.

W mediach mowa jest o kryzysie zaufania do władzy, instytucji państwa, polityków. I jest to fakt bezsprzecznie o znaczeniu podstawowym. Trudno przestrzegać prawa, czyli wspólnych reguł gry, gdy jedna strona, i to ta silniejsza (politycy, liczni przedsiębiorcy), w potrzebie je omija. Trudno oczekiwać niezbędnego poczucia stabilizacji, gdy wiemy, że reguły są zmieniane, dowolnie interpretowane. Trudno ufać władzy, gdy okazuje się - vide rozmowa Rywin - Michnik - w jaki sposób podejmuje się czy choćby dyskutuje najważniejsze decyzje dla państwa. Duch demokratycznego towarzystwa oraz korupcji przenika wiele warstw społecznych i psuje kraj. Polski kryzys jest przede wszystkim kryzysem politycznym, kryzysem zaufania. Bez kapitału społecznego nie zbuduje się rynku, sprawnej administracji. A przez ostatnie dziesięć lat dzieje się bardzo wiele, by pogłębić stan anomii.

Co tydzień od wielu lat jesteśmy informowani o kolejnej aferze gospodarczej, politycznej. Nikt nie został skazany. Jest jeden wyjątek, ale wyrok w tym przypadku zapadł bez wystarczających dowodów, ale stała za nim nagonka prasowa i zwykłe ploty. Nie ma żadnego powodu, by sądzić, że "sprawa Rywina" zostanie wyjaśniona. Z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że całe państwo, jak za dobrych czasów PRL, jest upartyjnione. Kolejny rząd, po objęciu władzy zaczyna najpierw od wyrzucania dawnych prokuratorów i mianowania swoich, zapewne nie mniej rzetelnych i nie mniej lojalnych wobec politycznych mocodawców. Tak samo rzecz się ma w parlamencie. Komisja śledcza składa się w większości z członków partii koalicyjnej i trudno komukolwiek uwierzyć, że komisja zechce pracować odważnie i radykalnie. W Polsce wszystko zostało upartyjnione (znam przypadki wyrzucania woźnych, bo nie są z właściwej partii) i nie rozumiem, dlaczego tego rodzaju sąd nie mógłby się składać ze zwykłych obywateli, jak sąd przysięgły w Ameryce. Po drugie, sprawa ta nie zostanie wyjaśniona, bo nikt chyba (poza prasą) nie jest zainteresowany jej wyjaśnieniem. Bo logicznie rzecz biorąc - na co większość komentatorów zwraca uwagę - w całej tej historii nic się kupy nie trzyma.

Ostatnia instancja

Gdy partie nie wypełniają swojego powołania, gdy polityka sprowadza się do gry interesów ekonomicznych, gdy porządek prawa jest głęboko obrażony, pozostają wolne media. Po wielokroć okazywało się, że tylko dziennikarze ujawniali wielkie i małe afery gospodarcze, polityczne. Niekiedy można było odnieść wrażenie, że skutecznie zastępowali prokuratorów, policjantów, komisje sejmowe. Czwarta władza w Polsce bywa ostatnią instancją sprawiedliwości i prawdy. Dziennikarstwo śledcze "Gazety Wyborczej", "Rzeczpospolitej" okazało się niezwykle ważne. Tym większe znaczenie ma właśnie dobra ustawa o mediach, jak bardzo ważny jest pluralizm mediów i ich zdrowe ekonomiczne podstawy.

Adam Michnik podjął olbrzymie ryzyko upubliczniając sprawę Rywina i tym samym odsłaniając swoje plany. Jednak doceniałbym fakt, że sprawę ujawnił, że uczynił ją przedmiotem publicznej debaty. To,

że zarazem odkrył choroby, jakie niszczą nasze życie publiczne, nie może być wobec niego zarzutem. Raz jeszcze padł dowód na to, że bez wolnych mediów nie zdołamy ocalić nawet pamięci naszych obywatelskich wolności i praw.

Ale bez względu na to, jak dalej potoczy się ta konkretna afera, pozostają bez odpowiedzi pytania o wymiarze zasadniczym. Nic się nie zmieni, jeśli nie odbudujemy zaufania do instytucji państwa, prawa, parlamentu, administracji, rynku gospodarczego. Coś ostatecznie pękło i się skończyło. Rzecz nie może się sprowadzić do kolejnej fali moralistycznych pouczeń i rad. Niewiele wynika z narzekania i czarnowidztwa. Co najwyżej mogą zacierać ręce populiści i nacjoniści, którzy będą zdobywać poparcie wraz z narastającym rozczarowaniem polską demokracją. Tymczasem bardzo wiele wskazuje na to, że III Rzeczypospolita wyczerpała swoje możliwości samonaprawy. Czas zacząć myśleć o IV Rzeczypospolitej.

2003-01-23, Michał Majewski, Anna Marszałek, Luiza Zalewska, Rzepa, nr 16,

Rywin nie będzie milczeć. Nowi świadkowie - Nałęcz chce ograniczyć dostęp mediów do komisji śledczej

Lew Rywin zapowiedział, że po przesłuchaniu zgłoszonych przez niego świadków przerwie milczenie i złoży w prokuraturze wyjaśnienia.

Jego obrońcy chcą, by prokuratura przesłuchała kolejnych świadków i sprawdziła billingi. Ma to być potwierdzenie tezy obrony, że inicjatywa lobbingu na rzecz ustawy o rtv rzekomo wyszła nie od Rywina, lecz od Agory.

Wczoraj w prokuraturze przesłuchano aktora Marka Kondrata i reżysera Janusza Majewskiego. Jako świadków zgłosili ich obrońcy Rywina. - Gdy się człowiek budzi rano i widzi, że jest zamieszany w jakąś światową Watergate, czuje się niezasłużenie wyróżniony - mówił niedawno Kondrat PAP. Przyznał, że zna Rywina i wielokrotnie z nim współpracował. Nigdy jednak - jak twierdzi - nie rozmawiał z producentem na tematy związane z publikacją "Gazety Wyborczej".

Dzisiaj ma być przesłuchany Mariusz Walter, a najprawdopodobniej jutro - Janina Paradowska.

- Nie wiem, co zdecydowało, że obrońcy wnieśli o przesłuchanie mnie. Być może moja wieloletnia znajomość z Rywinem. Być może to, że jestem od czterdziestu lat w mediach - powiedział nam Walter. - O sprawie wiem tyle, ile dowiedziałem się z mediów.

Z informacji "Rz" wynika, że dziś obrońcy Rywina zamierzają zgłosić kolejnych świadków. Zdaniem obrony mogą oni potwierdzić, że inicjatywa lobbingu na rzecz zmian w ustawie o radiofonii i telewizji wyszła ze strony Agory (Agora twierdzi, że to Rywin wystąpił z inicjatywą). Obrona chce też, by prokuratura sprawdziła wykaz połączeń telefonicznych kilku osób, które miałyby dzwonić do Rywina w tej sprawie, zanim on złożył propozycję "załatwienia" korzystnej ustawy Agorze. Nowi świadkowie i billingi mają potwierdzić tezę obrony, że to rzekomo nie od Rywina wyszła inicjatywa lobbingu na rzecz zmian ustawie o rtv.

W Sejmie nowe porządki

Tymczasem wicemarszałek Sejmu Tomasz Nałęcz, który stoi na czele komisji śledczej, wyjawiał wczoraj wybranym dziennikarzom, jak wyobraża sobie relacjonowanie posiedzeń tej komisji.

Po pierwsze: nie ma w Sejmie sali, która pomieści wszystkich chętnych do obserwowania jej prac, wybrano więc niewielką salę na pierwszym piętrze w bocznym budynku sejmowym, w której zmieści się maksymalnie kilkadziesiąt osób.

Po drugie: ma obowiązywać reguła, że ten, kto najobszerniej relacjonuje prace komisji, będzie miał prawo do najpełniejszego uczestnictwa w jej posiedzeniach. - Jakies proporcje musimy ustalić. Na pewno nie każdy, kto ma akredytację, będzie mógł na salę posiedzeń wejść - zapowiedział Nałęcz.

Po trzecie: nawet ci, którzy spełnią wszystkie kryteria, nie będą mogli wchodzić na salę posiedzeń i z niej wychodzić w dowolnym momencie, bo zakłócałoby to pracę posłów i spokój osób przesłuchiwanym.

Wicemarszałek pytany, dlaczego nie skorzysta np. z wielkiej Sali Kolumnowej na parterze głównego gmachu Sejmu, odparł: - Ta sala ma obszerne okna. Każdy mieszkaniec Warszawy może do nich podejść i przez nie patrzeć. A osobie składającej zeznania, czasem przez wiele godzin, powinniśmy zapewnić komfort.

Po południu z Nałęczem spotkał się szef Prokuratury Apelacyjnej Zygmunt Kapusta. Obie strony zdecydowały się zataić przed dziennikarzami treść uzgodnień. Wiadomo tylko, że rozmawiano o komplikacjach związanych z równoległymi pracami prokuratury i komisji sejmowej. Jakże to komplikacje i problemy widzi prokuratura, nie ujawniono.

Zarówno Nałęcz, jak Kapusta nie chcieli też podać terminu, w jakim prokuratura ma przekazać materiały z prowadzonego śledztwa.

Kwiatkowski na dywaniku

Rada nadzorcza TVP poprosiła wczoraj o wyjaśnienia prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego. Jego nazwisko pojawiało w sprawie Rywina wielokrotnie. To jego (podczas konfrontacji u premiera w lipcu ub.r.) Rywin wskazywał jako na inspiratora korupcyjnej propozycji.

Kwiatkowski poinformował radę, że wielokrotnie rozmawiał z Rywinem i tego się nie wypiera, ale nigdy ich rozmowy nie dotyczyły żadnej korupcyjnej oferty. Wcześniejsze wypowiedzi na ten temat (głównie Rywina) nazwał pomówieniami. Prezes zaprzeczył, by stała za nim jakakolwiek grupa "trzymaająca w rękach władzę" i by był naciskany np. przez premiera. Zapewnił również, że nigdy nie myślał o prywatyzacji Dwójki TVP. Powtórzył, że inicjatywa rozmów na ten temat wyszła od Agory.

RN TVP przyjęła te wyjaśnienia do wiadomości.

Jeszcze przed posiedzeniem Bolesław Sulik, członek RN TVP, nie spodziewał się jednak, że ktoś złoży wniosek o odwołanie Kwiatkowskiego. - A jeśli nawet wniosek taki by padł, nie zyskałby większości - był przekonany Sulik. Pytany, czy pogłoski o udziale Kwiatkowskiego w aferze nie przeszkadzają mu w pełnieniu funkcji prezesa, odparł: - Na pewno nie pomagają. Ale nie widzę powodu do odwoływania go z funkcji, bo wtedy jakkolwiek plotka mogłaby być powodem odwołania każdego.

Jawność komisji pod znakiem zapytania

Pojawiają się kontrowersje między warszawską Prokuraturą Apelacyjną, prowadzącą śledztwo w sprawie Rywina, a mającą się zajmować tą samą sprawą sejmową komisją śledczą. Prokuratura ma bowiem zastrzeżenia, czy jawność prac komisji nie będzie sprzeczna z obowiązującym prawem.

"Rzeczpospolita" dotarła do poufnego listu, jaki szef Prokuratury Apelacyjnej Zygmunt Kapusta wysłał do szefa komisji Tomasza Nałęcz. W liście Kapusta zwraca uwagę na szereg problemów prawnych. Nie byłoby ich, gdyby prokuratura zdecydowała o ujawnieniu opinii publicznej informacji ze śledztwa, ale nie zrobiła tego. Ta sytuacja rodzi poważne konsekwencje dla prac sejmowej komisji śledczej, które mają być jawne.

Mogą one wynikać m. in. z paragrafu 241 kodeksu karnego: "Kto bez zezwolenia rozpowszechnia publicznie wiadomości z postępowania przygotowawczego, zanim zostały ujawnione w postępowaniu sądowym, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2".

29 stycznia członkowie komisji dostaną z prokuratury uwierzytelnione kserokopie akt sprawy Rywina. Nie będą jednak mogli publicznie powoływać się na ustalenia prokuratury.

- Sytuacja jest paradoksalna. Zeznania w prokuraturze są przecież oczywistym punktem odniesienia przy zadawaniu pytań osobom, które staną przed komisją - zauważył poseł Zbigniew Ziobro z PiS.

- Przy zadawaniu pytań nie będziemy mogli powoływać się na źródło, którym są akta sprawy. Trzeba się będzie pilnować - dodał inny członek komisji - Bohdan Kopczyński z LPR.

Wątpliwości podnosi, proszący o zachowanie anonimowości, przedstawiciel Prokuratury Apelacyjnej: "Jeśli wiadomości z postępowania prokuratorskiego będą ujawniane podczas przesłuchań w Sejmie, to natychmiast ktoś z ulicy złoży doniesienie o popełnieniu przestępstwa z artykułu 241 przez jednego z członków komisji".

- Z pierwszych analiz wynika, że jeśli poseł będzie chciał zacytować fragment zeznania z prokuratury, to będziemy musieli utajnić obrady komisji - powiedział nam Tomasz Nałęcz. Dodał, iż wystąpi do najwybitniejszych polskich prawników o opinie na temat tej precedensowej sytuacji.

- Nie byłoby problemu, gdyby prokuratura zgodziła się na ujawnienie informacji ze śledztwa. Dlaczego o to nie zabiegacie? - spytaliśmy wicemarszałka Nałęcza.

- Prokuratura niezwykle rzadko ujawnia informacje z postępowania, które nie zostało zakończone - odpowiedział szef komisji śledczej.

Walter u prokuratora

Nałęcz poinformował wczoraj, że posiedzenia komisji będą się odbywać w obszernej Sali Kolumnowej Sejmu. Dzień wcześniej zaproponował o wiele mniejszą salę, co spotkało się z nieprzychylnym przyjęciem dziennikarzy.

W środę prokuratura przesłuchiwała tylko jednego świadka - Mariusza Waltera, założyciela stacji TVN. Wniosek o jego przesłuchanie (a także Marka Kondrata, Janusza Majewskiego i Janiny Paradowskiej) złożyli obrońcy Lwa Rywina. Świadców wskazywani przez pełnomocników Rywina mieliby potwierdzić m.in. jedną z tez jego obrony: że Adam Michnik - po głośnej rozmowie z Rywinem w lipcu - miałby się jakoby podczas spotkań z ludźmi ze świata artystycznego i mediów odgrażać Rywinowi.

Mariusz Walter potwierdził w rozmowie z "Rz", że jednym z wątków przesłuchania w prokuraturze było jego spotkanie z Michnikiem.

- Spotkałem się z Adamem Michnikiem w połowie września. Omawialiśmy głównie problem koncentracji kapitału w mediach. Michnik powiedział mi także o rozmowie z Rywinem - poinformował "Rz" Mariusz Walter. - Odniosłem wrażenie, że sprawa ta budzi u niego silne emocje, ale nie mogę potwierdzić, iż świadkowałem jakimś zamysłem zemsty czy pogrożkom - dodał.

- Rozmawiał pan później na ten temat z Rywinem? - zapytaliśmy.

- Tak. Zapytałem, czy to, o czym mówi Michnik, jest możliwe. W reakcji jakoś tak źle siebie ocenił. Powiedział "no tak, zwariowałem", czy coś takiego. Dodał, że to nie do końca było tak i nie chciał kontynuować tematu - powiedział nam Mariusz Walter.

Dzisiaj ma zostać przesłuchana publicystka "Polityki" Janina Paradowska. **Anna Marszałek, Michał Majewski, Piotr Śmiłowicz**

Tajność nieuchronna

W pracach komisji śledczej do zbadania sprawy Rywina mogą być momenty, kiedy tajność obrad będzie nieuchronna - przyznał szef komisji Tomasz Nałęcz. Ma to związek z równoległymi pracami komisji i śledztwem prokuratury.

We wczorajszej "Rz" napisaliśmy o liście z warunkami, pod którymi prokuratura zamierza przekazać akta śledztwa posłom z sejmowej komisji. W piśmie Zygmunt Kapusta, prokurator apelacyjny, powołuje się na artykuł 241 k.k., który przewiduje karę do dwóch lat więzienia dla każdego, kto bez zezwolenia prokuratury rozpowszechnia publicznie wiadomości ze śledztwa. Prokurator ma prawo odtajnić takie materiały, ale tego nie zrobił. Do komisji trafiają więc poświadczony kserokopie akt, ale posługiwanie się nimi będzie mocno ograniczone.

- Obowiązkiem prokuratury było przypomnieć o art. 241 k.k. To nie jest żadne ograniczenie prac komisji, która powinna sobie poradzić z tym problemem - powiedział wczoraj Karol Napierski, szef Prokuratury Krajowej.

Nałęcz zapowiedział, że będzie ten problem konsultował z wybitnymi prawnikami.

Kolejnym świadkiem przesłuchanym w prokuraturze w związku z aferą Rywina była wczoraj Janina Paradowska, publicystka "Polityki". Tym razem w jej przesłuchaniu brał udział przedstawiciel obrony. Po wyjściu z prokuratury Paradowska potwierdziła, że rozmawiała o sprawie Rywina z Adamem Michnikiem w połowie września. Dodała też, że Michnik zapowiedział wówczas opublikowanie tekstu i powiadomienie prokuratury. **A.M., M.M., PAP**

3 lutego komisja śledcza do zbadania tzw. sprawy Rywina ustali listę świadków, których będzie chciała przesłuchać - poinformował szef komisji Tomasz Nałęcz. Posłowie ustalili też reguły i zasady korzystania z akt śledztwa w sprawie Rywina, które prokuratura przekaże 29 stycznia. Nałęcz powiedział, że akta będą dostępne dla posłów w pomieszczeniu komisji, ale nie będą oni mogli ich kopiować.

Rada Etyki Mediów do Adama Michnika

W dniu 30.12. 2002 Rada Etyki Mediów skierowała do redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej" pana Adama Michnika list, na który oczekuje odpowiedzi. Oto treść tego listu:

Szanowny Panie Redaktorze,

Rada Etyki Mediów ze zrozumiałym poruszeniem przyjęła opublikowane na łamach "Gazety Wyborczej" informacje o korupcyjnej propozycji złożonej Panu przez p. Lwa Rywina. Zapoznaliśmy się również z ogłoszonymi w mediach wypowiedziami o przyczynach niepodawania tego faktu do publicznej wiadomości przez długi czas.

Nie trafia nam do przekonania stwierdzenie, że dziennikarze "Gazety" sami (od lipca do grudnia br.) próbowali rozpoznać wszelkie okoliczności tej sprawy. Dziennikarstwo śledcze nie może, naszym zdaniem, zastępować organów państwowych powołanych do ścigania przestępstw, a mamy tu, jak się zdaje, do czynienia z przestępstwem niemałej wagi, w które mogą być zamieszane osoby publiczne.

Opinii publicznej - raczonej wiadomościami o pracach nad nowelizacją Ustawy o radiofonii i telewizji, głosami toczącej się na ten temat dyskusji, komentarzami o sytuacji prywatnych mediów elektronicznych itp. - należała się wcześniej informacja i o tej bulwersującej sprawie, niezależnie od dalszego rozwoju wypadków. Jeśli jakieś przyczyny, nieznanne nam, uzasadniają zwłokę prosimy o wyjaśnienie. -

O Lwie, który nie jest rekinem

[Heritage Films sp. z o.o.](#)

Lew Rywin nie jest magnatem finansowym. Przedsięwzięcia biznesowe, w których bierze udział, częściej przynoszą straty niż zyski. Opowieści o jego wielkim majątku są mocno przesadzone.

- Mówią, że ojciec ma pół Polski, ale niestety tak nie jest - mówi jego syn Marcin. Lew Rywin lubi jednak zachowywać się jakby miał pół Polski. Nosi drogie garnitury, pali cygara, bywa w towarzystwie. I to najlepszym.

- Ach! Lowka! - rozmarza się jeden z szefów koncernu medialnego. - Kultura przez duże K. Wielki świat, wielkie obycie, wielkie nazwiska: Polański, Spielberg, aktorki, Wenecja, Cannes.

Jednak inny koryguje: - Miał polot. Ale zachowywał się jak PRL-owski dygnitarz, medialny potentat dla ubogich.

Na jego pomoście w posiadłości na Mazurach ryby łowiło wielu polityków i biznesmenów. Sporą atrakcją była dla wielu własna wędzarnia ustawiona na działce, która łączy dom z samym jeziorem. Cisza i spokój.

- Zapytałem kiedyś, z kim sąsiaduje jego dom. Odparł: "Tam mieszka Ćkrólowa pończoch, a tu człowiek, którego sam z ciekawości zapytałem, gdzie pracuje. Powiedział, że nigdzie, bo już się wystarczająco w życiu napracował" - opowiada jeden z gości mazurskiej posiadłości Rywina.

Na zdjęciu z sierpnia 1997 r., zrobionym we foyer Teatru Narodowego, Rywin stoi między dwiema kobietami - żoną Elżbietą i pierwszą damą RP Jolantą Kwaśniewską. Fotografii zrobiono w przerwie koncertu "Jutro nie ma wojny". Zorganizowało go Stowarzyszenie Poland for Europe, którego promotorem jest belgijski biznesmen o polskich korzeniach Yaron Bruckner, prowadzący w Polsce wiele interesów. W Komitecie honorowym znaleźli się m. in. Aleksander Kwaśniewski, Jacques Delors, Felipe Gonzales, Hans Dietrich-Genscher. Współorganizatorem była stacja telewizyjna Canal Plus, której Lew Rywin był wtedy dyrektorem i poważnym udziałowcem. Był u szczytu powodzenia - człowiekiem dobrze sytuowanym i doskonale ustosunkowanym. Jak do tego doszedł?

Globtroter, prywatyzator

Lew urodził się w 1945 r. w Dolnym Akajewie, w ZSRR, gdzie rodzina trafiła w czasie wojny. Dopiero w 1959 r., jako 14-latek, przyjechał z rodzicami Welwelem i Anastazją do Polski, w ramach repatriacji. Rodzina w 1962 r. wyjechała do ciotki do Stanów Zjednoczonych, jednak rodzice po kilku miesiącach wrócili do kraju. Lew z siostrą został w Stanach, gdzie uczył się w Tiden High School New York. Po powrocie do Polski studiował na Uniwersytecie Warszawskim w Wyższym Studium Języków Obcych i Instytucie Lingwistyki Stosowanej, magisterium zrobił w 1972 r. Po studiach pracował na uniwersytecie. W 1974 r. został kierownikiem Departamentu Kontaktów z Zagranicą w Instytucie Organizacji Przemysłu Maszynowego. Po dwóch latach trafił do Agencji Interpress, która zajmowała się obsługą zagranicznych dziennikarzy. Zaczynał od tłumacza (zna biegle rosyjski i angielski), skończył jako wicedyrektor.

Szefem Interpressu był wtedy Mirosław Wojciechowski, pułkownik w stanie spoczynku, pracownik wojskowego wywiadu, który w 1962 r. został wydalony z USA. W tym samym czasie do Ameryki przyjechał Rywin.

- Państwo na pewno myślą, że Rywin jest ze służb - uśmiecha się pułkownik Wojciechowski - To nieprawda! Ile on miał lat w 1962 r.? Siedemnaście?

Opowieść mówi, że Wojciechowski był dobrym szpiegiem. Jednym z jego dokonań było zdobycie planów Pentagonu.

- Pentagon robił przetarg na remont ogrodzenia. Wojciechowski założył firmę, stanął do konkursu. Przegrał oczywiście, ale przedtem dostał jakieś plany - mówi jeden z informatorów.

Wojciechowski śmieje się z tego: - To bajka. Mogę tylko powiedzieć, że byłem bardzo pracowity i że u Amerykanów miałem wysokie notowania.

Zaznacza, że poznał Rywina dopiero w Interpressie. Mówi o nim "mój wychowanek".

- Zdolny, choć nie porażająco - mówi Wojciechowski. - To kolorowe pisemka zrobiły z niego geniusza i chyba Rywin, ze szkodą dla siebie, trochę w to uwierzył.

Za sprawą Wojciechowskiego Rywin trafił do telewizji. Pułkownik w 1983 r. został szefem Radiokomitetu, a Rywin - nigdy nie należący do PZPR - zastępcą szefa biura handlu zagranicznego.

Biuro przekształcono potem w Agencję Poltel i Rywin awansował na jej szefa. Agencja zajmowała się kupowaniem filmów zagranicznych. Rywin jeździł więc na Zachód, gdzie wyrabiał sobie kontakty. Jego sukcesem i sukcesem finansowym ówczesnej telewizji była koprodukcja z Amerykanami serialu "Wichry wojny", na czym udało się zarobić milion dolarów.

W 1989 r. Andrzej Drawicz, nowy prezes Radiokomitetu (mianowany przez premiera Tadeusza Mazowieckiego), awansował Rywina. Został on wiceprezesem odpowiedzialnym za finanse. Forsował wtedy pomysł prywatyzacji Dwójki. Przeciw tym planom zaprotestowała m. in. zakładowa "Solidarność" i pomysł upadł. Gdy do telewizji wkroczyła nowa ekipa związana z Lechem Wałęsą i Drawicz musiał odejść, dla Rywina nie było już miejsca.

W świecie filmu

Był rozżalony, bo rozstanie z telewizją nie było miłe. Nowe kierownictwo kazało mu opuścić gabinet w ciągu godziny. Zakłada firmę Heritage Films.

Od początku jej istnienia jednym z najbliższych współpracowników był Paweł Poppe - w różnych okresach był prokurentem, wiceprezesem, a nawet prezesem. Także z nim Rywin znał się z telewizji. W PRL Poppe był dyrektorem departamentu technicznego, za czasów Andrzeja Drawicza został dyrektorem odpowiedzialnym za sprawy kadrowe.

Mimo kontaktów Rywina interesy Heritage Films na początku nie szły najlepiej - firma przynosiła częściej stratę niż zyski (patrz tabelka). Nawet rok 1993, kiedy Heritage Films wzięła udział w produkcji "Listy Schindlera", nie był dobry. Osiągnięto wtedy jedynie 100 tysięcy zysku.

- To był dla nas sukces prestiżowy - mówi Paweł Poppe. Od tamtej pory Heritage Films łatwiej było o kontrakty. Najlepszym rokiem był 1999, kiedy firma przyniosła właścicielom 3,2 mln zysku. Stało się tak głównie za sprawą "Pana Tadeusza", którego obejrzało 6 milionów widzów w Polsce.

Film został sfinansowany m. in. z pieniędzy Canal+ i TVP. Tak samo było z wieloma innymi filmami. Szczególnie często Heritage Films współpracowała właśnie z polskim Canal+, w którym Rywin był prezesem.

Siedzibę (170 mkw. w centrum Warszawy) spółka wynajmuje od miasta, ma tam magazyny z rekwizytami.

- Rewizyty nie mają wartości rynkowej, są ważne dla nas filmowców, ale sprzedać tego się nie da. Siedziba biura jest ubezpieczona na 80 tysięcy. Największym majątkiem spółki jest Rywin, jego pracowitość, pomysłowość i układy - mówi Poppe.

Czy da się to przeliczyć na pieniądze? Niektórzy fachowcy od rynku filmowego twierdzą, że wartość firm producenckich można szacować między 10-krotnym zyskiem a 1,5-krotnym przychodem ze

sprzedaży. Jeśli brać pod uwagę dane finansowe za 2001 r. (czyli ostatnie dostępne) Heritage Films warta jest między 9 a 20 mln zł.

Interes rodzinny

Na początku 2001 r. Lew Rywin - wraz z synem Marcinem - założyli inną firmę - Heritage Sp. zoo. Kapitał zakładowy jest niewielki - wynosi 50 tys. zł. Właścicielami są w połowie Lew, a w połowie Marcin Rywin. Ten ostatni jest także prezesem spółki. Siedziba znajduje się na Marszałkowskiej, gdzie Heritage wynajmuje 7 mkw. od Heritage Films. W 2001 r. strata firmy przekroczyła jej kapitał zakładowy i wyniosła prawie 52,5 tys. zł. Zobowiązania krótko- i długoterminowe sześciokrotnie przewyższały kapitał założycielski.

- Heritage świadczy usługi nie związane bezpośrednio z produkcją filmową, np. transportowe (przewożenie ekipy na plan) czy dokumentacyjne - wyjaśnił nam Marcin Rywin sens powoływania nowej spółki.

Po roku działalności firma chwaliła się, że stworzyła "profesjonalny zespół doradców zapowiadający wysoki poziom usług w kluczowych dla spółki dziedzinach", choć sama zatrudniała tylko dwóch pracowników.

Ciekawe są kontakty biznesowe firmy - podjęła ona współpracę m. in. z kodowaną stacją Canal+. Współpracowała także m. in. z firmą Easy Net i East Services, obie były powiązane ze wspomnianym już Yaronem Brucknerem, który brał udział m. in. w kontrowersyjnych prywatyzacjach Domów Towarowych Centrum i sieci EMPIK.

Marcin Rywin pracował wcześniej w spółkach Brucknera - był m. in. dyrektorem rozwoju w oddziale handlu detalicznego grupy Eastbridge.

- Ojca nie łączą interesy z Brucknerem. Co innego znajomość. Warszawa to małe miasto - mówi Marcin Rywin. - Ojciec na pewno kontaktował się z Brucknerem dawniej, podczas przejmowania interesów związanych z polskim Canalem+.

Prezes papierowej spółki

Właśnie w polskim Canal+ Lew Rywin otarł się o prawdziwie wielkie interesy. Trafił tu w 1996 r., obejmując fotel prezesa PolCom Invest. PolCom Invest to dziwna firma. Nie ma majątku, nie zatrudnia pracowników. 51 proc. udziałów ma w niej Lew Rywin. Co ciekawe, większościowy pakiet akcji nabył w 1996 r., choć jego prywatna spółka Heritage Films przynosiła wtedy straty (1,85 mln zł za 1995 r.). Skąd Rywin wziął pieniądze? Ile ich było?

Kiedy pytaliśmy go wtedy, co wniósł do spółki, odparł: - Znaczące środki i umiejętności.

Pytanie, skąd wziął pieniądze, uciął krótko: - To już moja sprawa.

Do czasu pojawienia się Rywina PolCom Invest był martwą spółką. Gdy Rywin odkupił akcje, spółka zaczęła działać. Rywin został jej prezesem (dostawał za to 20 tys. dolarów rocznie), jego przyjaciel Paweł Poppe wiceprezesem. W styczniu 1997 r. PolCom Invest nabył spółkę Telewizyjna Korporacja Partycypacyjna. Ta z kolei była jedynym właścicielem innej firmy - Polskiej Korporacji Telewizyjnej. Ta zaś miała koncesję na nadawanie kodowanego programu telewizyjnego Canal+. Uwagę musi przyciągać jeszcze cena, jaką PolCom Invest zapłacił za telewizję - 24 mln dolarów.

Wkrótce Rywin został prezesem TKP i szefem polskiego Canalu+.

Do widzenia panie Yaron

Dlaczego stworzono taką gmatwaninę firm, by nadawać i finansować telewizję? Francuski Canal Plus nie mógł występować samodzielnie. Ustawa o Radiofonii i Telewizji mówiła bowiem, że kapitał

zagraniczny u ubiegającego się o koncesję na nadawanie nie może wynosić więcej niż 33 proc. Dlatego Francuzi potrzebowali partnerów. Stąd pomysł na założenie Polskiej Korporacji Telewizyjnej. Jej kapitał zakładowy wynosił jedynie 5 tys. zł. 33 udziały miał potężny francuski Canal+, 33 udziały Janusz Romanowski (biznesmen powiązany interesami ze wspomnianym już Yaronem Brucknerem), pozostałe 34 udziały mecenas Adam Szczepankowski, którego kancelaria obsługiwała ubiegającą się o koncesję "korporację".

Do dziś trudno zrozumieć, jak taki podmiot mógł otrzymać od Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji jedną z pierwszych koncesji telewizyjnych. Nie tylko z powodu zagmatwanej struktury. Także dlatego, że Canal+, podobnie jak wszystkie siostrzane stacje w Europie, jest telewizją kodowaną, czyli za jej oglądanie trzeba płacić dodatkowo, wysoki abonament. Canal+ nie tylko wygrał, ale skutecznie zablokował na kilka lat rozwój innych stacji. Głosowali za tym członkowie KRRiTV związani z SLD i UW, w tym Marek Siwiec, obecnie minister prezydenta Kwaśniewskiego i jeden z jego najbliższych współpracowników.

Przez kilka najbliższych lat płatna telewizja miała nie mieć w Polsce żadnego konkurenta. Gwarantowało to nie tylko silne wsparcie w Radzie, ale także brak wolnych częstotliwości, z których miałyby korzystać konkurencja.

Okazało się, że w polskim Canal+ nie pojawili się poważni polscy inwestorzy. Po dwóch latach grupa ludzi związanych z Brucknerem postanowiła wycofać się z interesu. Zastąpił ich, jak już wspomnieliśmy, Rywin i holenderska spółka East Com. Doszło do zabawnej sytuacji - okazało się bowiem, że najpotężniejszym udziałowcem (poprzez PolCom Invest) w polskim Canale+ jest Rywin. Ale były to tylko pozory. Działalność PolCom Investu polegała na zadłużaniu się za granicą i przekazywaniu środków polskiemu Canalowi+. Ogromne zobowiązania powodowały, że prawa polskich właścicieli do Canalu+ zaczęły być fikcyjne. Gdyby spółka przestała spłacać zobowiązania wobec banków lub EastComu (swojego holenderskiego udziałowca), mogła utracić prawo do dywidendy i głosu na walnym zgromadzeniu. Faktycznie więc o losach polskiego Canalu Plus decydowali zagraniczni inwestorzy.

A Rywin?

Wygłąda na to, że choć stał na czele całej tej korporacji, był tylko listkiem figowym. Choć z drugiej strony...

- Kiedy wpadaliśmy w kłopoty i Francuzi pytali, jak chcemy z nich wyjść, Rywin mówił spokojnie: ja to wszystko załatwię. I Francuzi byli spokojni - mówi jedna z osób związanych z Canalem+.

Wejście Agory

W tak funkcjonujący interes weszła Agora, wydawca "Gazety Wyborczej". 22,5 proc. TKP kosztowało 28,5 mln dolarów, czyli więcej niż rok wcześniej PolCom Invest zapłacił za 100 proc. akcji tej spółki.

Nie był to dobry moment na inwestycję. Agora w 1998 r. debiutowała na giełdzie i zaangażowanie w będącą w kiepskiej kondycji finansowej stację rzutowało na jej obraz. Ale przynajmniej do tej pory kodowana stacja miała perspektywy niczym nieskrępowanego rozwoju.

Nagle, we wrześniu 1998 r., stała się rzecz, której nikt nie przewidział. Na polski rynek wszedł silny konkurent w postaci amerykańskiej telewizji cyfrowej Wizja TV. Rywale nadawali bez polskiej koncesji cały pakiet programów, sprytnie wykorzystując międzynarodowe konwencje sygnowane przez Polskę. Dla wszystkich było jasne, że widzowie będą woleli wybrać Wizję, która oferuje kilkadziesiąt kanałów, niż Canal+ nadający jeden program. Tymczasem abonentów było wciąż niewiele, a wpływy z reklam dramatycznie niskie - jako stacja kodowana Canal+ mógł nadawać reklamy najwyżej przez pięć minut dziennie. W 1997 r. strata TKP wyniosła 370,5 mln zł.

Wkroczenie Wizji TV musiało zmusić Canal+ do starań o uruchomienie własnej platformy cyfrowej. Jednak na samodzielne utworzenie platformy spółka nie miała środków. I tu do akcji wkroczył Rywin.

Zaczął namawiać istniejące na rynku podmioty na stworzenie jednej wielkiej czysto polskiej platformy, która stawi czoło Amerykanom.

Na początku wszystko układało się dobrze: skrzyknęto największe polskie telewizje (czyli TVP i Polsat), a nawet Telekomunikację Polską, błyskawicznie stworzono projekt statutu nowej, wspólnej spółki, uzyskano zgodę KRRiTV. Jednak nic z tego nie wyszło. Najpierw postawił weto Emil Wąsacz, AWS-owski minister skarbu. Potem zbuntował się Polsat, który chciał mieć więcej do powiedzenia w nowej spółce. W rezultacie wspólna platforma nigdy nie powstała.

Canal+ samodzielnie utworzył swoją platformę Cyfra+. TVP udzieliła mu zgody na emisję swoich programów na platformie. Na wyłączność.

Deal w Amsterdamie

W 2000 r. kariera Rywina we francuskiej korporacji powoli zaczynała chylić się ku upadkowi. Odwołano go z fotela prezesa.

- Jego czas, jako człowieka z dobrymi stosunkami, minął. Firma wpadała w coraz większe tarapaty, a prezes nie miał pojęcia o profesjonalnym biznesie. Banki inwestycyjne zadawały trudne pytania, pytały o strategię biznesową, a on nie miał o tym zielonego pojęcia. To zaczynało być niebezpieczne - mówi jeden z obserwatorów medialnego rynku.

Pożegnanie nie było bolesne - na otarcie łez Rywin dostał posadę przewodniczącego rady nadzorczej Canal+. Nadal jego pensja była nie mniejsza niż 50 tys. dolarów rocznie, nadal mógł jeździć luksusowym bmw. Ale brakowało prestiżowej posady. Wtedy właśnie pojawił się pomysł powrotu do TVP. Jeszcze w 2000 r. spekulowano, że kiedy wybory parlamentarne wygra SLD, Rywin obejmie fotel prezesa TVP i zajmie się prywatyzacją jednego z kanałów. Choć jednak SLD wygrało wybory, posadę prezesa TVP ponownie dostał Robert Kwiatkowski.

Również Agora traciła zainteresowanie telewizyjną inwestycją. Wycofała się w kwietniu 2001 r. Dostała za akcje 11,5 mln euro, a nabywcą był PolCom Invest, w którym Lew Rywin był ciągle prezesem i większościowym akcjonariuszem. Prezes Agory Wanda Rapaczyńska w wywiadzie dla "Gazety Polskiej" powiedziała, że targu dobito w Amsterdamie, gdzie spotkała się z Lwem.

Kilkanaście miesięcy po wycofaniu się Agory z Canal+ doszło do słynnej rozmowy Rywina z Adamem Michnikiem. W jednym z fragmentów tej rozmowy Rywin wypowiadał się sceptycznie o interesach z Canal+:

"Rywin: (...) Znaczący mój interes jeszcze do moich Francuzów, z którymi i tak się chyba pożegnają z nimi w ciągu 6 - 8 miesięcy...

Michnik: Myślisz?

Rywin: Taaak. (...)

Michnik: Mówisz o Canale.

Rywin: To myślę, że gdybyście wy przejęli Polsat, to już jest coś, to my byśmy się dogadali co do reszty tej platformy. (...) Nie, no bo trzeba by to uporządkować. W tej chwili tam jest teraz 650 tys. abonentów, jest możliwość, że za jakieś 16 - 18 miesięcy (...) Dochody pokrywają wydatki, także to już nie dokłada się do tego dużo". (wykropkowane fragmenty są nieczytelne).

Po ujawnieniu afery przez "GW" Rywin zrezygnował z zasiadania w radzie nadzorczej.

PAWEŁ RESZKA - współpraca Luiza

Trochę jawnie, trochę tajnie

Nie będzie pełnej jawności prac sejmowej komisji śledczej, która ma wyjaśnić aferę Rywina. Prokuratura Apelacyjna nie godzi się bowiem na upublicznienie dokumentów ze swojego śledztwa.

Od wczoraj dwa komplety kserokopii prokuratorskich akt sprawy Rywina są w Sejmie. Przywieźli je szef Prokuratury Apelacyjnej Zygmunt Kapusta oraz prowadząca sprawę Rywina prokurator Anna Baranowska. Dostęp do dokumentów ma dziesięciu członków komisji śledczej.

Prokuratura nie zdecydowała się ujawnić opinii publicznej informacji ze śledztwa. Wcześniej politycy zapewniali, że posiedzenia komisji będą jawne. Kłopot polega na tym, że posłowie zadając pytania osobom, które staną przed komisją, nie będą mogli powoływać się na ustalenia prokuratury. Wynika to z art. 241 kodeksu karnego: "Kto bez zezwolenia rozpowszechnia publicznie wiadomości z postępowania przygotowawczego, zanim zostały ujawnione w postępowaniu sądowym, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2".

Dlaczego prokurator Baranowska nie zdecydowała się na upublicznienie dokumentów? - Rysuje się konieczność ponownego przesłuchania niektórych osób, jak również konfrontacji zeznań - tłumaczyła wczoraj dziennikarzom. - Proszę w tej chwili ode mnie nie wymagać, żebym jednoznacznie powiedziała, czy mogę ujawnić tajemnicę śledztwa, czy nie. Ujawniając teraz opinii publicznej wszystkie materiały, uprzedziłabym osoby, z którymi chcę wykonywać dalsze czynności, czego od nich oczekuję.

Szef sejmowej komisji śledczej Tomasz Nałęcz przyznał, że w związku z tym część posiedzeń może być utajniona: "Obrady komisji będą się odbywać w Sali Kolumnowej, do której przylega niewielka sala. Poseł, który będzie chciał zapytać o rzecz, która nie powinna się przedostać do opinii publicznej, może wnieść o utajnienie obrad komisji i w tej kwestii komisja uda się do tej mniejszej sali".

Nałęcz dodał, że po zapoznaniu się z opiniami ekspertów oraz po przeczytaniu akt sprawy Rywina komisja zastanowi się, czy zwrócić się do prokuratury o zgodę na ich ujawnienie. Jego zdaniem przesłuchania przed komisją śledczą mogą się rozpocząć w najbliższy wtorek.

Prokurator Zygmunt Kapusta ujawnił wyniki prac specjalistów z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, którzy badali nagrania rozmowy między Adamem Michnikiem i Lwem Rywinem. Podał, że cała rozmowa została nagrana na dwa magnetofony - analogowy i cyfrowy (redakcja "Gazety Wyborczej" twierdziła, że magnetofon analogowy odmówił posłuszeństwa). Biegli z Krakowa stwierdzili, że nie było żadnych ingerencji zarówno w jedno, jak i w drugie nagranie, oraz że zapisy powstały niezależnie od siebie. To, zdaniem Kapusty, podnosi wartość dowodową nagrań.

W środę prokurator Baranowska przesłuchała Marka Sowę, który 9 lipca jadł obiad w towarzystwie Lwa Rywina, i Andrzeja Zarębskiego. Jak wcześniej mówił "Rz" Zarębski, w czasie tego spotkania Rywin miał się chwalić, że wchodzi w skład nieformalnej grupy doradców Leszka Millera.

Michał Majewski

KOMENTARZ - Jawność przede wszystkim

Prokuratura ma prawo ponownie przesłuchać świadków. Może utajnić śledztwo, aby uniemożliwić im konfrontację zeznań i ewentualne matactwa. Może mieć podstawy, aby robić tak w wypadku sprawy Rywina, choć relacje między zamieszanyymi w tę sprawę są tak bliskie, że uzgodnienie wersji nie stanowi dla nich specjalnego problemu.

Wszystko to być może, prawda, lecz... parlamentarna komisja specjalna powstała dlatego, że można było się obawiać, czy polski wymiar sprawiedliwości da sobie radę ze "sprawą Rywina". Czy uniknie nacisków ze strony zamieszanych w nią osób? Przecież minister sprawiedliwości jest zwierzchnikiem

prokuratury w Polsce. A to, że rząd i tworząca go partia są w sprawę uwikłane to jeden z niewielu w tej aferze faktów oczywistych. Tak jak oczywiste jest, że Rywin nie jest wariatem, tylko sprytnym i dobrze osadzonym w elitach władzy aferzystą. Jeśli więc zwracał się do redaktora Adama Michnika z propozycją transakcji płatnej dopiero po wykonaniu zlecenia, musiał być eksponentem wpływowej grupy. Tym zresztą można tłumaczyć obecne milczenie Rywina.

Jeśli zatem komisja prowadzona będzie za rączkę przez prokuraturę, to sens jej istnienia staje się w najwyższym stopniu wątpliwy. W sytuacji, w której wolno domniemywać, że również premier naruszył prawo nie informując o przestępstwie, tylko zupełna jawność postępowania stanowi szansę, że sprawa zostanie wyjaśniona. **Bronisław Wildstein**

RZECZPOSPOLITA, 01.02.03 Nr 27

List otwarty w obronie Lwa Rywina - Apel o wstrzeźliwość

Tak jak większość obywateli naszego kraju ze zdumieniem poznaliśmy fakty przedstawione w publikacji "Gazety Wyborczej" pt. "Przychodzi Rywin do Michnika" i z uwagą śledzimy rozwój dochodzeń prowadzonych w tej sprawie. Niepokoi nas jednak ton doniesień dziennikarskich, zwłaszcza w stosunku do osoby samego Lwa Rywina.

Pragniemy zwrócić uwagę, że Lew Rywin, którego znamy, to człowiek, który przede wszystkim przyczynił się do rozwoju polskiej kultury. Człowiek, który udowodnił, iż w Polsce można na światowym poziomie realizować wybitne produkcje filmowe, które zdobywają laury na międzynarodowych festiwalach. Nie można też zapomnieć o jego życzliwości, poświęceniu i oddaniu polskiej kinematografii.

W tej sprawie istnieje wiele znaków zapytania oraz okoliczności, które, mamy nadzieję, będą stopniowo wyjaśniane. Dlatego my, twórcy i pracownicy polskiej kinematografii, apelujemy o odpowiedni dystans do prezentowania informacji, o wstrzeźliwość w wydawanych ocenach, a przede wszystkim o poszanowanie praw Lwa Rywina.

List podpisało 145 osób, m.in. Jerzy Buchwald, Robert Gliński, Janusz Kijowski, Jan Jakub Kolski, Janusz Morgenstern, Barbara Pec-Ślesicka, Allan Starski.

RZECZPOSPOLITA, 03.02.2003 Nr 28

Kontrwywiad przed komisją

Minister Andrzej Barcikowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, będzie najprawdopodobniej przesłuchany przez komisję śledczą, która zbada aferę Rywina. Dojdzie do tego, jeśli taka będzie wola większości komisji.

- Minimum tego, co zrobimy, to będzie prośba do ABW o informację, czy ma coś do powiedzenia w prowadzonym przez nas postępowaniu - powiedział "Rzeczpospolitej" Tomasz Nałęcz, wicemarszałek Sejmu i przewodniczący komisji.

Premier Leszek Miller powiedział w niedzielę w Radiu Zet, że

rozmawiał w sprawie Rywina z szefem ABW i prosił go, "by zainteresował się, czy prowadzony jest jakiś patologiczny lobbing na rzecz uchwalenia ustawy o rtv". Według premiera odpowiedź ABW była negatywna, ale Agencja miała sprawę nadal monitorować.

Miller ujawnił też, że Barcikowski rozmawiał również z Jerzym Urbanem w związku z informacjami podawanymi przez tygodnik "Nie". ABW badała też plotki o rzekomym zaangażowaniu syna premiera w aferę Rywina. Szef ABW zaprzeczył, jakoby Miller junior miał z tą sprawą coś wspólnego.

Tomasz Nałęcz powiedział "Rz", że na dzisiejszym posiedzeniu zaproponuje komisji, by wystąpiła do prokuratora generalnego o uchylenie klauzuli poufności wobec przekazanych posłom akt śledztwa prowadzonego przez warszawską Prokuraturę Apelacyjną. - Nie spodziewam się trudności. Wcześniej byłem zdecydowany bronić poufności akt śledztwa, jednak po zapoznaniu się z nimi nie widzę po temu powodu - mówi Nałęcz.

Gdyby jednak prokuratura miała odmienny pogląd, komisja ma trzy możliwości. Pierwsza - uszanować decyzję prokuratury, co oznacza tajność obrad. Druga - zwrócić się do Prezydium Sejmu o takie znowelizowanie ustawy o komisji śledczej, którego efektem byłoby stwierdzenie, że komisji nie dotyczy artykuł 241 kodeksu karnego o karalności rozpowszechniania wiadomości z postępowania karnego. I trzecia - powtórzenie wszystkich czynności prokuratorskich przez komisję śledczą.

W poniedziałek komisja ustali najprawdopodobniej pierwszą listę świadków, których zamierza przesłuchać. Nie zdecydowano jeszcze, czy Lew Rywin będzie przesłuchiwany na początku, czy też po odebraniu wszystkich zeznań od innych osób. Za drugim rozwiązaniem przemawiałaby zasada, że najpierw należy przesłuchać poszkodowanych. Wiadomo jednak - podkreśla to także wicemarszałek Nałęcz - że wszyscy czekają na to, co powie Lew Rywin. Prokuratorom nie powiedział bowiem ani słowa. **J.O.**

Fragment rozmowy z premierem Leszkiem Millerem,

"Siódmy dzień tygodnia", Radio Zet

Leszek Miller: Jeszcze chyba nikomu publicznie o tym nie mówiłem. Z różnych źródeł dotarła do mnie informacja, że jest podobno fotografia na której jestem z Lwem Rywinem na rybach, a w każdym razie w rezydencji mazurskiej pana Rywina. Byli ludzie, którzy opisywali tę fotografię. To jest prawdopodobnie jesień, bo liście są... no w każdym razie nie było wątpliwości, że taka fotografia istnieje. Więc poprosiłem o pokazanie mi tej fotografii, bo jako żywo nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek był u pana Rywina. I osoba, która zapewniała mnie solennie, że jest w posiadaniu tej fotografii, a w każdym razie, że wie dokładnie, iż ta fotografia istnieje, z pewną konfuzją oświadczyła mi, że padła ofiarą mistyfikacji. Że nigdy takiej fotografii nie było. I taka jest ta nasza warszawka.

Monika Olejnik: No właśnie, taka jest ta nasza warszawka, która również pisze w tygodniku Urbana, że być może za sprawą stoi pana syn...

Leszek Miller: (głębokie westchnięcie)... aż się zachłysnąłem. Ta sprawa również była przedmiotem zainteresowania szefa ABW, z takim samym skutkiem (tj. brak potwierdzenia - red.). Otóż traktuję to jako plotkę i do wszystkich, którzy uważają, że to może mieć miejsce, mogę powiedzieć tak: Jak chcecie ze mną walczyć, to proszę bardzo, jestem na to gotowy, przyzwyczajony. Ale proszę nie starać się zaczepiać mojej rodziny w taki właśnie sposób, bo ja jestem premierem, ja chcę ponosić odpowiedzialność i jestem w stanie zetrzeć się z każdym, kto będzie mnie o cokolwiek pomawiał.

RZECZPOSPOLITA, 04. 02. 2003, NR 29

Prokuratura pod obstrzałem

Pseudośledztwo, pozorne postępowanie, prowadzone wbrew wszelkim regułom sztuki prokuratorskiej - tymi słowami posłowie opozycji skomentowali dotychczasową miesięczną pracę prokuratury w sprawie afery Rywina.

Z pracami prokuratury, która od miesiąca prowadzi postępowanie w sprawie płatnej protekcji, jaką miał zaproponować Agorze Lew Rywin, zapoznali się dotychczas tylko członkowie sejmowej komisji

śledczej, która na własną rękę ma wyjaśnić tę aferę. Refleksje posłów opozycji, którzy wczoraj spotkali się na posiedzeniu komisji, były dla prokuratury druzgocące.

Jan M. Rokita (PO): - To pseudośledztwo. Sposób, w jaki prokuratura działa w tej sprawie, nie prowadzi do żadnego rezultatu. To zbiór prostych, najbardziej banalnych pytań i odpowiedzi, które wcześniej znaleźliśmy z mediów. Postępowanie prowadzone jest tak, jakby na targu zgłoszono dzielnicowemu kradzież 50 zł. Dzielnicowy wzywa więc przekupkę i pyta, ile jej skradziono, i złodzieja, który twierdzi, że niczego nie ukradł. To wszystko. I tu wygląda podobnie.

Zbigniew Ziobro (PiS): - Postępowanie prowadzone jest nieprofesjonalnie. Wiele braków wskazuje, że śledztwo ma być zgodne z określonym interesem politycznym.

Bohdan Kopczyński (LPR): - Śledztwo to jedna wielka polityczna fikcja. Musimy zacząć od zera, bo inaczej nic nie wyjaśnimy i będzie to jedna wielka hucpa.

Posłowie Sojuszu Lewicy Demokratycznej próbowali wziąć prokuraturę w obronę. - Takie opinie niczemu dobremu nie służą, Zachowajmy umiar i powściągliwość - apelował do opozycji zażenowany frontalnym atakiem Bogdan Lewandowski (SLD), ale nawet szef komisji Tomasz Nałęcz (UP) przyznał: - I ja odczułem pewien niepokój, zamykając ostatnią stronę akt, ale może dlatego, że śledztwo jeszcze jest nie zakończone?

Sejmowa komisja śledcza zdecydowała, że najpierw przesłucha szefów Agory i "Gazety Wyborczej", a następnie Jerzego Urbana i szefa klubu SLD Jerzego Jaskiernię

Opozycja jednak nie ma zamiaru czekać na dalsze kroki prokuratury. Poseł Ziobro zgłosił wczoraj całą masę wniosków, którymi powinna zająć się komisja śledcza, a których prokuratura - jak wynika z akt - nawet nie podjęła.

Zbigniew Ziobro przyznał, że część tych wniosków może być już spóźnionych, ale mimo wszystko zaproponował, by komisja zwróciła się o:

- dostarczenie billingów rozmów prowadzonych z telefonów służbowych i prywatnych, komórkowych i stacjonarnych Lwa Rywina, premiera Leszka Millera, Roberta Kwiatkowskiego (prezesa TVP), Włodzimierza Czarzastego (sekretarza KRRiTV), Aleksandry Jakubowskiej (wówczas wiceministra kultury), Jerzego Wenderlicha (szefa Sejmowej Komisji Kultury, SLD), Andrzeja Zarębskiego (lobbysta działającego w interesie mediów prywatnych), Marka Wagnera (szefa Kancelarii Premiera), Lecha Nikolskiego (wówczas szefa gabinetu politycznego premiera);

- dostarczenie billingów rozmów telefonicznych przechodzących przez sekretariaty wymienionych osób, ochronę oraz kierowców;

- zabezpieczenie telefonów komórkowych, z których korzystali Rywin i Kwiatkowski (by sprawdzić m.in. treść SMS-ów, które mogły się zachować);

- zabezpieczenie książki wizyt w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Ministerstwie Kultury w celu zbadania ewentualnych wizyt w tych urzędach Rywina, Kwiatkowskiego i innych osób występujących w sprawie;

- zabezpieczenie dokumentacji wizyt w gabinecie prezesa TVP;

- zabezpieczenie książki wizyt i kalendarzy prac premiera, Wagnera, Nikolskiego i Jakubowskiej;

- przeprowadzenie wywiadu środowiskowego w miejscowości, w której leży dacha Rywina, dotyczącego przebywania tam wymienionych osób (Rywin twierdził, że w jego domu na Mazurach omawiał szczegóły swej korupcyjnej propozycji);

- sprawdzenie, kiedy Miller, Jakubowska, Wagner, Nikolski, Kwiatkowski, Czarzasty korzystali z urlopów, czy i kiedy mogli być u Rywina na rybach;

- zabezpieczenie twardych dysków komputerów i laptopów Rywina oraz Kwiatkowskiego;

- przeszukanie prywatnych i służbowych pomieszczeń Rywina oraz jego sejfu w celu sprawdzenia, czy nie ma tam dokumentów związanych ze sprawą;

- zabezpieczenie protokołów z posiedzeń rządu, kiedy omawiano projekt noweli ustawy o radiofonii i telewizji, by ustalić m.in. kto i jakie zgłaszał do niego poprawki;

- sprawdzenie listy gości na imieninowym przyjęciu u Aleksandra Kwaśniewskiego w celu sprawdzenia, czy były na nim wymienione osoby (by potwierdzić ewentualne kontakty tych osób już po zdarzeniach w lipcu ubiegłego roku);

sprawdzenie listy gości zaproszonych na premierę "Pianisty" (firma Rywina była współproducentem tego filmu) oraz zabezpieczenie materiałów filmowych stacji obecnych na tym pokazie.

- Na podstawie tych informacji będziemy mogli ustalić, czy te wszystkie osoby się ze sobą kontaktowały, kiedy i w jakim celu, by można to było porównać z informacjami podawanymi przez prasę - tłumaczył poseł PiS.

Czy komisja śledcza będzie chciała te wszystkie materiały poznać? Jeszcze nie wiadomo. Jej członkowie, w większości zaskoczeni wnioskami Ziobry (zgłosił je w końcowym punkcie obrad pt. sprawy różne), postanowili, że podejmą dyskusję na ten temat dopiero dziś po dokładnym zapoznaniu się z jego propozycją.

Co na to szef Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie Zygmunt Kapusta? - Mam nadzieję, że prace sejmowej komisji nie ograniczą się do krytykowania prokuratury - skomentował krytykę posłów.

Pytany, czy prokuratura odtajni przekazane posłom z komisji śledczej akta, stwierdził, że postępowanie prokuratorskie ma pierwszeństwo przed działaniami komisji. - Prowadząca śledztwo prokurator Anna Baranowska zdecyduje, czy i które materiały można upublicznić bez szkody dla postępowania. Część z nich więc pewnie odtajnimy, ale część protokołów przesłuchań świadków, których zeznania będziemy chcieli skonfrontować, musi na razie pozostać niejawna - oświadczył.

Pytany o wnioski, zgłoszone przez posła Ziobrę, zapewnił, że jeśli sejmowa komisja zwróci się do prokuratury o dodatkowe czynności w śledztwie, to prokuratura - zgodnie z ustawą - musi je wykonać. Zresztą, jak stwierdził, niektóre z tych czynności prokuratura już wykonuje, np. zwróciła się właśnie o billingi rozmów telefonicznych kilku osób, których nazwisk nie chciał ujawnić.

Prawnicy, z którymi rozmawialiśmy, podkreślali, że zgodnie z ustawą posłowie mogą nie tylko zwracać się do prokuratora generalnego o wykonanie pewnych czynności przez prokuraturę, ale też sami występować do organów państwowych i instytucji. Mogą np. bezpośrednio wystąpić o billingi do firm telekomunikacyjnych lub o informacje do Kancelarii Premiera.

Sejmowa komisja śledcza zdecydowała też wczoraj, od kogo rozpocznie przesłuchania. Lewandowski (SLD) proponował, by zacząć od Rywina, szefowej Agory Wandy Rapaczyńskiej, Adama Michnika i Leszka Millera. Ostatecznie jednak ustalono, że przesłuchani w pierwszej kolejności będą szefowie "Gazety" i Agory, a także Jerzy Urban, naczelny "Nie" oraz Jerzy Jaskiernia, szef Klubu SLD. Komisja wystąpiła też do prokuratora generalnego o zgodę na ujawnienia akt śledztwa prowadzonego przez prokuraturę. **LUZ, A.M.**

Oświadczenie SDP "Fakty ujawnione przy tzw. aferze Rywina są przejawem głębokich, destrukcyjnych procesów toczących życie publiczne w Polsce, w tym rynek mediów" - uważa Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. W wydanym wczoraj oświadczeniu organizacja apeluje do dziennikarzy, aby ujawniali i zwalczali wszelkie próby zawłaszczania mediów przez grupy polityczno-biznesowe. Największe obawy Stowarzyszenia budzą "symptomy wskazujące na to, że na polskim rynku medialnym dokonywany jest podział interesów przez grupy nieformalne". "Walka i przetargi toczą się nie tylko o rynki prasowe i telewizyjne, ale i o sprawowanie Czładu dusz, które funkcjonujące w polityce i w biznesie koterie także zamierzają dzielić między siebie. To zaś oznacza poważne zagrożenie dla wolności prasy" - czytamy w oświadczeniu SDP. **PAP**

KOMENTARZ - Państwo w stanie kryzysu

Trudno być optymistą, gdy chodzi o wyjaśnienie afery Rywina, choć to jeden z najważniejszych problemów, z którymi musi poradzić sobie polska demokracja. Bez żadnych niedomówień. Już dziś widać, że korupcyjna propozycja Rywina odśloniła tylko wierzchołek góry lodowej. To, czego wciąż nie wiemy, co kryje się niżej. A mianowicie, jaki jest sposób rządzenia Polską, jakie są metody podejmowania decyzji, i jak dokonuje się przepływ ogromnych pieniędzy.

Jeżeli komisja ma to wyjaśnić, to musi mieć całkowicie wolne ręce, a wchodzący w jej skład posłowie świadomość, iż reprezentują nie tylko własne partie. Potrzebne jest przeświadczenie, że występują w obronie dobra wspólnego.

Jawność jest podstawowym warunkiem oczyszczenia. Jeżeli pojawiają się problemy prawne związane z jakością i tajnością prokuratorskich akt, to niech posłowie nie oglądają się na nie, ale prowadzą własne śledztwo. Mogą też dokonać nowelizacji ustawy o komisji śledczej. Czasami trzeba coś poświęcić, by nie stracić wszystkiego. A taką sytuację mamy dzisiaj. Wykorzystuje się preteksty, by dyskutować i spierać się o kwestie z punktu widzenia całej afery drugorzędne, a czas ucieka.

Afera Rywina i dotychczasowe próby jej wyjaśnienia pokazują, że państwo znalazło się w stanie kryzysu. Państwo, do którego nie ma zaufania kilkadziesiąt procent obywateli, nie może uważać się za w pełni demokratyczne.

Zmiana tego stanu zależy od posłów specjalnej komisji śledczej. Ujawniając ukryte mechanizmy i niejasne powiązania biznesu, polityki i mediów, posłowie mogą przywrócić obywatelom zaufanie do porządku prawnego III RP. Trzeba mieć nadzieję, że rozumieją to wszyscy parlamentarzyści - i z koalicji, i z opozycji. **Krzysztof Gottesman**

RZECZPOSPOLITA, 05.02.03 Nr 30

Z **Grzegorzem Kurczukiem**, ministrem sprawiedliwości-prokuratorem generalnym, rozmawiają Agata Łukasiewicz i Jan Ordyński

Nie działamy na obstalunek

"Rzeczpospolita": Dlaczego nie przyszedł pan na wtorkowe posiedzenie sejmowej komisji śledczej?

GRZEGORZ KURCZUK: Od przewodniczącego Tomasza Nałęcza uzyskałem informację, że był to postulat jednego z członków komisji, a nie stanowisko całej komisji. Przewodniczący zapewnił mnie, że jeżeli moja obecność okaże się konieczna, skontaktuje się ze mną. Zadeklarowałem, że kiedy tylko uzyskam informację o takiej potrzebie, to mimo odbywającego się w tym samym terminie niezwykle ważnego posiedzenia rządu jestem gotów wziąć udział w pracach komisji - sam bądź z udziałem prokuratora krajowego. Telefonu wszakże nie było.

W poniedziałek pod adresem śledztwa prowadzonego przez prokuraturę padło wiele ostrych słów. Jeden z zarzutów dotyczył niezbadania billingów rozmów prowadzonych z telefonu Lwa Rywina.

Od chwili zlecenia przeze mnie prowadzenia tej sprawy Prokuraturze Apelacyjnej w Warszawie zadeklarowałem, że nie będę w nią ingerował swoimi osobistymi decyzjami. Jestem politykiem. Nadzór nad prowadzeniem sprawy powierzyłem prokuratorowi krajowemu Karolowi Napierskiemu. Nie dysponuję więc pełną wiedzą o niej i nie podejmuję się oceny prokuratorskich działań. Śledztwo prowadzone jest przez bardzo doświadczonych prokuratorów z ogromną wiedzą i kilkudziesięcioletnią praktyką, powołanych zresztą przez moich poprzedników. Przeprowadzili oni setki, a może i tysiące postępowań. Trudno się zatem zgodzić z krytycznymi ocenami dotyczącymi sposobu prowadzenia tej sprawy, wypowiedzianymi przez niektórych członków komisji. Tym bardziej że żadna z tych osób nigdy nie przeprowadziła choćby jednego śledztwa. W tej sytuacji mogę jedynie wzruszyć ramionami.

Ponadto komisja śledcza działa niezależnie od prokuratury. Nie sprawuje nadzoru nad jej działaniami. Może jedynie zlecić prokuraturze przeprowadzenie pewnych czynności dla swoich potrzeb. W tym zakresie deklaruje pełną i całkowitą współpracę z komisją.

Zwracam także uwagę na to, że dokonywanie ocen, zwłaszcza tak krytycznych, pod adresem prokuratury przez różne osoby niedoświadczone w prowadzeniu śledztw, zwłaszcza w toku trwania postępowania, kiedy prokuratura nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, co i w jaki sposób

zamierza ustalić, jest przedwczesne i niesprawiedliwe. To nie jest krytyczna ocena, to demagogia. Być może stosowana dla doraźnych politycznych celów.

Jak ocenia pan wtorkową decyzję komisji o ograniczeniu sprawy Rywina do jego osoby?

Ja jej tak nie odbieram. A na marginesie jeszcze raz powtarzam: działania sejmowej komisji i prokuratury toczą się równolegle i są od siebie niezależne. Zakres działań podejmowanych przez komisję nie wyklucza działań prokuratury. Zapewniam, że prokuratura będzie badać wszystkie wątki, nie tylko Lwa Rywina, ale i całego tła, na którym sprawa wyrosła. Nie wiem, skąd bierze się przekonanie osób oceniających pracę prokuratury, iż zajmujemy się tylko sprawą Rywina. Osoby formułujące takie wnioski nie znają planów czynności śledczych. Niewiele też mają chyba do powiedzenia na temat praktyki prowadzenia postępowania karnego. Mówienie tylko o sprawie Rywina jest daleko idącym uproszczeniem, na które prokuratura nie da się nabrać. I o to zadbam.

Czy nie obawia się pan politycznego uwikłania prokuratury w tę sprawę, tego, że polityka zaciąży nad rozstrzygnięciami śledztwa?

Nie żywię takich obaw wobec prokuratury. Mam też nadzieję, że w sprawie, na którą są zwrócone oczy opinii publicznej, posłowie wzniosą się ponad uprzedzenia, własne sympatie i antypatie, i że całej komisji będzie zależało na jednoznacznym wyjaśnieniu tej historii, łącznie z jej tłem. Myślę przede wszystkim o tym, co działo się wokół projektu ustawy o radiofonii i telewizji. Zapewniam, że komisja otrzyma pełną pomoc prokuratury.

Ale czy przy tak rozgrzanych emocjach politycznych będzie można jednoznacznie rozdzielić, co ma zrobić prokuratura, a co sejmowa komisja?

Mam nadzieję, że prokuratura zdąży wykonać zasadniczą część swej pracy przed rozpoczęciem merytorycznych posiedzeń komisji, a ustalenia śledztwa będą punktem wyjścia do działań posłów. Wierzę, że z pomocą wybitnych znawców procedury karnej znajdziemy rozwiązanie problemów wynikających z konieczności rozdziału czynności. To pierwsza kwestia. A druga, to czuję, że swoim pytaniem chcecie państwo wciągnąć mnie w dalsze dywagacje na temat tzw. afery Rywina. W tym miejscu mówię zatem, że więcej nie powiem ani słowa. Zgodnie zresztą z wcześniejszym oświadczeniem, że dopóki postępowanie trwa, nie będę wypowiadał się na jego temat.

Już jednak padły zarzuty, że prokuratura działa w sprawie Rywina na polityczny obstalunek.

Nie będę tego komentował. Zapewniam tylko, że nie ma tu żadnego politycznego zamówienia. Śledztwo prowadzi bardzo doświadczona prokurator pani Baranowska, wcześniej prowadząca m.in. sprawę Wieczerzaka. Myślę zresztą, że większość osób autorytatywnie wypowiadających się na temat sprawy Rywina nie ma kwalifikacji takich jak prokurator Baranowska i prokurator Kapusta. Oboje nie przypadkiem - a przecież nie z mojej nominacji - znaleźli się w Prokuraturze Apelacyjnej. Mają ogromną wiedzę i doświadczenie. Zatem stawianie im wspomnianych zarzutów wydaje się niepoważne. Powiem więcej - ich doświadczenie jest gwarancją dogłębnego wyjaśnienia sprawy.

Jaki jest stosunek prokuratora generalnego do inicjatywy senatorów SLD, zamierzających zlikwidować pion śledczy IPN?

Każecie mi państwo komentować coś, czego nie ma.

Jest tzw. projekt roboczy.

Ale nie ujrzał jeszcze światła dziennego, a sam projektodawca mówi, że będzie gotowy dopiero za pół roku. Tak więc go nie ma. Ja natomiast, dla wyrobienia sobie własnej opinii o całym problemie, najpierw zbiorę potrzebne informacje. Sprawdzę więc, ilu prokuratorów pracuje w IPN, jakie są wymierne efekty ich pracy, jakie jest ich obciążenie, ile spraw zakończyli i jakie są ich koszty. Tylko na podstawie faktów i liczb dokonam oceny, nie zaś na podstawie odczuć tych czy innych osób. Dziś mogę powiedzieć, że przed kilkoma miesiącami, gdy przewodniczyłem jeszcze Sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, rozpatrywaliśmy kwestię IPN. Wówczas, nie tylko przez posłów

SLD, stawiane były pytania przed chwilą przeze mnie zadane. Pytano też np., dlaczego została złamana zasada jedności prokuratury. Od tych problemów nie uciekniemy i trzeba będzie udzielić rzetelnych odpowiedzi. Pogląd rządu w tej sprawie wyraził premier Leszek Miller i proszę cały problem widzieć w tym kontekście.

Czy ma pan osobistą opinię na temat działania IPN?

Powiedziałem już, że na ten temat nie wypowiem się do czasu uzyskania odpowiedzi na wspomniane pytania i spotkania z profesorami Kiereselem i Kuleszą.

Niedawno odbyła się z pańskim udziałem tajna narada na temat dalszego śledztwa w sprawie zabójstwa gen. Papaly. Czy jest w niej coś nowego?

Jaka tajna? Po co szukać sensacji? To przecież oczywiste, że takich narad i w takich sprawach kryminalnych nie prowadzi się publicznie.

Wszystko, co można było powiedzieć, zostało zawarte w komunikacie. Nie mogę dodać nic więcej ponad to, że z udziałem przedstawicieli MSWiA, policji i innych służb zarysowaliśmy plan dalszych działań. Jego realizacja ma przynieść spore efekty.

To, co można publicznie powiedzieć i wyjaśnić, zostało zrobione. Jest coś takiego jak tajemnica śledztwa, i to w każdym systemie prawnym. Proszę o tym dla dobra sprawy pamiętać.

Co pan sobie obiecuje po nominacji prok. Kazimierza Olejnika na zastępcę prokuratora generalnego, kierującego pionem walki z przestępczością zorganizowaną?

Mianując prokuratora Olejnika na to stanowisko, oczekuję intensyfikacji, koordynacji i nadania większej rangi walce z tą najbardziej niebezpieczną formą przestępczości. Siłą rzeczy w polu jego zainteresowania znajdą się sprawy z pierwszych stron gazet, np. zabójstwo gen. Papaly, afera paliwowa i wiele innych. Walka z przestępczością zorganizowaną zajmuje w moich działaniach miejsce szczególne. Zamierzam ten pion pracy wzmocnić kadrowo, organizacyjnie i finansowo.

W czym przede wszystkim tkwi słabość państwa polskiego w walce z przestępczością zorganizowaną?

Potrzeba wciąż więcej ludzi i środków. W tym kierunku podjąłem już stosowne przedsięwzięcia. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że jest wiele spraw bardzo trudnych, czasochłonnych, wieloosobowych. Przestępcy dysponują dużymi środkami i działają na rozległym terenie, nie znają granic państwowych. Trzeba im przeciwstawić po stronie państwa identyczne siły. Trzeba zaktywizować współpracę międzynarodową. Wiem, że na tym odcinku wiele już zrobiono, ale po wejściu do Unii Europejskiej będziemy znacznie aktywniej i efektywniej współpracować z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości innych państw. Będziemy mieli do tego wspólne, unijne instrumenty prawne.

Jakie są pańskie zamiary wobec ustroju sądów i prokuratury? Istniejący jest mało wydolny i nie odpowiada obecnym potrzebom.

Jeśli ktoś myśli, że kolejna zmiana modelu struktury sądów i prokuratury załatwi obecne problemy, to się po prostu myli. Będzie tylko jeszcze większy bałagan. W tym roku chcemy więc przeprowadzić w zainteresowanych środowiskach dyskusję, jaki ma być docelowy model polskiego sądownictwa. Trzeba zwłaszcza rozstrzygnąć kwestię sądów grodzkich, które teraz są de facto wydziałami sądów rejonowych. A więc, czy idziemy w kierunku czteroszczeblowej struktury sądownictwa i czy nas na to stać, czy też pozostajemy przy obecnej strukturze, rozszerzając liczbę wydziałów grodzkich. Choćby po to, by przybliżyć ludziom drogę do sądu w najdrobniejszych sprawach. Trzeba przekalkulować, który model jest optymalny i tańszy. Unia Europejska wśród trzech danych zaleceń właśnie rozbudowę sądów grodzkich postawiła na pierwszym miejscu. Szkoda, że kiedy likwidowano kolegia do spraw wykroczeń, nie pomyślano o tej sprawie. Można było wykorzystać ludzi i bazę lokalową. Tymczasem

w wielu wypadkach bezpowrotnie to ztracono. Na marginesie wspomnę też, że istnieje również potrzeba zwiększenia liczby sądów rejonowych.

Równolegle jednak trzeba będzie i sądy, i prokuratury wspomóc kadrowo i logistycznie. Bo od samego mieszania herbata nie robi się słodsza.

Z wielką satysfakcją muszę powiedzieć, że udało mi się wywalczyć najlepszy od wielu lat budżet dla wymiaru sprawiedliwości. Zastrzyk 2 tys. ludzi, którzy w tym roku pójdą do sądów - w tym sędziów, ich asystentów, referendarzy, kuratorów i pracowników obsługi - poprawi, a przynajmniej zahamuje negatywne tendencje, z którymi mamy do czynienia. W tych sprawach wychodzimy na prostą.

Towarzyszy temu poprawa sytuacji w prokuraturze. Jednak dopiero gdy rozstrzygniemy problem struktury sądów, będzie można myśleć, jakiej chcemy prokuratury, łącząc to z projektem nowej ustawy o prokuraturze. Dotychczasowe, niezbyt fortunne, dwie próby jej opracowania zakończyły się fiaskiem. Trzeba będzie również rozważyć sens istniejącego od Okrągłego Stołu tak ścisłego połączenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Są tego plusy i minusy, a na świecie funkcjonują różne modele. Ale trzeba zrobić jedno zastrzeżenie. Rząd nie może pozbawić się wpływu na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Nie może bowiem ponosić odpowiedzialności za walkę z przestępczością, nie mając po temu instrumentów.

Kilka miesięcy temu żelazną ręką robił pan porządki w warszawskim sądzie. Nie szczędził pan słów krytyki dla panującego tam bałaganu. Czy dziś w największym sądzie w Polsce panuje już porządek?

Jeszcze nie taki, jakiego bym sobie życzył, ale coś drgnęło. Zauważam większą pracowitość i odrobinę szybsze tempo w załatwianiu spraw. Tu, jak nigdzie indziej w kraju, potrzebna jest ogromna dyscyplina pracy. Sędziowie, którzy tego nie rozumieją, będą brnęli w zaległości. A tych nie sposób nie zauważyć.

Poważnym problemem stolicy jest sytuacja lokalowa tutejszego sądu. Ta na razie się nie zmieniła. Jednak powoli ruszamy z wyprowadzką na ul. Kocjana sądów rejonowych, tzw. wydziałów wolskich, z al. Solidarności. Trwa też remont budynku. Zakupiliśmy obiekt przy ul. Owsianej z przeznaczeniem dla sądów praskich - Pragi Północ i Pragi Południe. Rozładuje to w znaczący sposób ciasnotę lokalową.

Obiecałem Warszawie także poważny zastrzyk kadrowy i to zarówno sędziów, jak i pracowników administracyjnych. Sędziowie obłożeni najcięższymi i najtrudniejszymi sprawami powinni dostać asystentów.

Myślę, że za kilka miesięcy powinno być już lepiej. Potrzebujemy czasu i pozytywistycznej pracy.

Ma pan ustawowe prawo do nadzorowania pracy wszystkich sądów. Często korzysta pan z prawa do "karcenia" sędziów?

Proszę nie przesadzać z tą srogością. Rzeczywiście udzieliłem kilkudziesięciu "wytyków" sędziom, którzy źle pracowali lub nie wywiązywali się z obowiązków.

Proszę jednak nie zapominać, że znakomita ich większość naprawdę bardzo ciężko i dobrze pracuje. I to właśnie im, korzystając z okazji, dziękuję za wysiłek i ofiarność.

Korupcja to chyba najpoważniejsze schorzenie polskiej demokracji. Praktycznie jedna afera goni drugą. Politycy przekrzykują się na temat zaostrzenia kar za korupcję i płatną protekcję. Tymczasem stosowny projekt, autorstwa rządu, od prawie pół roku czeka w Sejmie. Nie ma woli politycznej do jego uchwalenia?

Oczywiście, że jest. Korupcja to jedna z najgroźniejszych chorób toczących polską tkankę społeczną. Musimy z nią walczyć bez skrupułów. Całkiem niedawno prosiłem marszałka Sejmu, żeby prace nad zaostrzeniem przepisów antykorupcyjnych szybko sfinalizować. Bo taki projekt ustawy rząd złożył we wrześniu 2002 r. Jeśli to nie pomoże, będę się głośno o to upominał aż do skutku. Przepisy

ułatwiający ściganie korupcji i zwiększające sankcje są bardzo potrzebne. Wierzę, że zdają sobie z tego sprawę wszyscy politycy, bez względu na orientację. Projekt jest objętościowo niewielki, choć przewiduje zmiany, niezmiernie istotne, we wszystkich trzech kodeksach: karnym, postępowania karnego i karnym wykonawczym. Zapewniam, że jego uchwalenie nie stoi w sprzeczności z podpisaną właśnie przez prezydenta kompleksową nowelizacją procedury karnej. Powiem więcej: uzupełnia ją.

Czy jeśli mówimy o korupcji, nie radziłby pan niektórym politykom, ze wszystkich opcji, rozluźnienia więzi ze światem biznesu? Wiele, w tym znaczących, osób mówi, że te związki są w Polsce za mocne, że te światy powinny w jakimś sensie funkcjonować oddzielnie.

Powinny, choć trudno precyzyjnie je rozdzielić. Trzeba pamiętać, że kontakty polityków ze światem biznesu to nie od razu korupcja. Nie ulega jednak wątpliwości, a potwierdza to sprawa Rywina, że powinniśmy mieć wreszcie klarowną ustawę o lobbingu. Wyraźnie musi ona określić, do którego miejsca jest lobbing, a od którego przeradza się w korupcję. A jeśli już o to pytacie, to radziłbym politykom uważniej przyglądać się, z kim utrzymują kontakty, nie zawsze biec na różne przyjęcia i bale, nawet jeśli mają charakter charytatywny. Ja jak diabeł święconej wody staram się unikać tego typu imprez. Myślę, że to popłaca. O całym problemie mówił niedawno prezydent Aleksander Kwaśniewski. Warto tę wypowiedź przeczytać i zapamiętać.

Mniejsza szansa na wyjaśnienie

Zbigniew Ziobro z PiS i Jan Rokita z PO

Rz: Czy po wtorkowym posiedzeniu komisji śledczej wierzy pan jeszcze, że będzie ona w stanie wyjaśnić, w czym imieniu Lew Rywin przyszedł do Agory i kto należy do "grupy, która trzyma w rękach władzę"?

JAN ROKITA: Mam wrażenie, że po bardzo nieszczęśliwej inicjatywie wicemarszałka Tomasza Nałęcza (na jego wniosek komisja chce poznać billingi tylko Rywina - red.) te szanse spadły o 50 proc. Ale póki istnieje możliwość swobodnego wzywania na posiedzenia komisji osób, które są w stanie zaświadczyć cokolwiek o tej sprawie, póki istnieje możliwość swobodnego zadawania im pytań, póki większość w komisji nie blokuje tej procedury, to obecność w tej komisji ma sens. Cały czas istnieje nadzieja, że dowiemy się czegoś więcej w tej sprawie. Próba wyjaśnienia tej afery nie jest naszą fanaberią. To, jak słusznie mówił jakiś czas temu pan prezydent, kwestia wiarygodności i autorytetu państwa. Albo finał tej sprawy będzie stanowił ozdrowieńczy przełom dla moralności publicznej, albo też pograży państwo w utracie wiarygodności, braku autorytetu i zamęcie moralnym. Póki istnieje szansa sanacji, będę z niej korzystał.

Już wczoraj pojawiły się opinie, że dalszy udział opozycji w pracach tej komisji tylko uwiarygodni pozornie jej działania.

Jest takie niebezpieczeństwo, ale istnieje też opinia publiczna i jej zdrowy rozsądek. Jesteście też wy - dziennikarze. Wierzę, że Polacy są w stanie odróżniać starania ludzi, którzy chcą dojść do prawdy w tej sprawie, od starań ludzi, którzy próby dojścia do prawdy chcą zablokować. Nie mam poczucia, bym uczestnicząc w pracach tej komisji, stwarzał parawan dla tych polityków, którzy nie są zainteresowani wyjaśnieniem afery Rywina.

Premier wielokrotnie mówił publicznie, że to przede wszystkim w jego interesie jest dokładne wyjaśnienie tej sprawy. Ale posłowie SLD zachowują się tak, jakby afery nie chcieli wyjaśnić.

Tak. To jest ewidentnie sprzeczne. Przekonywałem większość komisji, że przeprowadzenie przez prokuraturę dowodu na prawdziwość słów premiera, iż nie spotykał się z Rywinem na rybach i nie miał z nim żadnych kontaktów w tej sprawie, służy nie tylko wiarygodności państwa, ale także wiarygodności premiera. Ponieważ dziś jest tak, że jedni mówią: trzeba wierzyć Millerowi, inni mówią: Millerowi wierzyć nie należy. I nie wiadomo, jaka jest prawda. Gdyby przeprowadzono dowody, o które wnioskował poseł Ziobro, sprawę można by jednoznacznie wyjaśnić. Trochę jestem zaskoczony, że

nawet w przypadkach, których rozstrzygnięcie wydaje się korzystne dla premiera, większość komisji taką możliwość blokuje.

Może są powody, dla których SLD nie chce ujawnienia np. ubiegłorocznego kalendarza spotkań premiera czy listy gości, jakich przyjmował u siebie?

Myślę, że pośród posłów SLD panuje jakiś strach. Strach, który zaciemnia zdroworozsądkowe podejście do tej sprawy. Strach przed tym, że coś, nie wiadomo co, może wyjść na jaw. Że może się okazać, że jak zacznie się sprawdzać wątki związane z aferą Rywina, wyjdzie nie ta sprawa, a jakaś inna, podobnej natury. Oczekiwałam więc, by premier, którego autorytet, ale też dalsza zdolność do sprawowania urzędu zależy od pełnego oczyszczenia z podejrzeń wynikłych z afery Rywina, poważnie porozmawiał z posłami SLD, którzy weszli w skład komisji śledczej. Liczę, że powie im, że jego kategorycznym życzeniem jest dążenie do wyjaśnienia sprawy naprawdę, a nie tylko na niby. Że zapewni ich, iż to, co powiedział publicznie, mówił serio, a nie dla propagandy.

Może premier, któremu tak zależy na wyjaśnieniu sprawy, sam, nieproszony przez nikogo powinien publicznie ujawnić swe billingi, kalendarze spotkań, listę gości, jakich przyjmował?

Taka decyzja premiera bez wątplenia służyłaby dzisiaj państwu.

Opozycja chciała, by komisja zbadała aktywność bardzo wielu osób, które mogły mieć kontakty z Rywinem i związek z aferą. Nałęczowi skojarzyło się to ze stalinowską zasadą "dajcie mi człowieka, a paragraf sam znajdzie".

Bardzo jestem rozczarowany postawą wicemarszałka Nałęcza. Liczyłem na to, że będzie całkiem bezstronny. Ale we wtorek niepotrzebnie wyręczył posłów SLD, składając za nich bardzo niefortunny wniosek. Argumentacja odwołująca się do stwierdzenia pochodzącego z czasów stalinowskich i używanie argumentacji o prawach człowieka były wyjątkowo niestosowne. Trzeba pamiętać, że w każdym normalnym śledztwie, które nie ma żadnych związków politycznych, a dotyczy tak dużej łapówki, podjęto by wszystkie czynności sprawdzające, które postulował poseł Ziobro. Tak byłoby w każdym normalnym śledztwie i nikt nie twierdził, że jest to sprzeczne z prawami człowieka. Słowa marszałka odebrałem jako nadużycie idei praw człowieka ze strony pana wicemarszałka.

To, co się dzieje w komisji to efekt głosowania w Sejmie sprzed kilku tygodni, kiedy ustalano jej liczebność i skład. To z winy opozycji mają w niej większość posłowie SLD - UP - PSL. Gdyby wszyscy posłowie PO w komplecie pojawili się wtedy na głosowaniu, pewnie wszystko wyglądałoby inaczej.

Nie głosowali też posłowie PSL i innych klubów. Wygłosiłem wtedy bardzo ostre sądy pod adresem swoich kolegów. Mówiłem, że są obibokami i niektórzy mieli do mnie pretensje. Wydaje mi się, że wtedy nie istniała zbyt szeroka świadomość znaczenia tamtej decyzji. Dziś potwierdza się, że tamto lenistwo posłów ma bardzo złe skutki.

Rozmawiała Luiza Zalewska

Badany będzie tylko Rywin

Koalicyjna większość w sejmowej komisji śledczej zdecydowała, że zwróci się do prokuratury tylko o wykaz połączeń telefonicznych Lwa Rywina, sprawdzenie tylko jego komputera i przeszukanie tylko jego biura.

Uznała, że podobne działania dotyczące innych osób, których nazwiska pojawiały się w aferze, mogłyby naruszyć ich dobra osobiste.

Wniosek Zbigniewa Ziobry (PiS), by zwrócić się także o billingi i sprawdzić oficjalne kontakty premiera Leszka Millera i jego najbliższych współpracowników Lecha Nikolskiego i Marka Wagnera, prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego i kilku innych osób, komisja odrzuciła wczoraj z łatwością. Ziobro postulował te działania, bo nie podjęła ich prokuratura, równoległe prowadząca sprawę Rywina.

Grzegorz Kurczuk w wywiadzie dla "Rz" nie zgodził się z krytyką pracy prokuratury. - To nie jest krytyczna ocena, to demagogia - twierdzi minister sprawiedliwości.

Posel PiS długo próbował przekonać posłów do rozszerzenia zainteresowania także na wymienione wyżej osoby: - Sejm powołał naszą komisję nie dlatego, że sprawa dotyczy Lwa Rywina, ale też innych osób, "grupy, która trzyma w rękach władzę".

Przypomniał, że nawet premier Leszek Miller deklarował, że zależy mu na pełnym wyjaśnieniu wszystkich zarzutów. Bez skutku. Wspierał go Jan Rokita (PO): - Wniosek dotyczy podjęcia czynności oczywistych. Jeśli się na to nie zgodzimy, będziemy pierwszą w historii komisją śledczą, która domaga się zawężenia dowodów, a nie ich poszerzenia.

Posłowie koalicji się nie zgodzili. Za wnioskiem Ziobry głosowało tylko czterech posłów, czyli cała opozycja w komisji: PiS, PO, LPR i Samoobrona.

Posłowie SLD, PSL i UP byli zdecydowanie przeciw. - Nie mamy prawa tak głęboko ingerować w życie obywatela - argumentował wicemarszałek Sejmu, szef komisji Tomasz Nałęcz (UP). - Nie może być tak, że skoro poseł Ziobro ma wyimaginowane wrażenie o grupie trzymającej władzę, to będziemy stosować wobec tych wszystkich osób tak drastyczne środki. Nie ma powodów, by wysłać dziś policję i prokuraturę do tysiąca osób w państwie.

Ryszard Kalisz (SLD) odwoływał się do konstytucji: - Na jakiej podstawie chce pan naruszać dobro osób trzecich? Chce pan wiedzieć, z kim te osoby się spotykały, gdzie i z kim jadły kolację, o której wstały i o której kładły się spać. Po co? - pytał Ziobry i odpowiadał od razu. - Przecież nikt nie potwierdza tego, co podczas nagrania mówił Lew Rywin.

Posel SLD kilkakrotnie przypomniał, że żadna z osób początkowo wymienianych przez Rywina nie potwierdziła swego związku z aferą. - Oprócz pomówień Rywina nie ma żadnych dowodów, że te wszystkie osoby miały ze sprawą związek. A potrzebne są dowody, a nie pomówienia, bo to byłby koniec demokracji.

Gdy odrzucono wniosek Ziobry, przyjęto propozycję Nałęcza, by komisja zwróciła się o billingi prywatnych i służbowych rozmów prowadzonych przez Rywina, jego kierowców lub sekretarki od stycznia 2002 r. do stycznia 2003 r. Komisja chce też, by został przeprowadzony wywiad środowiskowy w miejscu pracy i zamieszkania Rywina, by zabezpieczono jego komputer i laptop oraz przeszukano pomieszczenia jego domu i biura.

Tymczasem Lew Rywin, który obrady komisji śledził dzięki telewizji, uznał plan przeszukania jego domu i biura za "szykanę pozbawioną rzeczywistego sensu procesowego". "Z przeszukania, jak z każdego ograniczenia swobód obywatelskich, korzysta się w szczególnych sytuacjach, np. gdy osoba podejrzana ukrywa określone przedmioty lub odmawia ich wydania. Ja nic nie ukrywam, nikt też nie zwrócił się do mnie o wydanie jakichkolwiek rzeczy" - napisał Rywin w oświadczeniu przekazanym wieczorem PAP. Jego zdaniem "prowadzenie przez Prokuraturę Apelacyjną postępowania równoległe z pracami sejmowej komisji śledczej, sposób, tryb i styl prowadzenia jej prac praktycznie wyklucza konstytucyjne prawo do obrony.

Dzisiaj Rywin ma być ponownie przesłuchany przez prokuraturę. Jego obrońcy wcześniej zapowiadali, że po przesłuchaniach świadków zgłoszonych przez nich Rywin złoży wyjaśnienia.

Prokuratura przekazała komisji śledczej kolejne materiały: protokoły przesłuchań członka rady nadzorczej Canal Plus i sekretarki Lwa Rywina oraz m.in. pismo sądowe ustanawiające hipotekę na nieruchomości Rywina (chodzi o kaucję w wysokości 500 tys. zł) i postanowienia o zażądaniu billingów rozmów Rywina. Prokuratura wystąpiła o nie prawie dwa tygodnie temu, ale jeszcze nie dostała odpowiedzi od operatorów.

Ze względu na "nowe fakty i okoliczności", które pojawiły się w śledztwie, prokuratura wezwała też ponownie na przesłuchanie w piątek Adama Michnika, redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej".

Będzie więc przesłuchiwany przez prokuraturę dzień przed komisją śledczą, która zaplanowała spotkanie z nim na sobotę.

Dzisiaj prokuratura da także sejmowej komisji zgodę na publiczne wykorzystywanie "niektórych informacji ze śledztwa". **LUZ, A.M.**

RZECZPOSPOLITA, 06..02. 2003, NR 31

Wniosek o wyłączenie posła Ziobry z komisji śledczej

Lew Rywin kontratakuje

Lew Rywin chce wyłączenia z prac komisji śledczej Zbigniewa Ziobry. Poseł PiS jest tym oburzony. Szef komisji Tomasz Nałęcz uznaje zaś zachowania Rywina za prowokację, a wniosek - za bezpodstawny.

Rywin wczoraj po raz drugi stawiał się w prokuraturze. Mimo wcześniejszych zapowiedzi nie odpowiedział na żadne pytanie prokurator Anny Baranowskiej. Złożył jedynie oświadczenie, w którym powtórzył, że jednoczesne śledztwo i praca komisji oraz zapowiedź przeszukań naruszają jego prawo do obrony. Wniósł o nieujawnianie dokumentów ze śledztwa podczas przesłuchań, które w sobotę rozpoczną się w Sejmie.

Z informacji "Rz" wynika, że domaga się on również od prokuratury ponownego przesłuchania niektórych świadków, tym razem w obecności jego obrońców. Prawnicy Rywina, jak się dowiedzieliśmy, złożyli w prokuraturze listy pytań, które miałyby zostać zadane.

Rywin przekazał wczoraj prokuraturze swój telefon komórkowy, aparat stacjonarny, laptopa, notatnik i dokumenty (np. zaproszenie do ministerstwa kultury, wystawione przez Aleksandrę Jakubowską na 11 lipca ub.r. w związku z pracami nad ustawą o radiofonii i telewizji).

Po wyjściu z prokuratury wygłosił krótkie oświadczenie dla zebranych tam dziennikarzy: - Złożyłem dobrowolnie wszystkie dokumenty i przedmioty, które według mojej wiedzy mogą się wiązać z tą sprawą. Treść dokumentów objęta jest tajemnicą postępowania. Podtrzymuję wczorajsze oświadczenie, że takie działania komisji sztykują mnie i eliminują prawo obrony mnie i mojej najbliższej rodziny. Więcej komentarzy w tej sprawie nie będę dzisiaj udzielał.

Po południu obrońcy Rywina złożyli w Sejmie wniosek o wykluczenie posła Zbigniewa Ziobry z prac komisji śledczej. Uzasadnili to "brakiem bezstronności" Ziobry i złożeniem przez posła PiS zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez premiera Leszka Millera (w związku z niepowiadomieniem przez premiera prokuratury w lipcu, po rozmowie z Adamem Michnikiem).

Ziobro jest najaktywniejszym członkiem komisji śledczej. Domagał się billingów rozmów telefonicznych i sprawdzenia oficjalnych kontaktów nie tylko Rywina, lecz także prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego i polityków SLD, m.in. Lecha Niemołowskiego oraz Marka Wagnera. Jednak komisja, głosami koalicji, zażądała sprawdzenia billingów oraz przeszukania domów i biur tylko Rywina.

Zdaniem Nałęcza wniosek o wykluczenie Ziobry nie ma prawnego uzasadnienia. - Może go złożyć któryś z członków komisji lub osoba wezwana przez komisję, tymczasem Rywin jeszcze wezwany nie został - powiedział "Rzeczpospolitej". Tymczasem Rywin oświadczył, że Nałęcz dzwonił już do niego w ubiegłym tygodniu i wstępnie zapowiedział wezwanie na przesłuchanie do komisji na 3 lutego.

Według szefa komisji, krytyczne opinie wygłaszane przez Rywina na temat komisji i jej członków mają charakter prowokacji. - Rywinowi chodzi o to, by sprowokować posłów do wygłaszania niepochlebnych opinii o nim. To dałoby mu podstawę do wniesienia o wykluczenie któregoś z kolejnych członków komisji - mówił Nałęcz.

Wczoraj przewodniczący oddelegował posła Ziobrę do obserwowania poczynąń prokuratury. Miałby on - z ramienia komisji - przyglądać się m.in. przeszukaniom w mieszkaniu i miejscu pracy Rywina. -

Jeśli będzie taka wola komisji, wezmę udział w czynnościach prokuratorskich, ale nie zamierzam uwiarygadniać działań prokuratury, a raczej ich braku. Moja obecność nie gwarantuje przecież rzetelności prac prokuratury, które noszą znamiona skandalu - oświadczył Ziobro.

Równocześnie zaprotestował przeciwko sposobowi, w jaki Nałęcz poinformował go o swojej decyzji. - Kiedy odpowiedziałem mu, że jestem chory, wicemarszałek oświadczył, że jest moim przełożonym, choć nie jest, i mam jego decyzję wykonać. Kiedy zwróciłem się o tę decyzję na piśmie, wicemarszałek po prostu rozłączył się - opowiadał Ziobro dziennikarzom.

A.M., M.M., LUZ

Szefowie PAP zadają pytania

O godz. 14.23 Polska Agencja Prasowa nadała depezę: "Polska Agencja Prasowa spytała Agencję Wywiadu oraz Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czy ewentualne ujawnienie billingów rozmów m.in. premiera Leszka Millera, Marka Wagnera, Aleksandry Jakubowskiej i Lecha Nikolskiego oraz innych dokumentów dotyczących pracy wspomnianych osób, czego dotyczył jeden z wniosków zgłoszonych na forum sejmowej komisji śledczej, nie zagraża bezpieczeństwu państwa".

Pod depezą podpisał się redaktor naczelny serwisów Jerzy Malczyk, ponieważ - jak wynika z naszych nieoficjalnych informacji - dziennikarze nie chcieli tego zrobić. Stwierdzili, że nadawanie depezy, która zawiera sugerujące pytania i nie przynosi żadnej odpowiedzi, jest sprzeczne z zasadami pracy PAP.

Szef serwisów był innego zdania. - Uznałem, że dla pełności informacji i kompletności materiałów w tej sprawie stanowisko AW i ABW będzie interesujące, więc takie pytanie zostało postawione - powiedział nam Malczyk. Do obu instytucji wysłał fax w tej sprawie, bo zlecił to prezes PAP Waldemar Siwiński. Dlaczego prezes zarządu agencji wydał takie zalecenie? - Jestem nie tylko prezesem zarządu. Jestem też dziennikarzem, a dziennikarz na każdym stanowisku zadaje pytania - odpowiada Siwiński. (W przeszłości pracował on m.in. w "ITD", potem założył wydawnictwo edukacyjne "Perspektywy Press", gdzie wydał m.in. trzy książki Aleksandra Kwaśniewskiego.)

Trzy godziny później PAP nadała odpowiedź szefa Agencji Wywiadu Zbigniewa Siemiątkowskiego: "Pragnę stwierdzić, że przekazanie do publicznej wiadomości wykazu spotkań oraz zestawu połączeń telefonicznych, w tym zagranicznych, pana premiera, wynikających z ustawowych obowiązków prezesa Rady Ministrów jako zwierzchnika polskiego wywiadu, narażałoby interesy RP z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa" - napisał Siemiątkowski w oświadczeniu przesłanym PAP.

Godzinę później PAP nadała komunikat rzeczniczki ABW Magdaleny Kluczyńskiej: "Ujawnienie billingów rozmów wspomnianych osób stanowiłoby ułatwienie dla działalności obcych służb specjalnych i ugrupowań terrorystycznych szukających dróg dotarcia do informacji o osobach związanych z administracją rządową". **LUZ**

Polska recepta na korupcję

W czasie posiedzenia sejmowej komisji śledczej, aby odsunąć wszelkie podejrzenia od premiera, poseł opozycji Zbigniew Ziobro posunął się tak daleko, że chciał zbadać księgi wejścia i wyjścia z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Poseł SLD Ryszard Kalisz nie dał za wygraną i z uporem twierdził, że najpierw trzeba znaleźć poszlaki wskazujące na winę, a dopiero później szukać dowodów niewinności.

Spór między inteligentami chcieli załagodzić postowie chłopscy. Poseł PSL słusznie stwierdził, że nie ma co gadać, trzeba zabrać się do roboty, niezależnie od tego, czy się wie czy nie, co ma się zrobić. Poseł Samoobrony wybrał inną taktykę: chciał spór o księgę wejścia i wyjścia załagodzić, wspominając o księgach zejścia i w tym kontekście martwiąc się o zdrowie Lwa Rywina.

Tu do porządku przywołał go marszałek Tomasz Nałęcz specjalizujący się w dbałości o ramówki telewizyjne, który od samego początku dyskusji wiedział, czym i kiedy ma się dyskusja zakończyć. W odpowiednim momencie odczytał przygotowany projekt uchwały komisji, przypadkowo zbieżny z tym, co mówili posłowie SLD. W myśl uchwały przewodniczącego Nałęcza prokuratura - obok wykonania tych wszystkich czynności, których zaniechała z powodu nadzwyczajnej staranności w przeprowadzeniu śledztwa - ma przeprowadzić rewizję w domu Lwa Rywina. Zostało to powiedziane publicznie po to, by Lew Rywin jako producent filmowy, biznesmen i znawca telewizyjnego fachu mógł zaproponować transmisję telewizyjną z przeszukania w jego własnym domu. Można przy tym trochę zarobić, oczywiście nie tyle, by zaspokoić apetyty grupy sprawującej władzę. Chyba że udałoby mu się zgromadzić odpowiednich partnerów do reality show. Wtedy drogą eliminacji widzowie, wysyłając SMS-y, wybraliby winnego całego zamieszania. W czasie wielkiego finału mógłby wejść premier i przebiwszy wybrańca osinowym kołkiem, złożyć go do politycznego grobu, a prokurator Kapusta zabezpieczyłby go jako dowód w sprawie. Byłaby w tym księga wejścia, wyjścia i zejścia.

Wygłąda jednak na to, że ze spektaklu nic nie będzie. Wczoraj Rywin, który nie mógł się doczekać przybycia stróżów prawa - okazało się, że do rozpatrzenia wniosku o rewizję potrzebne jest osobne postępowanie - sam przyniósł do prokuratury telefon komórkowy, aparat stacjonarny oraz komputer. Gdyby wszyscy zamieszani w różne afery byli równie uczynni, raz dwa poradzilibyśmy sobie w Polsce z plagą korupcji.

Krzysztof Skowroński

RZECZPOSPOLITA, 07.02.03 Nr 32

Można krytykować Adama Michnika za to, co mówi, pisze i robi. Ale nie za to, że wraz z przyjaciółmi ujawnił próbę społecznie groźnego przestępstwa

Winni, ofiara i naprawa Rzeczypospolitej

ALEKSANDER SMOLAR

Wybuch sprawy Rywina miał efekt granatu rzuconego w szambo. Obryzgni zostali winni i niewinni, inicjatorzy przestępstwa i ci, którym korupcyjną propozycję złożono. Powszechna konstatacja: "coś tu śmierdzi", zwróciła się przeciwko wszystkim, ale paradoksalnie bardziej przeciwko "Gazecie Wyborczej" niż Rywinowi i jego poplecznikom. Nie mogą tego wyjaśnić uznane przez "Gazetę" błędy w prowadzeniu tej sprawy. Liczni wrogowie i zawistnicy skorzystali z okazji, by skoczyć jej do gardła.

Za "Gazetą", z jej wyraźnym profilem, silnym zaangażowaniem w różne dzielące kraj sprawy, dostrzeżono nagle cień potężnego koncernu Agora, który ma oczywiście swoją strategię i interesy. Zwracano też uwagę na elektryzujący wpływ zarejestrowanego tekstu rozmowy Adama Michnika z Lwem Rywinem i opisu spotkania w gabinecie premiera Leszka Millera. W atmosferze ogólnej niechęci do władzy i elit w dokumencie sporządzonym dla udowodnienia próby przekupstwa zobaczono potwierdzenie wszechporozumienia elit.

Hipotezy na temat przyczyn skupienia uwagi i agresji przeciwko "Gazecie" i Adamowi Michnikowi można mnożyć. Niektóre pojawiają się w opublikowanych w "Rzeczypospolitej" artykułach, próbujących odkryć głębszy sens afery. Zaintrygowały mnie szczególnie teksty dwóch znanych autorów: Bronisława Wildsteina i Zdzisława Krasnodębskiego. Pierwszy skupia się na aspekcie politycznym obecnego zawirowania: na szeroko w prasie dyskutowanym projekcie nowej partii centrowej; drugi zaś w żarliwym, demaskatorskim tekście ze sprawy Rywina czyni sprawę "Gazety Wyborczej", Agory i osobiście Adama Michnika. Choć teksty te różnią się polem skupienia uwagi i stylistyką, łączy je dramatyczna wizja obecnej sytuacji - w czym ich autorzy nie są osamotnieni - oraz demoniczna rola przypisywana Adamowi Michnikowi i szerzej "Gazecie".

Partia Kwaśniewskiego i Michnika?

Zacznijmy od polityki. Bronisław Wildstein ("[Świat między Kwaśniewskim a Millerem](#)", "Rzeczpospolita" z 27.01.2003 r.) zajął się modnym od sprawy Rywina tematem "partii prezydenckiej". Chodzi o przypisywaną Aleksandrowi Kwaśniewskiemu intencję powołania do życia partii politycznej, która ze względu na słabość prawicy stałaby się nieuchronnie prawicową opozycją wobec SLD Leszka Millera. Pomysł ten ma być odpowiedzią na postępującą, zdaniem Wildsteina, polityczną marginalizację Kwaśniewskiego i Michnika - dwóch, jak powiada, strategów przygotowywanej operacji - oraz na zagrożenia dla medialnego koncernu "Gazety". Aby zrozumieć kontekst jego wywodów, trzeba przypomnieć to, co na ten temat pisały "Trybuna" i "Nie", a także znaczącą wypowiedź Jerzego Jaskierni, szefa Klubu Parlamentarnego SLD.

Plotka o tworzeniu nowej partii wzbudziła w klasie politycznej silne emocje. Organy Marka Barańskiego i Jerzego Urbana dowodziły, że "rozdęta" przez "Gazetę" sprawa Rywina była w istocie strzałą wymierzoną przez "spiskowców w premiera Leszka Millera i w kierownictwo SLD". Z kolei Ryszard Bugaj ("Narodziny oligarchii", "Rzeczpospolita" 6.01.2003 r.) w projektowanym porozumieniu "ponad podziałami" widział zagrożenie dalszą oligarchizacją Polski. Jerzy Jaskiernia uznał publikację "Gazety" o sprawie Rywina za prowokację inspirowaną przez "ośrodek pozaparlamentarny, którego kadencja wkrótce się kończy". Nietrudno za tym "kadencyjnym ośrodkiem" dostrzec cień prezydenta Kwaśniewskiego, zwłaszcza że sam Jaskiernia przypominał o spekulacjach na temat utworzenia nowej partii centrowej. Premier Miller, przepytywany w Radiu Z przez Monikę Olejnik (2.02.2003 r.), zdystansował się do wypowiedzi Jaskierni w sposób nieco dwuznaczny: "Nie ma żadnych dowodów w tej chwili, że była taka inspiracja".

Być może słowa Aleksandra Kwaśniewskiego, które w widoczny sposób zaniepokoiły baronów SLD - o koniecznej "zmianie pokoleniowej w polityce", czy uwagi o miejscu dla formacji centrowej, ponieważ "nie ma partii, która umiałaby to zagospodarować" - miały na celu zdestabilizowanie Millera. Niewykluczone, że prezydentowi marzy się wymiana zużytego "zderzaka". To jest normalna polityka. Zapewne Aleksander Kwaśniewski pragnąłby poszerzenia wpływów bliskiego mu obozu politycznego jeszcze bardziej ku centrum, usuwając ślady historycznego podziału po tym, jak z triumfem zadeklarowano, że 13 grudnia znaczy już dziś coś innego niż do czasu szczytu w Kopenhadze. Ale od tego do tworzenia partii? Z kim? Z Adamem Michnikiem, który ma być, zdaniem Wildsteina, współanimatorem nowej partii? Przecież Michnik w krakowskim klubie "Polityki" cytował słowa Kwaśniewskiego, który taką pojawiającą się w prasie hipotezę wyśmiał.

Dla uzyskania jakich wpływów prezydent miałby to robić? O potencjalnych rozmiarach centrum Kwaśniewski powiedział, że jest "niewielkie, ale jest". Czy to jest wyzwanie na miarę aspiracji człowieka, który doszedł do najwyższej godności w państwie i przewodził największej formacji politycznej? Z jakim programem? Dla kogo? I w jakiej właściwie roli? Wildstein pisze, że Kwaśniewski, patronując nowej partii, zachowałby zarazem szanse "w konkurencji o międzynarodowe godności". Interesująca wizja politycznego przywództwa bez fizycznej obecności.

Nowy lider dla SLD

Zaproponujmy - jako ćwiczenie intelektualne - prostszą hipotezę. Po co Aleksander Kwaśniewski ma tworzyć nową partię, kiedy są duże szanse, że czołówka SLD przyjdzie do niego w poszukiwaniu politycznego ratunku przed wyborami parlamentarnymi 2005 roku? Leszek Miller, zużyty władzą, złą koniunkturą, bezrobociem, "prawicową" polityką, aferami korupcyjnymi i nieuchronnymi kosztami pierwszego okresu w Unii Europejskiej, będzie marną lokomotywą dla swego obozu. Nic nie wskazuje na to, aby PO i PiS stały się dla Sojuszu poważną konkurencją, nawet jeżeli łączyło je będzie więcej niż dziś. Nie można jednak wykluczyć hipotezy postępującej polaryzacji sceny politycznej, populistycznego buntu przeciwko establishmentowi - zarówno lewicowemu, jak i prawicowemu, bo w oczach nieufnej większości społeczeństwa nie ma wielkiej różnicy - a więc zwycięstwa Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin. Inna możliwość: SLD zdobywa mimo wszystko najwięcej głosów, ale nie jest w stanie znaleźć wystarczająco silnych partnerów dla uformowania większości, resztę pola politycznego zajmuje zaś gwiazdociąg partii i partyjek niezdolnych do współzrządzenia.

Na tym tle Aleksander Kwaśniewski, nieidentyfikowany z trudami, klęskami i nadużyciami koalicji SLD - PSL, mógłby z dużym prawdopodobieństwem zapewnić sukces swojej starej partii. Przejmując ster władzy, stałby się nowym popularnym szyldem przepoczwarczonego i poszerzonego ku centrum SLD, zdejmując z niego odium recesji i korupcji, Unii i Millera. Zamiast ekstrawaganckiej wizji konkurujących

ze sobą SLD i SLD bis mielibyśmy tu historycznie znany model partii dominującej, odnawiającej się poprzez kooptację kolejnych partii i partyjek.

W gruncie rzeczy podobne pomysły zdają się mieć Miller i jego koledzy, gdy mówią o "centrolewicowym" charakterze SLD, tyle że ich szanse sukcesu są zapewne mniejsze od szans prezydenta, bo są zużyci i stawiają na model poszerzenia oparty na mało politycznie obiecujących - takie są dotychczasowe doświadczenia - indywidualnych transferach. Powróćmy do modelu kooptacji: przez pół wieku w ten sposób utrzymywała się przy władzy włoska chadecja, zanim nie okryła się niesławą afer korupcyjnych i mafijnych. Powyższa hipoteza ma jednak istotną wadę z punktu widzenia logiki przewodu Wildsteina: nie bardzo jest tu miejsce dla demonicznego Adama Michnika. No i odpowiedzialność spada nie na jego makiaweliczne spiskowanie z Kwaśniewskim, tylko na nieudolność, anachronizm polskiej prawicy, niezdolnej stworzyć politycznej alternatywy.

Akt oskarżenia

Pełen pasji tekst Zdzisława Krasnodębskiego ("System Rywina - szkice z socjologii II Rzeczypospolitej", "Rzeczpospolita" 22.01.2003 r.) nie zajmuje się analizą, jest moralnym protestem, krzykiem, aktem oskarżenia przeciwko złu, które rozlało się po Polsce, a które uosabiają w jego oczach Adam Michnik i "Gazeta Wyborcza".

Krasnodębski przyznaje, że to Rywin przyszedł do Michnika, a nie odwrotnie, że to Michnik ujawnił nagranie, a nie jego rozmówca, zadaje jednak kluczowe dla tekstu pytanie: "Ale dlaczego Rywin w ogóle przychodzi?". Resztę artykułu można traktować jako odpowiedź na to pytanie: "Gazeta...wmontowała się w system nieformalnej i formalnej władzy", "...już dawno nie o idee chodzi, lecz o interesy, i to one oraz te wszystkie powiązania i zależności określają ideowe stanowisko tej gazety...". Nie zawsze Krasnodębski pisze o "Gazecie" wprost, ale sugestia jest zrozumiała: "Przez całe lata mówiono nam, że największym zagrożeniem dla polskiej demokracji są najpierw "oszołomy", potem "populiści i fundamentalści", straszono nas "polskim prostakiem, ciemniakiem i antysemitą".

Liczni radykalni publicyści zapełniali przez ostatnie trzynaście lat łamy wielu, przeważnie efemerycznych, niskonakładowych radykalnych pism. W ich ustach podobny język, takie oskarżenia nie dziwiły. Krasnodębski mnie zaskoczył. Różnice poglądów, przyznaję - na tematy istotne: co do kształtu demokracji, stosunku do ludzi wczorajszej dyktatury czy nawet co do wartości w życiu publicznym - przestają w jego opisie mieścić się w przestrzeni demokratycznego pluralizmu, stając się przejawem wyboru między dobrem a złem. Michnik z "Gazetą Wyborczą" są według Krasnodębskiego po stronie zła. Przeciwno "Gazecie" zwraca też podjętą próbę korupcji, stawiając pytanie-gilotynę zawieszoną nad reputacją jej redaktora naczelnego: "dlaczego Rywin przyszedł do Michnika?". Wiktymologia, nauka o ofiarach, zajmuje się między innymi problemem często obserwowanego przemieszczenia odpowiedzialności z przestępcy na ofiarę. Jak to się dzieje, że gdy chodzi o zwykłe, brutalne przestępstwo, ludzie mają skłonność do szukania odpowiedzialności po stronie, na przykład, skrzywdzonej dziewczyny: bo nosiła zbyt krótką sukienkę, bo dekolot prowokujący, bo wyszła sama z domu, czy łatwowiernie zawierzyła towarzystwu... Krasnodębski zachowuje się podobnie.

Nie twierdzą, że "Gazeta" jest słaba, młoda, naiwna, że padła ofiarą przemocy ze strony Rywina. Nie, Rywin po prostu chciał sprzedać to, co wydawało mu się, że posiada: możliwość wpłynięcia na kształt ustawy przy pomocy wysoko postawionych kolegów. Oczywiście, jest rzeczą wielce interesującą, jaka to mentalność, jakie to środowisko pozwoliło mu sądzić, że wszystko jest na sprzedaż, że na wszystko znajdują się klienci, że dla pieniędzy Michnik i kierownictwo Agory zahandlują prawem. To jest ważne pytanie, a rzecz jest tym bardziej psychologicznie zaskakująca, że choć "Gazeta" nigdy o tym nie pisała, wiadomo, że Adam Michnik, żeby zachować pełną niezależność intelektualną i moralną, odmówił przyjęcia należnych mu, jako współtwórcy "Gazety", akcji Agory, rezygnując z pokaźnego majątku. Jest jej pracownikiem, a nie współwłaścicielem.

Gwałtu nie dokonał Rywin, gwałtu dokonuje Krasnodębski i rzesza autorów mniej sprawnych intelektualnie, ale równie dzielnych w rzucaniu obelg i formułowaniu pomówień, ideologicznych i osobistych wrogów, którzy korzystają z okazji, by utylić Michnika w błocie, zdyskredytować "Gazetę", zepchnąć ją z miejsca, jakie zajmuje w naszym życiu publicznym nie z nominacji "czerwonych", tylko setek tysięcy czytelników.

Autokompromitacja prawicy

Krasnodębski ma klarowną interpretację źródeł zła. Chodzi o ustrój "...zaprojektowany dla dobra nas wszystkich przy Okrągłym Stole i który, jak się okazuje, został zrealizowany z godną podziwu konsekwencją". Dla nowych elit charakterystyczni są - jego zdaniem - Rywin i Sławomir Wiatr: "... wstyd jest się ubiegać o jakieś ważne funkcje, jeśli kiedyś nie było się świadomym - etatowym lub tajnym - współpracownikiem służb - bo to dzisiaj najlepsze świadectwo kompetencji i ofiarności".

Zgoda, człowiek moralnie oburzony, bardzo zdenerwowany ma prawo do przesady, stylistyki z pasją pisanego pamfletu. Ale przecież Krasnodębski nie jest ideologiem trzeciorzędnej, skrajnej partyjki, nie jest propagandzistą radykalnej sekty, lecz socjologiem, profesorem różnych uniwersytetów, można by więc oczekiwać, że wspomni choć słowem o złożonym problemie źródeł marnej jakości naszego państwa, administracji, o stosunku do prawa, który w naszym społeczeństwie zawsze pozostawiał wiele do życzenia, a choćby o jakości tej części klasy politycznej - nic z "czerwonymi" niemającej wspólnego - która została w ostatnich wyborach parlamentarnych zmieciona z politycznej powierzchni w atmosferze oskarżeń o nieudolność, doktrynerstwo, warcholstwo i korupcję. Nie było żadnego fatum, nieuchronności, spisku. AWS sama siebie, pod wodzą Mariana Krzaklewskiego, zepchnęła do grobu, pociągając za sobą Unię Wolności - która też miała grzechy na sumieniu - i zapewniając niezwykle sukces SLD.

Chociaż byłem zawsze przeciwnikiem antylustracyjnych pasji i działań, jest oczywiste, że nie można zredukować wszelkich polskich nieszczęść i problemów do walki "Gazety" o "niegrzebanie w biografiami". Nieraz pisałem, że ze względów moralnych i politycznych lustracja i wiedza ofiar na temat prześladowców jest potrzebna zdrowiu społecznemu, odzyskaniu pełni praw i poczucia godności przez ofiary Ancien Regime'u. Uważałem, że współczucie dla tych ofiar, okazywanie praktycznej z nimi solidarności, jest równie ważne i godne szacunku jak na przykład współczucie i okazywanie praktycznej solidarności z ludźmi, którzy nie potrafią przystosować się do nowych warunków ustrojowych. I że za mało jest w naszym życiu publicznym jednego i drugiego.

Nie zmieniłem zdania w tej sprawie, ale też nie zapominam, że gdy pojawiła się możliwość uruchomienia lustracji, została ona ośmieszona, pozbawiona moralnej prawomocności przez format ludzi bez formatu, którzy ją wprowadzali w życie. Trzeba przypomnieć, że Adam Michnik, z którym nie zgadzałem się i nie zgadzam w tej sprawie, taki obrót spraw przewidywał.

Czy trzeba przypominać wszczęcie procesu lustracyjnego przeciwko Lechowi Wałęsie i Aleksandrowi Kwaśniewskiemu w przeddzień wyborów prezydenckich? Czy fakt ten można było inaczej interpretować niż jako próbę rozłożenia czerwonego chodnika przed nieszczęsnym kandydatem i szkodnikiem polskiej polityki, Marianem Krzaklewskim? Zresztą, czy naprawdę wszelkie zło da się sprowadzić do jednej, komunistycznej przyczyny? I jak pogodzić fakt, że Rywin próbował korumpować, był prawdopodobnie w przeszłości agentem, ale był również najwybitniejszym polskim producentem filmowym. Czy przerażające fakty, które w ostatnim roku dotarły do opinii publicznej o stanie sądownictwa, o kondycji moralnej części służby zdrowia, należy również przypisać temu, że "komuchy" w życiu publicznym nie zostały przetrzebione? Czy mało jest krajów w świecie, które dla badacza pragnącego poznać prawdę - no, nieco do niej się przybliżyć - pozwolą, poprzez studia porównawcze, dostrzec złożoność choroby, która toczy również liczne rozwinięte demokracje. Przecież tu jest jedno z podstawowych źródeł populizmu, buntu przeciwko elitom, który rozlał się po Europie Zachodniej!

Skąd płynie zagrożenie

U Krasnodębskiego jest jedna teza warta szerszej dyskusji, jeżeli wydobędzie się ją spod popiołów emocji i wrogości. Powiada on, że największe zagrożenie dla demokracji, wolności i pomyślności Polaków płynie nie z marginesu, lecz z "...kulturalnego, politycznego i gospodarczego centrum, nie z dołów, lecz z samej góry..." Jeżeli tezę tę zredukuje się wyłącznie do problemu SLD i powiązanych z

nim środowisk biznesu, mediów i agentury, to jest ona mało pożywna. Ale godna zastanowienia jest poszerzona interpretacja tego postulatu na całą "elitę" - cokolwiek by to pojęcie miało znaczyć - przede wszystkim na jej część polityczną, biznesową i medialną. Na "górze" skoncentrowana jest największa władza czynienia dobra i zła w życiu zbiorowym; to elity odgrywają istotną rolę wzorotwórczą, ustanawiają prawo i formalne oraz nieformalne reguły życia zbiorowego; na "górze" rozdziela się społecznie cenione dobra: władzę, oficjalny prestiż, w jakiejś części dochody, stanowiska w administracji i radach nadzorczych, różne subsydia, koncesje, przywileje m.in. w dostępie do informacji; tu też formuje się język - ezoteryczny dla elit i egzoteryczny dla komunikowania się ze społeczeństwem. Na pewno więc potrzebna jest poważna debata narodowa nad mechanizmami kontroli elit; wszystkich: czerwonych, czarnych, niebieskich i zielonych; biznesowych, politycznych, medialnych i specjalnych (od służb specjalnych). I przede wszystkim uważne śledzenie, aby nie powstawała zintegrowana klasa rządząca, nieuchronnie, w obronie swoich interesów, zwrócona przeciwko "maluczkim", ich nadmiernemu wtrącaniu się w życie finansowe, polityczne, towarzyskie i erotyczne zjednoczonych elit.

Jak plaster na AIDS

Prezydent Kwaśniewski w rozmowie z Jackiem Żakowskim w ostatniej "Polityce" wyciągnął pierwsze wnioski z afery. Zaniepokojony społecznymi skutkami powstałego obrazu wszechzblatowania elit, postuluje zwiększenie dystansu między ludźmi polityki, biznesu i mediów oraz bardziej ascetyczny tryb życia polityków. Reakcja prezydenta świadczy, nie po raz pierwszy, o wycuciu nastrojów społecznych i zagrożeń, które się pojawiają. Ale jego sugestie nie wystarczają. Poza nadmierną, rażącą społeczeństwo towarzyską bliskością polityków, dziennikarzy i biznesmenów niepokój wzbudza nieuchronne osłabienie wzajemnej kontroli tych grup, nieprzejrzystość procesów decyzyjnych, wzmocnienie pokus i możliwości korupcyjnych. Proponowane przez Aleksandra Kwaśniewskiego środki są, niestety, jak plaster na AIDS.

W idealnym systemie komunistycznym miało nie być autonomii życia społecznego, gospodarki, kultury, nauki... Wszystko miało być podporządkowane władzy politycznej. Posunięto się daleko w tym kierunku. W systemie skorumpowanej oligarchii istnieje również tendencja do zanikania autonomii polityki, gospodarki, mediów, życia społecznego, a w konsekwencji jakiegokolwiek realnej kontroli społecznej, tyle że w wyniku przenikania się, osmozy, symbiozy, wzajemnego sobie pomagania różnych uprzywilejowanych w państwie grup.

Zdrowa polityka wymaga odpolitycznienia administracji, publicznych mass mediów, radykalnego ograniczenia własności państwa i możliwości wtrącania się polityków i urzędników w życie gospodarcze poprzez rozbudowany system koncesji i drobiazgowych, często niepotrzebnych, uregulowań prawnych. Być może sprawą teraz najpilniejszą jest uporządkowanie sytuacji w mediach publicznych. Paweł Śpiewak ("Koniec złudzeń", "Rzeczpospolita" z 23.01.2003 r.) ma rację, że środki masowego przekazu są szczególnie istotne w sytuacji, "gdy partie nie wypełniają swojego powołania, gdy polityka sprowadza się do gry interesów ekonomicznych, gdy porządek prawa jest głęboko obrażany...".

Sprawa Rywina stawia też na porządku dziennym problem autonomii informacji i analizy, niepodporządkowywania ich celom politycznym, biznesowym czy środowiskowym. Jest to problem wszystkich środków masowego przekazu, ale szczególnie telewizji publicznej, w której patologiczne procesy zawłaszczania przez jedną orientację polityczną i w jej ramach przez jedną koterię, są szczególnie daleko posunięte. Inicjatywa prezydenta Kwaśniewskiego w tej sprawie miałaby duże znaczenie dla ograniczania zagrożeń, które stoją przed polską demokracją i zdrową gospodarką, sprzyałaby społecznemu zaangażowaniu w życie zbiorowe. Byłaby też ważnym wskaźnikiem wiarygodności jego roli jako ponadpartyjnego, dbałego o dobro wspólne autorytetu, na co prezydent zdaje się kłaść coraz większy akcent.

Jeżeli sprawa Rywina stanie się powodem podjęcia narodowej debaty nad politycznymi mechanizmami korupcji i degradacji elit, nad sposobami kontroli różnych jej członków, nad przewyższeniem tendencji do odwracania się społeczeństwa od życia publicznego, to będzie z niej jakiś pożytek. Najgorsze by było, gdyby została wykorzystana przez koterie polityczne i dziennikarskie wyłącznie do atakowania konkurentów i przez sfrustrowaną, wyalienowaną inteligencję dla

okazywania uczucia bezsiły, moralnej pogardy i estetycznego obrzydzenia dla polityki i tych, którzy Polską rządzą. Przy takim rozwoju wypadków wszystko wróciłoby szybko do marnej normy.

Można krytykować Adama Michnika, jak każdą postać publiczną, za to, co mówi, pisze i robi. Ale nie za to, z czego ma prawo być dumny - że wraz z przyjaciółmi ujawnił próbę społecznie groźnego przestępstwa, stwarzając szansę, choćby i małą, naprawy Rzeczypospolitej.

Autor jest politologiem we francuskim Krajowym Centrum Badań Naukowych (CNRS). Utworzył emigracyjny kwartalnik "NAneks", którego był redaktorem naczelnym. Wspomagał ruch opozycyjny w Polsce i był reprezentantem Komitetu Obrony Robotników za granicą. W latach 1989 - 1990 był doradcą do spraw politycznych premiera Mazowieckiego, a w latach 1992 - 1993 doradcą ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Jest prezesem zarządu Fundacji im. Stefana Batorego.

Premier powinien ujawnić bilingi

- **W Ameryce wszystko jest jawne - mówi gość "Rz"**

Premier sam powinien przekazać komisji śledczej bilingi swoich rozmów telefonicznych - uważają politycy zajmujący się bezpieczeństwem państwa i nadzorem nad służbami specjalnymi. Dodają jednak, że upublicznione powinny być tylko te z nich, które dotyczyłyby sprawy Rywina.

- Podczas afery z Moniką Lewinsky prezydent Bill Clinton ujawnił swoje dzienniki podawcze i szczegóły własnego kalendarza. Nie zasłaniał się tajemnicą służbową ani bezpieczeństwem państwa. Premier Miller też nie powinien zasłaniać się tajemnicą służbową - mówi Jan Nowak-Jeziorański, były szef Radia Wolna Europa.

W środę Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencja Wywiadu wydały komunikaty, stwierdzające, że "przekazanie do publicznej wiadomości wykazu spotkań i bilingu rozmów premiera i jego współpracowników narażałoby na szwank bezpieczeństwo państwa" i "stanowiłoby ułatwienie dla działalności ugrupowań terrorystycznych".

- Czy naprawdę podanie do publicznej wiadomości informacji, że np. Lew Rywin dzwonił do sekretariatu premiera, zagraża bezpieczeństwu państwa? - zapytaliśmy wczoraj Andrzeja Barcikowskiego, szefa ABW.

- Nie ma żadnych przeszkód, by przekazać takie informacje prokuraturze czy komisji śledczej, oczywiście z klauzulą tajności. Zagrożeniem jest tylko upublicznienie wszystkich kontaktów premiera - odpowiedział.

- To dlaczego uderzyliście w wysokie C, strasząc terrorystami?

- To nieporozumienie. My tylko odpowiadaliśmy na pytanie, które dostaliśmy od PAP - wyjaśnił. - Zresztą to nawet nie my decydujemy o ujawnieniu bilingów, a komisja wcale nie wystąpiła o bilingi premiera. Odpowiadaliśmy teoretycznie.

Niektórzy z polityków oceniają, że oświadczenia służb specjalnych o "zagrożeniu bezpieczeństwa państwa" sprowokowano, by Leszek Miller i jego współpracownicy mogli, pod pretekstem wyższej konieczności, nie pokazać wykazu rozmów i kalendarzy spotkań.

Rzeczywiście odpowiedzi agencji były wywołane pytaniem PAP: "Czy ewentualne ujawnienie bilingów rozmów, m.in. premiera Leszka Millera, Marka Wagnera, Aleksandry Jakubowskiej i Lecha Niłowskiego, oraz innych dokumentów dotyczących pracy wspomnianych osób, czego dotyczył jeden z wniosków zgłoszonych na forum sejmowej komisji śledczej, nie zagraża bezpieczeństwu państwa?" Pod depeszą z pytaniem podpisał się sam redaktor naczelny agencji Jerzy Malczyk, bo dziennikarze nie chcieli tego zrobić.

- To przypomina przedsięwzięcia aranżowane w czasach, które dawno przeminęły. Zapewne ośrodek polityczny ulokowany w eseldowskiej części koalicji zainspirował dyspozycyjnego dziennikarza do wystąpienia. To umożliwiło agencjom wysnucie wniosku, że udostępnienie materiałów niezbędnych do prac komisji godziłoby w bezpieczeństwo państwa - skomentował były szef Kontrwywiadu UOP, członek Sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych Konstanty Miodowicz.

Gromosław Czempiński, były szef UOP, powiedział wczoraj w Radiu Zet, że komisja może zażądać bilingów, ale nie powinna ich upubliczniać. - Nie widzę specjalnego zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego, jeżeli ludzie uprawnieni do tego zostaliby dopuszczeni do tajemnicy - stwierdził. Jego zdaniem, mówienie o zagrożeniu terrorystycznym dowodzi, że ABW "nie ma zaufania do ludzi pracujących w komisji" i podejrzewa ich, że ujawnią te informacje.

- Czy ABW powinna się zajmować sprawą Rywina? - zapytała **Monika Olejnik**.

- Tylko w takim zakresie, w jakim zleci to prokuratura, względnie komisja śledcza - odpowiedział.

Andrzej Barcikowski, szef ABW, powiedział "Rz", że prokuratura nie zleciła Agencji żadnych działań w sprawie Rywina. - Nie zajmowaliśmy się tym. Monitorowaliśmy natomiast oczywiście publikacje na ten temat. Kiedy przeczytałem w "Nie" informację o synu premiera, który miałby być jakoś w to wplątany, sam poszedłem z tym do Leszka Millera. Na jego prośbę spotkałem się z Jerzym Urbanem, który wyjaśnił mi, że to był tylko "dziennikarski wywód". Na prośbę premiera sprawdzaliśmy także jego brata Sławomira. Pojawiły się bowiem plotki, że powołuje się on na premiera i że może dochodzić do korupcji funkcjonariuszy publicznych. Informacje o członkach rodziny szefa rządu mogą być używane do szantażu, a to już oznacza zagrożenie bezpieczeństwa państwa - wyjaśnił Barcikowski.

Zdania większości polityków i byłych szefów służb na temat oświadczeń ABW i AW oraz zachowania się premiera w sprawie Rywina są jednoznacznie krytyczne. - Ujawnienie spisu kontaktów telefonicznych premiera i jego współpracowników może być dla nich drobną przykrością, ale na pewno nie zagraża bezpieczeństwu państwa. Jak zakładam, numer pana premiera można zmienić w każdej chwili, a wątpię, by tajne rozmowy, np. z wywiadem, prowadził ze zwykłego telefonu - powiedział nam Janusz Pałubicki, były minister koordynator ds. służb specjalnych.

Zbigniew Wassermann (PiS), członek Komisji ds. Służb, uważa, że oświadczenia przedstawicieli agencji nie mają sensu, ponieważ komisja nie zamierzała upubliczniać bilingów premiera. - Te oświadczenia służb to swego rodzaju parasol ochronny - stwierdził.

Podobnie uważa Józef Gruszka (PSL), wiceszef komisji ds. służb: - Powinno się przekazać te informacje komisji śledczej pod warunkiem zachowania tajności. To służyłoby uwiarygodnieniu sprawy. Ukrywanie ich wzbudzi podejrzenia, że może "coś jest na rzeczy".

Także Antoni Macierewicz, były szef MSW i członek Sejmowej Komisji ds. Służb, jest zdania, że komisja powinna dostać bilingi. - Ujawnienie wszystkich kontaktów premiera pewnie ułatwiłoby pracę obcym służbom. Ale przecież można nałożyć klauzulę i jeszcze dodać oficera ABW, który dopilnuje procedury zachowania bezpieczeństwa - stwierdził. Dodał też, że "śledztwo to nie może ominąć premiera", bo Rywin się na niego powoływał. - Spodziewałbym się, że premier sam ujawni te bilingi, a nie będzie się zasłaniał służbami. Jeśli premier będzie się tu chował za nimi, to inne osoby wymieniane w sprawie, np. Włodzimierz Czarzasty i Robert Kwiatkowski, pójdą w jego ślady, blokując prace komisji - podsumował.

Marek Biernacki, były minister spraw wewnętrznych i administracji i były członek tej samej komisji ocenia jednoznacznie: - Mówienie o zagrożeniu bezpieczeństwa państwa w tym wypadku to bzdura. Obce służby nie muszą się z mediów dowiadywać takich rzeczy. Poza tym posłowie mają prawo dostępu do informacji tajnych i można je im dać z klauzulą, ale tylko na dokumenty i numery telefonów ważne ze względów międzynarodowych lub wywiadowczych. Z drugiej strony sam premier powinien przekazać bilingi, bo przejrzystość życia politycznego jest najważniejsza. Tego typu oświadczenie to obraza parlamentu. Służby specjalne próbują ukierunkowywać śledztwo.

Prokuratura Apelacyjna w Warszawie wydała wczoraj zgodę na publiczne wykorzystywanie w pracach komisji akt śledztwa w sprawie Lwa Rywina, wyłączając zeznania Wandy Rapaczyńskiej, prezes Agory.

- Chcę wszystko ujawnić - ogłosiła chwilę potem Rapaczyńska.

- Nie jest dobrze, że prokuratura zezwala na posługiwanie się publicznie tylko częścią akt - komentował Ryszard Kalisz (SLD).

- Siadę z dziennikarzami i pokażę w aktach wszystkie błędy prokuratury - zapowiadał Zbigniew Ziobro (PiS).

Po południu prokuratura apelacyjnej zdecydowała: Koniec tajemnic. - Ujawniamy całość - powiedział nam jej szef Zygmunt Kapusta.

Tymczasem główny bohater afery pojawił się wczoraj na uroczystości odczytania nominacji do Polskich Nagród Filmowych Orły 2003. Lew Rywin, producent "Pianisty", powiedział dziennikarzom, że cały czas trzymał kciuki za film. "Pianista" zdobył nominację do Orłów 2003 we wszystkich trzynastu kategoriach. Rywin nie chciał komentować swojej sprawy. Zwrócił się przy okazji do telewizji, by nie pokazywała jego twarzy zasłoniętej "kratką". - Moja twarz jest znana i pokazywanie jej w taki sposób jest przykre - stwierdził.

Anna Marszałek, Michał Majewski, LUZ

- Członek komisji śledczej Piotr Smolana z Samoobrony uważa, że prokuratura prowadzi śledztwo przeciwko Lwu Rywinowi pod dyktando "Gazety Wyborczej". Według niego szef gazety Adam Michnik namawiał Rywina do podjęcia się płatnej protekcji. Wskazuje na to, jego zdaniem, analiza nagrania rozmowy Rywina z Michnikiem. Smolana złożył na ręce komendanta Komisariatu Stołecznego Policji zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Michnika. Przestępstwo to miałyby polegać na podżeganiu do czynu zabronionego. (PAP)

Jan Nowak-Jeziorański Uważam, że wzorem dla premiera Leszka Millera, po tym jak zażądano ujawnienia wykazu jego telefonów i spotkań, powinno być zachowanie prezydenta Billa Clintona. Podczas afery z Moniką Lewinsky prezydent Clinton ujawnił swoje dzienniki podawcze i szczegóły własnego kalendarza, gdy jego życie prywatne znalazło się pod ostrzałem mediów. Nie zasłaniał się w tych sprawach tajemnicą służbową ani bezpieczeństwem państwa. Premier Miller też nie powinien zasłaniać się tajemnicą służbową.

W Ameryce wszystko jest jawne

ZBIGNIEW LEWICKI - DYREKTOR OŚRODKA STUDIÓW AMERYKAŃSKICH UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Jak w Stanach Zjednoczonych prowadzone są śledztwa podobne do "sprawy Rywina"?

W Stanach obie izby Kongresu mają stałe komisje i podkomisje, które rutynowo prowadzą przesłuchania i dochodzenia w sprawach będących przedmiotem zainteresowania członków Kongresu albo opinii publicznej.

Od czasu do czasu dochodzi jednak do powołania specjalnych komisji śledczych. Tak było z aferą Watergate. Komisja miała dojść, co się wydarzyło naprawdę, w kontekście ewentualnego udziału w tej sprawie prezydenta Stanów Zjednoczonych. W pewnym momencie wydawało się, iż śledztwo utknęło w martwym punkcie. Do czasu, aż dość przypadkowo wezwany przed komisję urzędnik Białego Domu oświadczył, że przecież wszystkie rozmowy w prezydenckim Gabinetcie Ovalnym były nagrywane na taśmy. Najważniejszy element afery został ujawniony dzięki wezwaniu świadków niekoniecznie w określonym celu. Potem rozważano, czy Nixon musi wydać taśmy z nagraniem, czy też jako prezydent jest przed tym prawnie chroniony. Sąd Najwyższy stwierdził, że takiej ochrony nie ma, i ujawnione taśmy przypieczętowały los prezydenta.

Nie ma żadnych tajemnic przed komisją. Pyta ona kogo chce, o co chce i jak chce. Natomiast istotną różnicą między tym, co dzieje się w Polsce, a tym, co w Stanach, jest to, że tam każda komisja ma duży, profesjonalny zespół badawczy. Każdy kongresman otrzymuje przygotowane materiały i wie, o co pytać.

Stający przed komisją może powołać się na piątą poprawkę do konstytucji, czyli prawo do odmowy zeznań, gdyby miały go one obciążyć. Ale jest to powszechnie odbierane jako samooskarżenie i bardzo często komisja grzebie dalej, aż dojdzie, co osoba ta chciała ukryć.

Posiedzenia komisji są zawsze jawne, z udziałem dziennikarzy. Nie są standardowo pokazywane w telewizji, bo może ich być kilkanaście jednocześnie, ale różne kanały transmitują najciekawsze obrady. Nie ma mowy, by coś się odbywało przy drzwiach zamkniętych, bo to w parlamentarystyce amerykańskiej w zasadzie nie występuje. Oczywiście pomijając komisje zajmujące się sprawami wywiadowczymi czy wojskowymi, których obrady z definicji są tajne. -

RZECZPOSPOLITA, 08.02.03 Nr 33

Co powie Michnik

- Czuję się tak, jakbym to ja popełnił przestępstwo, jakbym to ja przyszedł do Lwa Rywina z korupcyjną propozycją - powiedział Adam Michnik po wyjściu w piątek z trzygodzinnego przesłuchania w prokuraturze

W sobotę, punktualnie o godzinie 11.00 w Sali Kolumnowej Sejmu Adam Michnik, naczelny "Gazety Wyborczej", stanie przed sejmową komisją śledczą, która próbuje wyjaśnić aferę Rywina. Niektórzy posłowie wiedzą już, o co go pytać.

Przygotowywali się do tego spotkania przez cały dzień. - Właśnie siedzę i studiuje ustawę o komisji śledczej i kodeks postępowania karnego, by moje pytania były merytorycznie związane ze sprawą. Nie chcę popełnić faux pas - mówił nam o 14.20 Stanisław Rydzoń (SLD). Wieczorem zebrał wszystkie wątpliwości, jakie pojawiły się po przeczytaniu wszystkich dokumentów o sprawie. - Jedną wątpliwość mogę ujawnić: dlaczego "Gazeta Wyborcza" przez sześć miesięcy zwlekała z ujawnieniem całej historii?

Co zdenerwowało naczelnego

Jego klubowy kolega Jerzy Szteliga jeszcze wieczorem przeglądał akta sprawy, jakie przekazała prokuratura. - Mam całą masę wątpliwości. Na przykład, skąd u człowieka tak wyrafinowanego politycznie, człowieka, który kreuje wyobraźnię i świadomość Rzeczypospolitej, tyle nerwów, skąd taka nadpobudliwość i taka nerwowość? Czy to próba "korupcji" go zdenerwowała, czy coś innego? - był ciekaw.

Bogdan Lewandowski (SLD) ustawy i k.p.k. w piątek nie studiował, bo "poznał je wiele lat wcześniej". - Zaraz zabieram się za czytanie akt i czekam na efekt piątkowych zeznań Adama Michnika w prokuraturze - mówił nam po południu. Powtórzył, że rozpoczynanie przesłuchań od naczelnego "Gazety" nie jest dobrym pomysłem (Lewandowski chciał, by na pierwszy ogień poszedł Lew Rywin), ale i do Michnika ma wiele pytań, których nie chciał przed przesłuchaniami ujawnić.

Kto się z kim spotkał

Piotr Smolana z Samoobrony pytania do Michnika miał spisane na kartce, a kiedy dzwoniliśmy, tej kartki akurat przy sobie nie miał. - Hmm, nie wszystko teraz pamiętam. Mogę tylko powiedzieć, że intencje Michnika nie są według mnie zbyt czyste. Nie jestem pewien, kto pierwszy do kogo przyszedł: Rywin do Michnika czy Michnik do Rywina - zdradził.

Czy był jakiś układ

Józef Szczepańczyk (PSL), któremu przerwaliśmy studiowanie dotychczasowych wypowiedzi Michnika i notatek z akt prokuratury, właśnie zabierał się za formułowanie pytań. - Najbardziej ciekawią mnie powody wstrzymania publikacji, czy i jaki związek miała z tym prywatyzacja Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych [startowała w niej Agora - red.] - wyjawiał nam ludowiec. Bohdan Kopczyński (LPR) już w piątek - jak twierdził - był przygotowany do sobotnich przesłuchań. - Zastanawia mnie układ, jaki na przestrzeni ostatnich lat łączył "Gazetę", Adama Michnika, Lwa Rywina i związane z nimi instytucje - powiedział.

- Mam już pytania, które wynikają z braku pytań, których nie zadała i nie wyjaśniła do tej pory prokuratura, ale nie chciałbym mówić o szczegółach - mówi Zbigniew Ziobro (PiS).

Nałęcz nie będzie przeszkadzał

Czy na wszystkie pytania, jakie członkowie komisji będą chcieli zadać, Michnik będzie musiał odpowiedzieć? Prof. Piotr Kruszyński powiedział PAP, że przewodniczący komisji będzie miał prawo, jak sędzia prowadzący proces, niektóre pytania uchylać, jeśli uzna je za nieistotne dla sprawy, tendencyjne lub obraźliwe. - Od półtora roku jestem wicemarszałkiem Sejmu i uważam, że powinno się jak najmniej ingerować w wypowiedzi poselskie. Będę się zachowywał tak, by umożliwić kolegom jak najbardziej docieklive i wszechstronne zadawanie pytań. Oczywiście, jeśli pytania będą się mieścić w zakresie działań komisji - odparł szef komisji Tomasz Nałęcz (UP).

- Posiedzenie komisji na żywo będzie można zobaczyć za pośrednictwem dwóch stacji telewizyjnych - TVN24 i TVP3 oraz wysłuchać w Radiu Parlament (fale długie 198 kHz). **LUZ, M.M.**

- Komisja śledcza postanowiła wczoraj na zamkniętym posiedzeniu, że upoważni do udziału w czynnościach prokuratury Stanisława Rydzonia z SLD. Wcześniej jedyną osobą upoważnioną był Zbigniew Ziobro z PiS, ale ze względu na zły stan zdrowia zwrócił się on do innych członków komisji, aby pomogli mu w tych pracach. Ziobro dodał, że chodzi również o sytuację, w której pewne czynności prokuratury będą prowadzone równolegle, np. przeszukiwania budynków. **(PAP)**

MIESIĄC KOMISJI ŚLEDCZEJ

10 stycznia - Sejm powołuje pierwszą w III RP komisję śledczą. Opozycji zależy, żeby koalicja SLD - UP - PSL nie miała w niej większości, ale przegrywa głosowanie, bo na sali brakuje m.in. 10 posłów PO. W dziesięcioosobowej komisji SLD i UP mają pięciu przedstawicieli. - SLD będzie tak naprawdę śledzić samego siebie - ubolewa Jan Maria Rokita z Platformy.

14 stycznia - Komisja wybiera swojego przewodniczącego, zostaje nim Tomasz Nałęcz z Unii Pracy. Opozycja krytykuje ten wybór, mówiąc, że Nałęcz nie jest prawnikiem i reprezentuje partię ściśle współpracującą z SLD. Posłowie dwóch największych klubów opozycyjnych - PO i PiS - nie znaleźli się w prezydium komisji.

15 stycznia - Zbigniew Ziobro, członek komisji z PiS, ujawnia, że prokuratura sugerowała możliwość przesłuchania go w jednym z wątków afery Rywina, co wykluczyłoby go z prac komisji. Mówi, że to nadużywanie prawa w celach politycznych. - Prokuratura podlega uwikłanemu w tę sprawę prokuratorowi generalnemu Grzegorzowi Kurczukowi, którego bezpośrednim przełożonym jest, nie mniej uwikłany, Leszek Miller - komentuje poseł.

21 stycznia - Tomasz Nałęcz proponuje, żeby komisja śledcza obradowała w niewielkiej sali, która mieści kilkadziesiąt osób. Pomysł krytykują dziennikarze. Marszałek Sejmu decyduje, że komisja będzie pracować w Sali Kolumnowej.

23 stycznia - Prokuratura ma zastrzeżenia do jawności prac komisji śledczej - ujawnia "Rzeczpospolita". Nie godzi się bowiem na publiczne wykorzystanie materiałów z jej śledztwa.

29 stycznia - Szef Prokuratury Apelacyjnej Zygmunt Kapusta i prokurator prowadząca śledztwo Anna Baranowska przekazują komisji kserokopie dokumentów ze śledztwa. Stawiają jednak warunek - informacje z akt nie mogą być upubliczniane.

3 lutego - Pseudośledztwo, pozorne postępowanie - mówią o miesięcznej pracy prokuratury, po zapoznaniu się z aktami, opozycyjni członkowie komisji. Również przewodniczący Nałęcz daje do zrozumienia, że jest rozczarowany tym, co przeczytał. Poseł Ziobro zgłasza wnioski, które "mają być odpowiedzią na zaniechania prokuratury". Domaga się m.in. dostarczenia komisji billingów prezesa TVP oraz szefa rządu i jego współpracowników, a także zabezpieczenia księgi gości Kancelarii Premiera.

4 lutego - Komisja głosami koalicyjnej większości decyduje, że badane będą tylko wykazy rozmów oskarżonego Lwa Rywina. Większość uznaje, że podobne działania dotyczące innych osób, których nazwiska pojawiały się w aferze, mogłyby naruszyć ich dobra osobiste. Poseł Rokita ocenia, że po tej decyzji szanse na wyjaśnienie afery spadły o 50 proc.

5 lutego - Prawnicy Rywina składają wniosek o wykluczenie posła Ziobry z komisji śledczej. Powodem ma być "brak obiektywizmu" posła.

6 lutego - Prokuratura zmienia zdanie - odtajni akta sprawy na użytek prac komisji. **M.M.**

Komentarz - Czyja afera?

Śledztwo w sprawie korupcyjnej propozycji Lwa Rywina przybrało zdumiewający kierunek. Rozpoczęte z półrocznym opóźnieniem, prowadzone jest w sposób, który każe podejrzewać, iż jego celem nie jest odkrycie całej prawdy o aferze i wszystkich jej uczestnikach, lecz ograniczenie kręgu podejrzanych do osoby Rywina. Wskazuje na to przedziwna bierność prokuratury, która zaniechała tak podstawowych czynności, jak: przeszukanie mieszkania głównego podejrzanego, zabezpieczenie komputerów, spisu rozmów telefonicznych wszystkich osób zamieszanych w sprawę, ich kalendarzy, telefonów komórkowych itp.

Zupełnie niezrozumiały jest też fakt, że głównym zainteresowaniem prokuratury, a także sejmowej komisji śledczej cieszą się na razie Adam Michnik i inne osoby z kierownictwa Agory. Wydaje się, że powtórne przesłuchanie redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej" nie miało znaczenia dla sprawy. Po co więc organa śledcze wciąż wzywają Michnika i jego redakcyjnych kolegów? Czego nowego mogą się dowiedzieć o jego spotkaniu z Rywinem? Czy nie chodzi zatem o to, aby podważyć wiarygodność szefa jednej z dwóch najważniejszych gazet w Polsce, aby na osobę Adama Michnika rzucić cień podejrzeń i insynuacji? I aby odwrócić uwagę od innych zamieszanych w sprawę osób, których prokuratura traktuje znacznie bardziej wyrozumiale?

"Gazeta Wyborcza" popełniła przy ujawnianiu afery Rywina oczywiste błędy - zarówno z punktu widzenia sztuki dziennikarskiej, jak i obywatelskich powinności. Nie może to jednak oznaczać stawiania jej szefa w jednym szeregu z negatywnym bohaterem tej afery. To Adamowi Michnikowi złożono korupcyjną propozycję i to on ją odrzucił - a nie odwrotnie. Trzeba o tym pamiętać.

Maciej Łukasiewicz

Pierwsze przesłuchanie komisji śledczej w aferze Rywina - Posłowie chcą, by sąd zwolnił naczelnego "Gazety Wyborczej" z tajemnicy dziennikarskiej

RZECZPOSPOLITA, 10.02.2003 Nr 34

Przyszeli Michnik do sejmu

- Spróbujcie, panowie, na chwilę wejść w moje buty. Przychodzi do was człowiek znany, w jakiś sposób respektowany i, powołując się na szefa rządu, żąda jakiś gigantycznych pieniędzy. Każdy by zgłupiał - Adam Michnik przekonywał, że nie było jego intencją ukrywanie propozycji Rywina.

Naczelnny "Gazety Wyborczej" pojawił się na sobotnich przesłuchaniach komisji śledczej w dobrym nastroju. - Trzy lata jak dla brata - żartował, gdy usłyszał, ile lat więzienia grozi mu za składanie fałszywych zeznań.

Zeznania przed komisją Michnik - ubrany w białą koszulę i garnitur - rozpoczął od dwudziestominutowego wystąpienia. Przypomniat, co wydarzyło się w lipcu - producent telewizyjny Lew Rywin przyszedł do prezes Agory Wandy Rapaczyńskiej i zaproponował (powołując się na dyspozycję Leszka Millera i grupy trzymającej władzę) korzystne zmiany w prawie medialnym w zamian za 17,5 mln dolarów łapówki. Mówił, że pierwszą rozmowę z Rapaczyńską na ten temat przeprowadził na tarasie Agory, ponieważ bał się podsłuchów.

Michnik cytował słynną notatkę Rapaczyńskiej, którą ta napisała w lipcu, po pierwszym spotkaniu z Rywinem: "(É) Lew poinformował mnie również, że premier oczekuje od Lwa raportu w tej sprawie na piśmie, zawierającego konkretne zobowiązania z naszej strony. Odpowiedź nie musi być natychmiast, ale jeśli nie zobowiązemy się konkretnie do realizacji powyższych trzech punktów (chodziło o nieatakowanie premiera w gazecie, przekazanie na konto SLD 5 proc. wartości transakcji zakupu Polsatu, zatrudnienie w Polsce Rywina, który dbałby o interesy premiera - przyp. red.), to, cytując Lwa, premier powiedział, że jeśli nawet ustawa w akceptowalnej dla was formie przejdzie przez rząd, to on ją potem upierdoli w Sejmie i Senacie".

Czarzasty jak bumerang

Michnik opowiedział, jak spotkał się z Rywinem, a potem udał się do premiera, by wyjaśnić udział Leszka Millera w sprawie. Cztery dni później Michnik nagrał Rywina. Tego samego dnia premier doprowadził do konfrontacji, podczas której Rywin wyparł się, że działał w imieniu szefa rządu. - Leszek Miller tym samym zdemaskował oszusta - tak podsumował lipcowe zdarzenia.

W kilku słowach opisał potem, jak "Gazeta" próbowała wyjaśnić, "z czym mieliśmy do czynienia": czy była to prowokacja polityczna, by skompromitować "Gazetę", czy próba korupcji, czy też pojedyncze działania mitomana, czyli Rywina. Sprawy "Gazeta" nie wyjaśniła, ale Michnik proponował, by przyjrzeć się reakcjom na ujawnienie afery. - To, co się teraz dzieje, nie wróży nic dobrego, bo Lew Rywin znalazł poważnych obrońców - stwierdził. Wymienił trzech. Najpierw "Trybunę", "dziennik związany ze stronnictwem, które trzyma władzę", który dowodzi, że Rywin jest ofiarą spisku przeciwko premierowi, i który na swych łamach doradza, by Rywin odmawiał zeznań, a więc zatajał prawdę. Potem wymienił prokuraturę i "jej dziwne działania". - Żaden oskarżony czy podejrzany nie miał tak komfortowych warunków jak Rywin - stwierdził. A na koniec środowiska SLD. - Wysoki polityk SLD powiedział w prasie, że moja rozmowa z Rywinem była naganna, ale przestępstwem nie jest. Cóż to znaczy? Czy to rozmowa naganna czy skandaliczna? W jakim kraju my żyjemy? - pytał naczelnny "Gazety".

Tłumaczył, że nie poszedł do prokuratury ze sprawą Rywina, ponieważ myślał, iż zostanie ona zlekceważona, tak jak inne historie. Podał przykład.

- Niedługo wcześniej prasa podała informację, że wysoki urzędnik państwowy wymuszał na współwłaścicielu jednej z komercyjnych stacji radiowych określone zachowania, i to prokuratury w ogóle nie zaciekało, ten wysoki urzędnik nawet nie został wezwany na przesłuchanie, żadnych zarzutów mu nie postawiono - powiedział Michnik, a potem wprost dodał, że chodzi o Włodzimierza Czarzastego, sekretarza Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Rywinowa mowa

Po wystąpieniu Michnika jedni posłowie pytali o szczegóły, inni o tło sprawy. Szef komisji Tomasz Nałęcz (UP) pytał o inne osoby związane z lewicą, z którymi na ten temat (jeszcze przed konfrontacją u premiera) rozmawiał Michnik: Dariusza Szymczychę, Krzysztofa Janika i Jerzego Koźmińskiego. Michnik odparł, że włączanie ich do tej sprawy jest nieporozumieniem. Nie ujawnił im bowiem propozycji Rywina, a tylko pytał, co powiedzieliby, gdyby w imieniu jednego z ministrów do łódzkiego oddziału "Gazety" zgłosił się ktoś i zażądał określonego zachowania w zamian za łapówkę. - Gorąco proszę, by tych osób w sprawę nie mieszać, bo jedyną ich winą było to, że zechciały się ze mną spotkać - apelował Michnik. Nałęcz pytał Michnika, czy miał świadomość, że ciąży na nim społeczny obowiązek zawiadomienia organów ścigania o sprawie. Michnik odparł, że nie. - Cała moja wiedza sprowadzała się do tego, że bałem się, że zostanę potraktowany jako facet z Klewek, który opowiada brednie i obciąża ludzi powszechnie znanych i szanowanych - powiedział. Dodał, co powtarzał jeszcze kilkakrotnie, że nie ukrywał całej sprawy i rozmawiał o niej z 200 - 300 osobami ze świata polityki, mediów, biznesu, próbując ustalić, "gdzie prowadzą te nitki". - Opowiadałem wszystkim, którzy tylko chcieli tego słuchać - mówił.

Bogdan Lewandowski (PSL) pytał, dlaczego z opublikowanego przez "Gazetę" 27 grudnia zapisu rozmowy wypadło zdanie, że Rywin przyszedł na rozmowę z Michnikiem, powołując się z jednej strony na grupę trzymającą władzę, z drugiej na Andrzeja Zarębskiego i Wandę Rapaczyńską. - To był zwykły, szkolny błąd - odparł Michnik, tłumacząc, że zdanie to wypadło podczas skracania artykułu. Lewandowski ciekaw był też, dlaczego w rozmowie z Rywinem Michnik posługiwał się "knajackim językiem". - Z Anglikiem mówi się po angielsku, z Chińczykiem po chińsku, a z Rywinem po rywinowemu - wyjaśnił Michnik.

Józef Szczepańczyk (PSL) był ciekaw, czy Michnik przekazał premierowi płytę z nagraniem słynnej rozmowy z Rywinem. Michnik potwierdził, że udał się z nią do premiera. - Ale muszę powiedzieć ze wstydem, że z tych emocji i wrażeń zapomniałem to premierowi dać. Tę rzecz ze sobą miałem, powiedziałem, że mam, tylko nie dałem mu jej - stwierdził. Nagrania nie przekazał także ministrowi sprawiedliwości Grzegorzowi Kurczukowi, bo - jak stwierdził - ani o notatkę Rapaczyńskiej, ani o nagranie minister się nie dopytywał.

- Odniosłem wrażenie wtedy, że minister się odnosił ogromnie sceptycznie do jakichś tych naszych poszukiwań, do naszych działań, do śledztwa dziennikarskiego. Miałem wrażenie, jakby nie bardzo serio traktował te rozmaite moje przypuszczenia - relacjonował Michnik.

Rywin z Nikolskim

Zbigniew Ziobro (PiS) pytał o szczegóły lipcowych wydarzeń, m.in., jak to się stało, że ok. 10 minut po wyjściu Rywina z gabinetu Michnika, do naczelnego "Gazety" zadzwoniono z Kancelarii Premiera z propozycją spotkania jeszcze tego samego dnia wieczorem. Michnik przyznał, że trochę się zdziwił, bo Rywin mówił mu, że wybiera się jeszcze tego samego dnia do Kijowa. Ziobro był ciekaw, skąd Kancelaria Premiera mogła wiedzieć, że akurat tego dnia i o tej godzinie miało miejsce spotkanie z Rywinem. Michnik odparł, że nie pamięta dokładnie i że być może były dwa takie telefony i rozmowa po wyjściu Rywina mogła być właśnie drugą rozmową w tej sprawie.

Michnik ujawnił też, że kiedy udał się do premiera, w saloniku, w sąsiedztwie gabinetu premiera, spotkał Rywina, który siedział tam razem z Lechem Nikolskim (ówczesnym szefem gabinetu premiera). Powiedział też, że spotykając przy rozmaitych okazjach premiera, Miller pytał Michnika: - No, co to tam się dzieje? Ciągniecie to, tak?

- Mówiłem: Jeszcze trochę to nam zejdzie. Ale cały czas miałem wrażenie, że premier z przymrużeniem oka traktuje tę hipotezę, że tam była jakaś grupa mocodawców, do której to z kolei hipotezy ja byłem przywiązany - powiedział.

Największe emocje wywołały jednak pytania Jana Rokity (obszerne fragmenty stenogramu na czwartej stronie "Rz").

Przesłuchanie Michnika będzie kontynuowane dziś, od dziewiątej rano. **Michał Majewski**

Luiza Zalewska

Posłowie cytują Kwiatkowskiego, Kwiatkowski zaprzecza

"Moim zdaniem to Rywina poproszono o pomoc w popieraniu właściwego dla Agory kształtu ustawy. Rywin wprost powołał się na Agorę, podając się za jej wysłannika" - tak zeznał w prokuraturze prezes TVP Robert Kwiatkowski. Słowa te zacytował z akt prokuratury Stanisław Rydzoń (SLD). Na zeznania Kwiatkowskiego powołał się też Jan Rokita (PO), który zacytował inne słowa Kwiatkowskiego: "Coraz więcej informacji potwierdza historię pt.: Przychodzi Agora do Rywina". Wywołało to wielkie oburzenie Adama Michnika. - To był dla mnie szok po prostu - powiedział naczelny "Gazety".

Kilka godzin później rzecznik TVP Jacek Snopkiewicz wydał komunikat, w którym oświadczył, że "pytania Jana Rokity podczas sobotniego przesłuchania Adama Michnika przed sejmową komisją śledczą wypaczały sens zeznań prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego w prokuraturze".

- W zeznaniach tych prezes nie stawiał bowiem żadnych hipotez dotyczących tzw. sprawy Rywina - napisał rzecznik TVP. Zaznaczył, że do momentu publikacji w "Gazecie Wyborczej" Kwiatkowski znał przede wszystkim wersję wydarzeń opowiadaną przez Rywina.

Zapowiedział, że dziś prezes TVP zwróci się na piśmie do prokuratury z prośbą o ujawnienie opinii publicznej całości swoich zeznań. **LUZ**

Premier jest gotowy przekazać billingi

Leszek Miller nie widzi przeszkód, by prokuratura bądź komisja śledcza otrzymały wykazy jego rozmów telefonicznych. Pod warunkiem, że się o to zwrócą. Na razie tego nie zrobiły. - Jeśli kompetentne organa: prokuratura czy komisja śledcza, z zachowaniem wszystkich procedur, zwrócą się o uzyskanie tych billingów czy innych materiałów, nie ma żadnych przeszkód, żeby te organa to otrzymały - powiedział Miller w sobotnim programie "Gość Jedyński". Sprawa billingów premiera i jego współpracowników wzbudziła gorące kontrowersje. Przeanalizowania wykazu rozmów telefonicznych domagał się w zeszłym tygodniu poseł Zbigniew Ziobro z PiS. Komisja odrzuciła ten wniosek, decydując, że badane będą tylko kontakty Rywina.

W zeszłym tygodniu służby specjalne, po pytaniu zadany przez redaktora naczelnego PAP, oświadczyły, że ujawnienie billingów jest groźne dla bezpieczeństwa państwa. W czwartek Andrzej Barcikowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wyjaśniał "Rz", że doszło do nieporozumienia i służby nie widzą przeszkód, by billingi trafiły do komisji bądź prokuratury.

Wczoraj Ryszard Kalisz z SLD nie wykluczył, że komisja wróci do tej sprawy.

- Mam nadzieję, że ten błąd zostanie zniwelowany - skomentował inny członek komisji Jan Rokita (PO).

Michnik interweniuje, "Polityka" wycina

Z wrześniowego wywiadu tygodnika "Polityka" z premierem Millerem wypadł fragment dotyczący afery Rywina. Stało się tak po interwencji Adama Michnika u Janiny Pradowskiej, publicystki tego pisma i dziennikarki roku w plebiscycie pisma "Press". Sprawę ujawnili w sobotę członkowie komisji śledczej, powołując się na akta prokuratorskie. Michnik nie potrafił wyjaśnić, skąd wiedział, że temat ma zostać poruszony w "Polityce" i czy powiedział mu o tym premier.

Paradowska opowiadała w niedzielnym programie "Loża prasowa" w stacji TVN, że w połowie września, dwa dni po wysłaniu premierowi wywiadu do autoryzacji, zadzwonił do niej Michnik i poprosił o spotkanie. Potem w trakcie godzinnej rozmowy wtajemniczył ją w szczegóły sprawy Rywina i poprosił o wycięcie tego wątku z wywiadu z Millerem. Paradowska tłumaczyła w sobotę PAP, że Michnik argumentował, iż to jest sprawa "Gazety Wyborczej", dziennik prowadzi własne śledztwo i że "jednocześnie jest pewien czas polityczny niespecjalnie sprzyjający temu, żeby to ujawniać, bo oni ["GW" - red.] mają swoje kalkulacje". Publicystka dodała, że przekonała ją argumentacja Michnika.

W "Loży prasowej" Paradowska tłumaczyła, że decyzję o wycięciu fragmentu podjęła cała redakcja "Polityki". Dodała, że sprawa w rozmowie z Millerem pojawiła się w kontekście pytań o artykuł w tygodniku "Nie", w którym Jerzy Urban zaapelował, aby premier ujawnił afery w swoim otoczeniu. Publicystka pytała premiera, czy ma to związek z plotkami, które chodzą po Warszawie o Rywinie.

- Pan premier powiedział, że rozmawiał z Urbanem, że Urban mu nie wskazał tej afery, natomiast jeśli chodzi o te plotki chodzące po Warszawie, to jest to oparte na nieporozumieniu - tak Paradowska relacjonowała sprawę nieopublikowanego fragmentu wywiadu. **M.M.**

Rozmowa z Jerzym Naumanem, adwokatem - Prawo do tajemnicy

Czy Adam Michnik miał prawo odmówić odpowiedzi na pytanie Jana Rokity, co "Gazeta Wyborcza" zrobiła, by sprawdzić związki prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego z aferą Lwa Rywina? Czy mógł powołać się na ochronę tajemnicy dziennikarskiej?

JERZY NAUMAN: Z dziennikarską tajemnicą zawodową jest tak, że to dziennikarz ocenia, czy udzielana odpowiedź naruszałaby tę tajemnicę, czy nie. Jakkolwiek w tym przypadku domniemywać można, że zapytanie Jana Rokity jest bardziej zapytaniem o metody działania, a nie o źródła. Można więc było jego pytanie jeszcze uszczegółowić, przed uruchomieniem trybu odmowy odpowiedzi i przed rozważaniami, czy jest to sprawa, która wymaga zwrócenia się do sądu o uchylenie tajemnicy. Takie dodatkowe pytanie pozwoliłoby doprecyzować, o co pytającemu chodzi i być może Adam Michnik mógłby rozstrzygnąć dylemat, czy ma odpowiadać, czy nie.

Czy sąd może uchylić prawo Michnika do zachowania tajemnicy i nakazać mu ujawnienie wszystkich informacji włącznie z nazwiskami?

Tak mówi przepis. Po zmianach w kodeksie postępowania karnego tajemnica dziennikarska została ograniczona.

Według pana, ile trzeba będzie czekać na decyzję sądu?

Z tego, co wiem, komisja śledcza uzgadniała z prezesem sądu okręgowego zasady współpracy. Domyślać się więc należy, że postępowanie będzie tutaj bardzo sprawne. Wykluczone są normalne terminy sądowe, to raczej będzie kwestia kilku dni. **rozmawiał Piotr Śmiłowicz**

Adam Michnik Wielu polityków mówi o nim z przekąsem "wiceprezydent" z uwagi na szczególnie dobre relacje z Aleksandrem Kwaśniewskim. Uważany jest za jedną z najbardziej wpływowych postaci w historii III RP.

Ojcem Michnika był przedwojenny działacz komunistyczny Ozjasz Szechter. Młody Michnik należał do prowadzonego przez Jacka Kuronia "czerwonego harcerstwa" - Walterowców. To wówczas związał się ze środowiskiem, z którym dzielił swoje późniejsze losy. Jeszcze w szkole był uczestnikiem zebrań Klubu Krzywego Koła, a po jego rozwiązaniu w 1962 r. sam założył z rówieśnikami dyskusyjny Klub Poszukiwaczy Sprzeczności. Działalność klubu była tak dolegliwa dla władz, że 17-letni Michnik został w 1963 roku osobiście napiętnowany przez samego Władysława Gomułkę. W 1965 roku trafił po raz pierwszy do aresztu stając się jednym z przywódców opozycji na Uniwersytecie. To wyrzucenie Michnika z Uniwersytetu Warszawskiego w 1968 roku stało się zapalnikiem wydarzeń marcowych. W sumie w komunistycznym więzieniu spędził sześć lat. W 1976 roku napisał znaczącą dla dziejów opozycji w PRL książkę "Kościół, lewica, dialog", w której propagował zbliżenie katolików i tzw. lewicy laickiej (tak nazwał własne środowisko) wobec totalitarnej dyktatury. Po utworzeniu KOR, a potem KSS KOR był jednym z przywódców komitetu. Jego pozycję jako autorytetu moralnego opozycji ugruntował stan wojenny, który spędził w więzieniu, i następne lata. W drugim obiegu opublikował wówczas kilka ważnych tekstów. Echem odbił się jego list do generała Czesława Kiszczaka z 1983 roku, w którym Michnik rugał szefa MSW za sformułowaną przez władzę propozycję wolności w zamian za emigrację.

Był znaczącym uczestnikiem obrad Okrągłego Stołu. W ich wyniku powstała "Gazeta Wyborcza", którą Michnik od początku kierował. W wyborach 1989 roku został wybrany posłem, ale był nim tylko w Sejmie kontraktowym (1989 - 1991). Przed utworzeniem rządu Tadeusza Mazowieckiego, napisał tekst "Wasz prezydent, nasz premier". Kierowana przez Michnika gazeta stanęła po stronie Tadeusza Mazowieckiego w "wojnie na górze" z ubiegającym się o prezydenturę Lechem Wałęsą.

W okresie Okrągłego Stołu Michnik poznał swoich dotychczasowych antagonistów - generałów Kiszczaka i Wojciecha Jaruzelskiego. Wtedy publicznie oświadczył, że zmienił o nich zdanie i docenił ich zasługi dla pokojowego demontażu ustroju PRL. Wielokrotnie publicznie generałów bronił i krytykował próby rozliczania ich za przeszłe dokonania. Stosunek do obu postaci stał się też wyznacznikiem stosunku Michnika do rozliczania PRL. Sprzeciwiał się dekomunizacji, lustracji, przekonywał, że ludzi należy oceniać nie według kryteriów historycznych, ale biorąc pod uwagę ich stosunek do budowanej demokracji. We wrześniu 1995 r. wspólnie z Włodzimierzem Cimoszewiczem opublikował w "Gazecie" tekst "O prawdę i pojednanie", w którym apelował o ostateczne zasypanie historycznych rowów.

W lutym 2001 r. na łamach "Wyborczej" udzielił wraz z generałem Kiszczakiem wywiadu: "Pożegnanie z bronią", w którym uznał byłego ministra SW za "człowieka honoru". **p. ś.**

Komentarz - Spektakl demokracji

Sobotnie przesłuchanie Adama Michnika zapoczątkowało merytoryczną działalność sejmowej komisji śledczej, badającej polityczny kontekst afery Lwa Rywina. Ci, którzy poświęcili kilka godzin na oglądanie telewizyjnej transmisji z pewnością nie żałowali. Byli bowiem świadkami autentycznej debaty publicznej na jeden z najbardziej gorących tematów życia społecznego.

Okazało się, że mimo przewagi rządzącej koalicji w składzie komisji, mimo niezbyt szczęśliwych pierwszych posunięć przewodniczącego (telefon do Rywina!), mimo odrzucenia wniosków o przeprowadzenie czynności śledczych wobec premiera i osób z jego otoczenia, które mogą być zamieszczone w sprawę - komisja może pełnić swą misję, jeśli tylko w jej składzie znajdują się ludzie zdeterminowani, by dojść do całej prawdy o wydarzeniach sprzed pół roku.

Przesłuchanie Adama Michnika to jedynie początek tego demokratycznego spektaklu, choć jego odpowiedzi - a także te momenty, w których ich zabrakło - dają wiele do myślenia i pokazują zdumiewającą bierność przedstawicieli władz, których powinnością było zajęcie się tą sprawą wiele miesięcy temu. Prawdziwy egzamin sejmowa komisja przejdzie, gdy staną przed nią osoby pełniące wysokie funkcje państwowe: prezes telewizji, minister sprawiedliwości, premier. Od tego czy posłowie

będą wobec nich równie dociekliwi jak wobec redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej" i czy wszystko to będziemy mogli także zobaczyć w telewizji zależy nie tylko ocena pracy komisji, ale kondycji polskiej demokracji. **Jan Skórzyński**

Fragmety stenogramu sobotniego posiedzenia komisji śledczej, udostępnionego przez Kancelarię Sejmu.

Rokita pyta, Michnik odpowiada

JAN ROKITA: W zeznaniach niektórych świadków, w aktach, np. zwłaszcza w zeznaniach Roberta Kwiatkowskiego, w dowodach powoływanych w toku śledztwa przez obrońców pana Lwa Rywina, bardzo mocno stawiana jest, w sposób jawnie nieprzyjazny też dla pana, taka oto teza, że inicjatorem całej akcji, która znalazła swój finał w publikacji 27 grudnia w "Gazecie Wyborczej", był albo pan, albo pańskie otoczenie, albo pańscy współpracownicy w "Gazecie Wyborczej". Robert Kwiatkowski tę tezę stawia bardzo mocno. (...)

ADAM MICHNIK: Jestem zbulwersowany, dlatego że nie sądziłem, iż prezes publicznej telewizji mógł powiedzieć coś podobnego w prokuraturze. To dla mnie szok po prostu. (...) Sam pomyślałem, że to ja skłoniłem Lwa Rywina do tego, żeby on do mnie czy do Wandy Rapaczyńskiej przyszedł i zażądał 17,5 mln dolarów, jest tak egzotyczny, że nawet tak znakomity, kartezyjański umysł prezesa Roberta Kwiatkowskiego nie był przede mną podejrzewany, że mógłby coś podobnego wymyślić. To jest po prostu czystej krwi surrealizm. Rzeczywiście, jeżeli tego typu operacje myślowe towarzyszą innym decyzjom prezesa publicznej telewizji, to o przyszłości tej instytucji myślę z niepokojem. (...)

J.R.: Zacytuję panu fragment zeznań Roberta Kwiatkowskiego złożonych w śledztwie, cytuję: "Rywin rozmawiał ze mną, jak twierdził, w imieniu Agory. (...) Rozmowa ta dotyczyła nowelizacji ustawy o mediach, a konkretnie spraw związanych z koncentracją mediów, takiego ograniczenia zakazu koncentracji, aby Agora mogła kupić Polsat. Mówił, że on po przejęciu przez Agorę Polsatu zostałby prezesem Polsatu". I dalej: "Coraz więcej informacji potwierdza historię pt.: ĆPrzychodzi Agora do RywinaĆ. Zarębski potwierdza, że to raczej Agora zwróciła się do Rywina, oczywiście nie w złym celu, tylko z propozycją włączenia się przez Rywina w walkę o właściwy z punktu widzenia Agory kształt ustawy. Moim zdaniem to Rywina poproszono o pomoc w popieraniu właściwego dla Agory kształtu ustawy". Proszę się łaskawie do tego odnieść. (...)

A.M.: Mogę się tylko podzielić swoją intuicją, a nie wiedzą. Otóż intuicja jest taka, że pan prezes publicznej telewizji Robert Kwiatkowski w sposób świadomy i złośliwy mataczy rzeczywistość, dlatego że czym innym jest zwrócić się do Rywina - ja nie wiem, czy taki fakt miał miejsce - ale bym nie widział w tym nic niestosownego, żeby porozumieć się i uzyskać lepszy kształt ustawy, a zupełnie czym innym jest zwracanie się w imieniu szefa rządu z propozycją korupcyjną. (...) Mnie się wydaje, że to, co robi pan prezes publicznej telewizji Robert Kwiatkowski, jest i nieodpowiedzialne, i nieprzyzwoite. Takich rzeczy nie wolno robić. Nie wolno odwracać znaczeń w sytuacji, kiedy mamy sprawę oczywistą, próbę korupcyjną z powołaniem się przestępczym na nazwisko szefa rządu. Nie można teraz tego wszystkiego odwracać do góry nogami i twierdzić, że de facto Agora zwróciła się do Rywina, a nie Rywin do Agory. (...)

Muszę powiedzieć, że bardzo skonsternowany jestem i zaniepokojony, że prezes publicznej telewizji posuwa się do tego rodzaju manipulacji, gry słowami, machinacji i - twierdzą - insynuacji.

J.R.: Czyli (...) pan nie wykluczałby takiej sytuacji, że ktoś z kierownictwa Agory rozmawiał z Rywinem na temat pomocy w lobbowaniu na rzecz ustawy, ale pan wyklucza, ażeby ktokolwiek z kierownictwa Agory zwracał się do Rywina z propozycją jakiegokolwiek korzyści czy też wynagrodzenia w tej sprawie. Czy tak?

A.M.: Absolutnie precyzyjnie odczytał pan moje myśli, z takim mistrzostwem, że sam był nie potrafił.

J.R.: (...) A Polsat, czy pan redaktor mógłby nam to naświetlić? To też pada w wielu zeznaniach w śledztwie, mówi o tym Kwiatkowski. (...) Propozycja kierowania Polsatem. Czy ta propozycja od kogoś

kiedyś padła? Czy ona mogła paść? Czy pan ją składał? Czy ktoś w imieniu kierownictwa Agory ją składał?

A.M.: (...) Mam taką samą możliwość uczynienia Lwa Rywina czy kogokolwiek szefem Polsatu, jak prezydentem Francji czy królem Norwegii. (...) Owszem, przypominam sobie taką sytuację na jakimś przyjęciu, gdzie Rywin mnie złapał i mówi: "Słuchaj, jak już kupicie ten Polsat, to ja chcę być prezesem", czy: "Weźcie mnie, zatrudnijcie mnie" - coś takiego. Ja w konwencji powiedziałem: "Słuchaj, to świetny pomysł". (...) Chcę tutaj podkreślić bardzo mocno: nigdy nikt mnie w sposób poważny nie pytał nawet o opinię na ten temat.

J.R.: (...) Jest druga kwestia istotna - mianowicie kwestia tego opóźnienia [publikacji o aferze - red.] czy kwestia zgłoszenia do prokuratury. Pan mówi, że w tym czasie - pomiędzy 15 lipca czy 22 lipca a 27 grudnia - tę sprawę opowiadał, konsultował z ogromną ilością rozmaitych wpływowych osób. Dzisiaj nawet był pan łaskaw wymienić liczbę ok. 200 takich osób. Pan redaktor zna zapewne kategorię osób sprawujących kierownicze funkcje w państwie. (...) Czy wśród tych 200 osób były takie osoby?

A.M.: Opowiadałem każdemu, kto chciał słuchać. Natomiast ja nie umiem uczciwie powiedzieć, żeby nie wprowadzić w błąd szanownej komisji, czy takie osoby były, czy ja z nimi rozmawiałem w tym czasie, czy później z nimi rozmawiałem. Po prostu na to pytanie ja uczciwie odpowiedzieć nie potrafię, bo nie pamiętam. (...)

J.R.: (...) Rozumiem, że to była tak duża ilość rozmów, że pan ich zapewne nie pamięta, ale zapamiętałby, być może, gdyby którakolwiek z tych osób - zwłaszcza gdyby to były osoby sprawujące kierownicze urzędy w państwie - próbowała oddziaływać na pańską decyzję w kwestii zgłoszenia do prokuratury bądź w kwestii publikacji - w jedną albo w drugą stronę. Czy takie przypadki były?

A.M.: Nie, takich przypadków nie było i być nie mogło, dlatego że decyzję o publikacji podejmuje kierownictwo redakcji "Gazety Wyborczej". (...)

J.R.: Czyli żadna z tych osób, a w każdym razie osoby na kierowniczych funkcjach w państwie, nie zabiegały u pana ani w kwestii tego, żeby zgłosić do prokuratury bądź nie zgłosić tę sprawę, ani w kwestii tego, żeby ją publikować albo jej nie publikować.

A.M.: Nie.

J.R.: (...) A kwestia wywiadu premiera w "Polityce"? Czy pamięta pan, od kogo pierwszego pan się dowiedział, że taki wywiad w "Polityce" z premierem ma być robiony albo jest robiony, albo o jego zawartości, o jego treści?

A.M.: Nie potrafię w tej chwili na to pytanie odpowiedzieć. Wydaje mi się, że to był ktoś z "Polityki". (...) Ja byłem bardzo niezadowolony z publikacji w tygodniu "Wprost" [tam we wrześniu ub.r., w kpiarskiej rubryce "Z życia koalicji", ukazała się pierwsza informacja o aferze Rywina - red.], dlatego że ja uważam, że sprawa jest znacznie poważniejsza i ma większy wymiar i rangę, niżby to wynikało z tej publikacji.

J.R.: (...) Czy pan w okresie między 15 lipca a 27 grudnia nie znajdował się w trakcie swoich rozmów z premierem w żadnej takiej sytuacji, w której mógłby pan domniemywać, że premier zwraca się do pana o pomoc w wyciszeniu sprawy, w jej niepublikowaniu? (...) Także w przypadku jego wywiadu w "Polityce"?

A.M.: Ja na to pytanie nie potrafię rozsądnie w tej chwili odpowiedzieć. Dlaczego? Dlatego że trudno było mówić o wyciszeniu sprawy, która była wyciszona, żadnej sprawy przecież nie było. (...) Nie umiem już w tej chwili odtworzyć dokładnie kontekstu wywiadu w "Polityce", ale pamiętam swoją intencję. Intencja była taka, że ta sprawa musi być ujawniona (...) Nie potrafię panu odpowiedzieć w tej chwili detalicznie, bo po prostu nie pamiętam tego.

J.R.: Nie zapamiętałby pan takiej sytuacji, gdyby dzwonił do pana prezes Rady Ministrów albo spotkał się z panem i mówił: "Adamie, lepiej by było, żeby nie było na ten temat publikacji"? Nie zapamiętałby pan takiej rozmowy?

A.M.: Nie umiem w tej chwili tego wszystkiego sobie odtworzyć. Z premierem rozmawiałem i przez telefon i osobiście niejednokrotnie. (...) Nie umiem wykluczyć w tej chwili, że w jakimś momencie jakaś tego typu rozmowa mogła mieć miejsce, ale w żadnym razie nigdy to nie był element nacisku na mnie. (...)

J.R.: (...) Zgodnie z zeznaniami pani redaktor [Janiny Paradowskiej, autorki wywiadu z premierem w "Polityce - red.] streszczam tę sekwencję: robię wywiad z panem premierem, zadaję mu w tej sprawie pytania, pan premier coś odpowiada, ja włączam te odpowiedzi do wywiadu, przesyłam premierowi wywiad do autoryzacji. (...) W dwa dni później dzwoni Adam Michnik, żeby tych pytań nie było w tym wywiadzie.

Pytam jeszcze raz: Czy premier prosił pana o pomoc w tej sprawie?

A.M.: Nie bardzo rozumiem, cóż to miałyby być za pomoc. Jest prawdą, że ja prosiłem panią redaktor Janinę Paradowską, żeby tej sprawy w trybie (...) pytania w wywiadzie, który był w ogóle o czym innym, nie ciągnąć. I prosiłem ją, żeby miała chwilę cierpliwości. (...) Już nie pamiętam teraz. Ale wedle mojej świadomości ja zadeklarowałem, że my tej sprawy nie zamieciemy pod dywan (...).

J.R.: Mnie chodzi o ustalenie nie pańskich stanów woli, tylko chodzi mi o ustalenie stanów woli prezesa Rady Ministrów i pańskiej wiedzy o tym. Jeżeli redakcja robi wywiad z premierem, a naczelny redaktor innej gazety wie o tym wywiadzie i składa jakieś prośby, to powstaje pytanie: skąd wie o tym wywiadzie i jaką ma motywację, ażeby takie prośby składać? Zdrowy rozsądek nasuwa podejrzenie, że w tej sprawie wiedzę mógł pan zaczerpnąć od premiera. Chcę wiedzieć: czy tak, czy nie.

A.M.: Na to pytanie rozsądnie panu odpowiedzieć nie potrafię. Ja nie wykluczam, że to mógł mi mówić ktoś z redakcji "Polityki", ktoś może z otoczenia premiera, może sam premier, nie przypominam sobie po prostu tego. (...)

J.R.: (...) Powiem szczerze, trudno mi uwierzyć, że gdyby pierwsza informacja o tym wywiadzie była w pańskiej głowie i w świadomości z ust prezesa Rady Ministrów, z taką prośbą, to żeby pan o tym nie pamiętał.

A.M.: (...) Gdyby premier prosił mnie o coś, co ja bym uważał za istotne, to to bym zapamiętał z całą pewnością. Natomiast sprawę jakiegoś pytania w wywiadzie dla "Polityki"... Po prostu w ogóle tego nie uważałem za istotne, więc nie chcę wprowadzać w błąd szanownej komisji, bo nie potrafię wykluczyć, że zapomniałem o czymś, ale w swojej świadomości dzisiejszej nie trzymam tego.

J.R.: (...) Pan wielokrotnie (...) wyrażał swoje przekonanie, że, cytuję: "Leszek Miller nie miał nic wspólnego z tą propozycją i nie mógł mieć nic wspólnego". (...) Czy mógłby pan powiedzieć, na jakich przesłankach od samego początku opierał pan to głębokie przekonanie?

A.M.: Pan premier Leszek Miller zachował się w sytuacji, w której się znalazł, tak samo jak ja bym się zachował na jego miejscu. (...) To znaczy, gdyby do mnie ktoś przyszedł i mi powiedział, że w moim imieniu się do niego ktoś zgłosił z korupcyjną propozycją, to ja bym powiedział: "No dobrze, to się spotkajmy i wyjaśnijmy to, niech on mi to powtórzy w oczy". I tak zachował się pan premier Miller. Mój, że tak powiem, żelazny argument polega na tym, że pomiędzy moją rozmową pierwszą na ten temat z panem premierem Leszkiem Millerem a moją rozmową z panem Lwem Rywinem minęły chyba cztery dni i gdyby tu cokolwiek było inaczej, to pan premier by po prostu poinformował Rywina, że mleko się rozlało i żeby on już w tę propozycję nie brnął. (...)

J.R.: Czyli to (...) pańskie przekonanie (...) o braku realnego związku Leszka Millera z całą sprawą było przekonaniem, które pan założył od samego początku, a nie nabytym dopiero poprzez jakieś fakty, które miały miejsce w toku śledztwa dziennikarskiego, w toku kolejnych rozmów? Pan w to wierzył od początku, po prostu pan to zakładał.

A.M.: (...) Jak się patrzy na drugiego człowieka, to trzeba założyć, że to nie jest zbrodniarz, gwałcieciel, morderca lub ludobójca. Czyli ja bym musiał mieć przekonujące dowody na to, czy bardzo istotne silne przesłanki, że rzeczywiście na czele rządu stoi gangster. Nabyłem (...) stuprocentowego przekonania, że nazwiskiem premiera Leszka Millera pan Lew Rywin posłużył się w sposób kłamliwy i przestępczy po pierwszej rozmowie z szefem rządu na ten temat. Wszystko, co potem było, utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Natomiast nie pojawił się ani jeden fakt, który by tą moją pewnością zachwiał.

J.R.: Pan też użył takiego sformułowania w zeznaniach w śledztwie, że o tej niewinności premiera przekonywały pana, cytuję: "rozmaite sytuacje życiowe i polityczne" - jak rozumiem, z pańskich spotkań i doświadczeń z Leszkiem Millerem - i w oparciu o nie, o te rozmaite sytuacje życiowe i polityczne z przeszłości, wydawało mi się to całkowicie niemożliwe. Jakie sytuacje? Mógłby pan to doprecyzować? (...)

A.M.: Leszek Miller był przez cztery lata liderem opozycji SLD-owskiej w parlamencie. I miałem podstawę, żeby przypuszczać, że służby specjalne kierowane w owym czasie przez ludzi orientacji niechętniej SLD i premierowi Millerowi naświetliły go do spodu. I gdyby tam coś było nie w porządku, to z całą pewnością opinia publiczna by była o tym poinformowana. Otóż jeżeli nic takiego nigdy się nie zdarzyło, to nie miałem absolutnie żadnej podstawy, żeby przypuszczać, że polityk doświadczony, który z niejednego pieca już jadł chleb, potrafi się zachować w sposób absurdalny i przestępczy.

J.R.: Pan zapewne pamięta, bo pisała o tym _ wprawdzie wiele lat temu - pańska gazeta, że jeden z wybitnych polityków SLD publicznie w pewnym momencie warunkował złożenie przyrzeczenia poselskiego od złożenia przez Leszka Millera wyjaśnień w kwestii finansów jego partii [jesienią 1991 r. poseł SLD Włodzimierz Cimoszewicz oświadczył, że dopóki prokuratura nie wyjaśni sprawy moskiewskich pieniędzy, które trafiły do PZPR, Leszek Miller nie powinien składać przysięgi poselskiej. Miller jednak ją złożył, a Cimoszewicz na znak protestu nie przyjął funkcji szefa klubu parlamentarnego Sojuszu - red.]? Pytam, czy pan pamięta tę okoliczność?

A.M.: Owszem, tak.

J.R.: Czy można uznać, że to jest jedna z takich sytuacji, które też wpływają na ocenę możliwości postępowania Leszka Millera, czy też nie?

A.M.: Mam pewną wizję sylwetki tego polityka. Mam pewną wizję ewolucji, której on dokonał po 1989 r., i z mojej wizji, z mojej analizy wynika, że jest to polityk, któremu zarzutu korupcji postawić się nie da, i nikt mu tego zarzutu nie stawia.

J.R.: (...) W rozmowie [w gabinecie premiera 22 lipca ub.r. - red.] tylko do pewnego momentu brał udział Lew Rywin, potem (...) pan został sam z premierem i jakiś czas jeszcze ta rozmowa się toczyła. Czy to kluczowe stwierdzenie o Robertcie Kwiatkowskim było przedmiotem pańskiej wymiany zdań z premierem potem, a jeśli tak, to jaka to była wymiana zdań?

A.M.: (...) Odniosłem wrażenie, że premier traktował Rywina jak mitomana, jak człowieka, który bredzi bez żadnej odpowiedzialności. Ponieważ moja ocena była inna, to tylko uzyskałem zapewnienie premiera, że on tę sprawę sprawdzi, że poprosi prezesa Kwiatkowskiego o wyjaśnienia.

J.R.: A czy wyniki takich wyjaśnień jakoś prezentował panu premier potem?

A.M.: Wydaje mi się, że była rozmowa na ten temat i że premier mi powiedział, że Kwiatkowski kategorycznie zaprzeczył, że wysyłał Rywina z jakimikolwiek korupcyjnymi propozycjami. Że owszem, jakieś tam rozmowy były, ale że to z korupcją, z pieniędzmi nie miało nic wspólnego. (...)

J.R.: (...) Czy mam to tak rozumieć, że (...) pan premier obiecał panu wyjaśnienie podejrzenia rzuconego wobec Kwiatkowskiego w trakcie rozmowy 22 lipca w swoich kontaktach późniejszych z Kwiatkowskim? Tak pan to rozumiał? (...)

A.M.: Nie. Trudno powiedzieć, że pan premier mi obiecywał coś. Tak bym tego nie nazwał.

J.R.: To jak by pan to nazwał?

A.M.: Ja bym powiedział, że raczej to pan premier mi powiedział: wyjaśnię to. Znaczy, to nie była obietnica, informacja raczej.

J.R.: Ale pan bardzo dokładnie pamięta całe zdania, które wypowiadał premier w pierwszej części rozmowy, (...) a w drugiej części rozmowy już pan tych zdań nie pamięta.

A.M.: To dlatego, że druga część rozmowy nie miała żadnego dramatyzmu. Być może jak pan rozmawia z premierami, panie pośle, to pan pamięta każde zdanie, przecinek i chrząknięcie, ale może jestem bardziej niż pan zdeprawowany i rozmowa z premierem na mnie aż takiego wrażenia nie robi.

J.R.: Mnie tylko dziwi to, że pan pamięta niektóre rozmowy z premierem w całych zdaniach, inne co do zasad ogólnych, tak jak na przykład tę drugą część rozmowy z Rywinem, a innych, jak na przykład w sprawie wywiadu w "Polityce", pan nie pamięta w ogóle. Czemu mam to przypisać?

A.M.: Ma pan to przypisać temu, że po pierwsze pamięć ludzka jest wybiórcza. (...)

J.R.: Chciałbym jednak od pana uzyskać (...) pańskie przekonanie, z którym pan wychodził z tej rozmowy. (...) Wychodzi pan z przekonaniem, że co premier zrobi? (...)

A.M.: (...) Wychodziłem z poczuciem, że premier mnie poinformował, że zażąda od prezesa Roberta Kwiatkowskiego wyjaśnień w tej sprawie.

J.R.: (...) Czy w trakcie tej drugiej rozmowy z premierem, kiedy premier panu powiedział (...), że Kwiatkowski zaprzecza, pan formułował jakieś dalsze oczekiwania co do procedury sprawdzenia udziału Roberta Kwiatkowskiego w tej sprawie przez premiera? Czy prosił pan premiera, żeby cokolwiek wyjaśnił (...), czy uważał pan, że to już jest wyjaśnione? Znaczy, że premier zrobił wszystko, co powinien był zrobić.

A.M.: Nie uważam, żebym był powołany, żeby interesować się, co premier robi. Ja się interesowałem tym, co my robimy, a myśmy prowadzili swoje dziennikarskie śledztwo. Ja wierzyłem, że skutecznie to zrobimy i ujawnimy opinii publicznej.

J.R.: No właśnie. W tym śledztwie (...) mówił pan, że były takie momenty, że (...) "już, już były jakieś ryby w sieci, ale się wymykały". Czy (...) wśród tych ryb, które już były w sieci, był Robert Kwiatkowski, czy też nie?

A.M.: (...) Gdyby jakakolwiek z tych ryb do sieci wpadła, to my byśmy tutaj już ją mieli na stole na talerzu. Ponieważ nie wpadła, to (...) bardzo uprzejmie proszę o niezadawanie mi pytań, które mogłyby sugerować, że ja komukolwiek cokolwiek chcę insynuować. Ja mogę mówić tylko o tym, co jest twardym faktem, a nie o moich przypuszczeniach.

J.R.: (...) Czy zalecał pan red. Smoleńskiemu [autorowi artykułu w "Gazecie" - red.] albo sam podejmował jakieś czynności, żeby wyjaśnić ten trop, który po rozmowie 22 lipca wydawał się tropem podstawowym czy jednym z podstawowych? Nazwisko, które padło z ust pana Rywina: przysłał mnie tutaj Robert Kwiatkowski? (...)

A.M.: Staraliśmy się sprawdzić wszystkie okoliczności towarzyszące tej sprawie. (...) Wszystkie czynności, jakich w trybie dziennikarskim mogliśmy dokonać, były dokonywane sumiennie, starannie, rzetelnie. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

J.R.: (...) Jakie to były czynności dla sprawdzenia tego tropu? (...) Wedle mojej najlepszej wiedzy nie przysługuje panu w tej sprawie prawo odmowy odpowiedzi na pytanie komisji parlamentarnej.

A.M.: (...) Ja odpowiedzi nie odmawiam. Natomiast to, co jest technologią dziennikarskiego śledztwa, jest naszą zawodową tajemnicą, której ja konkurencji swojej nie ujawnię. Istnieje ryzyko, że to

podsluchają dziennikarze z innych dzienników i będą redagowali swoje gazety na równie wysokim poziomie jak "Gazeta Wyborcza". To mi nie odpowiada.

J.R.: (...) Te 200 rozmów, mniej więcej, które pan odbył między 15 lipca a 27 grudnia - czy wśród pańskich rozmówców w tej sprawie był prezydent Rzeczypospolitej?

A.M.: Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć.

J.R.: Dlaczego pan redaktor nie potrafi na to pytanie odpowiedzieć?

A.M.: Bo nie pamiętam tego.

J.R.: Czy rozmowy z prezydentem Rzeczypospolitej pan prowadzi tak często, że nie jest pan w stanie powiedzieć, na jaki temat one się toczyły w lecie ubiegłego roku?

A.M.: Tak. **OPRACOWAŁA LUZ**

ZOBACZ:
przykrycie 2 (c.d.)

[About this Web Site](#) | [Sources and Authors](#) | [Favourites](#) | [FineArtsGallery](#) | [Movies](#)
[PhotoGallery](#) | [and my Letters...](#) | [GoToSlawek](#)

Copyright © 2000-2003;
and my Letters... All rights reserved